



Grey Scale #13



DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



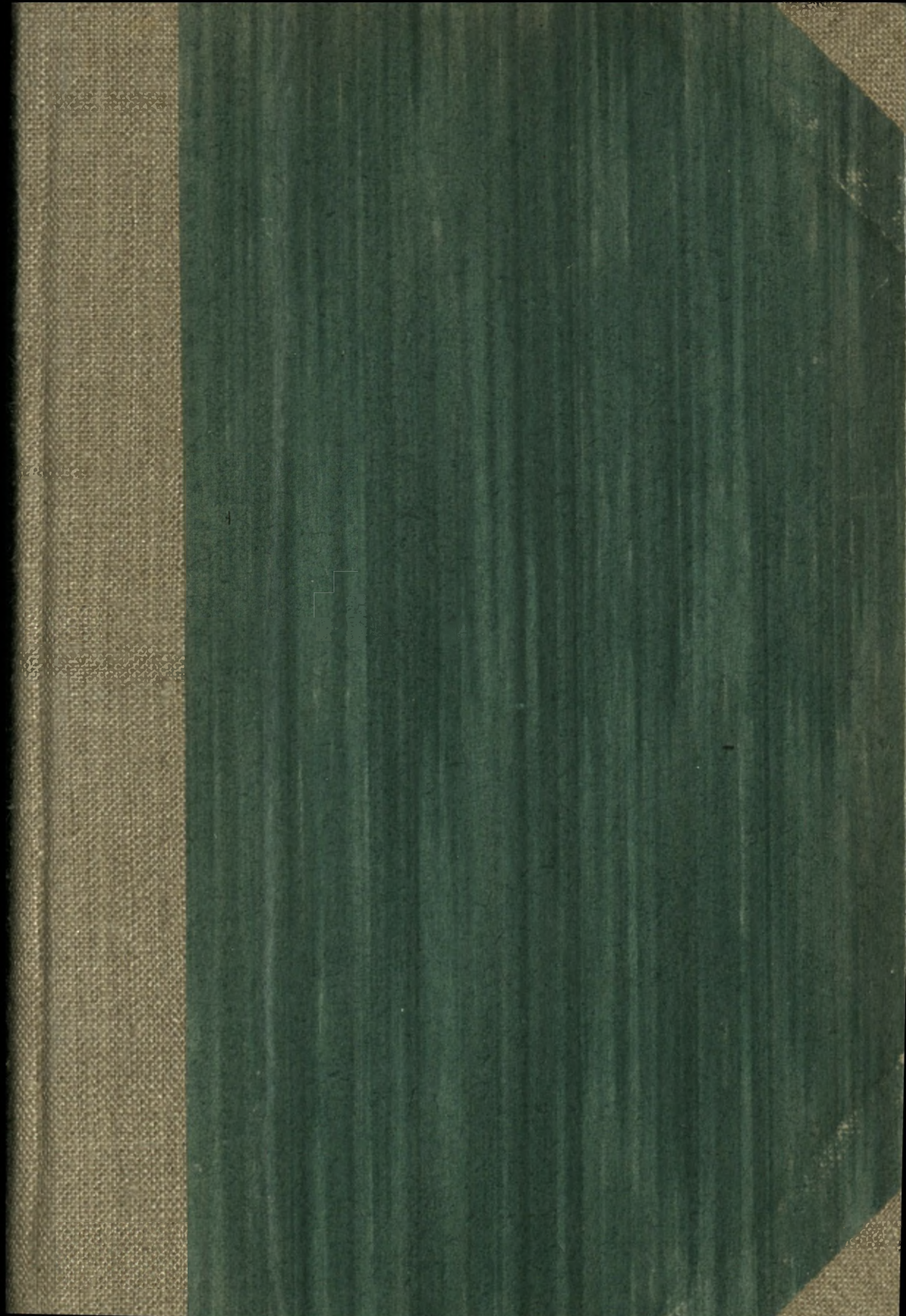
Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Colour Chart #13

DANES-PICTA .COM



HUMANIŚCI NOWOŻYTNI

637.

Wydawnictwo „GŁOSU”

JAN M. ROBERTSON

# HUMANIŚCI NOWOŻYTNI

**Studja socjologiczne o Carlyle'u, Millu, Emersonie,  
Arnoldzie, Ruskinie i Spencerze**

Z oryginału angielskiego przełożył, przypisami i skorowidzem opatrzył

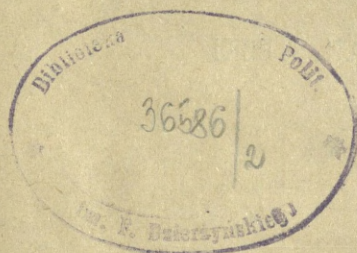
JAN STECKI

WARSZAWA

Druk F. Csernaka, Krakowskie Przedmieście Nr. 60.

1899

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 29 Сентября 1898 года.



## PRZEDMOWA.

---

Szkice niniejsze zostały po raz pierwszy ułożone i wydane w r. 1891, jako szereg wykładów w londyńskim Towarzystwie Etycznym (*South Place Ethical Society*), pod nagłówkiem: „Nowoczesna Krytyka Życia”. Dziś daję książce tytuł: „Humanieści Nowożytni”, a to wskutek usilnych przedstawień, że „krytyka życia” jest pojęciem ezoterycznym, które nie zawładnęło jeszcze myślą ogólną, jakkolwiek w literaturze wyrażenie to ma już obieg powszechny. Być może, że i „humanizm” nie jest jeszcze zupełnie popularnym pojęciem, w każdym razie mniej łatwo zbłądzić co do znaczenia tego wyrazu, który [przytem właściwie oddaje rozmaite pierwiastki omawianej myśli. Nagłówek pierwotny natomiast wskazywał, że czysto literackiej stronie pracy pisarzy, o których mowa, przeznaczono niewiele miejsca.

Niektóre wykłady zostały do pewnego stopnia rozszerzone, wszystkie zaś przejrane, w zasadzie wszakże zachowały formę odczytów, która, jak ufam ze względu na niejakie doświadczenie dawniejsze, będzie bardziej stosowną i dogodną dla zwykłego czytelnika, niż była dla własnych moich uprzedzeń książkowych. Usiłowałem podnieść wartość książki, ile mogłem, dodając nieco wskazówek i wyjaśnień. Uczyniłem to zwłaszcza w ustępie o Carlyle’u z powodu, że rozdział ten najsnadziej może wywołać zarzuty, najwięcej przeto potrzebuje poparcia przez dowody i świadectwa.

Gdzieindziej już twierdziłem, że jedną z najpotrzebniejszych w krytyce literackiej rzeczy jest porównanie i rozbiór mniemań spornych, jak się to czyni w naukach fizycznych; potrzebne to jest zarówno w krytyce charakterów i poglądów, jak w badaniu właściwości estetycznych. Pomimo zarzutów, czynionych temu zapatrywaniu, muszę żałować, iż brak czasu, a skutkiem tego i brak wiadomości nie pozwoliły mi podać obfitszych i zupełniejszych przypisów do wielu punktów szkiców niniejszych.

W ustępie o Emersonie naprzykład wyluszczyłem pewne poglądy na istotę samorzutną idei krytycznych oraz innych. Ledwo oddałem do druku te kartki, spotkałem książkę *Théorie de l'Invention* profesora Souriau (1881 r.), który omawia całe zagadnienie w sposób zadziwiająco świeży i przenikliwy. A oto drugi przykład, świadczący o potrzebie bardziej starannego uprzytomniania świadectw i dowodów w naukach duchowych i moralnych. Streszczając przypadkowo dawne sprawozdanie o dziele Destutta de Tracy'ego *Idéologie*, przekonałem się, że badał on w znacznej mierze ten sam przedmiot, do którego zgoła niezależnie zabrał się Souriau. Nie trzeba dodawać, że dałoby się przytoczyć innych pisarzy, taksamo związanych treścią.

Pozostaje mi tylko wyrazić przekonanie o niedoskonałości wszystkich wogóle szkiców niniejszych, jednego zaś lub dwóch w szczególności. Zaznaczam, że w studjum o Emersonie zostały pominięte ważne punkty jego nauki, co już dawniej przyznałem. Brak czasu odpowiedniego spowodował inne przeoczenia. Chcąc poprawić wszystko, należałoby z każdego rozdziału zrobić rozprawę; sądzą jednak, że lepiej utrzymać książkę w takich mniej więcej rozmiarach, jakie — odczytom przynajmniej — zapewniały słuchaczy.

---

## Tomasz Carlyle.


---

**T**OMASZ CARLYLE urodził się 4 grudnia 1795 r. w Ecclefechanie (*Sartor Resartus* zwie tę miejscowość Entepfuhl) w parafji Hoddam w hrabstwie Dumfries. Był on drugim synem majstra mularskiego Jakóba (1758—1832), pierwszym zaś Małgorzaty Aitken (1771—1853), ludzi ubogich, ciężko pracujących na wyżywienie 5 swych synów i tyluż córek. Czytać nauczyła Tomasza matka, początków arytmetyki udzielał mu ojciec. W szkółce miejscowej chłopiec poduczył się angielszczyzny i łaciny i już w r. 1805 przeszedł do średniej szkoły, w której był uczniem miernym. Najłatwiej i najchętniej pracował nad językiem francuskim, z geometrii, algebry i geografji posiadał odrobinę wiadomości, w języku greckim nie posunął się poza alfabet. W r. 1809 wstąpił do uniwersytetu w Edynburgu (stulimową podróż odbył pieszo), gdzie się też niczem nie odznaczał. Po skończeniu wydziału literackiego (1814), zaczął przygotowywać się do stanu duchownego i został uczniem szkoły teologicznej. Jednakże potrzeba zarobku (aż dotąd żył kosztem rodziców) zmusiła go do objęcia posady nauczyciela matematyki w *Annan Academy* (szkoła średnia), skąd po dwu latach (1816) przeniósł się na stanowisko młodszego nauczyciela szkoły parafjalnej w Kirkeadly. Tam zawarł przyjaźń z Edw. Irvingiem, również nauczycielem, i zakochał się w jednej z jego uczennic, pannie Małgorzacie Gordon (Blumine w *Sartor Resartus*). Lubo panna była mu wzajemna, jednak do małżeństwa nie przyszło, bo wuj Małgorzaty stanął na przeszkodzie. Wówczas już Carlyle za-

niechał myśli o kapłaństwie, zbrzydził sobie zawód nauczycielski i z uciulanemi 70 f. szt. ruszył do Edynburga. Miał nawet zamiar wyjechać do Ameryki, ale szczęśliwie znalezione lekcje prywatne dostarczyły mu środków do życia. Jednocześnie brał udział w redakcji *Edinburgh Encyclopaedia*, wydawanej przez dr. Brewstera, a w 1819 r. zapisał się do szkoły prawa, myśląc o poświęceniu się zawodowi obrończemu. I w tem jednak nie wytrwał. Przeciwny naturze Carlyle'a sposób życia: pobyt w mieście, brak ruchu, ślęczenie nad książkami wywołały w nim rozstrój nerwowy, przyprawiły go o bezsenność i niestrawność. Nadto zaczęły go szarpać wątpliwości religijne, które zdołał przytłumić po wielu wysiłkach, a towarzystwo pięknej panny Janiny Welsh (pochodzącej po ojcu od Jana Knoxa) rozżarzyło mu w sercu nową miłość. Panna chętnie obcowała, rozmawiała i korespondowała z Carlyle'm, ale o miłości nic nie chciała słyszeć. Z dwoma młodemi studentami, powierzonymi jego opiece (Karolem i Arturem Bullerami), Carlyle pojechał do Londynu, gdzie przebył rok prawie (1824—25), czuwając nad drukiem pierwszej swojej książki: *Life of Schiller* i spędzając chwile wolne na rozmowach z Campbellem, Coleridge'em i Cunninghamem. Nareszcie w r. 1826 udało mu się skłonić pannę Janinę Welsh do małżeństwa, i wówczas osiedli oboje w Edynburgu. Po dwóch latach przenieśli się do Craigenputtock, gdzie Carlyle napisał *Sartora Resartusa*, a w roku 1834 zamieszkali w Londynie. Środków do życia dostarczały lekcje prywatne, odczyty i wykłady publiczne (między innymi *Heroes, Hero-Worship and the Heroic in History*), dopóki dzieło *French Revolution* (1837 r.) nie dało Carlyle'owi sławy i poczytności. Nigdy jednak nie zarabiał więcej nad 400 f. st. rocznie. W Londynie poznał teraz Jana Milla, Jana Sterlinga, Jeffreya i Emersona; w r. 1838 wydał *Sartora* i *Miscellanies*. w r. 1843 *Past and Present*, w r. 1850 *Latter-Day Pamphlets*, w r. 1858—1865 *The History of Friedrich II*. Praca nad ostatniem z dzieł wymienionych zmusiła Carlyle'a do odwiedzenia ładu stałego, mianowicie Prus; wyjeżdżał też do Irlandji i Szkocji. W r. 1866 został z wyboru obrońcą gubernatora Eyre'a; w r. 1865 uniwersytet Edynburski obrał Carlyle'a za swego rektora (657 głosami przeciw 310, oddanym na Disraelego). Podczas uroczystości instalacyjnych w Edynburgu doszła Carlyle'a wieść o śmierci pozostawionej w Londynie żony. Z notatek i listów jej Carlyle dowiedział się, że samolubstwem swoim, gwałtownością i dziwactwami zatrął życie kobiecie, unieszczęśliwił ją i przyprawił o chorobę. Zrozumiał też,

że wiadome jej były miłostki jego (1855 — 56 z Henryką lady Ashburton). W r. 1867 Carlyle wydał *Shooting Niagara*, gdzie zawarł pogląd swój na demokrację angielską; w r. 1870 bronił w *Times*'ie postępowania rządu niemieckiego. W rozmowach prywatnych gwałtownie potępiał politykę Gladstone'a względem Irlandji. W nagrodę za apoteozę Fryderyka Wielkiego rząd pruski ofiarował Carlyle'owi ustanowiony przez tego monarchę order Zasługi. — Carlyle przyjął odznaczenie, odrzucił natomiast wielki krzyż orderu Łaźni i pensję, ofiarowywane mu przez Disraeliego. Podczas świetnego obchodu osiemdziesiątej rocznicy urodzin swoich Carlyle dostał medal złoty od Szkotów, a Bismark zaszczycił go listem z wyrazami uznania. Ostatniem wystąpieniem publicznem Carlyle'a był list, ogłoszony w r. 1877, protestujący przeciw zamiarom Disraeliego wydania wojny Rosji. Zmarł 5 lutego 1881 r. w Chelsea, pochowany zgodnie z życzeniem własnem w Ecclefechanie, lubo zamierzano złożyć go w Westminsterze. (*Przyp. tłum.*)

## I.

ześćdziesiąt trzy lata upłynęło od chwili, gdy stary już Goethe rozmawiając z oddanym sobie Eckermannem, wygłosił często przytaczaną pochwałę Carlyle'a. „Carlyle—mówił Goethe—jest to siła moralna ogromnej wagi. Ma on przed sobą wielką przyszłość, i przewidzieć nawet nie możemy, co wytworzy lub wywoła“<sup>1)</sup>. Ta zaszczytna pochwała wyszła z ust największego pisarza nowożytnego w chwili, gdy Carlyle miał zaledwie lat trzydzieści i na pochwałę zarobił jedynie swem „Życiem Szyllera“, oraz kilku przekładami i sprawozdaniami. Heine zgodnie ze Swinburne'em podsuwają przypuszczenie, że za łaskawem skinieniem Jowisza ukrywał się jakiś kaprys olimpijski, a i sam Carlyle musiał niekiedy krzywić się na myśl, że oko, które dostrzegło w nim wielką siłą moralną, widziało jeszcze większą — w Byronie<sup>2)</sup>. Jednakże w trzydzieści lat później zupełnie inna

1) Eckermann *Conversations* przek. ang., str. 277.

2) Goethe mawiał, że „nigdy dotychczas nie istniał i prawdopodobnie nie zjawi się nigdy“ charakter tak wzniosły, jak Byrona. *Ib.* str. 23.

powaga streszcza zasługi Carlyle'a w wyrazach takich samych, jakich użył w przepowiedni swej Goethe. Aczkolwiek Henryka Martineau wyświadczyła Carlyle'owi przysługę istotną w czasie, gdy tego niezaprzeczenie potrzebował, jednakże Carlyle w listach swoich i notatkach, ilekroć mówi o tej osobie, po pierwszej o niej wzmiance ma zawsze na ustach nieco ze swego nieprzebranego szyderstwa; niemniej Henryka Martineau jest jednym z najlepszych i wytrwałym jego obrońcą <sup>1)</sup>. Pisząc opowieść o życiu swem w mniemaniu, że jest ono bliskie końca, w ten sposób wysławia Carlyle'a: „Jeżeli mam niezłomną wiarę, że społeczeństwo, które żegnam, poprawiło się znacznie w porównaniu z tem, w którym się urodziłam, to jednocześnie jestem pewna, że ową błogosławioną zmianę należy przypisać bardziej wpływowi Carlyle'a, niż czyjemukolwiek innemu“ <sup>2)</sup>. Czyni ona wszakże pewne godne uwagi zastrzeżenia, stawiając pytanie, któremu będziemy musieli spojrzeć w oczy w ciągu naszego studjum. „Carlyle — świadczy Martineau — może stać nieraz w zadziwiającej sprzeczności z sobą samym; może być człowiekiem najprzesadniej ułożonym, potępiając współczesne zwyczaje towarzyskie; największym gadułą, wychwalając milczenie; może narzekać najpłaczliwiej, wysławiając męstwo; może okazywać usposobienie najchwiejniejsze i najburzliwsze, wystawiając pogodę ducha, jako największe dobro, które człowiek osiągnąć zdoła; a jednak wpoił on w ducha narodu angielskiego szczerłość, powagę, prawość i męstwo.“ Niektórym zapatrywaniom Henryki Martineau — np. zdaniu o Macaulayu — nie udało się przejść do potomności, lecz jej pochwała Carlyle'a jest wyrazem opinii powszechnej, chociaż Carlyle ostatni zgodziłby się uznać skutki, przypisywane przez Martineau dziełom jego. Bądź co bądź sposób widzenia Martineau podziela mnóstwo pisarzy wykształconych i wpływowych: Morley, Lowell, dr. Garnett, Hutton, profesor Masson, Conway i wielu innych. Niewątpliwie Carlyle

---

1) Ob. Froude *Carlyle's Life in London* I, 97, 105.

2) *Autobiography* I, 387.

na starość był jedną z głównych postaci w życiu angielskim, a Taine zauważył przed dwudziestu laty, że Carlyle był pisarzem, którego przeciętny Anglik wymieniał cudzoziemcowi, zapytującemu o głównego myśliciela angielskiego<sup>1)</sup>.

Sława ta, jak każdemu wiadomo, wyrosła z długiego ciągu pracy literackiej, z pewnością nie obliczonej na zjednanie publiczności brytańskiej ani stylem, ani treścią; gdy zaś przypomnimy sobie, że oskarżanie współczesnego życia było rzeczą popularną po wszystkie czasy, fakt rozgłosu i wydatności Carlyle'a okaże się sam przez się znaczącym. Aby ocenić go sprawiedliwie, musimy naprzód uprzytomnić sobie naturę społeczeństwa, w którym Carlyle się urodził, i stosunek, który go z niem łączył. Nie przesądzając, o ile słuszne są poglądy Henryki Martineau, musimy przedewszystkiem uwzględnić niezmierną różnicę kultury moralnej pomiędzy czasem Carlyle'a a naszym. Niezrównane nowele Janiny Austen przedstawiają nam dawne stosunki z najlepszej może strony. Otóż widzimy tam, że w średnich i najwyższych warstwach społecznych nikt wówczas nie przypuszczał nawet, żeby naprawa stosunków społecznych była rzeczą, godną zastanowienia. Bohaterowie Janiny Austen wydają się istotnie niemożliwymi już ze względu na tę jedną cechę zupełnego usunięcia z myśli wszelkich zagadnień ludzkich właśnie w chwili, gdy Anglję ogarnął pierwszy gwałtowny prąd reakcji przeciw rewolucji francuskiej. Widząc wszakże, iż ludzie ci umieli zbywać okropności demokracji obłudnemi ogólnikami taksamo, jak zbywali obłudnemi formułkami wielkie zagadnienia życia i śmierci, rozumiemy jasno, że niewiele więcej czynili. Społeczeństwo tamtoczesne wyznawało etykę klasycznych nowel swoich, w których zadaniem bohatera było dojść w jakikolwiekbydz sposób do majątku, nie czyniąc nic, aby nań zapracować<sup>2)</sup>,

---

<sup>1)</sup> Oswald, który pisał w r. 1882, zaznacza, że pokolenie dorastające odwracało się już od Carlyle'a. *Thomas Carlyle: ein Lebensbild* str. 3.

<sup>2)</sup> Stopień wziętości tego ideału w beletrystyce jest miarą społeczno-ekonomicznej etyki każdego czasu. Pierwotnie był on powszechny bądź pod postacią

celem zaś bohaterki było pogodzić bezinteresowną miłość z korzystnym zamążpójściem. Religja była jakąś umową paraliżującą, z którą zetknięcie się odrętwiało i czyniło jałowym nawet żywy umysł Janiny Austen <sup>1)</sup>. Że społeczeństwo uczciwe może lub powinno być czemś więcej, prócz przypadkowo powstałą gromadą ludzi, pobierających łatwe dochody, tego nie domyślał się nikt..... tej teorii nigdy nawet nie roztrząsano, bo zresztą sama demokracja polityczna była jakimś wielce ciemnym straszylem.

Trzeba tu przypomnieć, że na początku bieżącego stulecia przeciętny umysł angielski był niezwykle ospały i gruboskórny. Przyjrzyjmy się stosunkom księgarskim, a spostrzeżemy, iż po wybuchu rewolucji francuskiej i po wyjściu „Rozmyślań“ Burkego wśród warstw średnich i najwyższych nastąpił zupełny prawie zastój umysłowy i zanik myśli krytycznej, która, obudzona przed stu laty, przetrwała wbrew ostatnim wysiłkom pjetyzmu pełen zepsucia okres panowania Jerzych, aby wejść na nowe tory w chwili, gdy Burke sądził, że postęp jej już ustał <sup>2)</sup>. Tak np. „Sprawiedliwość polityczna“ Godwina, „Prawa kobiet“ Marji Wollstonecraft i przekłady angielskie dzieł Voltaire'a—wszystkie zdaje się zaległy bez ruchu półki księgarskie, lubo ukazaniu się ich towarzyszyły wszelkie wróżby wziętości. Ostatnie dziesięciolecie zeszłego wieku obchodziło się już bez nowych nakładów. Po prostu postrachem cofnięto lud ku prawowierności, odrętwieniu i uległości, a całą masę narodu ogarnęło dzikie podniecenie wojenne. Przeżyły przecież pierwiastki, które wydały nową politykę demokratyczną i nową demokratyczną wolnomysłność, obie rozświetlone ognistą szczer-

---

zdarzeń z życia osób „utytułowanych“, bądź pod postacią młodzieńców, dochodzących do majątku. Mamy go w najlepszym utworze naszym z lat niedawnych, w *Philip Thackeraya*, w gorszych zaś utworach przeważa on dotychczas.

<sup>1)</sup> Ob. np. jej *Persuasion* i sąd poetycki o Elliot'cie.

<sup>2)</sup> Porównaj głośną rzecz *Who now reads Bolingbroke?* z przypisaniami Morleya; *Voltaire* wyd. 4-te, str. 65.

ścią Tomasza Paine'a i nie przeznaczone już na zanik <sup>1)</sup>. Wszystko to jednak dla wyższych warstw społecznych pozostało księgą zamkniętą na siedem pieczęci; warstwy te nie wyczuwały w ludzie tak wysokiego poziomu umysłowego, do jakiego wzniósł się w ciągu wieków. Stulecie poprzednie, wyszydzane przez tylu pisarzy, aż do Carlyle'a włącznie, w porównaniu z prawomyślnymi latami pierwszej ćwierci bieżącego wieku jest, jak dzień uroczystego święta w porównaniu z niedzielą angielską; posiadało ono ciekawość, tęgość, rozum, świetność i nadewszystko dowcip, podczas gdy panującym tonem i usposobieniem okresu reakcyjnego—tonem „towarzystwa“ w przeciwstawieniu do pokrytych mrokiem sfer, gdzie kiełkowało nowe życie—były jednocześnie nierozgarniętość, niezadowolenie i tchórzostwo. Istniejący wówczas typ duchowy, biorąc ogólnie, wyraża się treściwie w dr. Johnsonie, którego Carlyle chciałby przedstawić nam za szczególny typ życiowy człowieka, pożeranego głodem moralnym, właściwym ośmnastemu stuleciu, prof. Hales <sup>2)</sup> zaś każe nam widzieć w nim rzeczywiste wcielenie ducha wieku; niezawodnie wszakże uznać go raczej trzeba za jednostkę, przykrawającą do swej miary różnolitą myśl pokolenia współczesnego i wyciskającą na tej myśli twarde piętno własnego potężnego charakteru i pełnego uprzedzeń umysłu.

Rozumie się, że wszelkie tego rodzaju uogólnienia należy brać z zastrzeżeniem wolności sądu i z ciągłą gotowością do uznania wyjątków. Nie trzeba przypominać, że religja konwencjonalna mogła tu i owdzie wybujać w rzeczywistość pobożność lub fanatyzm, nowe zaś życie i oświata, jak powiedziałem, rozwijały się w ukryciu. Przejawiają się one—w odróżnieniu od tej demokratycznej wolnomyślności, która przetrwała wśród ludu po miastach—w dwu kierun-

---

<sup>1)</sup> Pracę Paine'a prowadził dalej w drugim pokoleniu Ryszard Carlile, który z woli rządu angielskiego wycierpiał srogą karę dziesięcioletniego więzienia.

<sup>2)</sup> Ob. wstęp do *Lives of the Poets* Johnsona w wydaniu Napiera, str. XXIII.

kach: w młodej poezji Wordswortha, Coleridge'a, Shelleya i Byrona oraz w nowej polityce Benthama, Jakóba Milla i młodych wigów, polityce, która wkrótce oparła się na ekonomji, sformułowanej przez Adama Smitha, chociaż jego książka, jak każda inna, wymagająca wysiłku umysłowego, musiała przez lat dwadzieścia walczyć z obojętną niechęcią reakcji.

W tych dwu nowych czynnikach, w młodej poezji i w nowym radykalizmie mamy główne klucze zewnętrzne do zrozumienia stanowiska Carlyle'a w młodości. Poezja i radykalizm skojarzyły się w sposób widoczny w Shelleyu, spotkały się też, lubo nieco inaczej, w Byronie; fakt ten jest najwyraźniejszym może dowodem zaczątkowego jeszcze charakteru ich wspólnych idei. Poezja, osnuta na tematach społecznych lub ogólnych, nie zaś na specjalnych lub jednostkowych, jest albo po prostu artystycznym wyrazem rzeczy spowszedniałych i tradycyjnych, albo nieokreśloną tęsknotą do czegoś nowego, czego się jeszcze nie pojmuje jasno lub rozumiale. Rzecz, należycie odtwarzana w poezji, jest albo zamarłą przeszłością, albo dopiero pożądaniem. Otóż poezja Shelleya, o ile jest polityczną lub społeczną, jest właśnie takim pożądaniem, jak poezja Byrona jest znów buntem przeciw tradycji, sposób zaś, w jaki przyjęto obu tych poetów, dowodzi, że myśli ich—bądź burzące, bądź twórcze—były jeszcze nieziszczalnemi. Dziś, gdy myśli te stały się przedmiotem codziennych sporów i roztrząsań w prozie, utrzymujemy, że poezje owe, jako poezje, są po największej części liche; tak przynajmniej powiadają ci z nas, którzy podają się za krytyków, ja zaś, choćby miano mię za to zakrzyczeć, mogę tylko dodać, że gorsze są raczej zachowawczo-filozoficzne poezje Wordswortha, niż nowatorsko-filozoficzne Shelleya — wypracowane poematy Wordswortha oczywiście, nie zaś płynące z serca liryki jego. Poematy owe usiłowały poetyzować materiał surowy, którego nie zdolne były stopić w czystą treść poetycką; przesady paradują w nich, jako mądrość, teorie zaś nie są ożywione uczuciem ludzkim. Z drugiej strony piszący prozą politycy radykalni, jak dość łatwo spostrzec możemy, nie mieli za-

dnego zupełnego planu życia jednostek lub państw, lecz jedynie zasady naprawy stosunków, plastry na rany, zadawane przez tyranję albo przez niesprawiedliwość, którą reakcja utrzymywała lub pochwałała. Na takie stosunki natrafił młody Carlyle.

## II.

Przedewszystkiem postaramy się poznać go ze strony fizjologicznej, poznać jego usposobienie, ani wątpić bowiem, że studjum lub ocena człowieka—jeżeli wogóle mają być naukowe i pożyteczne—powinny opierać się na badaniu jego właściwości fizycznych, od których zależą umysłowe. Dziś wiadomo dobrze, dzięki pracom wydawcy Froude'a i równie szczerym świadectwom osób postronnych, że Carlyle pochodził po ojcu z rodziny krzepkiej i obdarzonej charakterem niespokojnym. Im wszechstronniej rozpatrujemy dzieła Carlyle'a, tem wyraźniej dostrzegamy w nim znamienny rys dziedziczności, uszlachetniony tylko, lecz nie przeistoczony przez całe jego wykształcenie. We „Wspomnieniach“ swoich Carlyle nie przecenił wcale wpływu ojcowskiego na umysł własny, lubo rozumie się wychwalał umysłowość ojca <sup>1)</sup>. Odziedziczył on po Jakóbie Carlyle'u usposobienie do porywczej zgryźliwości, żarliwość, brak wyrozumiałości, banalne zwroty mowy i sposoby wyrażania się, lecz na nieszczęście nie wziął ważnej cnoty, którą przypisuje ojcu swemu: „nie mówienia nigdy o rzeczach niemiłych i przepadłych“ <sup>2)</sup>. Że syn przyswoił sobie ojcowski sposób wyrażania się, o tem wiemy z własnego jego świadectwa, łatwo jednak dostrzec, że wstąpił w ślady wielu innych jeszcze zwyczajów ojca <sup>3)</sup>. Wielkie

---

1) *Reminiscences* t. I, str. 7, 18, 19.

2) *Ib.* str. 9.

3) Froude w *London Life* t. I, str. 40, mówi, że Carlyle często zwracał na to jego uwagę. Por. Conway *Thomas Carlyle* str. 77 i Froude *First Forty Years* t. I, str. 397.

zdziwienie wywołała zdaje się opowieść młodszego Carlyle'a o tem, jaki sąd wydał ojciec jego o kapłanie swej sekty, który, sprawując przez czas pewien obowiązki duchowne w tamtejszym okręgu, postanowił przyjąć „wezwanie“ obcego zboru, gdzie płacono większą pensję. „Zapłaćcie mu należność—powiedział stary Carlyle—i niech sobie ten najemnik idzie.” Otóż kapłan ten uczynił tylko to, co czyniło przed nim i po nim dziesiątki tysięcy innych kapłanów, co owszem uczyniłby, jako rzecz najprostsza, sam Jakób Carlyle w swoim zawodzie mularskim, do czego czuł się nawet najzupełniej upoważnionym Tomasz Carlyle, biorąc o ile możliwości największą zapłatę za swe prace literackie <sup>1)</sup>. Stary Carlyle po prostu pozwolił własnemu samolubstwu przemówić w wybuchu niesłusznego gniewu, a syn podpisał się pod tem niebacznie. Albo weźmy list, w którym Jakób Carlyle, robiąc uwagi nad nauką o zmartwychwstaniu, opowiada synowi ze śmiechem, jak raz rozprawił z pewnym sąsiadem, który obstawał przy zdaniu, że ludzie zmartwychwstaną w rzeczywistym cielesie, w którym ich pogrzebano. Jakób odrzekł biedakowi, że taki „śmierdzący kloc”, jak jego ciało, jest zgoła niestosowny na mieszkańca rajy <sup>2)</sup>. Stary jego—mość w liście do syna powtarza tę obelgę z widocznym zadowoleniem, nie mamy zaś powodu wątpić, że i syn ze swej strony podzielał wesołość ojcowską.

Powyższy list starego Carlyle'a jest pouczający z bardzo wielu względów. Warto zaznaczyć, że sam Carlyle ojciec nie posiada własnego zdania, na czem polegać może zmartwychwstanie. Przytacza on zdania obu prowadzących spór sąsiadów i ze wszystkiego daje nam poznać, że sam nie wyrobił sobie rozumowego poglądu na przedmiot—choć rozumie się miał dogmatyczną pewność, że jakieś zmartwychwstanie nastąpi—jeno widać, iż po prostu nie podobali mu się

---

1) „Jeśli zapłacą mi (w *London Review*), jak należy, będą mieli parę artykułów; jeśli nie, to nie“ (Listy do Jana Carlyle'a we *Froude'zie Thomas Carlyle: the First Forty Years of His Life* t. II, str. 410).

2) *Ib* t. I, str. 180.

i nie budzili w nim szacunku obaj przeciwnicy, skutkiem czego zajął stanowisko nieprzychylnie dla obu, zwłaszcza zaś dla tego, który był mu osobiście mniej miły. Maluje się w tem cały Carlyle. Sprzecznosc, opornosc, przeczenie, przeświadczenie jasne o tem tylko, że inni się mylą--oto najtrwalsze może rysy jego charakteru, zobaczymy zaś, jak sądzę, że syn wprowadził niewiele nowego do obszaru pojęć ojcowskich, jakkolwiek uzewnętrzniał je sposobami o wiele liczniejszymi. Głębokie poczucie wszelkiego rodzaju nieudolności, złego wykonania rzeczy wielkich lub małych, z czem tak często spotykamy się w dziełach Carlyle'a, jest tem właśnie uczuciem, o którym mógł słyszeć najczęściej w domu rolnika-mularza, posiadającego silny charakter, szczupłe środki i ostre usposobienie. Ustawiczne i pełne narzekań przewidywanie w ciągu pierwszej połowy życia, iż wypadnie kiedyś umrzeć z głodu, każe też poniekąd w charakterze pisarza domyślać się wpływów skromnego bytu wieśniaczego. Ciągłe jego wykrzykniki w tym przedmiocie nie są rzeczywiście rysem charakterystycznym wieśniaków szkockich ani żadnych innych, ale raczej powinny być złożone na karb szczególny jego skłonności do kłócenia się z losem; okazało się, że nawet w okresie, gdy był zamożny, w stosunku do żony przestrzegał oszczędności tak niezmiernej, iż to razi jego najgorętszych czcicieli <sup>1)</sup>; ojca zaś swego przedstawia sam, jako hojnego we wszystkich czynach. Rzeczy te można jednak wytłumaczyć za pomocą przodków dawniejszych <sup>2)</sup>.

W szeregu własności dziedzicznych tak silne były pierwiastki fizyczne, że ustawicznie widzieć się daje fatalny wpływ tej fizyczności na działalność literacką Carlyle'a. Miał on naturę choleryczną wieśniaka, naturę, która trwałością zdrowia dowiodła swej siły, która wszakże właśnie

<sup>1)</sup> Ob. Larkina *Thomas Carlyle; the Open Secret of his Life* str. 325.

<sup>2)</sup> Dla przeciwstawności porównajmy słowa pani Carlyle'owej, która mówiła do szwagra, że nie potrafiłaby jej uczynić nieszczęśliwą myśl o przyszłej domniemanej śmierci głodowej. *London Life* t. I, str. 65.

z powodu swej siły wychodziłaby zawsze daleko lepiej, gdyby mogła wyładowywać się w nieprzerwanych ćwiczeniach fizycznych. Pod tym względem Carlyle miał zupełną słuszność, gdy mówił, że nie posiada zdatności na literata <sup>1)</sup>, a w młodzieńczym zamiarze jego udania się na stepy północno-amerykańskie odzywał się samorzutny popęd fizyczny. Jeden z przyjaciół moich, biolog, który głosi zasadę powszechnego powrotu do zajęć ręcznych, jako pierwszy niezbędny punkt reformy społecznej, dowodzi, że zgryźliwość Carlyle'a była w znacznej mierze wyrazem wrodzonej mu potrzeby pracy ręcznej, potrzeby, tkwiącej w jego mięśniach i nerwach. Rzeczywiście takiej skłonności każe domyślać się rozwinięty przez Carlyle'a dogmat pracy, czyniący z niej dość niekonsekwentnie cnotę samą w sobie, bez względu na kierunek pracy, aczkolwiek gdy czytamy myśli Carlyle'a w tym przedmiocie, uparczywie i ustawicznie przypomina się Eccles, który „sam niewiele robił, lubił wszakże widzieć, jak młodzież przykłada się do roboty.” Wiele mówiono o pracy, której istotnie dokonał Carlyle, a która na niepracowitym Emersonie robiła wrażenie ogromu, w rzeczy samej wszakże Carlyle tyleż próżnował, ile pracował; w ciągu lat całych, jak sam wyznaje, wciąż pozostawał w markotnej bezczynności, gniewny dla braku zajęcia bądź naukowego, bądź zarobkowego <sup>2)</sup>.

W rzeczywistości nie miał on wcale przeważnego pociągu do literatury, jako do nieprzerwanego snucia myśli, miał jedynie wielką dziedziczną łatwość żywego wysłownienia się w obronie nielicznych idei swoich, a jakkolwiek bardzo

---

<sup>1)</sup> „Gdyby nauczono mnie bodaj najprostszej, a pożytecznej roboty—powtarzał—byłbym lepszym i szczęśliwszym człowiekiem.“ *London Life* t. II, str. 265—6. Froude pisze: „Lord Jeffrey nie mylił się, mówiąc, że literatura nie jest najbardziej stosownem zajęciem dla osób z usposobieniem Carlyle'a.“ *Ib.* str. 231.

<sup>2)</sup> „Przez dwa z górą lata byłem tyleż cnotliwy, ile najzupełniej bezczynny, najspokojniej leżąc o dłogi m. Strach myśleć o tem!“ Dziennik, 9 luty, 1848 r. (*London Life* t. I, str. 421). Por. Dziennik, 7 lutego 1835 r. *L. L.* t. I, str. 19 i znów t. I, str. 443 oraz *Reminiscences* t. I, str. 59.

się powtarza, przecież trzydzieści czy czterdzieści tomów dzieł jego nie świadczą zgoła o wytwórczości, zbyt uciążliwej dla tak długiego życia. Fizjologiczna tajemnica tego wszystkiego zdaje się przeblyskać odrazu, gdy spojrzymy na najwierniejszy ze wszystkich portretów Carlyle'a, na dagierotyp, doskonałą reprodukcję fotografii, umieszczonej na czele korespondencji Carlyle'a z Emersonem. Nawet nieobeznany blisko z typami szkockimi fizjognomista może tu na pierwszy rzut oka wyczytać to, co Wagner widział w Beethovenie: „wyzywający skurcz nozdrzy“, albo raczej wrodzoną oporność, malującą się też w ostrym i grubym zakroju ust, obwisających na dół, jak zwyczajnie przy złem trawieniu. Późniejsze fotografie uzupełniają jedynie tamtą, wykazując każda z osobna i wszystkim razem, według zdania przyjaciół Carlyle'a, bezprzedmiotowy wyraz „zadumy napół zawodowej“<sup>1)</sup>, a przytem jaknajwidoczniej — i poniekąd naturalnie — pewnej siebie.

### III.

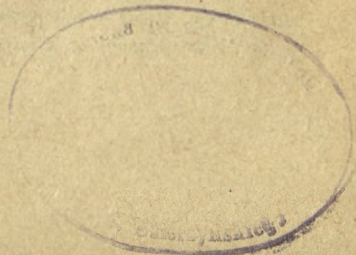
Możemy więc wyobrażać sobie, że ten syn Jakóba Carlyle'a wkroczył na pole literatury skutkiem dawnej szkockiej dążności kierowania każdego roztropnego chłopca na księdza. W danym razie dążność ta mogła znajdować poparcie w poważnem zachowaniu się młodego Carlyle'a, które wziął on również po ojcu. Ojciec był dla rodziny surowy i niezbyt uprzejmy tak, iż w pierwszych latach bali się go wszyscy<sup>2)</sup>, nie wyłączając żony, a dziecko, jak wiemy od przyjaciela jego profesora Massona, bardzo często znajdowało powód do płaczu<sup>3)</sup>. W rodzinie tej syn, ojciec i dziadek po ojcu dają przykład wyraźnej ciągłości typu.

---

<sup>1)</sup> Profesor Norton w *New Princeton Review* lipiec 1896 r., str. 2. „Twarz jego w chwili spokoju — powiada profesor Norton — była surowa, jak twarz pastusza owiec z gór.“

<sup>2)</sup> *Reminiscences* t. I, str. 13, 21, 44.

<sup>3)</sup> Por. *Sartor Resartus* t. II, str. 3.



Jakkolwiek wszakże wydatną jest dziedziczność zarówno fizyczna, jak moralna, pod względem umysłowym zarysowuje się różnica ważna. Jednym z najsilniejszych dowodów wrodzonej siły rozumu Carlyle'a jest fakt, że pochodząc z takiego, jak on, rodu, ze wsi szkockiej, i to w końcu zeszłego stulecia, zdołał przecież znaleźć myślową drogę wyjścia z prawowierności religijnej. Dotąd nie wyjaśniono nam zrozumiale tej sprawy, ja zaś zmuszony jestem przypuszczać, iż nie co innego, jeno ogólna pochopność Carlyle'a do krytyki i przeczenia, wrodzony popęd do sprzeciwiania się i opierania temu, co go otaczało, usposobiły go do tak wczesnego zerwania z klerykalną prawowiernością. Pomijając poglądy Carlyle'a, uznać go musimy za niezdolnego z natury do stanu pastorskiego; nie posiadał on zgoła daru ogólnego współczucia lub solidaryzowania się, i niemożliwemi dlań były obowiązki duchownego. Sam on powiada w studjum o Burnsie, i potwierdzają to jego listy, że uległ znacznie wpływowi Hume'a, nie jestem wszakże pewny, czy rzeczywiście kiedykolwiek przyswoił sobie myśli tego filozofa, zimna zaś, analityczna metoda Hume'a stoi w zupełnej sprzeczności ze wszystkim, co Carlyle miał w sobie charakterystycznego i trwałego <sup>1)</sup>. Musimy pamiętać, że kiedy Carlyle, jako chłopiec czternastoletni, wstąpił do kolegjum edynburskiego, w Anglii reakcja pokonała już wykształcony deizm poprzedniego pokolenia. Krańcowy ateizm Hume'a, rozwinięty w jego pośmiertnych „DIALOGACH”, przestraszył większą część deistów taksamo, jak przeraził Adama Smitha, który był wykonawcą testamentu filozofa; z pewnością też w r. 1810 niewiele można było usłyszeć w Edynburgu o sceptycyzmie. Pod tym więc względem chłopiec musiał zdaje się sam torować sobie drogę. Nie wiedział nic o pełnych uczoności i życia kołach towarzyskich, w których wodzili rej Scott, Jeffrey i Cockburn; pięć szkolnych lat swoich przeżył, pracu-

---

1) „Wykładów Tomasza Browna słuchał z ciągłym w duchu protestem, utrzymując, iż nie widzi potrzeby takiego rozbijania umysłu na kawałki.“ Professor Minto *Manual of English Prose Literature* str. 163.

jąc nad łaciną i matematyką, czytając rozmaite rzeczy z biblioteki kolegjalnej, trzymając się zdala zarówno od pjetystycznych, jak i od hulaszczyczych stron życia staroedynburskiego i rozwijając w sobie głównie to, co moglibyśmy nazwać zasadą niestrawności, jakkolwiek w tych latach pierwotnych łagodziły ją młodzieńcze stosunki przyjacielskie.

Śmiało możemy powiedzieć, że obcowanie z Edwardem Irvingiem za szkolnych czasów w Kirkcaldy przyczyniło się wielce do zapoznania Carlyle'a z pojęciami ówczesnymi <sup>1)</sup>; w ciągu tego okresu jego poglądy społeczne musiały też przeważnie kształtować się pod wpływem radykalizmu ojca i matki <sup>2)</sup>, radykalizmu, który był usposobieniem umysłu, przeważającym wśród wieśniaków szkockich w mniejszym lub większym stopniu w ciągu całej ich historii, ale szczególnie silnem od czasów reformacji. Odpowiedź, dana przez Carlyle'a w drodze na musztrę w Edynburgu ochotnikowi, który był przeciwnikiem radykalistów-- że nie wie napewno, po czyjej stronie <sup>3)</sup> — wskazuje ówczesny stan jego uczuć, chociaż—i to jest dość charakterystycznym— uczucia nie doprowadziły go do żadnego rodzaju czynu. Dalekim był jeszcze od sięgania po jakiekolwiek świadomie obrane stanowisko względem życia, zato w tych jego młodzieńczych listach spotykamy znaczące zuchwalstwo sądów, które często miały niedostateczną podstawę naukową, a jednocześnie—co jest równie uderzającym—widzimy szybkie przeczucie się od jednego zdania do wręcz przeciwnego, bez widocznego uczucia odrazy lub znaku niepokoju. Tak w liście do młodego swego przyjaciela Mitchella, w październikę 1814 r., Carlyle ma za rzecz pewną, iż przyjaciel odrzuca wraz z nim „fanatyczny sceptycyzm Hume'a,“ jego „obłudne sofizmaty“ i jego „ślepe uprzedzenie na korzyść niewiary;“

<sup>1)</sup> *Reminiscences* t. I, str. 103.

<sup>2)</sup> Względem stanowczych usposobień radykalnych matki Carlyle'a obacz list tegoż do niej; *London Life* t. I, str. 38. Powiadają, że matka nauczyła go uwielbiać Cromwella; *Daily News* 7 lutego 1881 r.

<sup>3)</sup> *Reminiscences* t. I, str. 153.

w maju zaś roku następnego pisze do tego samego przyjaciela, wychwalając bardzo i bardzo Hume'a i na pozór nie myśląc wcale o tem, co mówił przed ośmiu miesiącami <sup>1)</sup>. Wyjaśnienia, jak się zdaje, trzeba szukać w tem, że w ciągu czasu między jednym listem a drugim Carlyle przeczytał Hume'a, którego nie znał pierwiej. W listach owych, pisanych już po przejściu kursu fizyki w kolegium, mamy też próbkę późniejszego jego sposobu rozprawiania o przedmiotach treści naukowej, których nie znał należycie. Zarzuca pisarzom o podróżach morskich, że mówią nedorzecznosci, dopatrując się w przyciąganiu łódki przez okręt lub okrętu przez skałę skutków powszechnego ciężenia; podaje natomiast własną teorię: „zjawisko podobne wywołać można—powiada—puszczając w miskę wody dwa kawałki drzewa; wszyscy wiedzą, że działa tu włoskowatość“ <sup>2)</sup>. Przypuszczam, że pracował nad geometrią z taką znajomością rzeczy, jak oświadczał sam, i jak mówili inni, wszakże zdaje się dobrze było, iż nie objął stanowiska astronoma w Edynburgu, za co miał taką szczególną urazę do Jeffrey'a <sup>3)</sup>. Nauki konkretne wyraźnie nie były jego mocną stroną.

## IV.

Jakiegokolwiek były jego zdolności do matematyki czystej, umysł jego został wkrótce odciągnięty od tych badań ku bardziej burzliwym zagadnieniom życia. W miarę, jak dochodził do wieku dojrzałego, rozwijało się w nim coraz bardziej usposobienie ponure i zgryźliwe, być może fizycznie naturalne w człowieku, zajmującym stanowisko nauczycielskie. Ponieważ zaś i Carlyle, i jego biografowie każą nam wierzyć, że w pierwocinach wieku męskiego Carlyle miał chwilę, kiedy pokonał swój niepokój duchowy i zdobył pe-

<sup>1)</sup> *Early Letters*, wydane przez prof. Nortona, Londyn 1886 r., t. I, str. 20, 41.

<sup>2)</sup> *Ib.* str. 72.

<sup>3)</sup> *Reminiscences* t. I, str. 56—9.

wnego rodzaju pogodę filozoficzną wraz z panowaniem nad sobą <sup>1)</sup>, musimy więc koniecznie wykazać, iż w rzeczywistości nie zdarzyło się nigdy nic podobnego. Podanie o tej chwili ukazuje się w dwóch postaciach. W jednej wiąże się z tym ustępem „Sartora Resartusa“ <sup>2)</sup>, gdzie Teufelsdröckh oznajmia, jak opadło go gniewne uczucie otrząśnienia się z gnębiącej umysł niestrawności. Uczucia tego rodzaju musiał wszakże doświadczać Carlyle setki razy tak samo, jak doświadczało go wielu innych ludzi—bez żadnych trwałych skutków. Drugi pogląd, również popierany przez Carlyle'a <sup>3)</sup>, głosi, że z niedoli duchowej wyleczyło go wczytywanie się w Goethego. Nie ulega wątpliwości, że przykładanie się Carlyle'a w latach młodzieńczych do literatury niemieckiej, zwłaszcza do Goethego, było faktem bardzo dlań doniosłym i musiało przynosić wielką ulgę jego umysłowi. Trudno byłoby wykazać, co wypadło podówczas przenieść z kwitnącej w Anglii literatury pięknej do nowej literatury niemieckiej. Wordsworth, Coleridge, Shelley i Byron zaczęli dopiero rozwijać nowy humanizm w poezji, w Niemczech zaś istniała już literatura humanistyczna pod wielu względami głębsza, a pod niektórymi względami prawdziwszą od nowej poezji angielskiej. Nowożytna literatura niemiecka, której za punkt wyjścia posłużyły bodźce ze strony wysoko rozwiniętej literatury francuskiej, bodźce, wzmacnione przez wpływ Anglii, posiadała wtedy, względnie do czasu, taką właśnie przedwczesną dojrzałość, zdrowie i świeżość <sup>4)</sup>, jakie za dni naszych ma proza powieściowa

---

<sup>1)</sup> *Reminiscences* t. I, str. 287. Froude *First Forty Years* t. I, str. 101. Ustęp w *Reminiscences* jest twierdzeniem jaknajbardziej niespodziewanem; każdą kartą późniejszych dziejów życia Carlyle'a zadaje kłam zdaniu temu.

<sup>2)</sup> T. II, str. 7.

<sup>3)</sup> *First Forty Years* t. II, str. 260; *Reminiscences* t. I, str. 288; Dziennik Crabba Robinsona, t. III, str. 2.

<sup>4)</sup> Później straciła zupełnie te przymioty, o ile mowa o powieści, dramacie i poezji. *Belles lettres* niemieckie istotnie bardzo nisko upadły od czasów Heinego. Powieść zwłaszcza stoi dziś w Niemczech o wiele niżej, niż muzyka w Anglii.

rosyjska; ta bowiem taksamo rozwinęła się z kolei z posiewu wszystkich już wykształconych piśmiennictw europejskich. Jakkolwiek świeżemi z wielu względów byli Wordsworth i Byron, ciążyła przeciw nad nimi długa tradycja, która nie kępowała ani Schillera, ani Richtera, ani Goethego; gdyby zaś nawet było inaczej, Carlyle najśladniej ze wszystkich ludzi odczuwał ten powab nowości, którego szukamy zwykle w myślach, wyłożonych językiem obcym a którego tak często nie dostrzegamy—skutkiem uprzedzenia—w książkach, pisanych w języku własnym <sup>1)</sup>. Umysł, usposobiony do zwalczania wszelkich myśli w najbliższym otoczeniu, był szczęśliwie pochopny do przejmowania pokrewnych myśli z obczyzny, przeciw której nie nauczył się żywić uprzedzeń. Lecz jeśli Carlyle byłby nawet równie gotów przyjąć Wordswortha i Shelleya, jak był gotów wsłuchiwać się w Goethego, płody poety niemieckiego były dlań oczywiście dojrzalsze i obfitsze. Goethe był dla Carlyle'a tem, czem Wordsworth stał się dla Milla: źródłem harmonji życiowej. Podczas gdy łagodniejsza natura młodego Milla znajdowała pokrzepienie w poważnej poezji przyrody, poczętej przez człowieka, pędzącego dni swoje w spokojnym wiejskim byciu, gwałtownego i zgryźliwego Carlyle'a podbijała i zachwycała różnostronna krytyka życia, zawarta w „Fauście”, który jest, jak zrzędnie powtarzał Emerson <sup>2)</sup>, dziełem człowieka światowego, ale wielkiego człowieka światowego i wielkiego poety w dodatku. Arcydzieło Goethego pod względem „szczegółów“ i „ducha“ o wiele przewyższa podobnie pomyślane poezje Wordswortha i Shelleya, mając nad nimi przewagę wszystkich głównych zalet męskości, wymowności i rozległej znajomości ludzi.

Carlyle tedy był przez czas pewien pod urokiem nowej literatury niemieckiej, szczególnie zaś oczarowywała go i poniekąd uspokajała wielka pogoda Goethego. Niemasz

<sup>1)</sup> Por. zdanie Goethego o *Life of Schiller* Carlyle'a w *Werke* wydanie z 1855 r., t. V, str. 577. Przytaczam za Oswaldem.

<sup>2)</sup> *Letters and Social Aims* wyd. z 1877 r., str. 59.

wszakże nic jaśniejszego nad to, że Carlyle'owi zupełnie nie udało się przejąć poglądu Goethego na życie <sup>1)</sup>. Taksamo nie przyswajał on sobie ducha Goethego, jak nie przyswajał filozofii transcendentalnej Kanta czy też Fichtego. Tutaj trzeba powiedzieć, że najwcześniejsze zdania Carlyle'a w tych przedmiotach są naśladowane i pretensjonalne w stopniu najnieznośniejszym. Niewątpliwie przez ciąg całego życia jego praca literacka niepokoi swoją półświadomością, nerwową uszczypliwością, brakiem zarówno prostoty, jak i dobrego humoru; nie jest ona nigdy spokojna <sup>2)</sup>, wesołą zaś staje się tylko pod postacią literackiego humoru, i to nawet nie zawsze. Gdy jednak Carlyle wykląda poezję Goethego <sup>3)</sup> lub metafizykę niemiecką, stajemy wobec zapału wyraźnie sztucznego. Pomimo niejakiej skłonności do żywiołowego mistycyzmu Carlyle nie posiadał wcale wrodzonego uzdolnienia do metafizyki, czego skutecznie dowiódł później przez otwarte zaniechanie wszelkiej nad nią pracy <sup>4)</sup>. Mógł on w tej dziedzinie, jak w innych, rzucać przenikliwe myśli, błyskać dorywczo, czynić luźne spostrzeżenia, ale do odważnego i cierpliwie drobiazgowego rozbioru pojęć, na czym polega zadanie prawdziwego metafizyka, nie miał żadnej zdatności. Przeczytajmy jego wczesny szkic o Novalisie, pracę po większej części bezwartościową <sup>5)</sup>, a obejźmy się bez jego połowicznych wyznań, że nie rozumiał rzeczy, o której się tak zuchwale rozpisywał. Nie do tego stworzona była jego siła, jego prawdziwa skłonność; postąpił sobie tedy tak właśnie, jak postępowało tylu innych słabszych młodzieńców, jak naprawdę postępowaliśmy wszyscy zamłodu: z zarozumiałą pewnością siebie mędrkował po cudzemu o tem, co nie

---

<sup>1)</sup> Por. Morleya *Miscellanies* wyd. z 1886 r., t. I, str. 164.

<sup>2)</sup> Porównaj krytykę Sterlinga o Sartorze w *Life of John Sterling* Carlyle'a, część II, r. 2.

<sup>3)</sup> Por. dr. Garnetta *Life of Carlyle* str. 31.

<sup>4)</sup> Ob. jego zupełne zrzeczenie się kandydatury w rozdziale o Coleridge'u, w *Life of John Sterling*.

<sup>5)</sup> Chociaż klepał ją zachęcająco Schopenhauer. Wallace *Life of Schop.* str. 162. Nie rozumiem częściowej pochwały dr. Garnetta. *Life* str. 52.

było przykrojone do jego miary. Dobrze powiedziano, że „zarozumiali mędrkowie są ci sami po wszystkie czasy i we wszystkich krajach, słuchając się nie własnych popędów, lecz popędów cudzych, które uważają za swoje“<sup>1)</sup>. Jest to choroba, którą z porządku rzeczy musimy wszyscy przechodzić w młodości, i nikt nie może poczytywać Carlyle'owi za winę, że dostał nieco spóźnionej recydywy, aczkolwiek ślady upicia się niemieckością trwały bardzo długo. „Mędrkowanie — powiada autor, dopiero co przytoczony — mędrkowanie po cudzemu, wada naśladownictwa, jest w rzeczywistości skorupą, którą zdoła przebić silne pisklę, w której wszakże ginie słabe.“ Carlyle nie był z tych, co giną.

## V.

Jednakże owa niby transcendentalna filozofja Carlyle'a wymaga jeszcze chwili zastanowienia. Aż po dziś dzień pisarze poważni mówią nam, że „zasadą przewodnią całej etyki Carlyle'a jest zasada filozoficzna Fichtego, iż świat zmysłowy jest tylko przejawem czy wcieleniem boskiej idei życia, oraz iż ten tylko żyje prawdziwie, kto ma wolę poświęcić własną osobę na służbę ludzkości, kto nieprzerwanie usiłuje pracować nad ideałem, uszlachetniającym i wywyższającym mozoły ludzkie“<sup>2)</sup>. Jednak filozofja Fichtego w takim wykładzie sama jest niezupełna i wewnątrznie niezgodna, zastrzeżenie bowiem istotne co do tego, jakie jest jedynie prawdziwe życie, przeczy wprost przesłance, iż każde życie jest wyrazem myśli boskiej. Nadto Fichte niewątpliwie hołdował w praktyce panteizmowi swemu, podczas gdy Carlyle, jakkolwiek mógł w młodości iść za Fichtem, z pewnością nigdy nie przystosował swojego „systematu etycznego“ do głównej teorii Fichtego. Całe nieporozumienie

(1) F. Lloyd i W. Newton *Prussia's Representative Man* (praca o Kleiście) str. 123.

(2) Profesor Adamson, którego słowa przytacza i potwierdza dr. Garnett: *Life of Carlyle* str. 30.

nasuwa myśl, jak ciężko jest transcendentalistom wogóle, zwolennikom zaś transcendentalizmu Carlyle'a w szczególności związać szczerze teorie swoje z życiem. Praktyczna nauka Carlyle'a, nauka, rozwinięta w *Past and Present*, *Latter-Day Pamphlets*, *Chartism*, *Friedrich* i *Shooting Niagara*, jest bezwzględny zaprzeczeniem wyznawanego niegdyś idealizmu Fichtego; w późniejszych zaś dziełach — prócz oderwanych od przedmiotu uwag nawiasowych — Carlyle nie próbuje nawet powtarzać swych formułek idealistycznych. Jeśli sądził, że pozostaje w zgodzie ze swą pierwotną filozofją, tedy był pod tym względem bardziej głęboko niekonsekwentny, bardziej beznadziejnie rozbieżny, niż pod wszelkimi innymi, jakkolwiek wielorakie były jego niekonsekwencje. Jeżeli wszechświat jest tylko wcieleniem świadomego i celowego życia wewnętrznego — nazwijmy je duchem, czy osobą, czy czemkolwiek chcecie — cóż za sens mają w takim razie wielotomowe gromy Carlyle'a na porządek i dążność rzeczy, wszystkie owe wyrzekania i klątwy na cywilizację, dążącą do przepaści? Carlyle, powiadają, używał jedynie zwrotów przenośnych, rozróżniając lub przeciwstawiając Boga i czarta w pospolitym toku rozpraw; wszakże czart ten nic nie znaczy, nawet jako przenośnia, jeśli Carlyle istotnie stał mocno przy wyznawanym panteizmie. Wysztywał i spotwarzał wszechświat, wykrzykiwał na gwiazdy, krążące po niebie, i nierozsądnie wzywał rodzaj ludzki, rodzaj, przez niego samego zwany prostą szatą, w którą przyoblokło się bóstwo, przemijającym widmem odwiecznego bytu — do pokonania tegoż odwiecznego bytu. Gotów jestem przyznać, że ani w życiu, ani w piśmiennictwie nie spotkałem nigdy transcendentalnego deisty, a naprawdę jakiegokolwiek deisty, któryby był bodaj pozornie zgodny w zastosowaniu swej filozofji do praktyki, jeżeli wszakże mamy widzieć w Carlyle'u transcendentalistę przez całe życie, tedy dostarcza on jaknajhaniebniejszego ze znanych przykładu niezgodnej z własną treścią żarliwości<sup>1)</sup>.

---

1) „Carlyle jest chętnie nielogiczny i wyzywająco niekonsekwentny“ powiada Morley (*Misc.* t. I, str. 143). Nie widać jeszcze, żeby Morley dostrzegł w tem wadę.

Musimy przypuszczać, że transcendentalizm Carlyle'a był po prostu jednym z pożyczanych sposobów młodzieńczego myślenia, sposobem, którego niedogodność Carlyle uczuł w życiu późniejszym, aby wnet zostać rączy i żwawym, lecz pozbawionym podstawy rozumowej deistą w guście tradycyjnym i codziennie na nowo tworzyć sobie Boga z każdodziennych wrażeń. We wszystkich jego naukach praktycznych Bóg jest po prostu odwrotną stroną czarta, rzeczą, do przysięgi służącą. Czciociele Carlyle'a, nie chcąc pamiętać o niczem, wołają, że jego wiara w Boga była stałą. Jeżeli tak ma być, to odpowiedzieć można jedynie, iż pomiędzy jego deizmem, a jego djabolizmem niema najmniejszej różnicy logicznej, oraz iż czart był dlań taksamo rzeczywistością, jak i Bóg. Nie moja to rzecz rozstrzygać tutaj, czy w głębi serca Carlyle wierzył szczerze w cośkolwiek. Niczego nie dowiodłoby ostateczne wyrokowanie o nim na zasadzie rozpaczliwego wyznania w rozmowie, że zdaje mu się, jakoby Bóg pozostawił świat samemu sobie <sup>1)</sup>. Obowiązany wszakże jestem wskazać, że religja Carlyle'a nie daje nic więcej, prócz starej teorii o bogu dobrym, którego co czas pewien pokonywa bóg zły, o bogu wszechmocnym, który nigdy nie urzeczywistnia swych myśli z powodu oporu stworzonych przez się istot. Każdy deista, zdolny rozumować, zmierza ku panteizmowi, jeżeli pragnie za jakąkolwiek cenę uniknąć ateizmu, i Carlyle w wielu razach porzuca dawny deizm i stawia panteizm <sup>2)</sup>, ale całkiem jednocześnie wpada w najgrubszy deizm, ilekroć praktycznie nauczając postępowania, usiłuje związać Boga ze sprawami ludzkimi. Zdarza się, że myśliciel rzeczywisty, w odróżnieniu od gienjalnego pisarza, bywa konsekwentnym panteistą. Konsekwentny przecież panteista, jeśli taki istnieje, wie, że pomiędzy nim a filozofem agnostykiem lub ateistą niema

<sup>1)</sup> „Powiedziałem raz do Carlyle'a, na czas krótki przed jego śmiercią, że mógłbym wierzyć w takiego jedynie Boga, któryby czynił cośkolwiek. Głosem pełnym bólu, którego nie zapomnę nigdy, Carlyle zawołał: „Nie czyni on nic!” Froude *L. L.* t. II, str. 260.

<sup>2)</sup> Np. w *Essay on Diderot* wydanie ludowe str. 50—1.

żadnej różnicy, prócz nazwy; że stanowisko Spinozy, wyrozumowane logicznie, jest właśnie stanowiskiem Bradlaugh'a <sup>1)</sup> lub Spencera, oczyszczonem z pewnych dodatków, nie mających związku z jądrem teorii. Ale Carlyle w ciągu całego życia nie był w stanie przez jedną chwilę mówić lub myśleć o ateizmie bez piany na ustach, bez wybuchania namiętnością uprzedzeń. Carlyle nie trwał stale ani w deizmie, ani w panteizmie; określić go można jedynie, jako fanatyka wiary w urojenie lub w nazwę. Nazywając jego wiarę po prostu „uznawaniem Boga”, unikniemy pomieszania wyrazów, bo oznaczmy osobnem mianem jego pomieszane myśli <sup>2)</sup>.

## VI.

Przejdźmy od kosmologicznej do etycznej strony religii Carlyle'a, a spostrzeżemy pomieszanie pojęć, jeszcze — jeżeli to możliwa — widoczniejsze. Nie znajdziemy nic w literaturze oprócz teologii, co dałoby się porównać z jego sprzecznościami w przedmiocie prawa i siły. Po sto razy zapewnia, że prawa nic nie znaczą, że zadaniem naszym jest pozyskiwać siłę, i po sto razy piętnuje mianem niesprawiedliwości pozbawianie człowieka praw najoczywistszych. Pogmatwanie dochodzi do najwyższego stopnia w jednym z listów i w urywku rozmowy, dochowanym przez profesora Nortona <sup>3)</sup>. W sposób jaknajbardziej umiejętny i jaknajbardziej

<sup>1)</sup> Pisałem to, kiedy Bradlaugh żył jeszcze. Dzisiaj wymieniając jego nazwisko, nie mogę pominąć sposobności złożenia hołdu tej sile analizy i przenikliwości, którą myśl jego odznaczała się w stopniu równie wielkim, jak dzielność wyróżniała się energją i szczerością.

<sup>2)</sup> Na starość (grudzień 1869 r.) Carlyle napisał w swym dzienniku (*London Life* t. II, str. 394): „Pragnąłbym mieć siłę wyjaśnienia i wyłożenia w sposób zrozumiały dla bliźnich moich, jaka była istotna treść mej wiary w Boga.“ Jest to dość stanowcze wyznanie, że treści owej nie łatwo doszukać się w dziełach, ogłoszonych drukiem. Po zwykłym natarciu na ateizm tak mówi dalej: „Czuję wreszcie w głębi mej duszy pewne niejasne, lecz niezniszczalne drgnienie wiary w istnienie „jakiejś opatrności.“ Zupełna pr awda.

<sup>3)</sup> *New Princeton Review* z lipca 1886 r., str. 5.

zajmujący mistrz rozwodzi się przed uczniem swoim nad „niejakim .....<sup>1)</sup> z rodzaju ludzi na podziw sprytnych, wygadaniem ale nieszkodliwym stworzeniem trawożernem, nawet po prostu sieczkożernem. Człowiek ten, sadząc się na liczne grzeczności, powiada, iż istnieje „pisarz wielki i czcigodny” — mnie ma na myśli — który zrządził nieobliczone szkody ludziom, głosząc za dogmat, że siła stwarza prawo. Aliści ten człowiek zdaje się nie ma najmniejszego pojęcia, iż to, co mówi, jest najzupełniej sprzeczne i jaknajbezwzględniej przeciwne zasadzie, której ja broniłem i którą usiłowałem rozwijać, mianowicie prostej zasadzie, że prawo stwarza siłę. Doskonale przecież pamiętam, jak prawda powyższa w całym blasku zajaśniała mi przed oczami w młodości.“ Pozostając z całym szacunkiem dla uczucia czci uczniowskiej, zrozumiałego w profesorze Nortonie, powiedzieć muszę, iż nigdy żaden cieszący się uznaniem ogółu moralista nie wygłosił bardziej bezczelnego sofizmu. Rzecz zdumiewająca, żeby sofizm ten mógł być wprowadzić w błąd kogokolwiek. Mówiąc, że prawo tworzy (=każe domyślać się) siłę, nie wypowiadamy bynajmniej sądu przeciwnego twierdzeniu: siła tworzy (=każe domyślać się) prawo; jest to tylko odwrotny sposób mówienia i znaczy tyleż, co wypowiedzenie ponowne tej samej myśli; jeżeli bowiem wszelka siła tworzy się przez prawo, i jeżeli prawo zawsze tworzy siłę, to siła i prawo są rzeczami nierozłącznymi, i niepodobna osiąść siły, aby jednocześnie nie osiąść prawa, czego właśnie uczy zdanie: siła tworzy prawo. Rzeczywistym przeczeniem w stosunku do tego zdania byłoby raczej: siła nie tworzy prawa; można osiąść siłę bez prawa lub prawo bez siły. Lecz temu właśnie Carlyle wyraźnie przeczył, powtarzam zaś, iż przecząc temu, burzył podstawę etyki. W praktyce rozumie się równie często

---

<sup>1)</sup> Mowa tu o Leckym. Obacz list Carlyle'a w *London Life* t. II, str. 422. A jednak Lecky był przywiązanym przyjacielem Carlyle'a. Obacz str. 471.

twierdził to, jak i przeczył temu <sup>1)</sup>, pozostaje przecież faktem, że ilekroć brał się wprost do zagadnienia, rozumował, albo jak sofista, albo jak człowiek w gorączce. Jeżeli zaś profesor Norton powiada w dalszym ciągu, że tylko „badacz niedbały“ może pomawiać Carlyle’a o nauczanie, że siła tworzy prawo, jeżeli na dowód prof. Norton przytacza z *Past and Present* zdania: „we wszystkich walkach — jeżeli chodzi o ich wynik — powodzenie każdego zapaśnika jest skutkiem jego prawa“ oraz: „w całym ciągu zdarzeń i w ostatecznym wyniku sprawdza się, że rzecz słuszna jest rzeczą silną,“ jeżeli uczeń w ten sposób rozumuje — to zmusza nas do odpowiedzi, że sam płacze się taksamo, jak jego mistrz. Właśnie w tych ustępach, na które się Norton powołuje, zawiera się twierdzenie, że siła jest miarą prawa; od razu więc muszę podać w wątpliwość kompetencje „badacza“, który nie jest w stanie spostrzec tego <sup>2)</sup>.

Carlyle’a rozślawiła naprawdę gromada czcicieli literackich, którzy nigdy nie rozebrali logicznie jego nauki, zbyt często zaś tracili zdadność do takiej pracy skutkiem długiego a bezkrytycznego ulegania tak niekonsekwentnemu nauczycielowi <sup>3)</sup>. Niepodobna odmówić współczucia ich pragnieniom przywrócenia powagi uwielbianego mistrza, gdy powagę tę raptownie zachwiały odkrycia — usprawiedliwione lub bezzasadne — odkrycia, dokonane przez powołanego biografa; jednakże odkrycia te naprawdę dodały tylko

<sup>1)</sup> W liście, ostatnio przytoczonym, Carlyle twierdzi, że nigdy żaden „syn Adama nie pogardzał bardziej siłą, jeżeli ta nie opiera się na prawie.“ Carlyle miał dni wiary w siłę i dni wiary w prawo; list był pisany w dniu wiary w prawo.

<sup>2)</sup> Froude pisze w liście przytoczonym: „O ile mnie się zdaje, i jak ja rozumiem Carlyle’a, mówi on tu przeciwnie, iż wszechświat zbudowany jest w ten sposób, że to tylko jest słuszne, co jest silne“. Czy to zmowa sofistów, czy zgodne niepojmowanie wyrazów?

<sup>3)</sup> „Od początku do końca otoczony był przez ludzi, którzy, czując jego wyższość, przyznawali mu prawo robienia wszystkiego po swojemu; którzy w miarę jak uświadamiali sobie jego wielkość, uważali za zaszczyt służyć mu; którzy, widząc nawet jego przywary, poprzestawali na zamykaniu oczu, niby wobec prostych następstw ustroju nerwowo-wrażliwego“ Froude *London Life* t. II, str. 233.

tylko nieco osobistych z życia domowego wskazówek do całokształtu zarzutów, dających się postawić przeciw Carlyle'owi na zasadzie jego dzieł, ogłoszonych drukiem. Bardzo mało lub nic zgoła nie przyjdzie tu nam z owych odkryć, które wywołały okrzyki oburzenia, gdyż dostarczają one jedynie świeżych przykładów dążności, najdokładniej uwidoczniających się w tych wiadomościach o Carlyle'u, którym nikt nie robił zarzutów. Daremnie byłoby mówić, jak twierdzono <sup>1)</sup>, że poczynione przez profesora Nortona sprostowania błędów wydawniczych Froude'a przywróciły Carlyle'owi dawne jego stanowisko, to mianowicie, które zajmował w umysłach wielu osób, czytających dzieła jego bez oceny krytycznej. Co do mnie, szczerze mogę nie żałować faktu, iż pierwsze lepsze odkrycia dowiodły prawdy czytelnikom tego rodzaju. Wolę raczej przypomnieć, że Froude'a ganiono najsurowiej za te wszystkie ustępy, w których wypowiadał prawdę, ganiono najmniej za jego niedbalstwo, jakkolwiek było ono złem, nie ganiono zaś prawie wcale za najgorsze wady jego książki, które w istocie były właśnie streszczeniem wad, właściwych czcicielom Carlyle'a wogóle, i polegały na lekkomyślnem skażeniu sądów etycznych i wogóle wszelkich innych, nieodmiennem zastępowaniu rozumowań przez frazesy, zupełnym braku wykształcenia społecznego i stałej niemal chwiejności poglądów moralnych, w odróżnieniu od wykładu faktycznego. O dorywczych naganach, których Froude udziela bohaterowi swemu, można powiedzieć tyle tylko, że są aż nadto zasłużone. Nie one to, ale czczy panegiryzm i jego beztreściwe a ciągle wznawianie wystawią kiedyś książkę Froude'a na potępienie ogólne <sup>2)</sup>. Pouczający jest widok człowieka, którego wzrok dostrzegał wiele najgorszych wad Carlyle'a

---

1) Twierdził Leslie Stephen w mowie akademickiej. *Academy* z 19 lipca 1890 r., str. 50.

2) Obacz na wstępie do *London Life* porównanie wad Carlyle'a z „oparami na szczycie góry“, oraz przenośnię o „iskrach“ z płomienia, który gorzał silnie w duszy Carlyle'a do końca, o „iskrach“, które „padały gorejące na otoczenie... nie zawsze trafiając na właściwe miejsce albo na właściwą osobę; niemniej przeto był to czysty ogień, ogień... prawdziwej i szlachetnej

w życiu domowem, pozostając ślepym na wiele najoczywistszych ujemnych zjawisk w jego działalności pisarskiej.

Froude opowiada naprzykład, że „Carlyle wpajał wszystkim obowiązek „trawienia w sobie zgryzot własnych“ i sam szedł wiernie za tą radą. Nie napisał on żadnych „Cierpień Werthera“, nie wyśpiewał żadnego „Childe’a Harolda“, aby ulżyć własnemu sercu, zapraszając świat do wspólnego płaczu. O ile stykał się ze światem, dźwigał swe bóle w milczeniu i tylko w dzienniku pozostawił niejakie o nich wspomnienia”<sup>1)</sup>. Wszystko to jest jawną nieprawdą, a tego rodzaju głośne twierdzenie jest jednym z tysiąca dowodów, że karłajlizm, w osobie gorliwców swoich, za nic ma dokładność. Carlyle nie tylko wypełnił narzekaniem dziennik swój—co jest okolicznością samą przez się dość błahą — ale taksamo przepelniał utyskiwaniami listy swe i nie tylko napisał całą jedną książkę, „Sartora Resartusa“, aby przede wszystkim ulżyć własnemu sercu, zapraszając świat do wspólnego płaczu, czy też śmiechu, czy wzdychania, ale do tej samej ulgi uciekał się i w porę i nie w porę — w każdej książce, którą pisał. Zgryzot własnych nie trawił w sobie samym nigdy, dopóki mógł utrzymać pióro. Z ogniska tych zgryzot dymy były na świat czterdziestu kominami przez tyleż tomów dzieł Carlyle’a. „W domu przecież — powiada sumienny biograf — Carlyle nie zawsze mógł milczeć.“ Zamiast: „nie zawsze mógł“ czytajcie: „nigdy nie mógł“, a będziecie mieli istotną prawdę, bo każde „milczenie“, na które Carlyle kiedykolwiek się zdobył, było równie ponure, jak mowa jego, i nie zasługuje na nazwę „przemilczania“, wyrażającą pochwałę. Weźmy którąkolwiek z wychwalanych przez Carlyle’a cnót ogólnych — pogodę ducha, panowanie nad sobą, posłuszeństwo, milczenie, niezłomne przywiązanie do prawdy i sprawiedliwości — i przyjrzyjmy się tylko jego

---

namiętności, szczerzej miłości wszystkiego, co dobre, i rzetelnego oburzenia na wszystko co lichy, lub podle, lub godne pogardy“ (t. I, str. 6). Do takiej napsuszystości może dojść człowiek przez nałóg wywoływania silnych wrażeń.

<sup>1)</sup> *London Life* t. I, str. 73.

życiu, przeczytajmy jego dzieła, a ujrzymy, że cnotom tym uchybiał w sposób najopłakańszy. Nie dość, że daje przykład ułomności ludzkiej, przykład właściwej człowiekowi nieudolności urzeczywistniania ideałów własnych, ale same jego ideały są zabójcze.

Z samorzutną opornością swoją, z odrazą do zimnej nauki, z niezdolnością do analizy Carlyle przyszedł na świat w chwili, gdy tych właśnie metod—naukowych i analitycznych—brakowało ludziom, którzyby mogli być przewodnikami. Należytego więc przewodnictwa zapewnić nie był w stanie.

## VII.

Wszystko to, powiecie, dowodzi, że Carlyle był nauczycielem, nie władającym własną nawet nauką, że był przez całe życie kaznodzieją pełnym sprzeczności, że był głosicielem ewangeliji, zszytej z łat i skrawków. Tak jest, tego właśnie, mówiąc ogólnikowo, zamierzam dowieść. Wyrażając się zwięźle, widzę w Carlyle'u człowieka nadzwyczajnie żywej wyobraźni, człowieka, który dostrzegał i odczuwał osobne obrazy, sceny, położenia, myśli, uczucia, przekonania— a wszystko z niezrównaną siłą—umiał znaleźć obfitość słów płomiennych do wyrażenia tego wszystkiego, lecz był zasadniczo niezdolny do stworzenia spójnej filozofji życiowej taksamo, jak nie umiał napisać jakiegokolwiek książki inaczej, niż w postaci szeregu odrębnych obrazów albo przez powtarzanie tych samych oświadczeń w rozmaitej formie. Żywość jego i niespójność wydają się współzależnymi. Niecierpiał historii pragmatycznej, bo ta daje ciągły szereg rozumowań, gdy on potrzebował szeregu stanów wzruszeniowych, a skłonność swą brał zawsze za miarę stosowności. Takie rzeczy są w gruncie wynikami ustroju fizycznego, i w miarę, jak lekarze zaczynają po latach bezradnej niechęci wznosić naukę o umiejscowieniu czynności mózgowych taksamo, jak przełamali wreszcie niechęć do zjawisk, zwanych przez się hipnotycznymi, w miarę tego zyskują możliwość tłumaczenia

podobnych właściwości za pomocą własności ustroju mózgowego. W każdym atoli razie myślenie Carlyle'a jest wyraźnie szeregiem bodźców i wrażeń, często rozumie się zbieżnych lub wzajemnie się wzmacniających, lecz nigdy nie poddawanych systematycznej autokrytyce w celu usunięcia błędu przez próbę zgodności, która jest ostateczną próbą prawdy. Znaczy to tyleż, jak gdybyśmy powiedzieli, że Carlyle był zatwardziałym w uprzedzeniach. Pamiętajmy, że uprzedzenie — przekonanie o wyższości naszego sposobu myślenia nad sposobami cudzemi, łagodzone mniej lub więcej przez podatność na poszczególne wpływy magnetyczne — że uprzedzenie jest pierwotnym albo naturalnym stanem każdego, jedyną zaś pod tym względem różnicę między ludźmi stanowi fakt, że jedni próbują mniej lub więcej usilnie doprowadzić pojęcia swe do zgodności, gdy inni mniej lub więcej całkowicie powstrzymują się od takich usiłowań. Upór Carlyle'a był, jak się zdaje, prawie niezwalczony — przegląda to z ogłoszonych drukiem dzieł jego, aczkolwiek miał on prawdopodobnie dar zbyt dobrego czucia, żeby nie powściągać się częściej, niż pozwala dostrzec.

Weźmy którąkolwiek ze znanych jego teorii, jak niedawno braliśmy naukę o Bogu albo o stosunku siły do prawa — ów brak tęgiej stałości natychmiast stanie się widocznym. W miarę, jak biegły lata, Carlyle przechodził od pierwotnego swego nieokreślonego radykalizmu, dość zdaje się niewyrozumowanego <sup>1)</sup>, do pewnego rodzaju radykalnego toryzmu, żądającego w interesach ludu reformy radykalnej od jakiegoś dobrego władcy, który widocznie miał być wybrany przez lud, aczkolwiek w warunkach takich, w jakich lud nie mógł uczynić mądrego wyboru. Gdy zaś wypadło mu przebyć odległość, dzielącą wymarzoną teorię królewskości od wykonania, gdy przyszło do praktyki, cóż wówczas doradził? Żeby cała rzecz została w Anglii wykonana przez panującego monarchę (który był możliwie krańcowem przeczeniem idealnego monarchy Carlyle'a, a przeto jaknaj-

---

<sup>1)</sup> *First Forty Years* t. II, str. 136.

zupełniej nie miał prawa odgrywania wskazanej roli), przez monarchę, który miał podjąć się wyboru podwładnych albo podrzędnych królów, a ci — wybrani przez uosobioną nieudolność — mieli należycie spełnić pracę, przeznaczoną królowi <sup>1)</sup>. Taki plan — na zakończenie całej początkowej wrzawy i pozowania — jest gorzej, niż niedorzeczny, jest godzien pogardy. Czujemy, że prorok koniec końców nie miał odwagi przekonać. Porzucił wiarę panującą, srożył się często przeciw niej w rozmowach prywatnych i poniekąd uderzał na nią pośrednio w pismach, gdy zaś wypadło mówić o niej jasno i wyczerpująco, cofnął się. Biograf opowiada nam, że Carlyle nie próbował obalać obumierającego chrześcijaństwa, które go rozjątrzało, bał się bowiem otworzyć drogę ateizmowi, uważanemu przezeń za rzecz jeszcze gorszą <sup>2)</sup>. Na osobności krzyczał dużo o „Wyjściu z Okopiska“, publicznie wszakże nie powiedział nigdy w tej mierze nic wyraźnego. Według jego własnych zasad było to zdradą nie do darowania. Jawnie obawiał się mówić prawdę, aby ta nie doprowadziła do zguby <sup>3)</sup>, a jednocześnie wciąż głosił naukę, że jedynie mówienie prawdy, i tylko prawdy — może ocalić społeczeństwo od upadku. Można zrozumieć, że przez troskliwość synowską musiał ukrywać swe zdanie wobec pobożnej starej matki swojej, lecz on udawał wobec całego świata, ustawicznie pomawianego przezeń o nieszczerość. Cały jego sposób wyrażania się o religji, z wyjątkiem kilku wybuchów <sup>4)</sup>, zmierza do szczepienia prawowierności, natomiast Carlyle nie czynił nic w celu oparcia się świętoszkowstwu i przesądności, którym złorzeczył w rozmowach prywatnych. Umiał oskarżać, jeżeli rola oskarżyciela zjednywała mu szacunek raczej, niż nienawiść, nie narażał jednak

<sup>1)</sup> *Latter-Day Pamphlets* rozdz. III i VI.

<sup>2)</sup> *London Life* t. I, str. 264, 425—6.

<sup>3)</sup> „On rzeczywiście myśli, że prawda jest niebezpieczna. Biedaczysko...“ *Latter-Day Pamphlets* rozdz. IV, wyd. ludowe, str. 136. Obacz też jego własną początkową postawę względem Froude'a. *London Life* t. I, str. 458.

<sup>4)</sup> *Latter Day-Pamphlets* str. 137; ob. też Conway'a, jak wyżej, str. 77.

nigdy własnej osoby na oskarżenie o odszczepieństwo <sup>1)</sup>. Mnóstwo innych ustępstw uznali ci lub owi z koła jego własnych czcicieli, jak widzieliśmy we wstępie na przykładzie Henryki Martineau. Pomimo głoszonej przez się zasady milczenia, Carlyle, jak mówi Martineau, był najniepowściągliwszym gadułą, gadanie zaś jego, jakkolwiek było świetne i nieskończenie zajmujące, wzbierało przeciw przesadą, właściwą rozmowie ludzi, którzy nie poszukują prawdy, którzy nie pragną usłyszeć prawdę z ust cudzych, nie mają nawet istotnej chęci przekonywania, ale myślą tylko o tem, żeby dać ujście pojęciom, kłębiącym się w ich własnej głowie. Taksamo działo się z pismami Carlyle'a. Człowiek, który nawołuje do milczenia, staje się jednym z najbardziej wielomównych pisarzy o tyle, że w jego dziełach dydaktycznych ta sama rzecz ciągle i ciągle się powtarza w coraz nowych słowach, że niema tam zgoła przykładów dowodowych ani logicznego uzasadniania, jeno uroczyste przysięgi, a treść całego tomu nieraz dałaby się łatwo zmieścić w jednym rozdziale. To samo można powiedzieć o zarzutach, stawianych przez Carlyle'a innym mistrzom za to, co w nich widział wadliwego. Ganił Voltaire'a — dość nierozumnie i niesłusznie—że jedynie przeczył i burzył, a dziewięć dziesiątych własnej życiowej pracy Carlyle'a, pominąwszy działalność wyłącznie powieściopisarską, jest właśnie przeczeniem i burzeniem, albo raczej daremnym usiłowaniem burzenia, bo Carlyle nie miał daru Voltaire'a osiągać to, co zamierzał. Energję jego wyzwalala prawie zawsze jakaś odraza, i nigdy w życiu—od czasu odwołania przez Peela praw

---

<sup>1)</sup> Z tego powodu, o ile miarkować można z wyraźnej jego nauki, Carlyle opuścił Szkocję. „Raną w jego sercu, raną, której nie mogły zagoić ustroina szkockie, była zupełna niezdolność pogodzenia swego ducha z wiarą i pojęciami społeczeństwa... Coraz próbował tam wracać, ale jak opowiadała mi pani Carlyle'owa, większość Szkotów była tak ograniczona i tak dogmatyczna, że Carlyle nie mógł na chwilę odetchnąć spokojnie, dopóki nie powrócił do Chelsea“ (Conway, jak wyżej, str. 150). Nigdy jednak Carlyle nie starał się oświecać tych fanatyków. Porównaj profesora Minto *Manual* str. 167.

zbożowych <sup>1)</sup>—Carlyle nie udzielił, jak się zdaje, poparcia niczyjemu planowi działania dla dobra publicznego, bodaj nawet gdy po prostu usuwał przed czemś przeszkody; godnem jest też uwagi, że jedyny pisarz współczesny, którego w ostatnich czasach Carlyle serdecznie wychwalał, Ruskin, podobał mu się właśnie z oskarżeń swoich, nie zaś ze swych poglądów twórczych <sup>2)</sup>. Jeśli ktokolwiek zwrócił się do Carlyle'a ze szczerem pragnieniem rady praktycznej, można było być pewnym, że człowiek ten pójdzie po prostu na łup wrodzonego filozofowi poczucia śmieszności, a zmysł ten tkwił w Carlyle'u głębiej, niż zdradzają jego dzieła. Henryk James starszy <sup>3)</sup> opowiada, jak lord Jan Manners, arystokrata, którego zapewne unieśmiertelni pewien dwuwiersz, przyszedł po radę do Carlyle'a wespół z kilku innymi młodzieńcami z arystokratycznej szkoły angielskiej. Carlyle sam opowiadał to zdarzenie Jamesowi, jako znakomity figiel.

„Dowiadawali się—mówił Carlyle—zadając mi pytania, jak na śledztwie, co mianowicie mojem zdaniem mają czynić. Powiedziałem, że nie mam im żadnej rady do udzielenia, że nie wiem, jak wogóle żyli dotychczas w swoich wielkich domach ani jakiego rodzaju środki mają do pracy. Wiem tylko, powiedziałem im, że powinni niezwłocznie wziąć się do jakiejś działalności, bo inaczej znajdą się na drodze, która prowadzi prosto do piekła.“ I śmiał się do rozpuku <sup>4)</sup>.

<sup>1)</sup> Obacz list jego do Peela w *London Life* t. I, str. 376—7. Nadęte krasomówstwo i zarozumiałe zdania odbijają uderzająco od prostej i trafnej odpowiedzi Peela.

<sup>2)</sup> Ostatni list do Emersona w ich *Correspondence* t. II, str. 352.

<sup>3)</sup> Bez względu na uwłaczające zdanie dr. Garnetta sądzą, że *Recollections of Thomas Carlyle* pióra Jamesa bezwarunkowo są jednym ze zbiorów, którego dokumenty rzucają najwięcej światła na przedmiot. Jest to praca równie dobra, jak którekolwiek z dzieł Carlyle'a w tym rodzaju.

<sup>4)</sup> *Atlantic Monthly* z maja 1881 r., str. 597. Porównaj wspomnienia dziekana Stanleja, podane w mowie pogrzebowej, a przytoczone przez Oswalda, stron. 4.

To przykład typowy. Nieustanny nalóg szerzenia wstrętu i wydrwiwania uczynił w końcu z Carlyle'a szydercę, który tylko umiał śmiać się z wszelkich nadziei ludzkich <sup>1)</sup>.

Niewątpliwie połowa sądów krytycznych, spotykanych na świecie, jest po prostu wyrazem tej instynktowej sprzeczności typów i gatunków, którą po wielokroć widzieć można w całej przyrodzie ustrojowej, ale nigdy żaden wybitny pisarz nie był igraszką nerwowych wstrętów swoich w stopniu tak znacznym, jak Carlyle. W zaraniu młodości widzimy go, jak wolny od melancholji szarpie Senekę za powtarzanie ogólników o cnocie, co właśnie było wprost przeciwne całowyciowemu zwyczajowi Carlyle'a <sup>2)</sup>. W wieku dojrzałym, którego doczekał się, nie skosztowawszy bodaj ćwiczeń, zalecanych innym, kąsa wściekle wszelkie bez wyjątku „izmy”, nie przyznając się do pokrewieństwa z żadnym. W starości poza udzielaniem krytycznych przycinków uczniom swoim nie utrzymuje żadnego związku z życiem ogólnem. „Napół zawodowa zaduma”, widoczna na portretach Carlyle'a z końca jego życia, jest więc pewnego rodzaju poddaniem się przeznaczeniu, które skazało go na nicość i wyryło ją w zmęczonych i niespokojnych rysach człowieka, który jeszcze pracy swej nie dokonał.

## VIII.

Wiele jednak z tego, co powiedziano, było, jak wiemy, oddawna widoczne dla Henryki Martineau, a przecież wyznacza ona Carlyle'owi wielką i świetną rolę w pracy nad popchnięciem myśli angielskiej na lepsze tory. Czy zdanie

<sup>1)</sup> „Ja sędzę—mówi dalej James—że Carlyle uczuwał jakiś bezsilny lęk i nieufność, gdy tylko dostrzegł u człowieka jakąkolwiek pozytywną ufność w Boga albo czynną miłość ludzi“ (str. 594). „Nie go tak nie złościło, jak gdy go brano za reformatora...” (str. 603).

<sup>2)</sup> „Ach! te wiekiste wrzaski o cnocie! o cnocie! Do stu djabłów! bądźcie cnotliwi i przestańcie już o tem gadać!“ (Ob. *Journal* z 1832 r. w *First Forty Years* t. II, str. 309).

to może być słuszne? Czy człowiek, którego nauka była splotem sprzeczności, którego filozofja była sofizmatem, mógł wywrzeć wpływ dobry na całe pokolenie? Powinibyśmy z radością uwierzyć temu, jeśli uwierzyć zdołamy, a właśnie pod tym względem działalność Carlyle'a sprawiedliwie domaga się uznania. Powiedziałem, że najstalszą pobudką czynów Carlyle'a była odraza, wstręt zarówno do tego, co robiło się w otoczeniu, jak i do tego, co niektórzy ludzie doradzali robić w celu poprawy stosunków. Rzecz niewątpliwa, iż przekorność Carlyle'a, nawet gdyby przeszła w manję, jeszcze znalazłaby obszerne pole pożytecznego działania w warunkach społecznych, właściwych jego i naszym czasom. Tak zwana krytyka przecząca ma wartość równą każdej innej pracy umysłowej, jeżeli przychodzi w porę; o tej prawdzie zapominał Carlyle, gdy w duchu czystego przeczenia usiłował podkopać powagę Voltaire'a. Jeżeli jakaś rzecz jest zła, jakaś okoliczność zgubna, jakaś teoria błędna, wówczas pierwszą usługą, na której oddanie pozwalają okoliczności, jest oczywiście wytknięcie złego. Głupstwem jest dowodzić, że lepiej pracować nad wznoszeniem nowego domu, niż rozwałać dom spróchniały. Otóż w tej Anglii, która wynikła z wielkiej reakcji, pobieżnie zarysowanej na wstępie, w Anglii, w której jedyną doniosłą reformą, do jakiej kosztem długich usiłowań dało się zjednoczyć dostateczną ilość ludzi, był wolny handel, w Anglii, w której wraz z szybkim rozwojem przemysłu i nagłym pomnożeniem się ludności zapanowało mniemanie, że interesy moralne i umysłowe zdołają ustrzec się same, i że cywilizacja niewątpliwie sama rozkwitnie wszechstronnie pod wpływem przeważnym ślepego współzawodnictwa przemysłowego, w tej Anglii Carlyle'a trzeba uważać za coś więcej, niż za grzmot tylko i błyskawicę, oczyszczające powietrze. Nie dobrze, lecz źle szły rzeczy w tysiącnych kierunkach, i jeżeli nawet zdanie Carlyle'a o tem, co było słuszne, a co błędne, odznaczało się często niedojrzałością i dziwactwem, przecież jego wyzywające słowa musiały przynajmniej pobudzić do myślenia wielu, którzyby inaczej nie myśleli. Do tego wniosku dochodzi Lowell, ujrzawszy się zmuszonym, jak tyłu

innych, potępić etykę Carlyle'a, uznać go za ślepego zwolennika bezlitosnej przemocy, oznajmić uroczyście, jak oznajmiło tylu innych, że walka Carlyle'a z obłudą ostatecznie sama była obłudą najczystsza<sup>1)</sup>. Udzielenie bodźca moralnego, podniety do czynu i myśli, gwałtowne potępienie niezrządu społecznego i obłudy—to wszystko pozostaje i wymaga uznania od sprawiedliwej krytyki. Trudno wierzyć, żeby Carlyle zrobił dla Anglii tyle, ile myślała Henryka Martineau, ile sądził, umierając, Jan Sterling, ale jakiż jest sposób zmierzenia jego wpływu? Możemy tylko w ogólnych wyrazach orzec, iż tkwiła w nim, jak przepowiadał Goethe, siła moralna wielkiej doniosłości, o ile pociski jej były wymierzone trafnie, co nie usuwało smutnego prawdopodobieństwa, że ta wielka siła moralna, źle skierowana, musi okazać się szkodliwą. Najkorzystniejszym dla Carlyle'a sposobem postawienia sprawy, gdy chodzi o ocenę, jest podkreślenie energii, z jaką wyzywał do boju wszystko, w czym czuł dążności zgubne dla społeczeństwa swego. Jest to jeden z „głównych i słusznych tytułów jego sławy“, powiada Morley<sup>2)</sup>: Carlyle nigdy nie był ślepym, jak tylu innych, na fakt, że Anglja nowożytna zaczęła wówczas przechodzić nowe i niebezpieczne przesilenie. Sławy? Czyż można zrobić na sławę przez to jedynie, że się widziało rzeczy, widziane i odczuwane przez tylu innych ludzi, a nie dało się żadnej dzielnej rady, jak stawić czoło niebezpieczeństwu? Owszem, niech na tem polega sława Carlyle'a. Dla wielu był on pierwszym zwiastunem prawdy, że moralność społeczna nie kończy się na uczciwym załatwianiu zobowiązań

1) Taksamo również sądzi James w dziele, wyżej przytoczonym. Obacz też list Carlyle'a do żony z r. 1835 (*London Life* t. I, str. 59): „Pośród tego chaosu jedyną drogę coraz wyraźniej wytknąć i obrać sobie mogę, i to jest teraz jedyną niemal zasadą mego życia: otrząsnąć się z obłudy i frazesów konwencjonalnych, zrzucić je, jak jadowitą koszulę Nessusa—wszystkie bez wyjątku, pod wszelkimi nazwami i iść choćby do piekła za tem, co sam widzę i rozumiem.“ A potem, jednym tchem prawie, wyrzuca taki frazes obłudny: „Błagaj tylko Boga, żeby dał mi siłę widzenia i swobodę wzroku.“

2) *Miscellanies* t. I, str. 137.

pieniężnych, że zasada samozachowawczości, pojęta w wyrazach handlowych, znaczyłaby tyleż, co ponowna dzikość. Podczas, gdy inni, widząc nie gorzej od Carlyle'a, ostrożnie kreślili zarysy reformy, on wręcz uderzał na działaczy, otwarcie nazywał zasłużonem mianem pracobiorców, dbających jedynie o zrobienie majątku, i to na długo przedtem, zanim weszło w zwyczaj mówić o wyzysku.

Było to, sądzę, punktem szczytowym jego działalności, dopiętym zresztą bez wielkiego mozołu. Nie trudno było oskarżyć rząd o sprowadzenie nędzy przemysłowej, jak Carlyle uczynił w *Chartismie*. Usposobienie zaogniało jego nerwy i wyostrzało język, strofowanie jego miewało też niekiedy samorzutną przenikliwość rozżłoszczonej niewiasty. Poza tem Carlyle nie wiele znaczy w reformie społecznej. Przedmiot ten został raz na zawsze rozstrzygnięty przez profesora Minto, najsprawiedliwszego z krytyków Carlyle'a.

„Teorje Carlyle'a są płodami pierwszych natchnień człowieka żarliwego, przy których tenże obstawał wytrwale, nie wdając się w rozumowania. Cechą ich zasadniczą, bez żadnych wyjątków, o których byłoby warto wspominać, jest to, że uwzględniają głównie jedną stronę przedmiotu. Trudności zbyt niecierpliwiły Carlyle'a, i zbyt mało żywił on szacunku dla rozumu i doświadczenia innych, żeby pozwalał się poprawiać; zarzuty umacniały go raczej w poglądach własnych. Większej części jego pomysłów wykonawczych próbowano już i znaleziono je niewystarczającemi, albo też wprowadzano je w czyn dawniej i uznano za niepraktyczne z powodów, których Carlyle nie rozumiał lub nie chciał rozumieć. Jego środki zaradcze przeciw ubóstwu i zbrodniczości stosowano w całej pełni za despotycznych rządów Henryka VII i Henryka VIII. Jego teorje królów-bohaterów, w wykonaniu znaczącej tyleż, co przypadkowe panowanie człowieka dobrego i zdolnego w szeregu despotów nijakich lub złych, doświadczano częściej, niż jakiegokolwiek innego systematu politycznego; Azja po dziś dzień nie ma innych rządów prócz despotycznych. Jego poglądy w in-

nych dziedzinach wiedzy taksamo zależą głównie od siły niewyrozumowanych natchnień<sup>1)</sup>.

Wobec tego twierdzenie, że Carlyle posunął naprzód wychowanie narodowe, nie ma wagi. Wchodziło to w skład radykalizmu jego czasów, odstąpiwszy zaś od radykalizmu, Carlyle nie mógł w żaden skuteczny sposób bronić sprawy wychowania. Koniec końców musimy uważać go za ogólną siłę albo bodziec, za budziela i cenzora, nie za nauczyciela, aczkolwiek w stosunku do tych, których pobudzał, Carlyle występował, jako nauczyciel.

## IX.

Tajemnica wpływu leży widocznie w jego słowie, rozważanem odrębnie od nauki. Pojęcia i myśli, które, wyłożone w prostej i obcej podnieceniu prozie, nie wywarłyby na nikim wrażenia nadzwyczajności, na kartach dzieł Carlyle'a stają się dźwiękami trąby i skłaniają ludzi do przyjęcia pełnego zapału—jeśli nie zmagają do zatykania palcami uszu. A dzisiaj po tylu oświadczeniach bez końca ze strony przyjaciół i wrogów Carlyle'a przeciw dziwacznej szorstkości jego stylu, ze zdziwieniem spostrzegamy, że książki te mają wprost niezmierne wzięcie u coraz powiększającego się mnóstwa pospolitych czytelników. Z literackiego punktu widzenia, nawet o ile chodzi o smak stylowy, niema w tem zjawisku nic, czegoby wypadało żałować, gdyż bardziej jest dla literatury niebezpieczna zarozumiała i starcza zachowawczość, biorąca za złe wszelkie nowe pomysły w sposobie wyrażania się, niż jakikolwiek wpływ magnetyczny wybitne-

<sup>1)</sup> *Manual of English Prose Literature* str. 162—3. Porównaj sąd profesora Massona, ważniejszy, bo wydany przez wielbiciela (*Carlyle* str. 106—114): „Brak cierpliwości do uprawiania wyrozumowanej nauki politycznej pod jakąkolwiek bądź postacią... rzeczywiście wytrącał Carlyle'a — bardziej, niż sam on mniemał — z tego zażyłego owładnięcia „faktyczną stroną rzeczy“, które sam Carlyle tak energicznie podawał za... jedyną dostępną mądrość“ (str. 113). Obacz też Morleya *Misc.* t. I, str. 153—6.

go indywidualizmu; minął zaś już czas, kiedy grasowała powszechnie zaraza uwielbiana Carlyle'a. Ten w rzeczywistości skaził styl jednego lub dwóch ludzi, Forstera na przykład i profesora Massona, a po części może i Dickensa, lecz w ostatnim trzydziestoleciu proza angielska rozwinęła się zbyt dobrze, żeby dzieła Carlyle'a zdołały stać się jej wzorem. Przed tym okresem Carlyle z pewnością nadawał literaturze angielskiej nowe brzmienia i barwy <sup>1)</sup>, albo przynajmniej przywracał jej coś nie coś z tego, co utraciła, dziś wszakże sztuka subtelniejsza i bardziej urozmaicona od jego sztuki odebrała mu urok świeżości, który tak wiele w nim znaczył aż do roku mniej więcej 1860. To, co widzimy obecnie, jest powszechnem próbowaniem przez lud przysmaków, które w poprzednim pokoleniu łaskotały bardziej wrażliwe podniebienia klasy wykształconej. Ponowna poczytność jest, rzecz jasna, jednym więcej dowodem, że Carlyle w rzeczywistości nie jest głębokim myślicielem, jak ludzie zwykli go nazywać, jeno pisarzem, stojącym zasadniczo na poziomie pojęć powszechności. *Sartor Resartus* wprowadza nas w zakłopotanie przez to właśnie, że autor robi wrażenie, jak gdyby był zawitym, podczas gdy myśli jego są doskonale proste. Carlyle, jak Browning, wydawał się wielu osobom głębokim przez to, że był dla nich po części niezrozumiały, wszakże i w Carlyle'u i w Browningu odrobina cierpliwości, trochę wprawy w wykładzie literackim wykazują skutecznie, że to, co zdawało się być ciemnym punktem teorii, jest jeno starą myślą, wypowiedzianą w nowym narzeczu <sup>2)</sup>.

Na nowych czytelników swoich zarówno, jak na dawnych, Carlyle wywierać będzie niewątpliwie wpływ czaru-

<sup>1)</sup> Obacz kilka dobrych uwag o stylu Carlyle'a w studjum p. R. H. Huttona.

<sup>2)</sup> Jeffrey nie był zbyt daleki od prawdy, pisząc w r. 1828 do Carlyle'a: „Przypuszczam, że weźmie mię pan za coś gorszego od osła, gdy powiem, że według mego mocnego przekonania głównem źródłem pańskiej dziwaczności oraz wszystkiego tego, co czyni pańskie pisma nieznośnemi dla wielu i dla wielu śmieszniemi, jest nie tyle jakaś rzeczywista szczególność poglądów, ile nieszczęśliwa chęć wydawania się oryginalniejszym, niż pan jest naprawdę“ (*First Forty Years* t. II, str. 38).

jący nieprzepartą gwałtownością swoją, gwałtowność bowiem, pamiętajmy o tem, będąc po prostu podnieceniem fizycznym, wyrażanem za pomocą słów, dźwięków lub ruchów, ma drogę otwartą do budzenia uzewnętrznień nerwowych w przeciętnym osobniku. Tak było we wszelkich religjach starożytnych, wschodnich i zachodnich, taksamo dzieje się w życiu nowoczesnem zarówno dzikiem, jak cywilizowanem, w murzyńskich religjach Afryki i Stanów Zjednoczonych, w czynnościach Armji Zbawienia, w kaznodziejstwie ludowem wszystkich czasów. Carlyle, wiemy to od niego samego, nie umiał pisać inaczej, jak tylko w ogniu podniecenia nerwowego, czy zaś prawdziwą jest, czy nie, zasada Horacego, że poeta musi sam płakać, jeśli chce rozrzewnić innych, zawsze jest pewnem, iż pisarz namiętny ma łatwą możliwość roznamiętnienia przynajmniej niektórych czytelników swoich.

Co więcej, dziełom Carlyle'a wychodzi na dobre dzisiaj, jak wychodziła dawniej, ta tajemnicza i na pozór nieśmiertelna namiętność, która w kraju naszym (w Anglii) pociąga ludzi do kazań<sup>1)</sup>. Jest to jakaś wyłączna właściwość brytańska. Uderzała ona wszystkich cudzoziemców, którzy upatrują w niej cechę narodową na równi z rostbifem i obłudą, nie mając, jak się zdaje, nadziei wyjaśnienia jej, chyba że czasami wiążą ją w sposób nieokreślony z obłudą, a czasami znów z rostbifem. „W Anglii — powiada pewien Francuz — kaznodzieję można spotkać wszędzie, nawet w nowelach“, Taine zaś dowodzi, że pierwszą sztuką rzeczywiście angielską była sztuka Hogartha, szereg napomnień moralnych. Zamiłowanie to opanowało naród dopiero od dwustu pięćdziesięciu lat i nie prędko go opuści; w niem, między innymi przyczynami, szukać trzeba rękojmi długiej poczytności Carlyle'a. Znaczną bowiem część dzieł jego stanowi to, co jest właśnie osią i duszą kazań: uroczysty nastrój ze wzmiankami o takich faktach, jak śmierć i wieczność, oraz o potrzebie pełnienia obowiązków; o faktach tych nie można po-

---

<sup>1)</sup> „Carlyle odnosił pierwsze zwycięstwa swoje, jako pewnego rodzaju kaznodzieja książkowy.“ Lowell *My Study Windows* wyd. 6-te, str. 107.

wiedzieć nic nowego, ale też prawdziwy miłośnik kazań nie pragnie nic nowego w tym przedmiocie usłyszeć, zadowolonym będąc zupełnie, gdy raz na tydzień wysłucha pospolitych ogólników, zanim go śmierć nie porwie. Carlyle posiadał szczególną zdolność zaspakajania tego dziwnego apetytu, mając zwyczaj, jak Emerson napisał o nim w swym dzienniku, powtarzać to samo dzień po dniu i rok po roku przez całe życie <sup>1)</sup>. Uwidocznia się to w sposób dość osobliwy w korespondencji Carlyle'a z bratem Janem, gdzie odbija się jasno styl rozmów, toczonych w kółku rodzinnem, styl, dość znany tym, którzy znają wieśniaków szkockich. Nagromadzone są tam w olbrzymiej ilości jaknajbardziej oklepane banalności, frazesy z kazań przedwiecznych i przestarzałych, a wszystko to podane z powagą, niemożliwą do opisanego. Listy braci Carlyle'ów, jak możemy widzieć, polegały w znacznej mierze na uroczystej czynności zamieniania lichych zwrotów mowy i wspierania się wzajemnego wobec doświadczeń życiowych—przysłowiami. Im starsze i stęchlejsze są te frazesy i przysłowia, tem więcej zdaje się podoba je sobie Carlyle. „Lata mijają...“, „Cóż to za świat...“, „W jakim że to świecie żyjemy...“, „Jesteśmy w Boskich rękach...“, „Ufajmy...“, „Życie nasze jest nadzieją...“—i tak dalej. Tomasz jest zupełnie wdzięczny, gdy Jan przysyła mu jakiś stosunkowo świeży lichy frazes, znaleziony u Niemców: „Piękne jest zdanie dzielnego starego Vossa“ o ziemi, która odbywa swą wędrówkę bez względu na stan pogody. „Dobre jest i to, które mi posyłasz: *Lass es um Dich Wettern*“ („Niech sobie grzmi dokoła“). „Próbowałem rzeczywiście zastosować się do tego, i udało mi się.“ Powinszować powodzenia.

Pomyślmy, że tego rodzaju uwagi powtarzane są i rozwijane przez użycie wszelkich zasobów stylu dźwięcznego i wzruszającego <sup>2)</sup>, że przytem wzywa się imienia Boskiego

<sup>1)</sup> *Corespondence* t. II, str. 148.

<sup>2)</sup> Emerson w późnym okresie znajomości swej z Carlyle'em napisał o nim w dzienniku: „W Carlyle'u, jak w Byronie, bardziej uderza nas wymowa

nadaremno i nienadaremno, a zawsze bez miary, że całość zdobią wymowne obrazy i uroczyste wzmianki, oparte na dobrej znajomości duszy ludzkiej, a zrozumiemy istotę powodzenia pisarza poważnego, a zarazem poczytnego. Powątpiewać można, czy dzisiejsze czasopisma przyjęłyby studjum, tak przepełnione uroczyście banalnemi zdaniem, jak szkice Carlyle'a; przeciwnie dość pewnem jest, że nie zaleciłyby go. Czytając karty, pełne oklepanych sentencji i rozmyślań, któremi Carlyle szpikował swe krytyki, musimy pamiętać o lichej treści ogółu pism literackich w Anglii przed sześćdziesięciu laty, jeżeli nie chcemy ogłosić Carlyle'a za literackiego szarlatana.

## X.

Ale ten nadmiar popolitości wiąże się w dziełach Carlyle'a z zaletami wielkimi, z właściwą im powagą i siłą. Te proste myśli, jakiegokolwiek są, są szczere, są przyrodzonym stanem umysłu pisarza, wyjąwszy to chyba, że w pierwszych latach Carlyle usiłował nadać im pozory głębokości niemieckiej; dla Carlyle'a, jak i dla rodziców jego, popolitość nie jest tem, czem jest dla czytelnika, umęczonego jej powracaniem. Pospolitość koniec końców graniczy ściśle z wielkimi faktami życiowemi, i jeżeli tylko nie zdołają one wyszarzać się do nitki, bywają zwykle rzeczami ważnemi. Uwagi Carlyle'a są poważnym wyrazem treści jego duszy, swoiste zaś usposobienie, które dyktuje mu słowa, jest tajemnicą tego potężnego owładnięcia przedmiotem, dzięki któremu wiele jego wczesnych szkiców dla wielu czytelników wybiegało ponad poziom — i dziś nawet wybiegać może — ponad poziom zwykłych artykułów bieżących, tak często na-

---

i styl, niż treść. Więcej w nim jest poważnej siły męskiej, niż dowodów rozumowych; zadaje też zawsze tęgę i trafno ciosy. Każde zdanie jego ma więcej ognia, niż rozwagi; pod tym względem Carlyle przypomina Samuela Johnsona.<sup>4</sup> *Corr.* t. II, str. 149; por. *Jamesa Atlantic Monthly* jak wyżej, str. 593.

cehowanych niedbalstwem i chęcią zajmowania uwagi— w sposób jaknajbardziej elegancki. Takie szkice, jak o Scott'cie, Burnsie, Johnsonie i Voltaire'ze, wywierają wrażenie wogóle dzięki zapałowi, z którym publicysta, pisząc je, usiłował oprzeć słowa bezpośrednio na najgłębszych przekonaniach swoich. Nie tyle sądzi on, ile odczuwa i wypowiada swe uczucia; naukowe stanowisko sędziowskie, chociaż Carlyle wszędzie od czasu do czasu starannie usiłował je zająć, i to z większym nawet powodzeniem, niż zwykli jego współcześni, rzeczywiście było mu zasadniczo obce, lubo gust literacki ma dzielny i przenikliwy. W tych właściwościach leżą mocne i słabe strony Carlyle'a. Jego krytyka Burnsa naprzykład, o ile jest literacką, o tyle jest po większej części słuszną i trwałą, stanowiąc w znacznej mierze ciekawą przeciwwagę temu niewybrednemu i nieumiejętnemu wychwalaniu Burnsa przez ogół jego rodaków, które tak mało godzi się z przypisywaną ich szczepowi biegłością w krytyce. Ale ocena literacka, jakkolwiek jest dobra, grzeszy powierzchownością, cała zaś waga szkicu zwrócona ku rozważaniu stosunku Burnsa do życia i do społeczeństwa, bo te rzeczy Carlyle odczuwał najmocniej. Ponieważ jednak, jak już widzieliśmy, wadą Carlyle'a było samorzutne stawanie w opozycji, i to w opozycji szyderczej względem większości poglądów otoczenia, więc sąd jego o tem, co było dlań główną stroną przedmiotu, przedstawia się, jako szereg sprzeczności. Wiele spostrzegawczych osób odczuwało, że poezjom Burnsa szkodził nie tylko pobieżny charakter jego wykształcenia, lecz i pracowite zajęcia życiowe, lubo świetna żywotność uzdolniała Burnsa do dokonywania zadziwiających czynów twórczych. Prawda ta jest tak oczywista, że Carlyle nie mógł uniknąć jej wypowiedzenia. Że jednak wypowiadali ją inni ludzie, więc Carlyle musiał koniecznie w innej części swego szkicu zaprzeczyć im, nalegając gadatliwie na tajemnicę, że poezja leży w duszy, nie zaś na języku. Taksamo rzecz się ma z zagadnieniem o charakterze Burnsa. Oburzając się na sytą szczęśliwość gładkich osób szanownych, które otaczały Burnsa i pozwoliły mu przez potknięcie się wejść na drogę do nędzy, Carlyle

wypowiada się przeciw nim w sposób naturalny, wkrótce wszakże uczucia jego przeskakują na drugi biegun, gdzie oświadcza, że Burns powinien był sam się ratować, a społeczeństwa niema za co ganić. A potem w końcu następuje znów zwrot przeciw eleganckiej szanowności i jej strofowanie; nadto autor przypomina, że ganiąc w człowieku niedołęstwo, należy uwzględnić jego usiłowania—wszystko już po wypowiedzeniu nagany. W każdym z tych poglądów jest miarka prawdy, lecz krytyk nie czyni żadnych usiłowań w celu pogodzenia sądów sprzecznych i podania czystej prawdy w postaci jasnej, skutkiem czego musimy wnosić, że brakło mu odpowiednich zdolności. Krytyka, jak i historia—tu różnię się z Lowellem—stała się dla Carlyle'a polem do wypowiadania poglądów dorywczych i rozbieżnych <sup>1)</sup>, a większość jego szkiców pozostała zbiorem kawałków, wyrzucanych z pod pióra za jednym zamachem i nigdy nie sprowadzanych do jedności.

Naturalnym skutkiem tego było, że praca o Burnsie, którą wyżej omawialiśmy, lubo czytana przez wszystkich Szkotów, nie wytknęła kierunku ich sądom krytycznym. Sądy moralne Carlyle'a budziły w czytelnikach uczucia gorące, lecz nieokreślone i sprzeczne, a w ten sposób kołyszając ich serca, nie rozjaśniając zaś głów, Carlyle nie pozyskał nigdy tłumów dla swego zdania o literackiej stronie działalności Burnsa, aczkolwiek zachęcił wielu do oklaskiwania w najudatniejszych dziełach Burnsa tych stron, na które szanowni obywatele szkoccy podnosili ze zgrozą czarno urękawiczone ręce swoje. Równie pouczający jest szkic o Scott'cie i sposób jego przyjęcia. Tutaj Carlyle jaknajoczywiściej odgrywa rolę moralisty, przepełnionego poczuciem ważności życia i postępowania, a jednocześnie tak dalece dbałego o przestrzeganie tej ważności, że ocenia Scotta na zasadzie jego postawy względem powszechności raczej, niż na zasadzie jego twórczości artystycznej. Nie masz nic bardziej nieprawidłowego nad to, gdy zważymy, jak Carlyle traktuje

---

1) Por. profesora Minto *Manual* str. 169.

Goethego i Szekspira. Wzbierają w nim i przelewają się słowa potępienia Scotta za światowość, za ambitne pragnienie założenia rodu i zamku, za podporządkowanie pracy literackiej tym celom. Nie najszczytniejszy to z pewnością rodzaj ambicji, cóż jednak powiemy o urzędowym życiu Goethego w Weimarze i o zręcznym nagromadzeniu przez Szekspira zasobów materialnych oraz o zaprzestaniu pracy dramatopisarskiej po osiągnięciu dobrobytu? Carlyle pisał rzeczywiście w duchu Jana Knoxa, oświadczając się uroczyście przeciw próżności pędzenia życia na pisaniu poematów i noweli jedynie dla zabawy powszechnej. Składając takie oświadczenie, Carlyle ani przez chwilę nie mógł liczyć na pomoc ze strony Goethego czy Szekspira <sup>1)</sup>; obaj oni poznali czar sztuki czystej i umieli w sposób zdrowy i naturalny w niej i dla niej samej tylko szukać źródła rozkoszy, jeżeli zaś zgodzimy się, że każdy z nich obu pograżył się w życiu daleko głębiej, niż Scott, wypadnie sądzić, że i oni w znacznej mierze powinni byli podpaść pod klątwę Carlyle'a, gdyby tylko był ją rzucał bezstronnie. Ostatecznie krytyka Scotta, aczkolwiek złagodzona przez ustępstwa, które człowiek tak bystry, jak Carlyle, musiał poczynić, jest zasadniczo niesprawiedliwą i nienaukową, a to znów jest skutkiem braku jakichkolwiek rozległych zasad, któreby służyły do prostowania wrażeń. Pewien czciciel Carlyle'a oznajmił niedawno w rozprawie umiejętnej i niezależnej <sup>2)</sup>, że Carlyle jest złym przewodnikiem, gdy gra rolę obrazobórcy, że najlepsze natchnienia czerpie ze swej siły współczucia, bez niej zaś jest tylko „oślepionym Polifemem, który obmacuje jaskinię, szukając, kogoby zamordował.“ Porównanie jest zręczne, lecz nasuwa zdradzieckie domysły. Co do mnie, nie mogę się zgodzić, żeby jednooki olbrzym był w stanie widzieć doskonale, nawet posługując się swem okiem. Pra-

---

<sup>1)</sup> Należy zaznaczyć, że Carlyle przyznawał otwarcie, iż artykuł o Scott'cie napisał wbrew swej woli. *London Life* t. I, str. 120. List do Emersona *Corr.* t. I, str. 143.

<sup>2)</sup> W czasopiśmie *Igdrasil* z września 1890 r.

wdziwe widzenie jest dwuoczne. Współczucie jest dopiero jednym szlakiem, prowadzącym do prawdy; wysłodzi ją tam, gdzie nie wskóra niechęć, jednakże współczucie bez nauki nie daje sprawdzianu, i Carlyle, współczując, może być równie niesprawiedliwy pod jednym względem, jak czując niechęć, może krzywdzić pod innym. Gdy zacznie chwalić, rozdyma zwyczajne zalety do wielkości osobliwych cnót tak samo, jak Napoleon zarzucał swym tapicerom, że go oszukują. Jaskrawo odmienne sposoby oceniania Mirabeau i Marat'a mijają się u Carlyle'a ze wszelką sprawiedliwością krytyczną. Wczesne jego wykłady o „Rewolucjach w Europie nowożytnej” zmusiły pewnego przyjaznego mu krytyka do zwrócenia uwagi, że Carlyle łatwo wybacza kłamstwo Cromwellowi, lubo nie może go darować Karolowi <sup>1)</sup>. Z Johnsona, którego uwielbia, Carlyle pokazuje nam tylko połowę; czyni to w sposób potężny i porywający, ale z konieczności przesadny, gdyż bierze połowę za całość. Taksamo we wczesnych artykułach o Goethem niema wcale rzeczowej krytyki, bo niema dojrzałości sądu, jest tylko najzuchwalsze apostołstwo, gdy znów z drugiej strony w szkicach o Voltaire'ze i Diderot'cie usiłowanie oddania sprawiedliwości pisarzom, wyklętym przez prawowierność brytyjską, usiłowanie, które nie zupełnie wymagało samozaparcia się ze strony Carlyle'a, jest wciąż przerywane w interesie jego uprzedzeń <sup>2)</sup> i skłonności do szarpania filozofii francuskiej,

<sup>1)</sup> Obacz Shepherd'a *Life* t. I, str. 204; przytoczono tam *Examiner*.

<sup>2)</sup> Morley (*Misc.* t. I, str. 185) chwali Carlyle'a za to, że chociaż pisał dużo i o wielu ludziach, w pismach jego przecież „niema ani jednego chyba zdania, w którym, jakkolwiek znacznie różniłoby się od poglądów naszych, moglibyśmy słuszenie wytknąć nieprzyzwoitą niedorzeczność lub czczość. Czy o wielu twórcach trzydziestu tomów—pyta Morley—dałoby się powiedzieć to samo? Szczególna pochwała. Czy są „nieprzyzwoicie niedorzecznymi i czczymi” sądy tak pospolite u słynnych pisarzy, u Swifta, Voltaire'a, Hallama, Goethego, Sainte-Beuve'a, Guizot'a, Herdera, Lessinga, Macaulaya? Czyż nazwiemy „nieprzyzwoicie niedorzeczną” najgorszą nawet z krytyk Johnsona, tyczącą się Milтона, albo krytykę Szekspira, napisaną przez Voltaire'a? Nietrudno wszakże ułożyć z dzieł Carlyle'a listę krytyk bardzo nierozsądnych, a w dziełach biograficznych, ogłoszonych już po napisaniu przez Morleya przytoczonej uwagi, za-

jako wytworu sąsiadów. Obrót, nadany przez Carlyle'a krytyce chrześcijaństwa, którą rozwijał Voltaire, jest wobec tejże krytyki głęboko nieszczerzy; upozorować go można chyba przypomnieniem, gdzie i kiedy Carlyle pisał. Sceptycyzm Voltaire'a--powiada—podkopywał jedynie dogmat zupełnego natchnienia (Pisma Świętego); zgódźmy się z nim co do tego, a wówczas jego druzgocące tarany będą daremnie biły w próżnię. Jeśli zważymy, że to, na co Voltaire napadał, było głęboko zakorzenioną wiarą całego chrześcijańskiego świata, musimy uznać w słowach Carlyle'a wybieg nierozważny. W szkicu o Diderot'cie znowu, obok wielu poglądów słusznych, przebija się ton dziwnie niesympatyczny, jak np. gdy Carlyle mówi o oszukiwaniu wielkiego wydawcy przez jego nakładców; dużo też jest wrzaskliwej nieprawdy z powodu ateizmu Diderot'a. Na sam dźwięk tego słowa „wyznawca Boga” zawsze wpadał w szał. Zresztą niektóre z jego szkiców czysto literackich, jak np. o komedjopisarzach niemieckich i o pieśni Nibelungów, są świeże i zajmujące, choćby czasami nie wyczerpywały przedmiotu; zmysł literacki Carlyle'a miał tu swobodne pole do popisu. Ale w ocenach osób wybitnych i typowych oraz nauczycieli punkty mocne i słabe pozostają zawsze te same, niespójne uprzedzenia i zarzuty zawsze psują jedność, a przecież ogień zapału i powagi przykuwa zawsze uwagę czytelnika, nawet do ustępów lichych.

## XI.

Ostatniemi laty weszło w zwyczaj powszechny porównywać Carlyle'a z Macaulayem na niekorzyść ostatniego <sup>1)</sup>.

---

wierają się sądy krytyczne Carlyle'a czasami istotnie nieprzyzwoicie niedorzeczne, np. zdania o Lambie (*Reminiscences* t. II, str. 165; Froude *First Forty Years* t. II, str. 209—210), o Comte'cie (*Rem.* t. I, str. 338), Millu (*London Life* t. II, str. 420), Keatsie (*Ib.* t. I, str. 450). Gdy dodamy do tego wybrane z dzieł Carlyle'a uwagi krytyczne o Grillparzerze, Scott'cie, Keatsie i Shelleyu, wypadnie zdaje się Morleyowi przerobić swą pochwałę.

<sup>1)</sup> Froude powiada: „Z literaturą angielską był on (Carlyle) równie dobrze obeznany, jak Macaulay. Francuską, niemiecką i włoską literatury znał

Nie jestem bezwzględny stronnikiem Macaulaya, muszę wszakże wyznać, że mojem zdaniem w sądach porównawczych nigdy nie przestrzegano słusznej równowagi. Usiłowałem wykazać, że kiedy Carlyle rozwodzi się nad najgłębszymi zagadnieniami życia, niewiele nowego i pouczającego ma o nich do powiedzenia, w innych zaś przedmiotach myśli jego są nieliczne i proste. Macaulay tymczasem skrętnie omija tematy, któremi umysł Carlyle'a zajmował się najbardziej, a przez to razi ludzi jak gdyby brakiem głębokości, podczas gdy w gruncie rzeczy unika on po prostu wypowiadania myśli, co do których albo wie, że są spowszedniałe, albo czuje, że im brak jasności; natomiast w rzeczach praktycznych Macaulay przewyższa Carlyle'a wrażliwością i wielostronnością rozwagi. Nie miał on ognistej wyobraźni Carlyle'a, a stąd nie udawały mu się tak wielkie efekty literackie, lecz bierzmy go, jako nauczyciela historii lub polityki, a przyznamy, jak sądzę, że jest stanowczo pożyteczniejszy. Szkic Macaulaya o Barére'ze da nam zrozumialsze pojęcie o rewolucji francuskiej, niż studjum Carlyle'a o Mirabeau lub wogóle niż taka sama ilość kart z „Historji” Carlyle'a. Wyznaję rzeczywiście, iż czytałem „Historję” z wielkiem zajęciem trzy razy, ale nie rzuciło mi to bynajmniej stałego światła na rewolucję, zrozumiałem tylko owo potężne oddziaływanie jej na stan nerwowy ludności, a to mianowicie dzięki odtworzeniu w epizodach tak olbrzymich, że bierze się je niemal za halucynację, dopóki przed Bastylją krew nie zadzwoni nam w uszach na wrzask tłumu, a ręce zda się nie zacząć szukać broni. To samo powiedzieć można o sposobie przedstawienia Fryderyka przez obu pisarzy. Macaulay daje nam przedziwnie zdrowe i pouczające, a co większa barwnie i dokładnie napisane opowiadanie o całym zawodzie bohatera—w jednym szkicu, przydać się mogącym zarówno, jako przygotowanie do wielkiej

---

nieskończenie lepiej od Macaulaya“ (*London Life* t. II, str. 257). Co się tyczy piśmiennictwa francuskiego i włoskiego, mało kto uwierzy Froude'owi, ja zaś osobiście nie mogę uwierzyć nawet zdaniu o znajomości literatury angielskiej.

Humanisci nowożytni.

a wodnistej kroniki Carlyle'a i jako lekarstwo, przeczyszczające po niej. Jako historycy, obaj mężowie nabierają szczególnego do siebie podobieństwa w okresach końcowych. Carlyle, który wogóle lekcewał Macaulaya, jak ten znów jego, zbył „Historję Anglii” takimi słowy: „Jest to książka, któraby nie nabrała trwałej wartości nawet od czterystu wydań, bo niema w niej wcale wielkiej głębokości myśli, jest zaś bardzo wiele błahej retoryki oraz innych pierwiastków, wręcz przeciwnych rozsądkowi“<sup>1)</sup>. Być może, ale to samo właśnie wielu z nas zarzuca całej prawie „Historji Fryderyka.“ Obaj pisarze nie mieli podstawy filozoficznej i obaj, co już nie jest tak widoczne, starzejąc się, zaniedbywali coraz bardziej poglądy ogólne, coraz więcej zaś skłaniali się ku metodzie rzeźbienia dziejów i ku zabiegom o malowniczość w historii, chociaż Macaulay zawsze obchodził się z przedmiotami historycznymi rozsądniej, niż Carlyle. We wczesnym szkicu swoim o „Historji Grecji“ Mitforda, napisanym w wieku zaledwo lat dwudziestu czterech, Macaulay wykazał taką dojrzałość i trafność sądu, któreby przyniosły zaszczyt nawet doświadczonemu historykowi, i których nie przewyższył w żadnym z późniejszych szkiców krytycznych. Ta strona talentu Macaulaya nie rozwijała się prawidłowo; i on też skończył na napisaniu historii, która jest opowieścią błyskotliwą<sup>2)</sup>, aczkolwiek dbał w niej więcej, niż Carlyle, o zgromadzenie pożytecznych wiadomości. Carlyle nie próbował nigdy stworzyć czegoś podobnego do trzeciej księgi Macaulaya.

Do pisania historii Carlyle miał niewątpliwie zdolności wspaniałe, zwłaszcza tę szczególnie silną wyobraźnię, która zda się pozwalała mu widzieć wprost—w odzieży i w ruchach—lud, o którym miał pisać. Gdzie trzeba dać obraz albo przedstawić osobistość, nie dorówna mu w żywości za-

1) *London Life* t. I, str. 452.

2) Zaznaczam jego własną uwagę: „Niezmierzony tu materiał do zajmującej opowieści“. List do Napiera z 5 grudnia 1841 r.; *Trevelyan's Life* wyd. z r. 1881. str. 413.

den historyk żadnych czasów, lecz pod innemi, z pewnością nie mniej ważnemi względami Carlyle widocznie niedomaga. Nikt nie wyłożył tego lepiej od Lowella.

„Rodzaj twórczości Carlyle’a jest stosowny nie tyle dla historyka, ile dla portrecisty dziejowego. Pisarz ten jest zawsze wielki w pojedynczych postaciach, nie posiada wszakże stopniowania i ciągłości. Z nadzwyczajną cierpliwością zbiera i sprawdza materiały, ale pogardza faktami i charakterami pospolitemi, nieznosi wszystkiego, co się nie nadaje do któregośkolwiek z jego zręcznych zarysów, jeno układa się dobrze w kształty bardziej wykończone. Historję rzeczywistą Carlyle widzi w przebłyskach. Scena pojedyncza, czy będzie to krajobraz, czy życie ludzkie, pojedyncza postać, motloch dziki, wszystko, cokolwiek da się uchwycić spojrzeniem w owej chwili natężonego oświecenia, zostaje drobniawo odfotografowane przez pamięć Carlyle’a. Każde drzewo i kamień, każde niemal źdźbło trawy, każdy sprzęt domowy, postawa i wyraz, owszem nawet guziki i sznurówadła u trzewików głównej postaci, ruchy chwilowej namiętności dzikiego tłumu—wszystko z bolesną wyrazistością rzuca się w oczy w tym nagłym blasku i wstrząsa siatkówką. Przerwy są najzupełniej ciemne. Carlyle daje nam poznać tak dobrze, jak przy rzeczywistem patrzeniu, odosobnione miejsce, w którym wypadkowo znaleźliśmy się w chwili błyskawicy, niepodobna jednak objąć całego widoku”<sup>1)</sup>.

Otóż bardzo pouczające jest spostrzeżenie, że tę właśnie metodę historyczną Carlyle potępił w wyrazach najostrzejszych, znalazłszy ją w młodości swej u innego pisarza, u którego szukał światła historycznego. Przeczytajmy, co napisał w dzienniku<sup>2)</sup> w trzydziestym piątym roku życia po przeczytaniu *Tales of a Grandfather Scotta*.

„Zajmujące opowiadanie, jasne, ścisłe i, jak przypuszczam, dokładne, ale jest ono taksamo historją Szkocji, jak

1) *My Study Windows* str. 102–3.

2) *First Forty Years* t. II, str. 87.

ja jestem papieżem rzymskim. Szereg matactw i morderstw dworskich, bitw, mało co ważniejszych od bitwy pod Donnybrook Fair—a przez cały ten czas Szkocja zupełnie niepostrzeżenie idzie sobie własną drogą w przemyśle, w sztukach, w kulturze, jak gdyby *Langside* i *Clean-the-Causeway* pozostały niezwalczonemi. Dziwna rzecz, jak człowiek mógł myśleć, że pisze historję narodu, kiedy układał tylko kronikę miłostek lubieżnej młodej kobiety, zwanej królową”—i tak dalej.

Czy jakakolwiek krytyka mogłaby ugodzić bardziej bezpośrednio we własne dzieła Carlyle'a, przedewszystkiem w „Historję Fryderyka”, najdłużej opracowywane i najdojrzalsze z dzieł jego? Matactwa dworskie i bitwy, odmalowane bezwątpienia sto razy energiczniej, niż w przejrzystym opowiadaniu Scotta, ale przecież tylko matactwa i bitwy, a o życiu Prus, o ich rozwoju w dziedzinie przemysłu, sztuki, kultury—ani rozdziału, ani jednej stronnicy! Niepodobna uwierzyć, dopóki człowiek sam się nie przekona, jak całkowicie Carlyle umiał pominąć całą społeczną i umysłową historję narodu, pisząc to, co z pewnością dosyć szczerze nazwał „Historją Fryderyka.“ Co więcej, dziedzina przedmiotów, budzących ciekawość Carlyle'a, tak się skurczyła, a sam on wyrósł w wieku dojrzałym na takiego prostego bazarza, iż nie opowiedział nawet w połowie historii Fryderyka, jakkolwiek rozdał ją potwornie przez usystematyzowane plotkarstwo. Jak wykazuje Lowell, „nabieramy bardzo mało pojęcia o zarządzie cywilnym Prus, gdy zaś w ostatnim tomie Carlyle dochodzi do czynów bohatera swego na polu reform cywilnych, wyznaje otwarcie, że opowiadanie o tem zanadto męczyłoby go, choćby nawet wiadomości jego w tym względzie były jako tako wystarczającemi.” Ta sama dążność panuje w nadzwyczaj zajmujących „Wspomnieniach“, w dziewięciu dziesiątych wypełnionych żywo kreślonymi portretami <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> „Jedna tylko zdolność żyje w nim jeszcze; władza szkicowania winjetek, wyobrażających naturę martwą lub życie ludzkie, pozostała całkowicie nie-

Wszystko to wskazuje w sposób nieomylnie jasny, że w Carlyle'u coraz bardziej zanikała pojęciowa strona umysłowości, że zaprzestawał on używania wszystkich władz i zdolności, prócz jednej lub dwóch, a to w kierunku żywego dostrzegania szczegółów życia i charakteru.

W ostatnich latach życia zdolności historyczne Carlyle'a zeszczuplały do rozmiarów samej tylko umiejętności snucia wątku opowieściowego, i pisarz ten, którego widzieliśmy wstępującego w życie z przekonaniem, że dzieje Szkocji stają się zajmującymi dla ludzkości dopiero od reformacji <sup>1)</sup>, zacieśniał pole widzenia swego, przechodząc od rewolucji francuskiej do udziału Cromwella w rewolucji angielskiej, a potem do roczników niejako domowych dynastji Fryderyka Wielkiego i skończył wreszcie na opowiadaniu, przeznaczonem dla czytelników dorosłych, a odtwarzającym po prostu roczniki dawnych królów norweskich; był to rodzaj historycznej opowieści daleko mniej wartościowy, niż *Thales of a Grandfather* Scotta, ułożone rzeczywiście przedewszystkiem dla dzieci. Przypominam sobie ukazanie się szkiców o „Dawnych królach Norweskich.“ Byłem jeszcze wówczas wyrostkiem i najopętańszym wielbicielem Carlyle'a — wspominam o tem, aby wskazać, jak dalece pisarz potężny i myślący ciasno może tworzyć zawady na drodze rozwoju ludzi młodych. Pełen fałszywych pojęć i nieszczerých przekonań, wchłoniętych z książek Carlyle'a, rącho rzuciłem się do nowego dzieła mistrza, którego wszystkie poprzednie utwory taksamo zapalczywie czytałem. Niezadowolony z przeczytania jego wypisów, pobożnie zrobiłem z nich wyciąg dla siebie, i nigdy, zdaje mi się, nie zapomnę o nim zupełnie za tę szczególną stratę czasu, nie bardzo wtedy dla mnie cennego.

---

uszczuploną, — i jaka władza! Dr. Garnett *Life* str. 150. Por. Arnolda *Lectures in America* str. 163 — 5.

<sup>1)</sup> *Journal* luty, 28; *First Forty Years* t. II, str. 73, 88; *Lectures on Heroes* ro. IV, Knox.

Zważywszy wszystko, znajdzie się rzecz prosta coś do powiedzenia i o właściwej Carlyle'owi metodzie opowiadania historii w żywych szczegółach z pozostawieniem filozofji dziejowej pokoleniom przyszłym. Historia filozoficzna dąży do wyjścia z mody; ludzie cofają się do faktów dla nich samych, filozofując nad nimi znowu według własnego gustu <sup>1)</sup>. Ale takie usprawiedliwienie służy równie dobrze Macaulayowi, jak Carlyle'owi, a nadewszystko nie tylko porusza sprawę dokładności odtwarzania historycznego, lecz ściąga Carlyle'a z wysokiego stanowiska, które pragnął zajmować. Myślał on bowiem na serjo, w swem podnieceniu monoidejowym, że krańcowy empiryzm, którym opieprzył swego „Fryderyka“, stanowi rzeczywiście historyczną metodę myślenia i nauczania, podczas gdy przyszłe pokolenia czytelników, kosztując tej potrawy, naprzemian śmiać się tylko i złorzeczyć będą. Carlyle miewał dziwaczne złudzenia. Z biegiem czasu widzimy, że wraz z kurczeniem się przenikliwości umysłowej słabnie pod wielu względami nawet umiejętność literacka Carlyle'a, lubo we „Fryderyku“ jest niezawodnie dużo rzeczy zajmujących. Wynikająca z usposobienia potrzeba jaskrawej wyrazistości, rozwinięty popęd do sądów cierpko-uszczypliwych stają się słabostkami, rażącemi każdego rozważnego czytelnika. Jak zauważył Lowell, Carlyle poszedł po części drogą Edwarda Irvinga. Zaczął od olśniewania raczej słuchaczy, niż od przekonywania ich, i to w dalszem życiu „zaciążyło na nim, jak klątwa; musiał porywać, musiał zdumiewać“, aż w końcu stał się „pisarzem czysto literackim, mniej dbałym o to, co mówi, bardziej zaś o to, jak ma mówić, aby wyrzeć wrażenie najkorzystniejsze.“ Wychwalał

---

<sup>1)</sup> Froude pisze: „Czy z historją ludzkości można się obchodzić w sposób filozoficzny, czy nie; czy da się w niej odszukać jakieś rozwojowe prawo postępu, czy nie, zawsze fakty muszą być wpierw skreślone tak jasno i zupełnie, jak tego żądamy od poematu epicznego lub tragiedji. Musimy mieć rzeczy rzeczywiste, zanim posiadziemy naukę rzeczy“ (*London Life* t. II, str. 204). Froude zapomina, że Carlyle zawsze mniema, iż dostarcza nam zarówno wykładu, jak i faktów, oraz że te „fakty“ są małowidłami i przekładami rzeczywistości, prze-filtrowanej przez umysł Carlyle'a.

Emersona <sup>1)</sup> za ubieganie się o zalety wręcz przeciwne, wychwalał mojem zdaniem zgoła niestusnie, bo Emerson z pewnością, przynajmniej pod koniec życia, gonił za wyszukiwaniami i dobraniami frazesami, sam zaś stał się niegodziwie wielomówny. Walcząc pod godłem prawdy, Carlyle nie umiał nigdy poprzestać na prostem wyłożeniu: wykład musi błyszczeć, iskrzyć się, olśniewać. Przypominam sobie, że raz słyszałem, jak pewien znakomity aktor amerykański łajał w melodramacie statystów za brak życia w marszu wojskowym. Język jego po części tylko nadaje się do powtórzenia w druku. „Niedolegli! niedolegli!—wykrzykiwał—więc wy to nazywacie marszem? Skaczcie, niedolegli!“ U Carlyle’a tak samo muszą skakać i statysty i wszelkie akcesorja sceniczne. Generał Hamley zgarnął sporą ilość „połączanych szelągów“ stylowych z „Fryderyka“, wytknął nedorzeczne omawianie spostrzeżeń, odkrywających, że—królowa Bona umarła, nedorzeczną namiętność do przyczepiania na końcu każdego ustępu jakiejś wyrazistej konkluzji. Jan Morley, oceniając popularność Macaulaya w duchu, rozbudzonym pośród młodzieży angielskiej przez Carlyle’a o całe pokolenie wcześniej, wytyka Macaulay’owi między innymi jaskrawość pozorów i „wybitną przesadę.“ Żaden pisarz nie zasługiwał bardziej od Carlyle’a na taką naganę, a jednak Morley nie myśli nigdy o zastosowaniu jej do Carlyle’a. Zawsze miał on za wiele przesady, a w końcu nie pozostało mu nic prócz niej. Otóż ta rosnąca namiętność do malowniczości i żywości prowadzi nieuchronnie do przekręcania samych faktów, przedstawionych w taki sposób. Znow trzeba przytoczyć słowa generała Hamleya:

„Nigdy żaden historyk nie był bardziej obrazowym, nigdy żaden nie starał się więcej o nadawanie scenom i charakterom siły i indywidualności przez staranne dobieranie i troskliwe wynajdywanie epitetów. Jednakże zwykle u Carlyle’a traktowanie wszystkich i wszystkiego, z wyjątkiem kilku cudacznie dobranych bohaterów i ich czynów, w sposób

---

<sup>1)</sup> W przedmowie do pierwszego angielskiego wydania *Essays*.

szyderczy i napół pogardliwy, prowadzi do tego, że wrażenie wywołane o tyle tylko przypomina życie, o ile dzieła średniowiecznych rzeźbiarzy *gargoyle'ów* <sup>1)</sup>, ram i odrzwi kościelnych przypominają naturę. Wszędzie widać przesadę i przekręcenie, jak gdybyśmy patrzyli na rzeczy, odbite w zwierciadle wklęsłym“ <sup>2)</sup>.

Stosuje się to nawet do najlepszych biograficznych prac Carlyle'a, między któremi dziełem szczytowem jest „Życie Sterlinga.“ Żaden życiorys nie przewyższa tego utworu ogólną siłą elektryzującą, niektóre zaś z portretów, przede wszystkim ów straszny wizerunek Coleridge'a, świadczyłyby same jedne o gienjalności autora. Ale czy ten lub jakikolwiek inny nieprzyjazny portret z liczby umieszczonych w książkach, listach i dziennikach Carlyle'a jest wierny? Pociesza mnie myśl, że o ile chodzi o krytyka, tak stanowczo surowego dla słabych stron cudzych, żadnemu z wielbicieli jego przywoitość nie pozwoli pomówić mego poglądu o jednostronność, gdyż ja w niniejszych szkicach portretowych roztrząsam tylko zdania. Zbadajmy Carlyle'a w takim duchu, w jakim on odmalował Coleridge'a, zatrzymując się tylko nad stronami, dla nas niemiłymi, a zdołamy nawet bez talentu stworzyć obraz dość odpychający. Carlyle był naprawdę zbyt pełen tęgości, aby być wszechstronnym; był zawsze utworem wrażeń, zawiele miał czuciowości, mało ducha naukowego lub poznawczego. Sądził, że Goethe uwolnił go od bajronicznego ducha żalösnej tkliwości na własne cierpienia, gdy tymczasem Goethe dostarczył mu tylko treści, zapełniającej przerwę pomiędzy samolubstwem naśladowczem a samorzutnem. W ten sposób, jak zauważył gienerał Hamley, młodzian, który hołdował bajronizmowi, rozpaczający romantyk—stał się Carlyle'em, rozpaczającym prorokiem.

---

1) *Gargoyle* nazywa się głowa człowieka lub zwierzęcia, z której tryska woda w fontannie (*Przyp. tłum.*).

2) *Thomas Carlyle: a Criticism* str. 97.

## XII.

W żywotach z okresu ówczesnego nie znajdziemy z pewnością ani jednego pisarza, więcej, niż Carlyle, mniemającego o sobie. W życiu późniejszym mógł on wyrobić w sobie mniejszą bezwzględność i wyłączność, ale w zaraniu młodości, we właściwej chwili wypowiedania się samowiedzy był najnieznośniejszym z egotystów literackich. Stanowiło to w istocie część jego ustroju duchowego i niewątpliwy warunek talentu, którego siła polega właśnie na żywości uczucia oraz na zdolności postrzegania w czynach i odtwarzania w słowach tego, co się czuje. Każdy człowiek, którego praca polega na powoływaniu własnej świadomości do zadań literackich, musi niezbędnie być skłonny do tego jak powiedzieliśmy, samomniemania, ale Carlyle jest jedynym w dziejach żywotopisarskich pod względem bezgraniczności pobłażania egotystycznego. W korespondencji jego z przyjaciółmi i z krewnymi, zarówno gdy rozpacza, jak i gdy podoba sobie w życiu, stale odzywa się długotrwały i żaloszny krzyk, który musiał zatruwać mu życie domowe. Widzieć możemy, iż Carlyle ciągle czuje malowniczość swych cierpień i rozpacza obraz niestrawnej rozpaczycy swojej przed sobą samym w dzienniku, przed matką swą i przed bratem, możemy zaś odgadnąć, że żonie swej uczynił życie ciężarem przez codzienne narzekania. Otwarcie wyznaje to wszystko, gdy mówi o pierwszym wykładzie swoim: „Litowałem się nad sobą, tak wzburzonym, przerażonym, doprowadzonym do rozpaczycy i wściekłości” <sup>1)</sup>. Zawsze litował się nad sobą samym; gdyby się był litował nad bliźniemi w stopniu o połowę mniejszym, dzieła jego brzmiałyby z innego tonu.

Czasami melodia zmienia się, i słyhać nutę radosnej uprzejmości, a wówczas dowiadujemy się po raz siedemdziesiąty siódmy, jak wiele oryginalności i siły widział Carlyle w swej „Rewolucji Francuskiej”, jak płomiennie wykwiła

---

<sup>1)</sup> *London Life* t. I, str. 103.

ona z głębi jego serca <sup>1)</sup>; że jest „doskonałym pniem dębu, któremu nie podolałyby wszystkie młoty z całego świata,” że jest, jak pewien stary Szkot z potężnie szeroką piersią, szorstkim uśmiechem i doniosłym głosem <sup>2)</sup>, że jest „jedną z najdzikszych ksiązek, jakie napisano w ciągu wielu stuleci“, bo autor jej, mąż surowy, „patrzy w twarz królom i żebrakom z jednakową obojętnością braterstwa i jednaką obojętnością pogardy” <sup>3)</sup> – i tak dalej. Otóż wszystko to, lubo niegorzej chępliwe, nie przekracza w niczem krańców ludzkiego doświadczenia: większa część nas samych, każdy w swojej dziedzinie doznawaliśmy przyzwoitej miary samozadowolenia, chociaż może nie zawsze w stopniu tak znacznym, jak Carlyle; ale należy zauważyć, że w ten sposób sądził o sobie człowiek, który lubował się w obrzydzeniu i potępianiu zarozumiałości i zawsze natrzęsał się z pewnej siebie postawy, dostrzeganej u innych osób. Tutaj, jak pod wielu innymi względami, uczuwamy, że morały były udaniem, albo gdyby to słowo miało być za surowe, że były poglądem, pozyskanym na drodze wyłącznego przeczenia i nie wchodzącym wcale w skład osobowości kaznodziei. Nie miał on rzeczywiście nigdy pojęcia o działaniu według zasad, które stawiał dla innych, a w gruncie rzeczy niepodobna nawet zrozumieć, żeby mógł kiedykolwiek działać zgodnie z temi zasadami taksamo, jak nie mógłby wprowadzić w czyn żadnej wskazówki swojej co do milczenia, pogody ducha i postępowania, do wszystkich bowiem tych rzeczy nie był zgoła stworzony. Sposób zwalczania zarozumiałości (to znaczy zdrożnego jej nadmiaru; normalne jej działanie nie jest zdrożne, lecz zbawienne) wcale nie polega na umyślnem zapominaniu o sobie, jak nadaremnie proponuje Carlyle, ale na poznaniu siebie, na jasnem wyrozumieniu, czem jesteśmy, co nas porusza, skąd czerpiemy wiadomości, w czem jesteśmy słabi, w czem nie tak słabi, jak do-

---

1) *London Life* str. 84.

2) *Ib.* str. 95.

3) *Ib.* str. 96.

szliśmy do pojęć naszych, oraz ile są warte, biorąc ogólnie, pojęcia ludzkie według tego, jak je wypróbowaliśmy za pomocą własnych procesów umysłowych.

Tego rodzaju samoocena, przeprowadzona sumiennie, znaczy tyleż, co zdobycie wyrozumiałości i współczucia, a na tem właśnie polega uwolnienie się od natrętnej myśli o sobie samym. Ale zasadniczo przeczący sposób myślenia Carlyle'a, jego niezdolność czucia lub myślenia mocnego albo serdecznego poza obrębem właściwej czi bohaterów, poza przeczeniem czyjemuś innemu uczuciu albo działaniu lub poza powtarzaniem pewnych powszechnoludzkich oklepanych ogólników—wszystko to z pewnością podsycalo nałóg czułościkowego czy chorobliwego zatapiania się w sobie, i w ten sposób Carlyle jest równie widocznie *poscurem*, układającym się przed zwierciadłem, jak Byron. Jeśli komu się zdaje, że słowa te są niesprawiedliwe, jeśli kto jest przekonany, że Carlyle był szczery i poważny, niechaj w takim razie zada sobie pytanie, czy i Byron także był szczery i poważny. Powracamy tutaj do naszego fizjologicznego punktu widzenia. Patrząc na Byrona, nawet transcendentalista musi czuć, że stoi wobec faktu patologicznego, że Byron nosił w mózgu, w nerwach i w ciele sprężyny i pobudki chorobliwych wyrażeń i niegodnych czynów swoich, że zupełnie taksamo nie „urabiał charakteru swego”; według sposobu mówienia transcendentalistów, jak nie urabiał kulawej swej nogi. Żądam uznania tego samego względem Carlyle'a, bo uznaję to w stosunku do nas wszystkich. Z pewnego przeto punktu widzenia niemasz nic daremniejszego nad obnażanie jego usposobieniowych wad: wstrętów, niecierpliwości i sprzecznosci; wobec nauki byłoby to tak, jak gdyby lekarz potępił pacjenta swego za wadliwe rysy jego ustroju. Lecz otóż bieda, że Carlyle przez całe życie swoje tak właśnie postępował i nie robił prawie nic innego w swoich krytycznych sądach o otoczeniu, przyczyniwszy się w niezmiernie wielkim stopniu do wpojenia w ludzi wiary, że takie oskarżenia są lepsze od rozpoznań, że przepisy, tak otrąbione, są najlepsze. Pracując w tym duchu, Carlyle nie daje wiarogodnych wskazówek i światła; z oskarżeń jego niepo-

dobna, nawet gdybyśmy chcieli, ułożyć trafnej ddiagnozy; postępowanie jego jest rdzennie błędne i musi być dyskredytowane. Na to zaś trzeba koniecznie pokrajać Carlyle'a na kawałki i pokazać, jaki był rzeczywiście.

Przyznajemy rozumie się chętnie, że sam Carlyle, będąc tak czułym i tak zmiennym, oskarżał się dość często i dość sprawiedliwie. „Niestety! — pisze do matki — wyczuwam w sobie pod wielu względami takie djabelskie skłonności, takie otchłani zarozumiałości, wstrętów i łakomstwa!”<sup>1)</sup>, a dalej: „nie dawajmy posłuchu poszeptom chełpliwości, zarozumiałości, tym rzeczom najpodlejszym, głównym, jak myślę, dziełom szatana na ziemi!”<sup>2)</sup>, i znów w liście do brata: „uwolnijcie mnie, o wy, Mocy Najwyższe, od zarozumiałości!”<sup>3)</sup>. Ale to przekraczało władzę Wszechmocnego. „*Ego et Rex meus*—pisze znowu Carlyle, mówiąc cierpko o przyjacielu swym Sterlingu<sup>4)</sup>—oto śpiewka, którą nucimy wszyscy. Precz z *ego!*” Oznaczałoby to, o ile chodzi o Carlyle'a, przewrót całej jego natury<sup>5)</sup>; postawienie cierpliwego rozumu zamiast przypuszczalnego natchnienia popędów, sprawdzanie pierwszych myśli, urodzonych ze zgryźliwości, namiętności lub naturalnego pociągu, przez myśli drugie i trzecie, które rozbiegają natchnienie i stanowią naukę. Nieskończenie serdeczniejszym od własnej skruchy Carlyle'a jest upokarzanie innych osób. Posłuchajmy niektórych jego charakterystyk, np. zdania o Roebucku: „Charakter ostry, szorstki, jałowy, pełen sądów sprzecznych, trywjalny, szczególnie jątrziwy; na twarzy, gdy spojrzymy na nią zblizka, maluje się niepokój, jak gdyby od chorobliwej próżności”<sup>6)</sup>. A oto zdanie o dawnych przyjaciółach Jana Milla: „Jest w nich jakaś wrzaskliwa pospolitość, jakieś parszywe, a wiecznie głodne zado-

1) *London Life* str. 118.

2) *Ib.* str. 132.

3) *London Life* str. 128.

4) *Ib.* str. 139; por. str. 142.

5) Fronde przyznaje Carlyle'owi „nadzwyczajną zarozumiałość.” *First Forty Years* t. II, str. 394.

6) *London Life* t. I, str. 19.

wolenie; nawet radość ich wygląda na uciechę istoty, skrobiącej świerzby swoje<sup>1)</sup>. O Maurice'ie znów mówi: „Biedny Maurice jest dla mnie jednym z najmniej zajmujących ludzi, jakich spotykałem w towarzystwie pomiędzy osobami utalentowanymi; cały pokrzywiony, pokręcony, przesubtelizowany, pełen niespokojnej drażliwości, niezdolny w najwyższym stopniu do poddania się swobodnej grze sił natury swojej. Nie pamiętam, żeby wymówił kiedykolwiek słowo, któreby zdradzało w nim jasne poznanie czegoś lub zdrowe i swobodne współczucie z czemś<sup>2)</sup>. Zauważmy, iż każdy z tych oszczerczych frazesów może być zastosowany z doskonałą prawie dokładnością do samego Carlyle'a, i pomyślmy, ile stosunkowo były warte sądy tego człowieka.

Rzecz zdumiewająca, jak wiele zarzutów Carlyle'a zwraca się przeciw niemu samemu. „Z pewnością—pisał raz—rozkosz pogardzania, która była po wszystkie czasy i sama w sobie zbytkiem niebezpiecznym, jest daleko pewniejsza po zadaniu sobie pracy zbadania, niż przed nią<sup>3)</sup>. Porównajmy teraz własny jego stosunek późniejszy do darwinizmu i rozważmy doniosłość takiego z pomiędzy wielu innych ustępu o wiarogodności:

„Czy jednak zastanowiliście się dobrze nad rozbieżnością między myślą a faktem? Czy zastanowiliście się nad człowiekiem, którego sama myśl jest kłamstwem dla niego i dla nas? Jest to również człowiek straszny; powtarza na wsze strony po całym świecie rzeczy nieprawdziwe, pewny zwiastun zguby dla wszystkich, co idą za nim, co czerpią wiadomości z jego wiedzy! Jeżeli zaś chcecie wiedzieć, jak zdobywa się myśl kłamliwą, tedy powiem, że niemasz na to pewniejszej recepty nad rozwiązłość języka. Kto kłamie ustami, ten najwidoczniej oddawna przestał przestrzegać prawdy w myślach. Czy wogóle ten człowiek „myśli?“ Wszystkie jego myśli i wyobrażenia, jeżeli sięgają poza

<sup>1)</sup> *Ib.* str. 108.

<sup>2)</sup> *Ib.* str. 126.

<sup>3)</sup> Szkic p. n. *State of German Literature.*

dziedzinę dowcipów, podstępów i zmysłowości, są fałszywe, niezupełne, przewrotne, nieprawdziwe nawet dla niego samego. Stał się on fałszywym zwierciadłem wszechświata, i to nie małym jedynie zwierciadłem, lecz zwierciadłem wykrzywionem, przyćmionem i doszczętnie przewrotnem. Ale wszystkie języki rozwiązały się też pokrewne kłamliwym, są jaknajbardziej nieszczerze, mówią mało, a czynią wiele hałasu; mdła myśl leży daleko poza niemi, jeżeli wogóle znajdzie się poza niemi myśl jaka. Stopniowo szczupleje ona i znika! Jak może nie być fałszywą myśl takiego człowieka—to, co on zwie myślą<sup>1)</sup>).

Najokropniej może ze wszystkich zwraca się przeciw Carlyle'owi następujący sąd o Landorze:

„Mężczyzna wysokiego wzrostu, o siwych włosach i wielkich dziko biegających oczach; pełen jaknajbardziej niespokojnej, popędliwej żywości, której nie poskromiłoby najdoskonalsze wychowanie; w wyrażeniach nadużywający jaskrawo stopni najwyższych, w istocie przesadny bez miary; od czasu do czasu odzywający się... śmiechem nie dla igraszki, lecz z szyderstwa; człowiek dziki, którego żaden zasób wykształcenia nie zdołałby utrzymać w karchach! Jego władze umysłowe zdają się być tyleż słabemi, ile usposobienie gwałtownem; sąd o bylejakiej rzeczy, wychodzący z ust jego, snadniej może być błędnym, niż słusznym—według tego, czy wicher wewnętrzny pokazuje mu tę lub ową stronę przedmiotu, strony zaś przedmiotu są wszystkim, co ten człowiek widzieć może. Nie jest on oryginalny; po większej części każe tylko wzdychać, dostarczając widowiska pospolitych myśli, poszarpanych na strzępy....”<sup>2)</sup>

Zdumiewający zbieg podobieństwa.

### XIII.

Cofnijmy się na chwilę do pierwszego określenia naszego, w którym przedstawiliśmy Carlyle'a w świetle jego

<sup>1)</sup> *Latter Day Pamphlets* nr. V *Stump Orator* str. 171.

<sup>2)</sup> List do Emersona *Corr.* t. I, str. 277—8.

usposobienia, ulegającego silnemu parciu dziedziczności. Widzieliśmy, że Carlyle przyswajał sobie różnorodne kultury, nosząc przez czas jakiś barwy każdej. Pierwsze jego ogłoszone drukiem pisma mają styl powszechnie przyjęty ze śladami starannej, chociaż nigdy nie biernej uległości zwyczajowi taksamo, jak jego dawne listy literackie pisane są owym oplakanyym stylem listowym, właściwym pokoleniu po Sterne'ie i Johnsonie, stylem, który nas zdumiewa, pozwalając wnosić, do czego byłyby podobne własne nasze listy młodzieńcze, gdyby się przechowały. Potem idzie okres niemiecki, który pozostawił ślady wyraźne, zwłaszcza ślady wpływu Richtera, lubo Carlyle im przeczył <sup>1)</sup>, i stopniowo wykształca się charakterystyczny styl Carlyle'a, będący potężnym rozwinięciem stylu rozmów jego ojca; rozwój był wynikiem dużego odczytania, o którym mogliśmy nawet i bez świadectwa Sterne'a wiedzieć, że postępowało ku jego żywej radości <sup>2)</sup>. Mamy tu stopniowe odżywianie dziedziczności i usposobienia, porzucanie fałszywego mistycyzmu z czasów studenckich i stopniowe zajmowanie stanowiska, opartego na kilku potężnych skłonnościach zasadniczych: na gorącym wstręcie do słabości i zdrożności ludzkich, do wszelkiego rodzaju niewłaściwości, do bezrządu, do otwartego ateizmu, oraz na uwielbianiu wszelkiego mistrzostwa, którego moc rozciąga się na innych ludzi. Obaczmy teraz, w jaki sposób ten fizjologicznie wsteczny rozwój odbija się w politycznych lub społecznych pomysłach Carlyle'a. W zaraniu młodości jest on po prostu radykalistą, idąc w tym względzie bardziej za matką, niż za ojcem, i posuwając się do przesady. Wkrótce atoli zaczął zwracać się ku radykalizmowi bardziej zdrowemu, co musiał uczynić przy swoim usposobieniu, i zaczął rozwijać cezaryzm teoretyczny, ku któremu prowadził go już sam wstręt do demokracji. Przez czas pewien zachowywał bardzo silne—naprawdę nigdy nie stracił go zupełnie—współczucie dla nędzy i znoju, domagając się w spo-

---

<sup>1)</sup> *First Forty Years* t. I, str. 396—7.

<sup>2)</sup> Szkic o Richtercie i *First Forty Years* t. I, str. 396.

sób gwałtowny, choć może mało pouczający, żeby ci, którzy dają sobie miano klasy rządzącej, próbowali obmyśleć jakieś środki ocalenia pracowników od perjodycznych klęsk, wynikających z bezrządu przemysłowego. Rozumie się, że gdy przedstawia warunki przeszłe i teraźniejsze, nie zasługuje zgoła na wiarę. Podobnie, jak Ruskin, i po części dla tej samej przyczyny Carlyle fałszuje zawsze dzieje średniowieczne, wtedy nawet, gdy prawda błyszczy mu tuż przed oczami; brak mu cierpliwości do wyłonienia prawd ogólnych, lubo ma jej dosyć do wyszukiwania odosobnionych i czysto osobistych faktów z życia bohaterów swoich. Nie masz większego złudzenia nad pogląd, iż bezrząd społeczny albo *laissez-faire* jest wytworem rozwoju nowożytnego. Każdy, kto zechce badać pilnie historję, potrafi dostrzec, że bezrząd ten istniał zawsze, nawet obok najgrubszej tyranji, oraz że nędza przemysłowa była po wszystkie czasy w pewnej mierze chroniczną, aczkolwiek wśród nielicznej ludności średniowiecznej była o tyleż mniej nienormalną. Carlyle'owi nigdy zdaje się nie przychodziło do głowy, iż pozornie nowy bezrząd, który go otaczał, był w znacznym stopniu przyrostem arytmetycznym dawnego bezrządu, przyrostem, odpowiadającym takiemu przyrostowi ludności, jakiego Anglja nigdy przedtem nie widziała. Zastój lub przewrót w przemyśle skazują dziś na bezczynność setki albo tysiące ludzi, gdy dawniej dotykały ledwo dwa albo trzy tuziny; to dowodzi, jak zasadniczo powierzchowni, owszem nierozsądni jesteśmy wszyscy, robiąc wielkie rzeczy z nędzy, toczącej ogromne tłumy, lekceważąc zaś nędzę drobnych garstek, jak gdyby setka zgłodniałych cierpiała więcej od jednego. Nie cierpi więcej i cierpieć nie może. Bólu albo nędzy rozmaitych osób niepodobna dodawać tak, jak dodajemy paciorki albo sery; tysiące ludzi cierpiących są po prostu cierpiąciami jednostkami, z których każda cierpi przeciętnie nie więcej, niż cierpiał nędzarz średniowieczny. Wszystkich nas zwodzi psychologiczne złudzenie liczby. W kraju naszym (w Anglji) naprzykład tonie corocznie od 2000 do 3000 ludzi, po większej części po jednej osobie na raz; o tych wielu pojedynczych wypadkach czytamy po prostu z przemijającym

załem, jednakże porwałaby nas zgroza, gdyby odrazu utonąła połowa tej ilości, oczywiście gdyby to zdarzyło się blisko nas, bo wypadek taki w Chinach bardzo mało by nas wzruszył. Taksamo rzecz się ma z naszymi przesileniami przemysłowemi; liczby przedewszystkiem działają na nas, rodzając myśl, że w sprawach ludzkich zjawił się jakiś nowy pierwiastek złego. A Carlyle, człowiek wrażeń nerwowych i podniet nagłych, najsmadniej ze wszystkich odczuwał wpływ bodźców arytmetycznych.

Tymczasem ta powierzchowna, wrażliwość nasza jest na teraz główną rękojmnią postępu ludzkości, bo równoważy po części niezmierny wzrost liczby i gęstości zaludnienia; niema tedy potrzeby ganić Carlyle'a, chodzi tylko o wykazanie, o ile bardziej, niż inni, błędził on w przedmiotach historycznej treści. Jego stanowisko twierdzące zasługuje dosyć na pochwałę. Przedstawia w sposób bardzo wymowny zasadniczą bezsilność starej teorji wigów, gdy mówi o „sprawozdawcy edynburskim” (mylnie domyślano się w nim Macaulaya), który roztrząsał jego *Chartism*, że zasadą polityki wigów wobec nędzy klasy robotniczej było po prostu zdanie: „należy nauczyć świnię zdychać bez kwiku” <sup>1)</sup>; zasługuje też na zupełne uznanie, gdy wzbrania się przyjąć podobne wyjście z trudności, chociaż z drugiej strony obiera zbyt łatwą drogę, domagając się po prostu uczynienia czegoś, nie mówiąc zaś, co i jak należy czynić. Co się tyczy owego wielkiego zagadnienia ślepego przyrostu ludności, które tak słabo uderzyło Carlyle'a ze strony rzeczowej, chociaż budziło tyle poważnych wątpliwości w umysłach oględniejszych, Carlyle nie znalazł nic do powiedzenia poza całkiem surową radą empiryka, wskazującego na brak zaludnienia znacznej części powierzchni ziemi <sup>2)</sup>. Uczynić to spostrzeżenie mógłby i czyni jeszcze dotąd lada przechodzień uliczny, jak gdyby w tem spostrzeżeniu leżało rozwiązanie sprawy.

<sup>1)</sup> *London Life* t. I, str. 192.

<sup>2)</sup> *Sartor Resartus* t. III, roz. 4. W tym duchu deklamował do samego końca. *First Forty Years* t. II, str. 137.

Próbowano wyrozumieć, do czego byłaby podobna Anglja, rządzona według zasad Carlyle'a. Znalazłaby się w niej dla każdego praca krótkotrwała pod przewodnictwem „wodzów przemysłu” i pod zwierzchnim dozorem „naczelnego wodza”; w braku nauki społecznej ten stan rzeczy podwoiłby prawdopodobnie ludność w ciągu jakich lat dwudziestu. Gdyby przekonano się następnie, że pod wpływem zasady oszczędności albo ograniczania spożycia — znowu dla braku nauki społecznej—siła wytwórcza w gałęziach przemysłu, wyrabiających przedmioty powszechnego użytku, przewyższyła nagle popyt, to wobec braku wszelkiego wogóle pojęcia o pomnożeniu popytu na wytwory gatunków wyższych „wódz naczelny” ujrzałby się przypuszczalnie spowodowanym do usunięcia setek tysięcy zbytecznej ludności do miejsc, wskazanych przez Carlyle'a, do Mongolji chińskiej, do Ameryki południowej i tak dalej — zupełnie, jak przenosi się sztuki bydła. W takim stanie rzeczy gdyby nowe kolonie upadły, a doborowi wychodźcy uszli narzuconego im losu, głowa „naczelnego wodza” mogłaby znaleźć się w niejakiem niebezpieczeństwie.

#### XIV.

Z biegiem czasu w wystęпах Carlyle'a przebijają się coraz wyraźniej dwie nuty: przeczenie w nauce i nieludzkość w czynach. *Latter-Day Pamphlets* nużą hałaśliwem ponawianiem przycinków i oskarżeń, powtarzaniem imion Boga i czarta, nużą wówczas nawet, gdy się czuje, że strzała wymówki wymierzona jest trafnie; od znużenia zaś tym wirującym, jak koło młyńskie, wrzaskiem przechodzimy do gniewu na brak serca, widoczny w słowach autora. Przyjaciele Carlyle'a zapewniają, że w sprawach natury osobistej nienawidził on namiętnie okrucieństwa, a chociaż przytaczają wiele takich rysów litośnego współczucia, które, jak ufam, są wspólne połowie chyba wykształconych Anglików i wszystkim chyba wykształconym Angielkom, przecież miło jest wiedzieć bodaj, że Carlyle protestował z oburzeniem, gdy

w życiu prywatnem widział lub słyszał rzecz okrutną. Protesty jego rzecz naturalna były czasami bezzasadne, jak bezzasadnem bywało usprawiedliwianie okrucieństwa, gdy nie tyczyło się ono bezpośrednio jego interesów. Tak więc Carlyle strwoził wiele oburzenia z powodu rzucania żywych myszy do klatki z węzami w ogrodach zoologicznych <sup>1)</sup>, aczkolwiek zwyczaj ten jest z pewnością mniej okrutny od pospolitego łapania myszy w potrzaski, co niewątpliwie robiły jego własne kobiety. Jednocześnie ten sam człowiek tak drażliwy i porywczy wobec bardzo drobnego faktu, noszącego pozory okrucieństwa, widocznie zresztą mimowolnego, umiał znosić i lekceważyć okrucieństwa w rzeczach najstraszniejszych i najdzikszych, jeżeli tylko w grę wchodziły jego przesady. Weźmy dla przykładu—lubo tu brzmią już pierwiastki humoru—tę znakomitą historję, opowiedzianą przez Jamesa starszego, o słyszanej przezeń pewnego wieczora rozprawie między Carlyle'em a Tennysonem w przedmiocie czynów Wilhelma Zdobywcy. Carlyle rozmawiał stylem swej *Past and Present*, robiąc przytyki do ekonomji politycznej i wszelkich nowożytnych prądów materialistycznych, a deklamacyjne okresy swoje kończył westchnieniem: „O! gdybyż wróciły dni księcia Wilhelma!”

„Nadaremnie — powiada James — arkadyjski towarzysz Carlyle'a przypominał, że Anglja już nie jest Anglją księcia Wilhelma, ani nawet Oliwera Cromwella, jeno całkiem nową Anglją, z samowiedzą zupełnie nową i zgoła niepodobną do świadomości tamtoczesnej; Carlyle tem głośniej wyśpiewywał albo wywodził swoje nieuchronne i jedyne dyn-dyn: „O! gdybyż wróciły dni księcia Wilhelma!” Zmordowany nakoniec długotrwałą cierpliwością poeta zawołał: „Przypuszczam, że pan pochwaliłbyś swego księcia Wilhelma, gdyby znów obciął nogi tysiącu dwustu szlachcie kambrydzkiej i kazał okaleczonym pełzać po ziemi, żeby nadal nie mogli podnieść przeciw niemu oręża!” „Ach!—krzyknął wówczas uparty filozof, dostając po prostu kolek z radości, że

<sup>1)</sup> Conway, jak wyżej, str. 82.

tak nieostrożnie wywołano najwyższy jej wybuch—ach! był to niewątpliwie bardzo lichy uczynek ze strony księcia, bądź co bądź przecież księżę rozumiał, że ma do tego prawo, i ostatecznie miał je!“ „Pozwól mi pan w takim razie ostrzec swego bohatera—gdyby chciał wrócić—o jednej rzeczy — odparł praktycznie myślący przyjaciel Carlyle’a— a mianowicie żeby omijał starannie moje okolice, jeżeli nie chce wkrótce poczuć noża w brzuchu!“ Ta tchnąca oburzeniem i szczerą prostotą odpowiedź znakomitego poety—dodaje James— sama jedna rzeczywiście zapewniła owej obłudnej rozmowie trwały byt w pamięci mojej“ <sup>1)</sup>.

Nieszczera bezwątpienia była mowa Carlyle’a, bo nie potrafiłby on słuchać obojętnie o takim krwawym czynie współczesnym, dokonany przez Bismarka. Teorje swe stosował po większej części do czasu przeszłego; gdyby wypadło wypróbować je w teraźniejszości, snadnieby się rozpadły. Tak naprzykład widzimy, że Napoleona III Carlyle zawczasu ogłosił za „największą świnie, jaka kiedykolwiek zjawić się może“ <sup>2)</sup>, chociaż politykę i postępowanie jego wychwalałby niezawodnie pod niebiosa, gdyby zdarzyły się w poprzednim stuleciu; żyjąc współcześnie, nie mógł znaleźć dla nich uznania. A Conway, przyznając ze smutkiem, że Carlyle do gruntu mylił się w sądach o amerykańskiej sprawie niewolniczej i o wojnie domowej, opowiada, że kiedy na przechadzce w Hyde Parku opisywał Carlyle’owi niektóre okrucieństwa, jakich dopuszczali się południowi posiadacze niewolników, mędrzec, folgując oburzeniu swemu, robił uwagi tak głośne i namiętne, że to zwracało ciekawość przechodniów. Tak jest, w tym względzie można zawsze polegać na Carlyle’u. Czyż jednak usprawiedliwia popularnego i wpływowego nauczyciela fakt, że błędząc najokropniej w wykładach nauki swojej, przeznaczonych dla powszechności, broniąc okrucieństwa i niesprawiedliwości,

<sup>1)</sup> *Atlantic Monthly* jak wyżej, str. 597.

<sup>2)</sup> Conway, jak wyżej, str. 91. Conway mówi, że od czasu wystąpienia Bismarka przeciw katolicyzmowi Carlyle przestał mówić o nim.

a wyszydzać litość i prawość, miał w sobie odrobinę dobrego, jeśli spojrzymy nań wprost ze strony życia wyłącznie prywatnego? Zaiste obrona Carlyle'a przez niektórych jego przyjaciół nieraz brzmi zupełnie tak, jak opowieść kapitana Cuttle'a o zaletach jego zegarka. Dość „cofnąć go co rano o półgodziny, i po południu znów około kwadransa, a można zaufać temu zegarkowi.“

Niestety ludziom przez długi jeszcze czas nie wystarczy taki chronometr. Widzieć oni nie przestaną, że Carlyle lekkomyślnie głosił niesprawiedliwość i nieludzkość, że w złe dzieła swoje kładł tyle zapалу, ile nigdy może nie kładł w dobre. Jego „Historja Fryderyka“ jest w połowie gorszącym fałszowaniem najpoważniejszych zagadnień moralnych w celu dowiedzenia, że bohater miał słuszność, gdy postępował źle! A cóż powiemy o pamflecie, w którym Carlyle, natchniony popędem z gruntu złośliwym, a przybranym w dumę żarliwości moralnej, z największą zapalczywością zwalcza i zniesławia usiłowania mężów, którzy w imię uczuć ludzkości chcieli, żeby ze zbrodniarzami obchodzić się rozsądnie i uczciwie, jak z istotami moralnie choremi, nie zaś jak z dzikimi zwierzętami? Wyznaję, że nigdy nie mogłem czytać bez oburzenia tych wrzących zajadłością kartek. Przerzucając je, doznajemy wrażenia, jak gdybyśmy stali przed mnóstwem zamkniętych w klatce kalek moralnych, chromych i ślepych na sumieniu, ciemnych dusz ludzkich, pokręconych i pokurczonych jeszcze w łonie matek, nędznych przejawów złego, które istniało od założenia świata, obciążone sownicie przekleństwem piekła i jego popędów, które w zwierzęta mięsożerne włożyły żądzę grabieży; widzimy zdaje się, jak przed nimi przechadza się ten prorok ochrypli, zgrzytając zębami, hukając, warcząc, jak zwierzę drapieżny. Czyż najbardziej bydlęce popędy rasy mają kierować ludźmi cywilizowanymi i przyświecać postępowaniu ich ze współbraćmi, ukształtowanymi potwornie? Czyż potrzeba było dopiero moralisty z zawodu, moralisty, przemawiającego w imieniu Boga, aby zalecać sposób postępowania, który w wiekach zwierzęcej dzikości był swobodnie wyznawany przez pierwszego lepszego brutala, jako rzecz, zrozū-

miała sama przez się? Cały pamflet jest zniewagą dobroci i zdrowej moralności; hałaśliwie i dobitnie obwołuje on najsurowsze i najnienawistniejsze popędy, jakimi od czasów niepamiętnych ludzie powodowali się w postępowaniu ze zbrodnią rzeczywistą i sztuczną. Popędy oprawcy, popędy, które wstrząsają motłochem na widok czarnej chorągwi, wywieszanej nad więzieniem -- oto motywy więziennej teorii Carlyle'a.

Zauważmy teraz, jakim oszustwem stała się jego transcendentalna teoria Boga i ludzkości. Zachęciwszy w wyrazach, tchnących srogością, do jaknajbardziej okrutnego pastwienia się nad nędznikami, o których pisze, narozkoszowawszy się myślą o chłości, o sprowadzeniu życia zbrodniarzy do stanu ponurej niedoli, Carlyle napół zrzeka się własnego okrucieństwa i śladem wieków barbarzyńskiej ciemnoty układa sofizmat teologiczny, mający dowieść, że nienawiść, którą czuje do tych ludzi wyrodnych, jest boskiego, nie zaś djabelskiego pochodzenia, że sam Bóg ich nienawidzi, muszą więc nienawidzić i jego wyznawcy. Tak zastosowany został do etyki idealizm Fichtego! Wszystko przenikający „duch“, nieskończony „życiciel“ wszechświata, który stworzył zjawiska moralne taksamo, jak stwarza wszelkie, który w ciemnościach i w świetle rozwija „myśl boską“, ma wyrwać kartę z księgi moralności stworzonych przez się jadowitych robaków, ma znienawidzić marną glinę, którą kształtowały własne jego ręce! I to jest deizmem i filozofją idealistyczną! i człowieka, który wygłasza takie zdania, mamy stawiać w szeregu myślicieli i moralistów! Niestety! niestety!

Wobec takiego gorszącego uwodzenia ludzi na bezdroża cóż wart jest fakt, że prorok, starzejąc się, składał dowody coraz większej dobroci w życiu prywatnem? <sup>1)</sup> Czyż

---

1) Obacz hołdy, składane przez Froude'a łagodności i szlachetności Carlyle'a. *London Life* t. II, str. 255, 456. Ale obrazy tych powabnych rysów, malowane przez Froude'a, nie mogą być uznane za zupełne. Porównaj Shepherda *Life* t. II, str. 268.

to choć trochę zmniejszyła zrządzoną szkodę? Z tego jednego względu mniemam, że Carlyle w znacznej mierze dźwiga odpowiedzialność za fakt, iż system nasz obchodzenia się ze zbrodniarzami po szybkim rozwoju w kierunku większej łagodności i stosowania środków światlejszych stanął w miejscu i pozostał głupio zachowawczym, a nadewszystko niesprawiedliwym. Na szczęście w innych dziedzinach, w których nauka Carlyle'a była równie zła, nie zdołał on zrządzić takiej szkody. Ułatwiał rozpowszechnianie w Anglii jaknajbardziej niegodnych uczuć co do amerykańskiej wojny domowej, lecz nie zdołał ich utrwalić, a stawszy się skutkiem zaślepienia swego godnym politowania w oczach wszystkich ludzi rozumnych, zaczął w pewnej mierze żałować nieszczęśliwego swojego błędu i nawet starał się w sposób nieco patetyczny uczynić zadość sumieniu przez obdarowanie księgozbiorem uniwersytetu Harvarda. Miejmy nadzieję, że posiew prawych uczuć, rzucony przez Carlyle'a wspólnie z chwastami teorii politycznych, rozpowszechnianych po własnym kraju, stanowić będzie dzisiaj nagrodę głębokiej doniosłości za krzywdy, zrządzone przez deptanie dobrego ziarna, rozsiewanego przez innych mężów. Pod koniec życia Carlyle z goryczą powtarzał, że ludzie, oddając mu cześć, bynajmniej nie wierzyli mu ani nie słuchali jego nauk <sup>1)</sup>; te same właśnie zastrzeżenia czynił później Ruskin. Należy się cieszyć z tego, o ile chodzi o pogląd Carlyle'a na prawdziwą metodę. Szkoła jego pozostała na szczęście bezsilną pod względem wpływu na kierunek działalności narodowej; powiadam: na szczęście, ponieważ z wyjątkiem Ruskina, którego głęboka wiedza życiowa rzucała cenne światło, szkoła wpadała w błędy coraz gorsze. Najlepszym może owocem jej był Kingsley, który, aczkolwiek gotów był wraz z innymi wynosić pod niebiosa działalność gubernatora Jamajki Eyre'a, zachował przecież dość zdrowej męskości i demokratyczności, żeby rozkoszować się taką książką, jak *Liberty* Milla, i przyznać, że przeczytanie jej uczyniło go natychmiast

---

<sup>1)</sup> Froude *First Forty Years* t. II, str. 478.

lepszem <sup>1)</sup>, przyznać to w chwili, gdy mistrz jego rzucał na książkę kłątwy. Ale dodatni wpływ Kingsleya został w polowie zniweczony przez jego nerwowość i czułośćkowość, które dla nauki są trucizną; cieszyć się też powinniśmy z tego, że Froude, w którym te same właściwości stawały się bardziej zaczepnemi w miarę, jak puszczał w świat nowe książki, szybko podkopał ujemny swój wpływ. Kiedy się rozważy jego źle ukryty szowinizm, jego błahą i bezcelową retorykę, jego brak szczerej przenikliwości politycznej <sup>2)</sup>, człowiek dziwi się, coby powiedział o tem nawet przy swoich słabnących władzach umysłowych Carlyle, gdyby mógł być żyć tak długo. Słyszałem opowiadanie—być może zmyślone—o tem, jak pewnego razu prorok odprawił poczytnego noweliste, gdy ten przyszedł szukać u niego współczucia.— „Pozwól pan sobie powiedzieć—zawołał jak mówią mędrzec, wychylając się przez poręcz schodów, po których schodził już gość—że pan dążysz prosto w łapy diabła i to w dodatku drogą, po której kroczy pospólstwo!“ Przestrogi tej nie możnaby już dziś zastosować do Froude'a, kroczącego przez *Oceana* do *The Two Chiefs of Dunboy*, a przez *Two Chiefs* wreszcie do *Life of Beaconsfield*.

## XV.

Dziwną jest poniekąd rzeczą przekonać się za pomocą takiego zestawienia, że życiorys, napisany przez wychowawca i wielbiciela, stał się powodem podania mistrza w powszechną nieufność. Rozumie się, że w drobnej części było to do przewidzenia. Żaden mąż, zajmujący wysokie stanowisko literackie i moralne, nie uniknął skutków ogłoszenia z całkowitą dokładnością dziejów swego życia; spadał on

1) Prof. Bain *J. S. Mill* str. 112; *Kingsley Life* t. II str. 83.

2) We Froude'zie znajdujemy braki nawet z niwy-karłajłowskiemu punktu widzenia. Ruskin w r. 1880 zauważył, że „słowa Froude'a z każdym rokiem stawały się bardziej chwiejne i bezradne“ (*Fors Clavigera* nowy poczet, IV, str. 111).

niewo z wysokiego poziomu, na który wyniosła go powszechna cześć bohaterów. Dr. Johnson musiał spaść w ten sposób w oczach postronnej publiczności, czczącej w nim moralistę, gdy zaczęto czytać szczegóły w Boswellu; w ten sam sposób z pewnością ucierpiał Scott tak, iż ludzie oskarżali Lockharta o złośliwą niechęć względem swego teścia <sup>1)</sup>; taksamo w oczach wielu z nas ucierpiał Jerzy Eliot, na Carlyle'u zaś przed wszystkimi innymi sprawdzić się musiało to zjawisko. Tytu czytelników czytało pobieżnie utwory jego i czciło go, nie zdając sobie dobrze sprawy z powodu, że wyraziste zarysowanie osobistości Carlyle'a w życiu codziennem, dokonane z odrobiną bodaj otwartości—a Froude był pod tym względem chwalebnie otwarty — musiało niezbędnie wywołać rozległe poruszenie w sercach. Wielbiciel Carlyle'a powiadają, że to uczucie zawodu przejdzie, a Carlyle powróci na swój dawny piedestał. Ufam i wierzę, iż przepowiednia się nie ziści. Nie mogę zrozumieć, żeby mętne i pełne grubych uprzedzeń teorie Carlyle'a zdołały kiedykolwiek znowu wydać się w całości ludziom wykształconym wynurzeniami mądrego i głębokiego myśliciela, bądź to w dziedzinie etyki, bądź polityki, bądź filozofji. Ale zato może się zdarzyć ku pożytkowi ogólnemu, że podczas gdy krzyczące błędy Carlyle'a stawać się będą coraz bardziej namacalnemi dla wszystkich, parę jego prawdziwych spostrzeżeń, żywotnych i jasnych, zdołają dźwignąć się przed wzrokiem narodu i, oczyszczone z szumowin, pozyskać przychylność powszechną. Jakkolwiek postępował Carlyle, głosił przeciw szczerość, uczciwość i powagę we wszystkim, a co się tyczy biegu życia narodowego, nastawał gwałtownie na to, że pomyślność ogólna kwitnąć nie może tam, gdzie całemu przemysłowi przyświecają jedynie przypadkowe widoki współzawodniczących z sobą interesów osobistych. O tej zasadzie powinniśmy pamiętać w ciągu niniejszego badania naszego. Wzięta osobno, znaczy ona istotnie mało. Raz po raz należy chwytąć sposobność powtarzania, że sam po-

---

1) Obacz szkic Carlyle'a o Scott'cie, wstęp.

pęd, samo pragnienie nie rozwiążą nigdy zagadnień społecznych, jeśli nie zdobędziemy zupełnej znajomości tych zagadnień. Ludzie narwani powtarzają nam teraz, że kwestje społeczne idą do rozwiązania przez działalność Armji Zbawienia, instytucji, która opiera się na halucynacjach, rozkwita na gruncie nieuctwa i przesądności. Nic z niej nie wyniknie. Halucynacje nie ocaliły nigdy i nie ocalą państwa; wystarczy zresztą przypomnieć ludziom rozsądnym, że zjawisko to jest rzeczywiście miarą szczególnego umysłowego zacofania Anglików, jest wyłączną właściwością Anglii, a narody lądowe patrzą na nie ze zdziwieniem i pogardą. Fakt, że czciciele Carlyle'a wiążą je obecnie z imieniem jego <sup>1)</sup>, dowodzi rozwoju w tym kierunku nowej zemsty dziejowej.

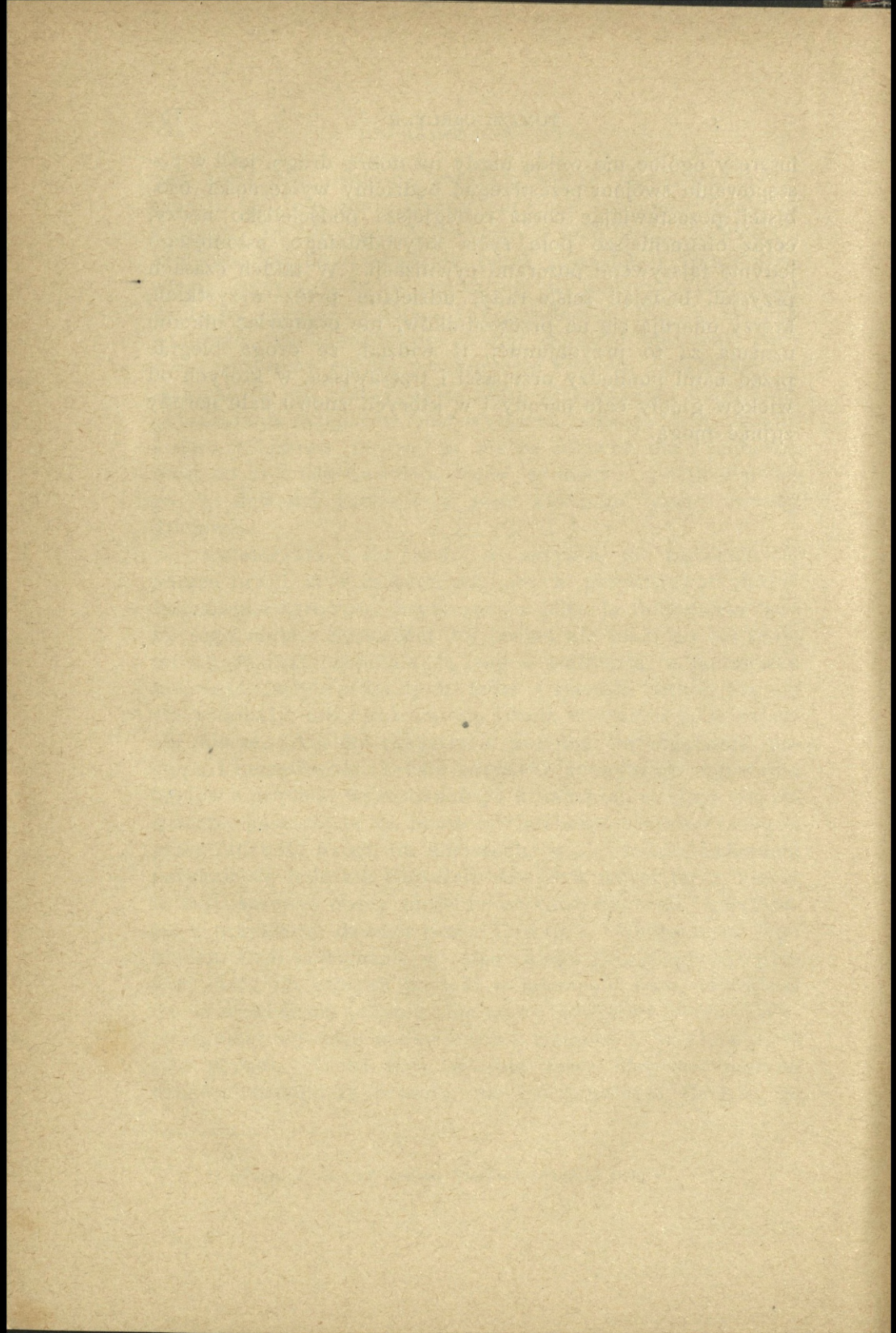
Ostatecznie o ile chodzi o Carlyle'a, nie zarzekam się odrazu myśli, iż w czasach potomnych przewidywać można złagodzenie surowości krytycznej, z jaką ja dokonałem oceny tego męża. Surowości tej bronić nie mam po co; zdaje mi się, że fakty zupełnie ją usprawiedliwiają, a nadmierna surowość Carlyle'a dla tych ludzi i zjawisk, które mu się nie podobały, lub z którymi się różnił, wywołała ją w znacznej mierze. Ale dla przyszłych pokoleń świadectwem postępu i szczęśliwości będzie zdolność spokojnego oglądania błędów Carlyle'a, wyrozumiałego uznania ich za słupy ostrzegawcze, postawione na miejscach niebezpiecznych przebytej przez ludzkość drogi, na miejscach, gdzie ludzie zaślepieni potykali się boleśnie i upadali. Owszem nawet teraz, nawet w toku surowej oceny możemy uniknąć złej woli, korzystając z przykładu, danego przez Carlyle'a. Najgorszym jego błędem było podsycanie w sobie całego roju ślepych wstrętów, skutkiem których doszedł w końcu do tego, że widział we wszechświecie jedynie zbieraninę żywiółów złego. Wystrzegajmy się więc nadewszystko ciemności, w które Carlyle popadł. Naród nasz właśnie teraz dopiero zaczyna uznawać zasadniczą prawdę, na którą nalegał Carlyle, że

---

1) Obacz *Review of Reviews* Steada z września 1890 r.

interesy ogólne nie wejdą nigdy na dobrą drogę, jeśli w postępowaniu swoim przestrzegać będziemy wyłączności osobistej, pozostawiając coraz rozleglejsze podścielisko nędzy, coraz obszerniejsze pole życia zwyrodniałego, osłoniętego jedynie fałszywymi pozorami cywilizacji. W takich czasach przystoi, badając ściśle rady, udzielane przez wszystkich, którzy ofiarują się na przewodników, nie odmawiać nikomu uznania za to przynajmniej, iż widział, że droga biegnie przed nami pomiędzy przepaści i trzęsawiska, w których od wieków ginęły całe narody i w których znowu całe narody zginąć mogą.

---



## Jan Stuart Mill.

---

**J**AN STUART MILL urodził się w Londynie 20 maja 1806 roku. Wychowywał się i kształcił w domu pod kierunkiem ojca zgoła inaczej, niż wszystkie dzieci. W 3-im roku życia zaczął się uczyć po grecku, a w 14-ym mógł już czytać w oryginałach utwory pisarzy greckich i łacińskich; w 14-ym też roku uczył się ekonomji politycznej. Pozostawał całkowicie pod wpływem ojca, i dopiero podróż do Francji (w 1820 r.), gdzie odwiedzał rodzinę Benthamów, zaszczepliła w jego duszy—obok żywego zajęcia politycznemi i społecznemi stosunkami Francji — pewne popędy niezależności myślowej. Zresztą uważał zawsze ojca za swego mistrza. Pierwszy artykuł swój wydrukował w r. 1822 w czasopiśmie *Traveller*. W 1823 r. wstąpił do biura Kompanji Indyjskiej i pracował tam do końca istnienia Kompanji, t. j. do roku 1858, kiedy wyszedł ze służby, jako naczelnik wydziału, nie przyjąwszy proponowanej przez lorda Derby posady w Radzie Indyjskiej. Między rokiem 1823 a 1826 był członkiem małego „Towarzystwa Utylitarystów“, które zbierało się w domu Jeremjasza Benthama, a od 1825 do 1829 r. brał udział w zebraniach nowego towarzystwa filozoficznego *Speculative Society*, gdzie poznał i zaprzyjaźnił się z Maurice'em i Sterlingiem. Zasiadał artykułami czasopismo *Westminster Review*, założone przez utylitarystów. W r. 1843 wydał *System of Logic*, w r. 1848 *Principles of Political Economy*, w r. 1859 *On Liberty*, w r. 1861 *Utilitarianism*, w r. 1865 *Examinations of sir W. Hamilton Philosophy*. Od r. 1865 do 1868 zasiadał w parlamencie,

gdzie głosował zwykle z radykalistami, a podczas rozpraw nad bilem o reformach (1867 r.) odznaczył się gorliwą obroną praw wyborczych kobiet (w roku 1869 wydał *Subjection of Women*). Zmarł i pochowany w Avignon'ie 8 maja 1873 r. Już po jego śmierci ogłoszono drukiem *Autobiography i Thre Essays on Religion* (Przyp. tłum.).

## I.

**P**rzechodzić od osobistości Carlyle'a do osobistości Millarza znaczy to zwracać się od ducha burzliwego i przewrotnego do spokojnego i pełnego ludzkości umysłu, którego rysy w tak sprzecznym zestawieniu stają się tem bardziej ujmującymi i miłymi. Różnica między obu myślicielami da się wyrazić pobieżnie przez porównanie ich z dwoma krajobrazami. Na jednym więc ujrzymy naprzykład okolicę poszarpaną i wulkaniczną, oświetlaną przerywanym płomieniem coraz ponawiających się wybuchów; luna ich rozjaśnia od czasu do czasu wzgórze i doliny tak wyraziście, że w tym blasku nieziemskim widać, jak na dłoni, odwieczne pokłady lawy i pełzające po niej węże, a tło dalsze, nakrapiane tu i owdzie ognistemi szczytami, tem bardziej przeraża i przynębia. Na drugim obrazie widać, dajmy na to, okolicę, oblaną światłem słonecznym w poranek zimowy, pod koniec pory mroźnej, przed nadejściem wiosny. Drzewa, nie poruszane najłżejszym wiatrem, stoją bezlistne, lecz wdzięczne w czystym suchym blasku, a chociaż na niektórych szczytach dalekiego pasma gór wiszą zasłony chmurne, przecież widoki są jasne i pogodne, w orzeźwiająjącym zaś chłodzie powietrza czuć nieuchwytnie powiewy nadchodzącego ciepła i życia. Wszelkie jednak porównania mogą być źle pomyślane, to też dla wielu oczu oba krajobrazy, odmalowane przez nas, gdyby oglądać je pod innym niebem, wydałyby się dziwnie odmiennymi.

Wszyscy jednak przyznają, że dwaj myśliciele, o których mowa, różnią się głęboko pod względem usposobień, a różnica ta oddziaływa na wszystkie ich sprawy myślowe, w następstwie zaś i na wnioski tak dalece, że chociaż obu

pasowano na odszczepieńców, i chociaż obaj pod pewnym względem zgadzają się prawie w pojęciach i ideałach, przecież różnią się bardziej niemal, niż jakiegokolwiek bądź typy, powszechnie uchodzące za przeciwstawne, niż naprzykład radykałiści i torysi, poeci i uczeni albo katolicy i ateści. Należy jednak pamiętać, jako o rzeczy ważnej, że obaj ci myśliciele, spotkawszy się po raz pierwszy w latach młodzieńczych, wzajemnie się przyciągali i podobali; wypada też zaznaczyć, jako rzecz ciekawą, że obaj pochodzili z rodów północnych—odmiennych, a przecież charakterystycznie szkockich. W Jakóbie Millu równie łatwo rozpoznać typ północny—lubo podejrzewam, że takie odmienne typy są we wszystkich szczepach—jak w Jakóbie Carlyle’u, tylko że wypadaloby naturalnie porównywać wykształconego Milla z Tomaszem Carlyle’em raczej, niż z jego niewykształconym ojcem. W długi czas potem Mill młodszy w jednym ze swych najświetniejszych dzieł bronił poglądu, że wszelkie ogólne systemy wychowawcze są „jedynie sposobami, wynalezionymi w celu urabiania ludzi tak, iżby byli dokładnie podobni jeden do drugiego” <sup>1)</sup>. Myślę jednak, że kłopotliwą byłoby dlań rzeczą znalezienie dwóch umysłów bardziej odmiennych, niż ojciec jego i Tomasz Carlyle, aczkolwiek obaj ci ludzie prowadzeni byli według istotnie tego samego systemu wychowawczego. Matka Jakóba Milla, kobieta dumna, nie pozbawiona pewnych uroszczeń co do rodowego pochodzenia swego i żądna wyniesienia się przez syna, wpłynęła zdaje się znacznie na małżonka swego, dobrodusznego szewca wiejskiego, żeby odrazu dać chłopcu wykształcenie dobre, lepsze nawet, niż uznawano za potrzebne dla księdza; później dopiero wtrącił się dziedzic, który oddał chłopca do kolegium. W ten sposób Jakób Mill posiadał wykształcenie zupełniejsze, niż Carlyle. Pierwszy przybył do Edynburga w ośmnastym, drugi w czternastym roku życia, jak robiła wówczas większość. Pod jednym względem obaj poszli tą samą drogą; obaj zmierzali do stanu duchownego, obaj własną pracą myślową dotarli do niewiary i obaj

1) *On Liberty* rozdz. V, wyd. lud., str. 63.

odwrócili się od projektowanego zawodu, Mill jednak zdażył rzeczywiście uzyskać stopień kaznodziei i uczynił zrzeczenie rozważniej, jak przystało jego dojrzałszemu wiekowi <sup>1)</sup>. Na tem kończy się tożsamość, o ile chodzi o poglądy. Przez czas pewien Carlyle był radykalistą, lecz nie był nim nigdy na sposób Jakóba Milla, i ogólna postawa życiowa obu mężów była całkowicie przeciwna. Mill był dobrym hellenistą, czem Carlyle nie stał się nigdy, a w młodości, jakkolwiek był już wówczas nawet racjonalistą i utylitarystą, Mill w znacznej mierze czerpał pokarm z Platona, co znów służy za dowód, że kierunek wychowania wcale nie określa na pewno kierunku myślowego. Spodziewalibyśmy się raczej, że Carlyle, nie zaś Mill będzie wyznawcą Platona, widzimy wszakże co innego. Carlyle nie studjował zdaje się Platona nawet w rzekomo mistycznym okresie życia swego, a później nie mógł wytrwać nad nim nawet na usilne nalegania Emersona, chociaż potem rozkoszował się nim, jako przeciwnikiem demokracji, podczas gdy Millowie, ojciec i syn, kolejno znajdowali w filozofji myśliciela, uważanego przez Emersona za transcendentalistę, najlepsze przygotowanie do pracy na polu ścisłej nauki moralności.

Jakób Mill i Tomasz Carlyle są do pewnego stopnia podobni ze swej ufności w siebie, z prostoty życia i obojętności na to, czego ludzie zwykle poszukują, jako źródła przyjemności, ale Mill, przybywszy do Londynu, pracował daleko ciężiej, niż Carlyle, i co więcej nie krzyczał o tem na lewo i na prawo i pod tym względem, jak mniemam, był bardziej Szkotem. Obaż mężowie byli doskonałemi mówcami, ale Jakób Mill mówił, aby przekonywać, i przekonywał, podczas gdy Carlyle, jak powiedziałem poprzednio, w rozmowie nie próbował przekonywać, i jeżeli wogóle podbijał ludzi, to raczej siłą wpływu magnetycznego, niż rozumowaniem. Zresztą zarówno niezależni, zarówno wymagający i rozkazujący, zdążali oni ku celom nader różnym. Jakób

---

<sup>1)</sup> Wyzwolono go na kaznodzieję w dwudziestym szóstym roku życia. Dr. Bain *James Mill: a Biography* str. 22.

Mill chociaż człowiek drażliwego i gorącego usposobienia, był do głębi duszy myślicielem, rozumującym analitykiem i miłośnikiem swobody, gdy Carlyle był człowiekiem nadewszystko uczuciowym, prorokiem i w teorii apostołem władzy tyrańskiej. Zdaje się, że nie spotykali się oni nigdy, bo Mill umarł wkrótce po tem, jak Carlyle osiadł w Londynie, a z poglądów jego na pierwsze szkice Carlyle'a, drukowane po czasopismach <sup>1)</sup>, możemy śmiało wnosić, że ludzie ci nie uczuliby nigdy wzajemnego pociągu. Jan Mill trzymał wówczas w sposób godny uwagi stronę obu.

## II.

Daremna rzecz rozprawiać, do czego byłby podobny syn Carlyle'a, gdyby ten go miał. Teorja dziedziczności u ludzi niezdolna jest dotąd stawiać ścisłych przepowiedni, aczkolwiek jej wyjaśnienia wsteczne są dość przekonujące, a przykład, dajmy na to, Jana Milla nie nastęrcza żadnych trudności. Jakób Mill ożenił się z Angielką, kobietą widocznie niezbyt silnego charakteru, to też w jej synu północny granit ojcowski przeobraził się w coś mniej twardego, bardziej podatnego, bardziej powabnego, a jednocześnie być może mniej mocnego. Do przymiotów wyraźnie odziedziczonych należały w nim: wysoki duch obywatelski, prawość, niezachwiana cześć prawdy i sprawiedliwości oraz zdolność myślenia logicznego, którą odznaczał się jego ojciec; pochodząc zaś z takiego rodu i zaczawszy swe znakomite wychowanie pod okiem ojca w latach życia najbardziej giętkich, Jan Mill jest istotnie przykładem nader wysokiego rozwoju umysłowego. Złożyły się na ten rozwój dwa pokolenia, najrozsądniej uprawiające głębę jaknajbardziej urodzajną. Można by powiedzieć, że Jan Mill był o półtora pokolenia bliżej nauki moralności, niż Carlyle, w chwili, gdy obaj się

---

<sup>1)</sup> „Nie widział w nich aż do ostatka nic więcej, jak tylko szalone ramoty.“ J. S. Mill *Autobiography* str. 161.

spotkali. W krytykę życia Carlyle włożył potężną swą intuicję, swe uprzedzenia, swą wyobraźnię, swą powagę, swe odrazy i wstręty, zasadniczą niewyrozumiałość swoją i brak filozofji, podczas gdy młody Mill włożył w etykę umysł wrażliwy na najrozmaitsze wpływy, umysł, któremu brakowało może niejednej władzy wrodzonej, lecz który posiadał zato szczególną i wybitną zdolność przyswajania pierwiastków dobrych z cudzych poglądów intuicyjnych, jeśli te były dobre, unikania zaś zarazy, gdy te poglądy były złe. Wyćwiczono go także i przyuczono, jak nie przyuczano żadnego młodego Anglika za jego czasów, badać treść wierzeń i dowodów cudzych, własne zaś nabywać za pomocą spójnego i stosownego rozumowania. Dzięki takiemu wyćwiczeniu i własnej wrodzonej słodyczy usposobienia Mill stał się racjonalistą typu najbardziej pociągającego, racjonalistą wszechstronnym, a jednak gruntownym, poświęconym nauce, a jednak samorzutnie współczującym z pojęciami ludzi o zupełnie odmiennych skłonnościach.

Powiedziałem o nim <sup>1)</sup>, że miał gienjalny zmysł sprawiedliwości, i że w tem leżała tajemnica jego wpływu; jednak ważąc zdanie powyższe, powątpiewam o jego zupełnej stosowności. Ta otwarta pojętność umysłu Milla jest w istocie jednym z najbardziej ujmujących darów, ale gienjalny zmysł sprawiedliwości lub przynajmniej najwyższa zmysłu tego gienjalność polega być może nieco mniej na wrażliwości, a nieco więcej na wiedzy. Przeglądając na chłodno jego życie i dzieła, uświadamiamy sobie pewną ze współczucia płynącą krańcowość, która wciąż od czasu do czasu popychała go lekko bądź ku tej, bądź ku owej stronie prawdy, wtrącając niekiedy w pesymizm, niekiedy w optymizm, niekiedy w ton wrogi, niekiedy w wychwalający; najczęściej i najdalej naprawdę posuwał się w tym ostatnim kierunku, lecz zawsze z myślą czystą i wzniosłą, a nigdy prawie z pobudek błahych. Weźmy dla przykładu jego stosunek krytyczny do szkoły, w której go wychowano, szkoły Ben-

---

<sup>1)</sup> W programowym skrócie wykładu i gdzieindziej.

thama i do szkoły najbardziej sprzecznej z pierwszą, szkoły transcendentalistów, której przedstawicielem w Anglii był Coleridge. Z pewnością nikomu nie można było wówczas bardziej zaufać w wymiarze ściśle bezstronnej sprawiedliwości dwu tak przeciwnym szkołom, Mill jednak, jak sam przyznaje w „Autobiografji” swojej, do pewnego stopnia przeciągnął strunę na korzyść Coleridge’a z krzywdą Benthama. Podaje on charakterystyczne faktu tego wyjaśnienie, że pisząc dla czytelników, którzy hołdowali utylitaryzmowi, rozumiał za rzecz stosowną położyć szczególny nacisk na błędy bentamizmu i na mocne strony szkoły Coleridge’a, czytelnicy bowiem jego właśnie szczególnie pochopni byli prześlepiąć obie te rzeczy; w innych zato pismach swoich wyrównał nacisk na oba w mowie będące rodzaje tematów. Rzecz jednak wątpliwa, czy było to czynem sprawiedliwym albo politycznym. Z pewnością taksamo nie mamy prawa nacierać zbyt ostro na stronę przeciwną, jak i na własną, z pewnością też Mill zapomniał, że zarówno szczególna pochwała, udzielona wrogowi, jak i szczególna nagana, udzielona przyjacielowi, prawdopodobnie obie zawiele korzyści przynoszą interesom nieprzyjaciela. W danym też razie w Anglii na pewno nie transcendentalizm najbardziej potrzebował pomocy. Gdy przyjdzie kolej na omawianie ostatnich zdań Milla o religji, ujrzymy się istotnie wobec faktów, które nasuwają domysł, że Mill—jakkolwiek wyjaśnialibyśmy to za pomocą dziedziczności—miał rzeczywiście w usposobieniu pewną skłonność do tradycyjnych trącających nadprzyrodzonością poglądów na życie, do poglądów, z których zdołała wyrosć najbardziej niewzruszenie logiczna umysłowość ojca jego. W rzeczy samej dochodzimy do przekonania, że gdyby nie wychowanie i nauki, udzielone przez ojca, Mill przez całe życie byłby bliższy nadprzyrodzoności. Z pewnością krytyka jego jest w najwyższym stopniu pobłażliwa dla jaskrawych wad umysłowych Coleridge’a, gdy jednocześnie z wielką pracowitością i po części, jak sądzę, z przesadą nastaje na błędy Benthama; chwalenie zaś Benthama za inne rzeczy na pewno nie jest gorętsze od pochwał, udzielanych Coleridge’owi. Czytając uwagi nad Benthamem i czując, że pod pewnemi

względami były one dobrze uzasadnione, czuć muszę zarazem, iż dla niektórych wielce istotnych przymiotów Bentham był bliższy stanowiska naukowego i ducha naukowego w moralności, niż jego krytyk. Wiedza jego była niezupełna, musiała być niezupełna, nawet gdyby Bentham miał więcej chęci uczenia się od innych, torował on bowiem dopiero drogę; ale przy niezupełnej wiedzy Bentham miał dar zimnej krwi, której Mill nigdy nie zdobył całkowicie. W Benthamie spotykamy, jak słusznie wykazuje Mill, znakomite połączenie potężnego natchnienia moralnego z władzą zimnego rozbiierania zagadnień moralnych. Cała historia nauki wciąż dowodzi, że do nauki moralności, jeżeli ma ona być zdrową, należy brać się w duchu tak beznamiętnym, jaki ożywia chemika, pracującego nad tyglami swojemi. Kochając czynnie dobre lub nienawidząc złego, możemy dokonać najcenniejszego czynu moralnego, lecz nie filozofować. Mill zaś w porównaniu z przeciętnymi ludźmi posiada usposobienie przedziwnie filozoficzne, wszakże rzeczywisty zapał jego dla ludzkości przeszkadzał mu zdobyć się na metodę bezwzględnie naukową. Bentham znowu był istotnie nienaukowy pod tym względem, że w niektórych rozumowaniach swoich, mianowicie w uwagach o obchodzeniu się ze zbrodniarzami pomijał całe grupy danych, lecz zato jego atmosfera umysłowa posiada piękną przezroczystość, jego pracownia duchowa—piękne, że tak powiem: północne światło. Wykształcenie uzdatniło Milla do ocenienia tych zalet, jednocześnie wszakże czujemy, iż z drugiej strony w usposobieniu jego leżała pewna pochopność do usprawiedliwiania poetycznej barwy myśli Coleridge'a i do pobłażliwego oceniania miraży, któremi tak często kończy się myśl tego filozofa.

### III.

Nie należy jednak tracić z oczu faktu, że wrodzona Millowi cnota wrażliwości utrzymywała go dostępnym na wpływy rozumowe nawet wówczas, kiedy zetknąwszy się po raz pierwszy ze współczesną młodzieżą, hołdującą transcen-

dentalizmowi, zwracał się po części przeciw naukom ojca. Niektórzy chcieliby w nas wmówić, że racjonalizm ojca zatruił synowi pierwsze lata młodości. Otóż z własnych słów syna, jak również z życiorysu pióra profesora Baina wiadomo zupełnie jasno, że Jakób Mill, pojawiwszy za żonę piękną kobietę, która nie mogła zapewnić mu towarzystwa umysłowego, nabrał wady, do której Szkoci szczególnie może są skłonni, i stał się małżonkiem i ojcem surowym i oschłym, chociaż sumiennym. To dało powód rzecznikom chrześcijaństwa, rzecznikom podlejszego — najbardziej licznego zresztą — gatunku wskazywać Milla, jako przykład złych skutków sceptycyzmu w życiu domowym; taki rodzaj dowodzenia zachęca do tego, iżby rzecznikom owym życzyć właśnie ponownego rozpoczęcia życia w jakiejś rodzinie do gruntu religijnej, a należącej do typu, znanego Szkotom i nie obcego też Anglii. Z tem wszystkim jednak lata chłopięce Jana Milla nie były nieszczęśliwe.

W. L. Courtney, który napisał nieco kapryśnie krytyczny „Żywot Milla”, przytacza z „Autobiografji” opowiadanie młodzieńca o niemocy duchowej i fizycznej, która dotknęła go na pewnym stopniu rozwoju, kiedy mu „się zdawało, że nie ma już po co żyć.” „Oto jest — powiada Courtney <sup>1)</sup> — bankructwo racjonalizmu, przynajmniej tego ciemnego i jałowego racjonalizmu, którym chełpił się wiek ośmnasty.” Dla przeciwnika racjonalizmu każdy kij jest rozumie się dobry do uderzenia tego kierunku wogóle, racjonalizmu zaś ośmnastego stulecia w szczególności <sup>2)</sup>. Rzecz dziwna jednak, że Courtney zadaje sobie tak mało pracy, aby być prawdopodobnym. Czyż sądzi, że w ten sposób przekona nas, jakoby wszelkiego rodzaju irracjonałści nie przechodzili nigdy przez takie okresy niemocy duchowej, jaki przechodził Mill? Czyżby chciał utrzymywać, że racjonałści

<sup>1)</sup> *Life of Mill* str. 57.

<sup>2)</sup> „Wszystko, co w nim jest najgorszego — powiada dalej (str. 174) Courtney o Millu — należy do wieku ośmnastego; wszystko, co jest najlepszego, stoi w związku z najwznieśliwszym, najlepszym duchem dziewiętnastego stulecia.” Tak pisze się socjologia.

ośmnastego stulecia—tacy, jak Hume — byli naogół ludźmi godnymi pożałowania i biednymi, albo że transcendentaliści, którzy po nich przyszli—tacy, jak Maurice, Coleridge i Carlyle—byli wogóle i ciągle ludźmi szczęśliwymi lub pewnymi siebie? Mógłby istotnie zasłaniać się tem, że sam Mill dostrzegał jedynie umysłowe przyczyny przygnębienia swego. Jest to, jak wskazuje prof. Bain, jeden z przykładów lekceważenia przez Milla mało mu znanej biologji; nigdy nie uwzględniła on roztropnie warunków fizycznych. Kiedy przeciążenie pracą umysłową złamało jego sprężystość, Mill widział w tym wypadku jedynie sprawę myślową albo następstwo biegu pojęć i tak też opisuje to w „Autobiografji”. Ale Courtney posuwa się jeszcze dalej w błędnem przedstawianiu faktów. Zaczyna opisywać myśli młodego Milla, który, spotykając takich ludzi, jak Maurice i Sterling, przychodził do przekonania, że oni „zachowali żywemi dusze swe pośród suchych pól użyteczności i samolubstwa” — cokolwiekbyśmy mogli przez wyrazy te rozumieć. Kryje się tu, jak się zdaje, wniosek, że Maurice i Sterling nigdy nie bywali przygnębieni. „Nie kochali się oni — powiada Courtney swą klasyczną angielszczyzną — w nałogach analizowania.” A dalej zaczyna przedstawiać Milla, który jakoby miał w czasie późniejszym powiedzieć sam osobiście, że „nałóg analizy jest robakiem, podgryzającym nieustannie korzenie zarówno namiętności, jak cnót.” Jakież są fakty? Mill opowiada w „Autobiografji” swojej <sup>1)</sup>, że w tej zwłaszcza dobie wczesnego przygnębienia mniemał, iż powodem jest nałóg analizowania, bezpośrednio zaś potem zaczyna mówić, że on nie zwracał się nigdy przeciw temu zwyczajowi, jeno po prostu był zdania, iż powinien się on łączyć z innymi sposobami kształcenia umysłu <sup>2)</sup>, oraz iż rozkosz, którą znajdował w czytaniu Wordswortha, dowiodła mu, że uprawiając poezję, „można nie lękać się wcale najuporczywszych na-

---

<sup>1)</sup> *Autobiography* str. 138.

<sup>2)</sup> *Ib.* str. 143

łogów analizowania“<sup>1)</sup>. Courtney pisze następnie<sup>2)</sup>, że do czytania Wordswortha w 1828 r. doprowadziła Milla myśl o tem, jaką otuchę z dzieł Wordswortha i Coleridge'a czerpali Maurice i Sterling, gdy tymczasem sam Mill powiada po pierwsze, że stan smutnego zwątpienia zaczął ustępować w sposób bardzo prosty na dwa lata przedtem, po drugie zaś że dopiero po przeczytaniu przez Milla Wordswortha i oznajmieniu o zachwycie swoim w Towarzystwie Rozpraw Naukowych (*Debating Society*) Sterling zbliżył się doń, wyznając, iż on i jego przyjaciele mieli poprzednio Milla za człowieka „mechanicznego“ albo rzemieślnika, nacechowanego od młodości pewnemi zapatrywaniami, że jednak teraz muszą całkowicie zmienić zdanie, przekonawszy się, iż Wordsworth „należy” tyleż do Milla, ile i do ich kategorii<sup>3)</sup>. Wszystkie te błędy Courtneya mogą wydawać się drobnymi przekroczeniami prawdy, ale wielką ich przewrotność ocenimy natychmiast, gdy pomyślimy, że mamy tu do czynienia z usiłowaniem zniesławienia za pomocą wykrętnych napomknien tej filozofji, w której wychowano Milla. Mill opowiada rzeczywiście, iż Maurice i Sterling dopomagali mu w rozwoju — ale tego rodzaju przysługi wyświadczają sobie wzajemnie wszyscy zdolni młodzieńcy, natomiast własne poglądy krytyczne Milla na nich obu, zwłaszcza na Maurice'a<sup>4)</sup>, o którym przecież pisze w sposób o wiele przenikliwszy i sprawiedliwszy, niż Carlyle, dowodzą, że z niemi osobiście szedł niezbyt długo.

Wpływowi znów samego Carlyle'a Mill ulegał z pewnością<sup>5)</sup>. Pewne zdanie, ogłoszone o Benthamie: „Przy-

1) *Ib.* str. 148.

2) *Life* str. 59, 72.

3) Niedbalstwo żywotopisarskie Courtneya widać dobrze z tego, że na dwu kolejnych stronicach jego książki sąsiadują z sobą dwa sprzeczne twierdzenia; jedno, że Sterling wprowadził Milla do domu Foxów, drugie, że Mill wprowadził tam Sterlinga (str. 70, 72).

4) *Autobiography* str. 153.

5) Mill jednak w taki sposób opisuje ów rodzaj wpływu: „Carlyle pierwszy nie nauczył mię niczego; dopiero w miarę, jak spostrzegałem pewno pra-

padło mu w udziale pokolenie najlichszych i najbardziej jałowych ludzi, jakich kiedykolwiek do owego czasu wydała Anglja, a gdy z początkiem bieżącego stulecia przyszło plemię lepsze, był już człowiekiem starym“ — zdanie to trąci wielce Carlyle'em. Jak na Milla, jest ono dostatecznie przewrotne. Młodość Benthama wypadła na czasy Burke'a, Johnsona, Goldsmitha, Gibbona, Hume'a, Adama Smitha, Horne'a Tooke'a, Smolletta, Cowpera, Burnsa, Sheridaną; można zaś powątpiewać, czy ludzie współcześni samemu Millowi byli wszyscy wogóle tak niesłychanie wyżsi od tamtych. Jeżeli wszakże Mill był gotów mówić w ten sposób o lichocie i jałowości pokolenia Benthama, to rozumiemy, dlaczego Carlyle widział w nim z początku „jednego z młodzieńców o najotwartzszej głowie i najczystschem sercu z pośród tych, którzy mieszkają teraz w Londynie“ <sup>1)</sup>. Wiemy, jak Carlyle zapatrywał się na szkołę Benthama, do której należeli z początku zarówno stary, jak i młody Mill. W dzienniku swym napisał, że Bentham, „jego Millowie“ i tym podobni ludzie są „głęboko nieznośni, niemal godni pożałowania i mizerni. Jedyńą ich podstawą jest logika; żadnej innej podstawy nie uznają nawet za możliwą.“ Sąd ten był równie płytki, jak wszystkie wogóle z góry powzięte zdania Carlyle'a. Jan Mill dowiódł doskonale, że Bentham poszedł drogą swoją właśnie dlatego, iż jego poczucie moralne było o wiele gorętsze, odwaga zaś moralna o wiele większa, niż poczucie i odwaga bliźnich jego. Sam Bentham w swej wczesnej krytyce Blackstone'a wykazał, jak ścisły związek istnieje pomiędzy pewnemi zdolnościami poznawczemi a pewnemi wzruszeniami serca, oraz oznajmił, że „po-

---

wdy za sprawą czynników, bardziej stosownych dla umysłowego ustroju mego, rozpoznawałem je i w pismach Carlyle'a. Wówczas istotnie wielkie wywierała na mnie wrażenie przedziwna siła, z którą Carlyle je przedstawia, i przez czas długi byłem jednym z najgorętszych jego wielbicieli, jednakże pożytek, który przyniosły mi jego pisma, nie miał w sobie pouczających pierwiastków, właściwych filozofji, jeno ożywiał, jak poeta.“ *Autobiography* str. 175.

<sup>1)</sup> List do Hunta w *Thomas Carlyle Conwaya*, str. 203. Por. Froude'a *London Life* t. I, str. 25. Rozumie się, że później wszystko to się zmieniło.

między błędami rozumu mało jest takich, któreby wywoływały lub przynajmniej usprawiedliwiały oburzenie. Surową naganę ściągają poniekąd jedynie tylko przewrotne skłonności uczuciowe.“ W stopniu nie mniejszym, a może nawet większym czysty zapał moralny pobudzał do pracy życiowej Jakóba Milla, któż zaś dziś zechciałby twierdzić, że Jan Mill nie miał bardziej stałego natchnienia moralnego, niż Carlyle? O ile jednak ci moralisci łączyli logikę z popędami, musieli koniecznie być nieznośnemi dla intuicjonistów. Gdy logika staje przeciw człowiekowi, człowiek naturalnie zwraca się przeciw logice. Wdała się też w sprawę Nemezys, o ile rzecz tyczy się młodzieńczej skłonności Jana Milla ku poglądom Carlyle'a. Z biegiem czasu mędrzec znajdował Milla, według wyrażenia starszego Sterlinga, coraz bardziej „trocinowatym”, a kiedy ukazała się „Autobiografia”, ta księga czarująca i świetlana, sędziwy już Carlyle napisał o niej ze zwykłą swoją wyuzdaną obelżywością: „Nie czytałem nigdy książki mniej zajmującej, nawet powiedziałbym głupszej, napisanej przez człowieka rozsądnego, uczciwego i poważnie myślącego... Jest to zupełnie żywot sieczkarni logicznej... Autobiografia maszyny parowej“ <sup>1)</sup>. Książka była w znacznej części historją pojęć, a to wystarczało, żeby rozjrzeć Carlyle'a.

Powiedziałem, że pod pewnym względem ideały Carlyle'a i Milla prawie się zgadzały. Obaj byli przeciwnikami wigów; obu ich oburzało zaniedbywanie interesów ludowych przez klasy panujące; Jan Mill chętnie dopatrywał się stron dobrych w mistykach, Carlyle zaś, wyłajawszy „Benthama i jego Millów“, przeczytał kilka artykułów Jana Milla, nie wiedząc, kto jest ich autorem, i myślał, że wyszły one z pod pióra „jakiegoś nowego mistyka“ <sup>2)</sup>. W harmonji wszakże był zgrzyt, który się wciąż wzmagał. Carlyle przychylił się do opinii, że radykalizm, którego wyznawcą był doniedawna, polega po prostu na powoływaniu ludzi jaknajbardziej

1) Froude'a *London Life* t. II, str. 420.

2) Milla *Autobiography* str. 174.

ciemnych do kierowania sobą samemi. Mill, chociaż nigdy nie przestał zwracać uwagi na niebezpieczeństwa, płynące z błędów politycznych, przez lud popełnianych, widział przecież wraz z ojcem, że jedynie głosowanie może ocalić lud od rządów, sprawowanych przez klasy wyższe we własnym interesie, pozostał też szczerym demokratą, gdy Carlyle wyrósł na obrońcę niewolnictwa, absolutystę i ślepego wroga rządów ludowych. Gdy przysłała sprawa gubernatora Eyre'a, stanęli po stronach przeciwnych, a porównanie sprawozdań o wypadkach na Jamajce, pisanych przez nich z osobna, jest pracą bardzo ciekawą; Mill zwięźle opowiada fakty, Carlyle zaś ukrywa trzy czwarte w stronnej obronie człowieka, który stłumił powstanie. Z opisu Carlyle'a nie dowiedzielibyśmy się wcale, że już po upadku powstania odbywały się tam gromadne chłosty kobiet i mężczyzn. Podczas amerykańskiej wojny domowej, gdy Carlyle rzucił cały swój wpływ na stronę południowców, Mill pierwszy z angielskich działaczy publicznych powstał przeciw biorącemu górę złemu uczuciu i oznajmił się po stronie cywilizacji. Ideały ich rozbiegły się zupełnie, to też kiedy ukazała się praca „O wolności“, Carlyle zawyrokował, że jest to wykład podręczny wszystkiego tego, co on ma za błędne w rzeczach politycznych.

Z drugiej strony Carlyle z pewnością uprzedził Milla jeżeli nie we współczuciu dla robotników, to przynajmniej w zrozumieniu, że przy systemie powszechnego współzawodnictwa w przemyśle los ich nie może nigdy być pomyślny. Mill w istocie od samego początku mniemał i uczył, o czem Carlyle nie myślał nigdy, że ograniczenie ludności jest zasadniczym warunkiem dobrobytu mas, ale w swoich „Zasadach Ekonomji Politycznej“ wykladał też, jak zobaczymy, teorię zupełnie ze zdaniem poprzednim niezgodną, pracowicie dowodząc częściej tezy, że jeśli tylko ludzie nie przestaną oszczędzać w dostatecznej ilości pieniędzy na cele lokacyjne, nie zbraknie nigdy zajęcia. Jeżeli jednak Mill błędził w ten sposób właśnie wtedy, gdy jego wykształcenie i metoda powinny były uchronić go od błędu, niemniej przecież zachowywał bez przerwy szczerę współczucie dla

wszelkich ruchów postępowych, i niemasz w czasach nowożytnych człowieka, któryby stał dalej od wilczych dołów wstecznictwa, wykopanych przez własne złe obliczenia. Nie ubolewał on nigdy, powiada profesor Bain, nad zmianą poglądu, jeżeli można mu było dowieść, że pogląd ten jest mylny, podobnie zaś, jak nigdy nie przyczepiał się mściwie do błędów, taksamo też nie posuwał się nigdy do tego, żeby pod wpływem niezadowolenia z jakichkolwiek bądź okresów rozwoju demokracji zdradzić wielką sprawę wolności. Wtedy nawet, gdy niesłusznie ograniczał społeczną sferę swoją, nie ograniczał zdaje się nigdy uczuć ogólnych. Aż do końca pozostał on człowiekiem jaknajbardziej wylanym dla powszechności.

## IV.

Pisząc „Autobiografię” w długi czas po rozejściu się z Carlyle’em, Mill mówi o dawnym przyjacielu swoim z wielką dozą szlachetności.

„Nie uznaję się—powiada — za właściwego sędziego Carlyle’a. Czulem zawsze, że on był poetą, ja zaś nie; że on posiadał intuicję, ja zaś daru tego nie miałem; że jako taki, nie tylko widział on wiele rzeczy o wiele wcześniej, niż ja, który ledwo byłem w stanie kulawo ich dowieść, gdy mi je wskazano, ale nadto mógł on prawdopodobnie widzieć wiele takich rzeczy, których ja wcale dojrzeć nie umiałem, nawet gdy mi je wskazywano. Wiedziałem zawsze, że nie jestem w stanie objąć go wzrokiem w całości i że nigdy nie mogę być pewny, iż patrzę na niego z góry; nie pozwalałem też sobie nigdy wydawać o nim stanowczego sądu, dopóki nie wyjaśniła mi istoty jego osoba znakomicie wyższa od nas obu, osoba, która miała więcej poezji, niż on, i więcej myśli, niż ja; której umysł i natura obejmowała i Carlyle’a i nieskończenie więcej, niż jego” <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> *Autobiography* str. 176.

Tą znakomitą osobą była rozumie się kobieta, która ostatecznie została żoną Milla — przedmiot wielu najszaleńszych panegiryków, jakie kiedykolwiek napisane zostały o kim przez osobę współczesną i zażyłą. Oceniając Milla, trzeba koniecznie rozważyć te zwierzenia. Jeżeli o nich myślał Carlyle, nazywając „Autobiografję” głupią, to można zrozumieć jego uczucie. Obaj mężowie w stopniu dość znacznym podobni są do siebie przez to, że oddali nadzwyczaj głęboki hołd zmarłym żonom swoim; ale chociaż Mill ma wielką wyższość pod tym względem, iż jeszcze jako małżonek okazywał szacunek, nie zapalając się tak bardzo *post mortem*, przecież jest wyraźnie mniej przekonywający w pochwałach. Spóźnione uwielbienia Carlyle’a są niewątpliwie po części dość szalone, ale jest widoczne, że pani Carlyle’owa była kobietą o niepospolitych zaletach rozumu, podczas gdy Mill, przedstawivszy w osobie żony jeden z najznakomitszych umysłów, jakie kiedykolwiek istniały, nie przekonał, jak sądzę, nigdy ani jednej istoty ludzkiej, że kobieta owa była bodaj trochę podobna do tego, za co ją podawał. Ze wszystkich ludzi, z którymi kiedykolwiek mówiłem o wynurzeniach Milla względem żony, nikt nie wątpił, że Mill ulegał złudzeniom co do jej władz duchowych. Własne jego oświadczenia zniewalają nas do tego wniosku. Powiada on, jak wyżej, że pani Millowa posiadała wszystkie dary Carlyle’a i nieskończenie więcej, a zarazem była daleko wyższa od swego małżonka pod względem siły myślenia; dalej <sup>1)</sup> że dorównywała Jakóbowi Millowi pod względem „siły wpływu na przekonania i dążności cudze przez samą moc swego umysłu i charakteru, oraz pod względem tego napięcia woli w kierunku szerzenia wolności i postępu”; następnie znowu <sup>2)</sup> że pod względem myśli i rozumu Shelley był „dzieckiem w porównaniu z tem, do czego ona doszła przy końcu.” I wszystko to stosuje do kobiety, która, będąc przypuścmy utalentowaną i rozumną, nie pozostawiła po

---

<sup>1)</sup> *Autobiography* str. 205.

<sup>2)</sup> *Ib.* str. 186.

sobie ani jednej myśli jako tako oryginalnej i doniosłej ogłosiła zaś drukiem jeden tylko utwór, i to w przedmiocie niezbyt głębokim, mianowicie o usamowolnieniu kobiet. Gdybyśmy nawet przyznali jej cały ten udział w pracy męzowskiej, którego zaszczyt przypisywał jej Mill, nie usprawiedliwiłoby to jeszcze ani cząstki panegiryku; ze strony zaś męża było trochę niedorzecznem nie widzieć pomiędzy innymi rzeczami tego, iż beztreściwe pochwały swoje usiłował po części wzmocnić przez podnoszenie wartości własnych książek. Domagając się dla żony wpływu równie wielkiego na umysły współczesne, jak wpływ ojca jego, Mill nie był przecież w stanie wskazać ani jednego umysłu prócz swego własnego, któryby ulegał jej władzy. W końcu zaś obalił ocenę swoją w jednym z najdziwniejszych ustępów, jakie wyszły kiedykolwiek z pod pióra rzeczywiście skromnego i roztropnego człowieka.

„Przez większą część literackiego mojego żywota — powiada <sup>1)</sup>—w porównaniu z jej pracą pełniłem obowiązek, który od lat bardzo wczesnych poczytywałem za najpożyteczniejszą rolę, jaką zdolny byłem odegrać w dziedzinie myśli: pełniłem mianowicie obowiązek tłumacza myślicieli oryginalnych i pośrednika pomiędzy nimi a ogółem; zawsze bowiem miałem bardzo skromne mniemanie o własnych siłach w kierunku oryginalnego myślenia, z wyjątkiem dziedziny nauk oderwanych (logiki, metafizyki oraz zasad teoretycznych ekonomji politycznej i polityki), miałem się natomiast za wyższego od większości współczesnych co do ochoczości i zdolności czerpania nauki od każdego.”

Ostatnie uroszczenie jest z pewnością należycie usprawiedliwione, ale co się tyczy poprzedniego, czyż kiedykolwiek bądź człowiek jaki przypisywał sobie podobne zalety? „Nie bardzo oryginalny ze mnie myśliciel, z wyjątkiem na polu logiki, metafizyki oraz teorji ekonomji politycznej i polityki. Poza temi błahemi przedmiotami, jestem

---

<sup>1)</sup> *Ib.* str. 242.

sobie tylko człowiekiem pomiernego rozumu<sup>7</sup>. Cóż powiemy na to? Jeżeli Mill był myślicielem oryginalnym we wszystkich tych dziedzinach, tedy był wielkim filozofem, a imię jego i sława nie zginą. A poza oryginalnością w tych przedmiotach, czegoż dowodzą jego dzieła? Pani Millowa, jak sam mąż przyznaje, nie wtrącała się do prac tej treści; nie brała udziału w tworzeniu *Logiki*, umarła przed napisaniem *Rozbioru Filozofji Hamiltona* i w niczem się do niego przyczynić nie mogła; nasunęła myśl do jednego rozdziału *Ekonomji Politycznej*, natchnęła książkę *O Wolności* oraz inne ostatnie traktaty polityczne, z których ani jeden nie może żywić żadnych uroszczeń do znacznej oryginalności. Daremna rzecz wdawać się w dalsze roztrząsania; стоимy wobec przywidzenia, gdy zaś spotykamy się ze zdaniem filozofa, jakoby żona „ciągle i znacznie wyprzedzała go, odgadując prawdy, w których on nie mógł odkryć najmniejszej domieszki błędu”<sup>1)</sup>, uczuwamy chęć gniewną przerwania tej materji. Ostatnim drobiazgiem jest wniosek ogólny, że pani nie mogła nigdy się mylić.

Jakież więc światło rzuca ta strona wyznań Milla na całość naszej oceny jego charakteru i zdolności? Wrażliwość wzruszeniowa na wpływy osobiste jest widocznie słabą jego stroną. Uwielbianie przyjaciela i żony jest krańcowym przejawem rozwojowym tej podatności, która naprzód sprawiła, że nauki ojca wywarły na nim tak głębokie wrażenie, potem zaś stała się przyczyną, że poddał się tak zupełnie wpływowi innej szkoły. Te dwa kierunki rozwojowe ponieważ uzupełniały się wzajemnie, ale dziwaczność ostatniego i najdłuższego okresu całkowitej zależności uczniowskiej daje nam wszelkie prawo nie wątpić, że sądy Milla, ilekroć zapanowały nad nim uczucia osobiste, mogły zbaczać na dalekie manowce. Widzimy tu połączenie szczególnej słabości z uzdolnieniem do abstrakcji logicznych, co zresztą godzi się w sposób najoczywistszy z niewątpliwą nieudolnością stosowania logiki do zagadnień specjalnych, zarówno w poli-

---

<sup>1)</sup> *Ib.* str. 243.

tyce, jak w ekonomji i filozofji. Rozumował on wogóle dobrze *in vacuo* o przedmiotach abstrakcyjnych i umiejętnościowych, które nie potrącały o jego sympatje, ale w dziedzinie konkretnej jest stale niewiarogodny, lubo często rozumuje rozsądnie. Dałoby się to może uogólnić należycie, gdybyśmy powiedzieli, że już sama jego wszechstronność i otwartość umysłu, lubo tak pociągająca w istocie swojej, była współzależna z chwiejnością w stawianiu rozumowem pojedynczych zagadnień ludzkich. W takich razach bywał on zawsze podatny na instynktowe odskoki lub popchnięcia zależnie od osobistych skłonności lub wstrętów, a chociaż uczucia jego w sprawach praktycznych były zawsze uczciwe i nigdy, jak sądzę, nie wyrządzały szkody, przecież logiki czasami trzeba było szukać daleko. Jesteśmy w stanie zrozumieć młodzieńczych towarzyszków Milla, którzy, jak opowiada profesor Bain, przeczytawszy artykuły o Benthamie i Coleridge'u, uczuli „bolesny niepokój niepewności, czy Mill wyznaje ich zasady i czy wogóle wyznaje jakie zasady” <sup>1)</sup>. Później upewnili się oni najistotniej, ale zaniepokojenie miało słuszną podstawę, i koniec końców wypada może być wdzięcznym pani Millowej za to, że trzymała męża tak krótko. Utwór jego najbardziej zatrważający, rozprawa o deizmie, napisany został po śmierci żony, uczuwamy też żeń niejasno, iż rzeczy mogłyby były zajść dalej, gdyby Mill był pojął za żonę jakąś inną kobietę. Musimy mniemać, że nieograniczona cześć Milla dla umysłu żony oraz całkowite zamknięcie się w jej towarzystwie aż do zerwania stosunków, które mogły i powinny były wiązać go w rozmaitych kierunkach, pociągnęło za sobą osłabienie jego umysłowego rozwoju, nie mamy jednak prawa twierdzić, że gdyby nie ten jedyny wpływ, umysł Milla rozwinąłby się daleko wyżej. Możemy tylko pragnąć, żeby materiały do zupełnej biografji, które, jak słyhać, posiada pasierbica Milla, mogły zostać jaknajprędzej uprzystępnione ogółowi. W czasach nowożytnych wzrok ogółu nie spotykał męża lepszego, i niewiele

---

<sup>1)</sup> *J. S. Mill* str. 55.

jest dobrych imion, któreby mniej mogły stracić na ujawnieniu szczegółów żywota teraz zwłaszcza, gdy fakty główne są już znane. Najgorsze, co prawdopodobnie możnaby powiedzieć o Millu, jest to, że skutkiem zaślepienia w żonie gotów był zaniedbywać w sposób pożałowania godny własną rodzinę i okazywał niechęć choremu bratu swemu — ale to już zostało wytknięte <sup>1)</sup>.

## V.

Przegląd wychowania i życia Milla nasuwa ostatecznie parę stosownych pytań. Wychowanie, udzielone Millowi przez ojca, dotąd słusznie uchodzi, jak uchodziło już w oczach współczesnych, którzy o niem wiedzieli, za doświadczenie jaknajbardziej godne uwagi, lubo teraz dzięki profesorowi Bainowi wiemy, że Jakób Mill, ucząc syna swego, nie dokonywał takich prac herkulesowych na polu naukowo-literackim, jak syn przypuszczał później. Najznakomitszą w tem wychowaniu rzeczą było pomyślne kształcenie syna w językach i nauce moralności w wieku, kiedy przeciętny chłopiec nie uczy się w szkole ani jednych ani drugiej, chociaż w danym razie wychowaniec miał pamięć gorszą raczej, niż lepszą od przeciętnej. Nasuwają się nam jednak wątpliwości, azali system Jakóba Milla, bezpośredni<sup>o</sup> uwieńczony powodzeniem, był ostatecznie korzystny. Czy ojciec, udzielając synowi języka greckiego, łaciny, matematyki, logiki, ekonomji i wszystkiego, co do tych przedmiotów należy, uzdatniał go w sposób najlepszy do życia umysłowego? Jakób Mill podzielał, jak wiemy, właściwą ośmnastemu stuleciu skłonność do aprioryzmu, biografowie zaś jego i syn własny zgodnie przyznają, że w przedmiocie wychowania zwracał daleko więcej uwagi na teorie abstrakcyjne, niż na naukę praktyczną. Umysły potężne łatwo błędzą w tym względzie. Nieboszczyk Pattison dowiódł, jak bardzo błędził Milton

---

<sup>1)</sup> Przez dr. Baina, jak wyżej, str. 95, 172.

w swem pojęciu o wychowaniu, zastosowaniem do nauki synowców.

„Wychowanie—czyni uwagę krytyk—jest przedmiotem zawsze ponętnym dla nowatora i teoretyka. Każdy człowiek w miarę, jak dorasta, uświadamia sobie czas stracony i wysiłki, źle zastosowane we własnem życiu swoim. Naturalne jest przeto pragnienie oszczędzenia dzieciom podobnego marnotrawstwa sił” <sup>1)</sup>. Za czasów Milтона zwłaszcza szkoły i wszechnice były w złym stanie, to też w swym *Traktacie o wychowaniu* zalecał on reformy „śmiesznie — jak powiada Pattison — niewspółmierne ze złem, które należało usunąć.” Pattison nie chce nawet tracić czasu na przytaczanie tych rad, zbywając je zwięźle, że „są jeno odmianą dobrze znanego sofizmu wychowawczego: udzielania wiedzy pożytecznej” <sup>2)</sup>. Milton widział jasno (*sic*), jak wielu przed nim i po nim, jedną tylko słabą stronę praktyki szkolnej, mianowicie małe wyniki długiej nauki. Wpadł tedy w błąd właściwy niedoświadczonym nauczycielom, przypuszczając, że środkiem zaradczym byłoby pochłanianie wielkiej i różnorodnej treści rozumowej. Potrzeba dużej doświadczalnej znajomości umysłów młodych, aby spostrzec, że szybkie połykanie źle przyswojonych wiadomości upośledza władze ducha, zamiast je kształcić. Czyż urojonem jest mniemanie, że na Edwardzie Phillipsie, który ostrzył zawsze płytkie pióro swoje o przedmioty, pochwytnie tylko pobieżnie, mamy przykład konkretny naturalnych skutków nauczania według systemu Milтона“? <sup>3)</sup>.

Nie można przecież ani na chwilę utrzymywać, że Jan Mill był takim niedoucziem. Był on pracownikiem sumiennym i gorliwym. Zanim przystąpił do oceny pracy Grote'a o Homerze, przeczytał ponownie w oryginale *Ilijadę* i *Odysseję*; taksamo przygotowywał się do szkicu o Platonie. Jakób Mill mógłby słusznie twierdzić, że plan jego dopiął celu,

---

<sup>1)</sup> *Milton* str. 45.

<sup>2)</sup> *Ib.* str. 48.

<sup>3)</sup> *Milton* str. 49.

Humanieści nowożytni.

nauczył syna myśleć: nie opychać się gotowemi wiadomościami, lecz nabywać je własną pracą. Czy jednak robiąc z dziecka znawcę klasycyzmu, a z chłopca logika, nie przeciągnął poniekąd zasadniczych strun władzy, którą ćwiczył? Nie możemy powiedzieć, żeby zgubnie zaszkodził zdrowiu chłopca, chociaż było ono nadwerężone. Jan był stanowczo najpilniejszym uczniem w rodzinie, a jego ustrój pomimo zarodków choroby trzymał się krzepko wtedy jeszcze, kiedy bracia już upadali. Odparłem już domysł, jakoby kształcenie w duchu racjonalistycznym wtrąciło Milla w stan opłakany, a to na zasadzie faktu, że rozkosz, którą znajdował w czytaniu Wordswortha, po prostu niczem się nie różniła od rozkoszy, czerpanej z tych dzieł przez tysiące wyznawców nadprzyrodzoności, oraz że młodzieńcza smętność Milla nie była ani trochę nienormalną. Ojciec jego, jak powiada sam Jan, nie był tkliwy w życiu rodzinnem za czasów dzieciństwa syna, wszakże uczuciom chłopca z pewnością nie brakowało pokarmu. Co jednak samo nasuwa się na myśl — pomijając, że wczesne studia klasyczne nie zdołały nadać Millowi żadnego, że tak powiem, literackiego zabarwienia — to mianowicie fakt, iż abstrakcyjna zdolność logiczna, z pewnością nadzwyczajna w Janie Millu, dawszy życie najważniejszemu dziełu jego, potem już zdawała się nie rozwijać; o ile zaś późniejsza jego praca polegała na ponownem stosowaniu logiki do zagadnień praktycznych, Mill przestaje być znakomitym myślicielem, a pod koniec staje się niemal słabym.

Czyż więc wyczerpał się on przedwcześnie? Umysł jego z pewnością nie przestał pracować energicznie nad wielu czysto praktycznymi zadaniami, ilekroć zaś wypadło mu wyklądać zasady ogólnoludzkie i liberalne, czynił to z rzadką wzniosłością i mocą przekonywającą. Inaczej wszakże ma się rzecz, gdy wypadło mu poruszać zagadnienia praktyczne, których rozwiązanie znaleźć można na drodze spójnego rozumowania. Jego *Ekonomję Polityczną* nazwał jeden z najrozważniejszych wielbicieli Milla „zwaliskiem“, sędzę zaś, że zdanie to nie jest przesadzone. Co się tyczy jego ostatnich poglądów teologicznych, nie doznały one między filozofami

nawet chwilowo dobrego przyjęcia. Nasuwa się naturalnie pytanie, czy też to widoczne wyczerpanie wyższych władz umysłowych nie zależało od strwonienia tytułu lat życia na pracę urzędniczą? Sam Mill mocno obstawał przy tem, iż niebezpiecznie jest próbować utrzymywania się z pracy literackiej, mówiąc dość trafnie, że traktowanie literatury ze stanowiska zarobkowego bardzo kusi ludzi do tworzenia dzieł lichych a wystawnych, zamiast pisania książek trwałych, lecz mniej mogących liczyć na poczytność. Takie stanowisko urzędnicze, jakie zajmował, przy dostatecznej ilości wolnego czasu było dla jego umysłu właściwym środkiem pojednawczym. W gruncie rzeczy wielka poczytność własnych jego książek dostatecznie dowodzi, że Mill mógł śmiało wyżyć z zarobków literackich; w każdym zaś razie obrona zajęcia biurowego staje się dość niestosowną wobec faktu, że własna robota Milla była tak łatwa, iż mógł on i potrafił napisać dwa swoje wielkie dzieła: *Logikę* i *Ekonomję Polityczną* — podczas godzin biurowych <sup>1)</sup>. Zapewne, że wiele dałoby się powiedzieć o tego rodzaju pracy biurowej — ale z punktu widzenia biura.

Milla przeto nie wyczerpywała praca urzędnicza, iaczkolwiek przyjaciel jego i krytyk profesor Bain, opowiedziawszy, jak lekką była ta praca, zdaje się przypisywać jej wpływ szkodliwy <sup>2)</sup>; pozostaje więc rozmyślać nad tem, czy przyczyną wczesnego wstrzymania rozwoju niektórych władz umysłowych nie był zawczesny i wytężony rozwój władz wszystkich. Wstrzymując się od wniosków w tym względzie — bo i niepodobna prawie orzec tu cośkolwiek stanowczego — musimy po prostu powiedzieć wraz z profesorem Bainem, że Mill taki, jaki był rzeczywiście, „posiadał zdolność do abstrakcji i logiki w stosunku niepomierne wielkim

---

<sup>1)</sup> Dr. Bain, jak wyżej, str. 147.

<sup>2)</sup> *J. S. Mill* str. 147—8. O obu Millach, ojcu i synie, profesor Bain powiada, że „usiłując pogodzić pracę zarobkową z oryginalnemi badaniami w dziedzinie filozofji, wywołali w sobie przedwczesne wyczerpanie i zepsuli swoje teorie życia, kształtując je pod zgubnym wpływem podruzgotanego łożyska myśli.“

względnie do pojętności w rzeczach konkretnych i poetyckich.“ Ale całą wagę tego rozróżnienia należy wykazać w szczegółach albo może raczej uzasadnić zdanie nieco odmienne od poglądu dr. Baina. Dla mnie Mill zdaje się być szczególnie słabym w rozprawach nad szeregiem zagadnień, zwanych przez wielu ludzi oderwanymi, mianowicie zagadnień, rozważanych pod kategorią religji. Ja uznałbym je za zagadnienia konkretne, domagające się wykładu według zasad logicznych, twierdząc zaś, że zasoby logiczne Milla (widocznie tak bardzo rozległe, gdy Mill rozważa formy i prawa logiki) <sup>1)</sup>, zdają się wyglądać nader mizernie, ilekroć wypada poruszać owe zagadnienia; wówczas całej pracy dokonywają rzeczywiście przeważnie uczucia, bardzo słabo prowadzone przez władzę rozumowania, która staje się starczą i mdłą, chociaż zawsze pozostaje sumienną. Rzecz godna w istocie uwagi, jak nałóg sędziowskiego rozumowania trzyma się Milla we wszelkich okolicznościach.

## VI.

Rozważmy naprzód jego główny sposób rozumowania w przedmiocie deizmu. Ze wszelkimi pozorami prawdopodobieństwa stawia niby przed sądem rozumu teorię pierwszej przyczyny, teorię cudów i teorię przyrodzonych dążeń wiary i wykazuje, jak należy, że zwykły dowód pierwszej przyczyny sam się burzy, że cudy, mówiąc filozoficznie, są tak dobrze, jak niewiarogodne, że przyrodzone dążności wiary nie dowodzą niczego albo dowodzą zbyt wiele. Ale nie tylko wprowadza szkaradny sofizmat do częściowej swej obrony teorii cudów, lecz nadto wciąż trzyma się stanowiska bezzasadnego od samego początku dowodzenia, pozostawiając mianowicie fakt istnienia dobrego bóstwa o siłach ogra-

---

<sup>1)</sup> Władze te zdają się trwać bez uszczuplenia aż do roku 1865, kiedy Mill stworzył swój *Rozbiór filozofji pana Williama Hamiltona*. Rozprawa o deizmie napisana została pomiędzy 1868 a 1870 rokiem.

niczonych. Pojęcie to dziwnie pociąga go, nie tylko bowiem rozwinął je w szkicu o deizmie, ale wyłożył też w poprzedniej rozprawie o *Użyteczności religji*. Pisz tam:

„Jedna tylko postać wiary w istotę nadprzyrodzoną, jedna tylko teoria, tycząca się pochodzenia i rządów wszechświata, pozostaje całkowicie wolną zarówno od sprzeczności rozumowej, jak i od wadliwości moralnej. Jest to teoria, która, zrzekając się nieodwołalnie pojęcia wszechmocnego stwórcy, uważa przyrodę i życie w całej ich rozciągłości nie za wyraz moralnego charakteru i celu bóstwa, ale za wytwór walki pomiędzy snującą zamiary dobrocią i krnąbrnym podłożem, jak wierzył Plato, albo pierwiastkiem złego, jak uczyli manichejczycy. Podobne mniemanie, którego, jak dowiedziałem się, bronił pobożnie jeden przynajmniej wykształcony i sumienny człowiek za własnych naszych czasów, pozwala wierzyć, że całe mnóstwo istniejącego złego nie zostało zamierzone i nie istnieje za przyzwoleniem, jeno wbrew woli bóstwa, które czcić jesteśmy powołani”<sup>1)</sup>.

Taki ustęp wywołuje w wysokim stopniu to zakłopotanie, w które wprawiają nas niekiedy jaskrawe sofizmaty, wypowiedane przez myślicieli, obierających sobie za specjalność logikę. Drugim przykładem jest Jevons, którego *Podręcznik Ekonomji Politycznej* zawiera fałsz, widoczny nawet dla ucznia bystrego. Żaden zaś myśliciel ustalonej sławy nie dopuścił się nigdy bardziej oczywistego błędu, niż Mill, który w przytoczonym urywku pragnie podać pojęcie bóstwa, posiadającego ograniczone siły i walczącego z krnąbrną materją, za rozwiązanie albo teorię początku wszechświata. Dość przecież spojrzeć na ten pomysł, aby zrozumieć, że to nie jest wcale żadna teoria początku wszechświata, ale teoria, usuwająca zagadnienie początku; taksamo zupełnie nie jest to zgoła teoria bóstwa lub istoty nadprzyrodzonej, treścią bowiem i celem takiej teorii powinno być wytłumaczenie wszechświata w wyrazach woli i kierownictwa, podczas gdy wzorzec Milla przedstawia jakiegoś podrzędnego boga,

---

1) *Three Essays on Religion* str. 116.

ofiara okoliczności, walczącego ze wszechświatem, który przewyższa jego siły, boga, albo wpadającego w beznadziejnie pesymistyczny pogląd na wszechświat, jako na tajemnicę, której zrozumieć nie może, albo wyobrażającego sobie konieczność zwrócenia się do innego tęższego i wyższego boga, który bądź jest niepoprawnie złym, bądź znowu ofiarą okoliczności. Oto do czego doprowadza deizm, oparty na ograniczoności. Zdumiewać się trzeba, że mąż biegły w filozofii mógł stworzyć myśl, która jest tak dziecinną przeróbką jednego z najnaiwniejszych pomysłów starożytności. Mówiono, że rozprawa o deizmie nie doczekała się ostatecznego przejrzenia, ale ten ustęp spotykamy w szkicu, napisanym o wiele wcześniej, szkic zaś o deizmie rozwija tylko twierdzenie. Jest to najbliższy przebłysk filozofji wszechświata, jaki tylko można znaleźć w poważnym rodzaju literatury nowożytnej; istnienie jego mogę sobie wytłumaczyć jedynie własną uwagą Milla, że „sceptycyzm rozumu nie koniecznie wyłącza deizm wyobraźni i uczuć” <sup>1)</sup>. W danym razie deizm uczuć otrzymał tak dalece pierwszeństwo, że zachciało mu się usiąść na katedrze rozumu i oznajmić, że przywidzenie jego jest „całkowicie wolne od sprzeczności rozumowej”; a jedyną oznaką wątpliwości, na którą zdobył się rozsądek Milla, jest przebaknięcie, iż „oczywistość“ zdania, postawionego przez uczucia, jest „zbyt mglista i bezistotna.... aby domyślać się w niej stałego podłoża religji ludzkości“ <sup>2)</sup>. Oczywiście niestety jest tu tylko sprzeczność pojęć! Bezistotność nie jest wyrazem stosownym. I nawet czyniąc owo bzdurne przyznanie, Mill wciąż jeszcze nalega, jak nalegał przy końcu rozprawy o deizmie, że pomimo wszelkich teorii ludzie powinni pielęgnować miłą dla siebie nadzieję religijną. Życie ludzkie potrzebuje być rozjaśniane przez wyobraźnię; powinniśmy przeto marzyć, iż może istnieć byt przyszły, jeżeli nie wierzymy, że byt ten istnieć będzie; trzeba wyobrażać sobie Boga, nie mogącego stać o własnych

---

1) *Three Essays on Religion* str. 118.

2) Str. 117.

siłach, albowiem wówczas można doznawać miłego wrażenia, iż mu się służy <sup>1)</sup>. W ten sposób utrzymamy wzniosłość ducha, nie pacząc sądów, gdy bowiem „udziela się właściwego wykształcenia wyobraźni i rozsądkowi, nie uda się im obdzierać się wzajemnie ze swoich przywilejów“ <sup>2)</sup>. Przypomina to nam opowiadanie Dickensa, jak pani Nickleby, siedząc przed nim na krześle, zaprzeczała istnieniu pani Nickleby. Według Milla właściwym kształceniem wyobraźni jest wyobrażanie sobie, że rozsądek może błędzić. Musimy tu przypomnieć jego własną uwagę, że pytanie co do właściwych środków kształcenia wyobraźni dotąd jeszcze nie zajęło poważnie myśli filozofów. Jego pogląd na to pytanie jest z pewnością jaknajbardziej niedojrzały i pierwotny ze wszystkich, które mogą być słusznie powzięte, odosabnia bowiem wyobraźnię od rozsądku. Powiada on w istocie, że wyobraźnia ma „czynić miłym i lubym życie wewnątrz zamku pod osłoną obwarowań, wzniesionych i podtrzymywanych przez rozsądek naokoło murów zewnętrznych“ <sup>3)</sup>, ale całe jego dowodzenie zmierza do tego, żeby zalecać wyobraźni majówkowanie na swobodzie opodal od zamku, ilekroć, że tak powiem, można dostać koni do wyjazdu. I bez takiej dziwacznej zachęty, czynionej w imię nauki, ludzie niewątpliwie są dość skłonni stawiać domysły i chęci ponad wiedzą. Każdego zamiaru z liczby tych, do których uwzględniania Mill się przyznaje, dopiąć można przez podsycanie nadziei idealnej przyszłości na tym świecie; on zaś bezzasadnie, owszem zdradziecko usuwa tę dźwignię uznanej użyteczności.

## VII.

O tych poważnych uchybieniach umysłowych możemy powiedzieć tyle tylko, iż dostarczają one niejakiego dowodu

<sup>1)</sup> Str. 256.

<sup>2)</sup> Str. 247.

<sup>3)</sup> *Three Essays on Religion* str. 249.

niespójności umysłu Milla, ilekroć wypadło mu stosować własne zasady logiczne przy poszukiwaniu prawdy w przedmiocie układu wszechświata i historii religji. Jeżeli jednak mamy słuszną, mówiąc, że te wadliwości umysłowe były współrzędne z zaletami uczuciowymi, tedy ostatecznie służą nam one do wyrobienia sobie żywszego pojęcia o sile dobroci uczuciowej w charakterze Milla. Te nieszczęśliwe rozumowania o deizmie uważać więc możemy po części za wynik chęci zachowania bliźnim wszelkich możliwych ulg i pociech z ich dawnych wierzeń religijnych, wszelkich szczątków ich dawnej pobożności, o ile utrzymanie tego zdaje się być możebnem bez szkody dla moralności. Jeżeli Mill przeliczył się w tym ostatnim względzie, przynajmniej zamiary miał dobre, a gdybyśmy nawet w najgorszym razie przypisali jego omamienia nie samemu tylko czystemu altruizmowi, lecz po części niemocy umysłowej dziedzicznej albo nabytej, nikt przecież, kto kiedykolwiek badał Milla, nie będzie powątpiewał o jego uczciwości w sporach, o gotowości wysłuchania krytyki, ilekroć ta się zjawiała. Gdyby Mill był żył, rozprawa o deizmie zostałaaby z pewnością przerobiona, o ileby autor uznał za stosowne ogłosić ją drukiem.

Co więcej, omawiając jego teorie społeczne, zobaczymy, że chociaż i tam także skłonności i uczucia umiały paczyć rozumowanie, rzadko przecież prowadziły do popierania myśli szkodliwych, właśnie dlatego, że pragnienia Milla były zasadniczo poczciwe, sympatje praktyczne zaś były słuszne. Jeżeli raz rozumował z obrazą polityki sprawiedliwej, to dziesięć razy występował w obronie jej i stawiał czoło krańcowej niechęci, a sympatje i pragnienia, które niekiedy czyniły jego nauki wewnątrznie sprzecznymi, miały zawsze dość siły, żeby przez te sprzeczności doprowadzić go do nowej zasady i nowej dobroczynnej działalności. Obyśmy wszyscy mieli tak szczęśliwy środek zaradczy przeciw błędom, których popełnienia — może z gorszych pobudek — tyleż przynajmniej, co i on, pewni jesteśmy!

## VIII.

Po tem, co mówiliśmy o sposobie myślenia i rozumowania Milla w rzeczach ludowej wiary religijnej, nie sprawi nam wcale niespodzianki fakt, że Mill aż do samej śmierci wogóle zachowywał milczenie co do tych stron owej wiary, które poczytywał za nierozumne i niemoralne. Dr. Bain opowiada <sup>1)</sup> o pewnym ustępie rozmowy Carlyle'a z Millem, której on był uczestnikiem, a która tyczyła się ogłaszania mniemań różnowierczych. Towarzystwo przechadzało się razem, a Carlyle „wygrażał się na religję naszą i wszystkie jej przynależności. Mill wtrącił uwagę: „No! pan jesteś właśnie człowiekiem, stworzonym do wypowiedania ogółowi wszystkich swoich myśli w tym przedmiocie.” Niezupełnie to samo marzyło się wówczas Carlyle'owi. Chrząknął w sposób sobie właściwy: „Hm!” i zawołał: „To powinienby czynić ktoś, podobny do Fryderyka Wielkiego”. Rzeczywiście Fryderyk Wielki wypowiadał dość swobodnie poglądy swoje w tych przedmiotach, ale biograf Fryderyka w tym jednym względzie był nieco więcej ostrożny i, jak się zdaje, bardzo ozięble przyjął przy pierwszym spotkaniu Froude'a, bo ten pan, wówczas młody i niewyrobitny karlajlista, ogłaszał swe zapatrywania na przedmioty religijne. Kiedy wypadło wypowiedzieć się wyraźnie w tych rzeczach, Carlyle pomieszał swoją talję zasad i zamiast wygrywanej dotychczas kozyry: „mówcie prawdę” wyświecił drugą: „niech każdy siebie pilnuje!”

Dlaczegoż jednak, zapyta ktoś, Mill miałby przestrzegać takiego samego milczenia? Oczywiście inne były uczucia jego w tym przedmiocie zamłodu, kiedy nalegał na Carlyle'a, żeby się wypowiedział, inne zaś w życiu późniejszym, kiedy pisał szkic o deizmie, ale nigdy nie napadał na nierozumność i niemoralność religji, jak napadał na poddaństwo kobiet, na ograniczenie wolności myśli wogóle, i nawet je-

---

<sup>1)</sup> *J. S. Mill* str. 191.

go rozprawą o deizmie podobnie, jak szkice, z którymi razem została ogłoszona, rozwija poglądy nawskróś sprzeczne z poglądami większości uczonych. Mill widocznie był zdania, że za jego czasów, jak i za czasów jego ojca, należało jeszcze zachowywać milczenie. W *Autobiografji* swej opowiada, jak doszczętnie antyreligijne były mniemania jego ojca, i jak on sam przesiąkł niemi.

„Jestem przeto w tym kraju--pisał — jednym z nielicznych przykładów człowieka, który nie odrzucił wiary religijnej, bo nie posiadał jej nigdy; wzrosłem w duchu zupełnego jej przeczenia. Na religję nowożytną zapatrywałem się zupełnie taksamo, jak na wierzenia starożytne, uważając ją za coś, co się mnie zgoła nie tyczyło. Nie zdawało mi się wcale bardziej dziwnem to, że naród angielski ma wierzyć, w co ja nie wierzę, niż to, że obcą mi wiarę wyznawali ludzie, o których czytałem w Herodocie. Historia dała mi poznać fakt różnaitości mniemań w rodzaju ludzkim, współczesne przeto mniemania religijne poczytywałem po prostu za dalszy przejaw tego faktu. Ta strona wychowania mego w dzieciństwie miała jednak ubocznie następstwa złe, które zasługują na zaznaczenie. Wpajając we mnie pogląd sprzeczny z poglądami świata, ojciec mój uznawał za rzecz niezbędną wpajać go, jako taki, na którego wyznawanie wobec świata roztropność nie pozwala. Takie zalecanie zachowywania myśli dla siebie w tym młodym wieku skojarzyło się z pewną szkodą moralną, aczkolwiek brak stosunków z ludźmi obcemi, takimi zwłaszcza, którzy prawdopodobnie mówiliby ze mną o religji, uchronił mię od konieczności czynienia wyznań albo też uciekania się do obłudy.“

Po dwakroć tylko, jak mówi, rozprawiał z innymi chłopcami o przedmiotach religijnych; to też szkody moralnej szukać zdaje się trzeba w latach późniejszych. Dalej jednak pisze:

„Wielki postęp pod względem swobody badań, postęp, który stanowi jedną z najbardziej doniosłych różnic pomiędzy czasem terażniejszym a czasem mego dzieciństwa, wywołał znaczne zmiany w moralnej stronie tego przedmiotu; sądzę też, iż niewielu ludzi takiego ducha obywatelskiego

i takiego umysłu, jak mój ojciec, z takim, jak on napięciem przekonania moralnego obstających przy niepopularnym mniemaniu religijnem lub przy niepopularnym poglądzie na jakiekolwiek inne wielkie zagadnienia myślowe, niewielu powiadam ludzi zechciałoby dzisiaj przestrzegać osobiście lub wpajać w innych zamykanie się w sobie, ukrywanie swej myśli przed światem, chyba by szło o wypadki rzadsze z dniem każdym, w których szczerść pod względem takich zagadnień naraża na utratę środków utrzymania albo pociąga za sobą wykluczenie z pewnej dziedziny pracy szczególnie stosownej dla zdolności osobnika. Co się tyczy religii w szczególności, nadszedł zdaje się czas, kiedy wszyscy ludzie, którzy, będąc należycie przygotowani pod względem wiedzy, upewnili się po dojrzałej rozwadze, iż upowszechnione mniemania są nie tylko błędne, ale szkodliwe, kiedy wszyscy ci ludzie mają obowiązek ujawnić swoje niezgodne z ogółem zapatrywania, przynajmniej jeżeli posiadają stanowisko lub wziętość, dające ich poglądom jakąś nadzieję zwrócenia na siebie uwagi.“

W danych okolicznościach ledwo można przytłumić żal, że Mill za życia jeszcze nie spostrzegł, iż „nadszedł czas“, aby się wypowiedzieć. *Autobiografja* jednak przemówiła za niego zaraz po jego śmierci, nie brak zaś dowodów, że już w chwili śmierci pobożna złośliwość była nań zawzięta. *Church Herald* naprzykład pisał, jak następuje:

„J. Stuart Mill, który dopieroco poszedł na sąd Boski, byłby znakomitym pisarzem angielskim, gdyby wrodzona zarozumiałość i nadmierna pewność siebie nie uczyniły zeń jawnego literackiego łotra... Śmierć jego nie stanowi dla nikogo straty, był on bowiem zażartym, ale miłym niedowiarkiem — osobistością najniebezpieczniejszą. Im prędzej pójdą za nim te „gwiazdy myśli“, które się z nim godzą, tem lepiej będzie zarówno dla kościoła, jak dla państwa“<sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> *Church Herald* z 14 maja 1873 r., przytoczony przez Spencera *The Study of Sociology* str. 419.

Zasługą jest zarobić przynajmniej na nienawiść pewnych ludzi. Jakkolwiek Mill mógł wahać się z wypowiedzeniem swego zdania w zagadnieniach religijnych, nie zająknął się z pewnością nigdy w żadnej innej sprawie. W etyce jego publicznej i prywatnej mogą przebijać się błędy, nigdy wszakże świadome lub umyślne zaniedbanie prawdy lub sprawiedliwości. Gdy szło o Indje, bronił przywilejów Towarzystwa Wschodnio-Indyjskiego przeciw postanowieniu rodaków, pragnących nadać tej rozległej posiadłości publiczny i narodowy zarząd zamiast prywatnego; czujemy, że w tym razie sympatje jego zwracały się ku Towarzystwu z powodu, iż wiązało go z niem stanowisko biurowe. Trudno pojąć, skąd nieuprzedzony i uczony polityk przyszedł do wniosku, że Indje powinny być rządzone przez spółkę handlową. Z drugiej strony jednak przypomnijmy sobie, iż Mill wiedział, jak dalece ojciec jego i on sam zdolni byli wywierać wpływ dobry na działalność Towarzystwa, któremu służyli; miał też powód myśleć, że i nadal będzie mógł świadczyć dobro ludom indyjskim, jeżeli utrzyma się władza Towarzystwa. Dość nierozsądne było to, co napisał w *Autobiografji*, że uchwała parlamentu zrobiła z zarządu Indji „rzecz, przeznaczoną na rozszarpanie przez drugorzędnych i trzeciorzędnych angielskich polityków parlamentarnych,“ jak gdyby politycy parlamentarni mniej byli zdadni do obchodzenia się z Indjami, niż z Anglją, i jak gdyby pod jakimkolwiekby względem wypadło umieszczać ich w „rzędach“ niższych, niż członków Towarzystwa Wschodnio-Indyjskiego. Ale z drugiej strony trzeba pamiętać, że Mill brał do serca interesy ludu indyjskiego, nie samych tylko urzędników Towarzystwa, oraz że gdyby dożył do dziś, mógłby słusznie oskarżać lud angielski, iż zaniedbał urzeczywistnić i wykonać to wszystko, za co odpowiedzialność wobec Indji wziął na siebie w roku 1858. Jak nieraz bywa, następstwa usprawiedliwiły obawę Milla, nawet pomimo iż wyraz tej obawy uznały za niedorzeczny. Szkoda zrzadzona została nie przez to, żeby politycy parlamentarni „rozszarpali“ zarząd Indji, jeno że politycy ci puścili zarząd zupełnie samopas, pozostawiając go na łasce urzędującej tam biuro-

kracji, której dogłądanie i dozorowanie jaknajściślejsze powinno być pierwszym zadaniem parlamentu. Zastarzała obojętność społeczeństwa angielskiego i jego przedstawiciele na kierunek rządów kraju, nad którym chcą panować i władać, przyśpieszy nieuniknione oderwanie się Indji od państwa Brytańskiego taksamo zupełnie, jak podobna obojętność, pogarszana przez uprzedzenie, czyni faktem nieuniknionym odrębność prawodawczą Irlandji i wywoła kiedyś konieczność prawodawczej odrębności Szkocji. Tymczasem wszakże warto przypomnieć, że o interesy Indji dbał w parlamencie brytańskim człowiek, który był uczniem Milla, teraz zaś pilnuje ich człowiek <sup>1)</sup>, który, nie będąc uczniem jego, różni się odeń tylko przez to, iż jest bardziej, niż on, racjonalistą. Formalna przezorność Milla zboczyła dość daleko od prawdy, lecz zasada, która kierowała nim dla dobra Indji, przetrwała w szkole jego.

W jednej znów pomniejszej sprawie z dziedziny polityki wewnętrznej Mill stał w sprzeczności z większością swego stronnictwa, mianowicie w sprawie głosowania za pomocą galek, względem której zajmował naprzód stanowisko przychylnie, później zaś nieprzyjazne. Żona jego, jak sam nadmieniał, uprzedziła go w zmianie poglądów. Nie mogąc dojrzeć żadnej zasady, któraby usprawiedliwiała odmawianie przez Milla zwykłym obywatelom prawa trzymania w tajemnicy treści swych głosów, zasady, któraby jednocześnie nie podawała w wątpliwość jego własnej praktyki roztropnego milczenia w rzeczach religji. Jakikolwiek byłyby wszakże dobre i złe strony tego poglądu Milla, znowu nie można wątpić, iż nie kierowały nim wsteczne uprzedzenia ani też samolubna etyka. Stawiał czoło niepopularności w sprawie, na której nic nie miał do zyskania.

---

<sup>1)</sup> Niestety już to ustało. Niemasz już dziś żadnego „przedstawiciela Indji.“

## IX.

Natomiast owe dziwactwa — jeśli je tak możemy nazwać — polityki Milla wywołują pytanie, o ile polityka jego stanowiła system spójny i zgodny. Przedewszystkiem nie może być wątpliwości, iż jego system polityczny był co do formy i co do dążności naukowym, to znaczy, zmierzał do zastosowania i wcielenia w życie pewnych zasad etycznych, wypróbowanych dla celów polityki przez badanie rzeczywistości dziejowej albo każdorazowo osiągniętych z takiego badania za pomocą indukcji. Tę systematyczność dążeń Mill wzięł po ojcu swoim i Benthamie, zwykł był jednak mawiać, że tam, gdzie oni poprzestawali na nieodpowiednim aprioryzmie, on starał się przekształcić ich metodę przez badanie konkretne. Studja Milla o Coleridge'u i Benthamie zdają się dowodzić, że do takiego przekształcenia doprowadził go wpływ pierwszego i jego szkoły. Nie łatwo wszakże zrozumieć, dlaczego Mill nie miał przejść wszystkich swych pomysłów reformatorskich od Burke'a, który w nowożytnej Anglii był najznakomitszym głosicielem względności, że tak powiem, w polityce. Burke, jako myśliciel polityczny, z pewnością nie wytrzymuje ostatecznej próby; dowolne obstawanie przy pewnych grubych nienormalnościach i niesprawiedliwościach obok świetnej obrony zasad ludzkości dowodzi, że brakło mu stałego probierza; zachowanie się zaś względem rewolucji francuskiej wskazuje, że wypuścił z rąk wszystkie swoje cielepsze założenia pod naciskiem buntujących się wzruszeń przeciw zbyt gwałtownemu ruchowi nowatorskiemu. Coleridge jednak okazywał tę samą słabość, pozostaje zaś faktem, że dzieła Burke'a zachowały tchnienie mądrości, które poczuć można zawsze, ilekroć się zechce. Można by przypuszczać, że ponieważ dla grupy Benthama Burke ostatecznie przedstawiał szczerze wstecznictwo i został przez nią w końcu utożsamiony z najgorszym toryzmem, oraz ponieważ polityka bentamowska była odruchem demokratycznym na działalność Burke'a i jego sprzymierzeńców, więc Mill posiadał wstręt do niego, Coleridge zaś,

występujący świeżo na widownię, nie miał trudności z pozyskaniem umysłu młodzieńca.

Nie można jednak wątpić, że pojęcia Jakóba Milla o umiejętności rządzenia, jakkolwiek były ukształtowane, były z wielu względów niedoskonałe. Świadczą one o wyprowadzeniu tej nauki z zasad przyrody ludzkiej bez zadania sobie dostatecznego trudu w celu przekonania się, jakie to są zasady. Jednakże były one w znacznej części naukowemi. Jego rozprawa o rządzie znana jest większości czytelników obecnego pokolenia ze sprawozdania Macaulaya, które jest wszystkim, tylko nie szczerem usiłowaniem znalezienia prawdy, zawartej w rozprawie. Zapomina się pospolicie <sup>1)</sup>, chociaż zjadliwość Macaulaya mogła coś podobnego nasuwać na myśl, że Sprawozdawca Edynburski miał do pomśzczenia dzielną krytykę ogólnego zachowania się jego organu, krytykę, napisaną na kilka lat przedtem przez Jakóba Milla zaraz po rozpoczęciu wydawnictwa *Westminster Review*. Takie ukryte konieczności zdarzają się czasami, jak myślę, nawet w naszych czasach, a jako dziennikarz, nie czuję się zupełnie upoważnionym do moralizowania w tym względzie. Macaulay musiał nie tylko napisać prostą krytykę rozprawy czy teorii, ale obrzucić śmiesznością całą szkołę czy stronnictwo, które zajęło stanowisko szkodliwe dla jego własnej partji. Miał też słusność, wstrzymując się przez całe swoje życie od przedrukowania trzech swoich artykułów o sporze z utylitarystami—nie tylko z powodu tonu swego względem Jakóba Milla, którego później bronił w zupełności, ale i z powodu, że jego przeciwnicy wmawiali weń przy rozmaitych okolicznościach chodzenie krętymi drogami <sup>2)</sup> oraz popychali go niezgrabnie wprost ku jego właśnie

1) Jan Mill przeoczył to, jak się zdaje. Obacz *Autobiography* str. 157.

2) Nie mogę zgodzić się ze zdaniem profesora Baina (*James Mill* str. 227), że pisarz, który po raz pierwszy odpowiadał w *Westminster*, „nie był zapasnikiem, godnym Macaulaya“. Odpowiedź jest pod wielu względami bardzo skuteczna, i Macaulay, przytaczając z niej ustępy w mniemaniu, że pisał ją Bentham, przyznawał, iż są dowcipne. I druga odpowiedź *Westminster* taksamo trafia w wiele słabych stron Macaulaya. Obie były napisane jędrnie.

stanowisku, czyniąc to wszystko zbyt często, żeby nie musiał odpowiadać jedynie grubiaństwem. Z drugiej strony Macaulay wykazał niewątpliwie, że Jakób Mill zbyt bezwzględnie postawił niektóre twierdzenia, dotyczące się dążności natury ludzkiej <sup>1)</sup>; wytknął też w niektórych punktach braki logiczne zasady „największego szczęścia.“ Następnie odparł dobitnie niezdrowe przypuszczenie Benthama, że złe obliczenie okoliczności wyjaśnia nam wszelkie postaci złego postępowania, przeciwstawiając temu pogładowi niezbitą zasadę biologiczną, że popędy ludzkie są różne. Jan Mill, czytając Macaulaya, przyszedł do wniosku, że ani jego ojciec ani Macaulay nie mają słuszności, oraz że prawda leży po środku. Uznawał on jednak przy tem, że Macaulay posiada własną teorię, podczas gdy tamten wobec wyzwania twierdził głośno, że jej nie ma, lubo mówił rzeczy, które dowodziły, iż ma przynajmniej jakieś mniemanie.

Przy tej sposobności Macaulay wprowadził się w bardzo zabawny kłopot. Gdyby zasady Jakóba Milla były trafne, pisał naprzód Macaulay, zalecana przez Milla demokratyczna postać rządu wywołałaby upadek państwa. „Ale—ciągnie dalej—jeżeli zasady te są nieprawdziwe, jeżeli rozumowanie, które przeciwstawiliśmy im, jest słuszne, to klasy wyższe i średnie są przyrodzonymi przedstawicielkami rodzaju ludzkiego” <sup>2)</sup>. Tymczasem dowodzenie Macaulaya wymagało wyrażnie wniosku, że jeżeli jego własne zasady (nie zaś tylko Milla) są zdrowe, to głosowanie powszechne musi być zgubne, a głosowanie samych klas średnich jest słusznym porządkiem rzeczy. Twierdzenie jego w tym ostatnim względzie zachowałoby oczywiście tę samą wartość, czy zasada Milla byłaby zdrową, czy nie; w każdym razie

<sup>1)</sup> Jakób Mill jednak, odpowiadając zarówno Mackintoshowi, jak Macaulayowi, wskazywał we *Fragment on Mackintosh*, że nie starał się „wyjaśnić niezmierniej różnaitości faktów politycznych“, ale tylko chciał „wyjaśnić, w jaki sposób społeczność może jaknajlepiej zabezpieczyć sobie posiadanie dobrego prawodawstwa.“ Obacz Bain, str. 230.

<sup>2)</sup> Sprawozdanie z Milla *Essay on Government* blisko końca. *Misc. Writings of Lord Macaulay* wyd. z 1868 r., str. 146.

Macaulay sam lękał się rzeczywiście głosowania powszechnego, a jednak zdanie swoje co do zgubnych dążności tego środka czynił zależnem od zasad przeciwnika, którym właśnie przeczył. Jego „jeżeli“ było ogłupianiem się, a przecież było ono jedynie osłoną przeciw posądzeniu, iż obarcza demokrację pewnymi obrażającymi zarzutami; gdyby go pomówiono o rzucanie takich oskarżeń (do których usposabiał go rzeczywiście własny opór przeciw głosowaniu powszechnemu), dość było cofnąć się poza „jeżeli“ i zawołać, że miał na myśli możliwość takich zdarzeń tylko w razie, jeżeli zasady Milla są zdrowe. Mógłby oczywiście ktoś odrzec, że ponieważ Macaulay oznajmił, iż zasady te nie są trafne, nie wskazał więc żadnej wogóle racji opierania się głosowaniu powszechnemu, i owszem przyznał, że racji takiej niema, a pomimo to opierał się. Błędy rozumowania zostały zepchnięte hurtem na stronę przeciwną, wszakże żaden z nich nie może się równać z błędem, skutecznie druzgocącym całą sprawę Macaulaya. Wszelako Jan Mill nie spostrzegł poślizgnięcia się napastnika, który uderzał na jego ojca <sup>1)</sup>.

Naprawdę Macaulay nie miał żadnej teorii rządu we właściwym tego słowa znaczeniu, żadnej teorii w tem znaczeniu, w jakim miał ją Mill, chyba o tyle tylko, że obstawał przy jednym z poglądów Jakóba Milla, robiąc sobie z tego wyodrębniony przesąd; to też Jan Mill czynił mu zbyt wielki zaszczyt, przypuszczając, iż jego kuglarskie zwroty krasomówcze w przedmiocie indukcji i systemu Bacona oznaczają twierdzenie, iż teoria rządu jest przedmiotem czysto doświadczalnym <sup>2)</sup>. Nawet przecząc aprioryzmowi Jakóba Milla, Macaulay opierał się demokratyzmowi na

<sup>1)</sup> Profesor Bain również zdaje się przeoczyć ten główny błąd w dowodzeniu Macaulaya. Że Macaulay rzeczywiście wypowiadał własny swój pogląd, nie zaś tylko przyjmował dla celów dowodzenia przesłankę przeciwnika, gdy malował obraz następstw głosowania powszechnego, to widać jasno z mowy jego o przywilejach ludowych, wypowiedzianej w 1842 r., a przytoczonej przez dr. Baina, str. 227. Macaulay powiedział tam, że uważa głosowanie powszechne za nie dające się pogodzić z cywilizacją.

<sup>2)</sup> *Autobiography* str. 160.

Humanisci nowożytni.

czysto apriorystycznej zasadzie, że demokratyzm jest niebezpieczny, nie utrzymywał bowiem, że tego dowiodło doświadczenie. Przez cały czas rozumowania przyjmował rzeczywiście w tym jednym celu ogólną zasadę Jakóba Milla i wyciągał z niej wniosek, którego Mill prawdopodobnie nie przewidział, mianowicie wniosek, że „wydziedziczeni”, doszedłszy do władzy, łupiliby z pewnością „posiadaczy.” Jakób Mill postawił ogólną zasadę samolubstwa klasowego i wyminął ten wniosek szczególny; Macaulay zatrzymał się na tym szczególnym wniosku, ale wyparł się wszelkiej przesłanki ogólnej.

## X.

W jakiż tedy sposób Jan Mill przekształcił metody czy zasady swego ojca? Czy poprawił aprioryzm w tym kierunku, który uznał za właściwy, przez postawienie dedukcyjnej metody nauk przyrodniczych zamiast dedukcyjnej metody czystej geometrii? Jeżeli uczynił to, wyniki otrzymał cudacznie niedorzeczne. Jakób Mill, usiłując odkryć, jak dalece posunąć można ograniczenie zasady powszechnego głosowania bez zniszczenia pewności dobrego rządu, nadmieniał, że możnaby wyłączyć mężczyzn do lat czterdziestu i wszystkie kobiety na tej podstawie, iż można przyjąć tożsamość ich interesów z interesami mężczyzn, którym pozostałoby wówczas prawo głosu. Macaulay, pomijając punkt o mężczyznach do lat czterdziestu, przyczepił się do punktu o kobietach i w zapale dowodzenia poczynił ustępstwa <sup>1)</sup> co do ich stanowiska, dochodząc aż do obrony ich usamowolnienia i wręcz stając w sprzeczności z własnym twierdzeniem dalszem, że interesy „szanownego Anglika” są, jak słusznie powiedzieć można, identyczne z interesami jego żony. Jan Mill, całkowicie przyjmując zasadę głosowania kobiet i wiedząc przytem, iż ojciec jego postawił mężczyzn do lat czterdziestu

---

<sup>1)</sup> Przytoczona ocena, blisko środka (str. 142).

na tym samym stopniu, co kobiety, zaczyna protestować przeciw wyłączeniu kobiet, jako przeciw błędowi nie mniej poważnemu od tych wszystkich, przeciw którym wymierzona była rozprawa, nie nalegając na to, iż wyłączenie mężczyzn do lat czterdziestu byłoby równie niesprawiedliwe. Rozumie się, że sam on nie oświadczyłby się za takim ograniczeniem, przekonywamy się jednak, że Mill zapalał się zawsze daleko więcej do głosowania kobiet, niż do głosowania dorosłych. W tym razie, jak mi się zdaje, użył on po prostu aprioryzmu swego ojca na poparcie reformy, której sprzyjał, podczas gdy do tego, co mu się mniej podobało, brał się po części metodą *a posteriori* lub przynajmniej wychodził z innej zupełnie zasady etycznej. Naprzód był on za głosowaniem dorosłych albo przynajmniej za istotnym demokratyzmem równym dla mężczyzn i kobiet. Później, jak opowiada, on i żona jego stali się „o wiele mniej demokratyczni, niż sam on był niegdyś, dopóki bowiem wychowanie nie przestanie być tak niegodziwie lichem, obawiać się wypada ciemnoty, a zwłaszcza samolubstwa i zwierzęcości tłumu“<sup>1)</sup>. Tymczasem cała treść wspólnego ich dzieła o *Poddaństwie Kobiet* zmierza do wyjaśnienia, że nie tylko niewykształceni, lecz i wykształceni mężczyźni mają zwyczaj postępować samolubnie z żonami swemi i uciskać je. Czyżby tedy miało być mniej prawdopodobnem, że wykształceni mężczyźni wogóle uciskają politycznie mężczyzn niewykształconych? Jakób Mill powiedział, że zwykli oni dążyć do ucisku, i że dlatego tłum powinien posiadać głos; Jan Mill, aczkolwiek rzeczywiście nie doradzał ograniczeń głosowania, obawiał się głosu udzielić. Dlaczegoż więc okazywał tyle chęci udzielenia go kobietom z klas średnich i wyższych? Według zasady swej, zapatrując się na doświadczenie, jako na środek trzymania na wodzy rozmyślań *a priori*, Mill powinienby był przynajmniej zawahać się, nie mamy bowiem żadnego doświadczenia co do tego, jak kobiety używałyby głosów swoich, a przykłady dobrych królowych w Europie i w Indjach

---

1) *Autobiography* str. 231.

oczywiście niczego tu nie dowodzą. Nadto Mill mocno upierał się przy tem, że kobiety wogóle są w położeniu niewolnic. Otóż jeżeli niebezpieczną jest rzeczą usamowolnić ciemną demokrację, to z pewnością niebezpiecznym też być musi usamowolnienie niewolników.

Nie występuję przeciw głosowaniu kobiet, bronię go w rozmiarach największych, włączając je w głosowanie dorosłych. Chcę po prostu wskazać, że Mill popierał głosowanie kobiet za pomocą pewnych zasad moralnych *a priori*, gdyż uczucia jego podążały w tym kierunku, wzдрыgał się zaś przed zastosowaniem tych samych zasad, gdy sympatje jego wypadkiem były nieco mniej żywe. Gdy szło o kobiety, dowodził dobitnie, że ani my ani one nie możemy całkowicie poznać rzeczywistych ich zdolności i charakteru, dopóki nie damy im zupełnej swobody rozwijania tych uzdolnień. Święta prawda; to samo zupełnie tyczy się ubezwłasnowolnionych tłumów dzisiejszych. Usamowolnienie ich jest najlepszą rękojmnią ich wykształcenia nie tylko dlatego, że—zastosuję tu piękne zdanie Jerzego Eliota — „ci, którzy okazują nam ufność, kształcą nas” w znaczeniu politycznym, lecz i dlatego także, iż każdy czuje potrzebę poprawy wykształcenia tam, gdzie wszyscy głosują. Co się tyczy kobiet, narażone są one taksamo na niebezpieczeństwo błędzenia przez chwytanie się jednej skłonności po drugiej, jak mężczyźni, jeżeli mówić mamy o wszelkich klasach; usamowolnienie zaś, nadając kobietom klas wyższych prawo dozoruwania przeznaczeń nieusamowolnionych mężczyzn klasy niższej, byłoby po prostu stworzeniem jednej jeszcze nie-normalności, i to takiej, którą według własnych zasad apriorystycznych Milla mielibyśmy prawo nazwać niegodziwością. Bo kobiety koniec końców umieją grzeszyć tyleż, co i mężczyźni.

I tu jednak wątpliwości Milla co do demokracji, jakkolwiek są niekonsekwentne, różnią się przecieź bardzo od wstrętów przeciętnego wiga, że nie powiem torysa.

## XI.

Powiedziałem, że *Ekonomję Polityczną* słusznie nazwano ruiną, a to zdanie godzi się poniekąd z własnym świadectwem Milla, który wyznaje, iż książka „napisana została daleko bardziej pośpiesznie, niż *Logika* i naprawdę niż jakiegokolwiek z dzieł poważnych, stworzonych poprzednio“<sup>1)</sup>. Przed śmiercią Mill odstąpił od jednego z zasadniczych założeń swoich, od teorii funduszu zarobkowego, ale nie uświadomił sobie zdaje się, jak bardzo podupadł przez to jego system, w szczególności zaś nie rozumiał, że teoria ta była kluczem sklepienia ogólnej nauki o kapitale. Co więcej, wychowańcy i następcy Milla również zdaje się nie zdołali dostrzec tego tak, iż teoria Smitha i Milla o bezwzględnym pożytku oszczędności pozostaje do dziś uznana podstawą ekonomji narodowej, i na niej, jak się przekonano, oparli się nawet główni socjaliści. Smith, udzielając głosu popędowi tworzącej się za dni jego klasy średniej, o ile popędy te przybrały postać dowodową, nauczał, iż wszelka rozrzutność zrządza szkodę nie tylko temu, kto się jej dopuszcza, lecz i zasobom ogólnym społeczeństwa. Gdy przyszło do uzasadnienia tej teorii w szczegółach za pomocą faktów społecznych, Smith doszedł do rezultatów całkowicie niezgodnych ze swem twierdzeniem, to też przedstawił te wyniki z właściwą sobie niesystematycznością; przyznał, iż wiele postaci nadużyć jednostkowych są korzystne dla społeczności, pozostawił jednak bez zmiany pierwotne swe twierdzenie. Następnie broniąc dodatkowego twierdzenia, że oszczędność jednostek jest źródłem pomyślności narodowej, i radząc przeto wszystkim członkom społeczności spożywać o ile można najmniej—niestosowne żądanie swoje o potrzebie możliwie usilnego powiększenia produkcji usiłował poprzeć za pomocą wewnątrznie niezgodnej maksymy, iż pragnienia ludzkie nie mają granic, a więc niema po co stawiać jakichkolwiek gra-

---

<sup>1)</sup> *Autobiography* str. 235.

nic wytwarzaniu. Jest to ciągle bujanie na sofizmatach. Spożywajmy o ile możności najmniej i oszczędzajmy pieniądze, bo takie oszczędzanie jest jedynym sposobem zaopatrzenia się w kapitał nieodzowny do wytwarzania, ale jednocześnie pomnażajmy koniecznie produkcję dla dobra przemysłu aż do najwyższych granic; otuchy niech nam doda myśl, że spożycie nie ma granic — właśnie gdy przed chwilą głosiliśmy, iż dobrobyt narodu zależy od tego, żeby jednostki we własnym życiu ograniczały się o ile można najściślej.

Ten sofizmat Smitha był mniej lub więcej wyraźnie wytykany przez Lauderdale'a, Sismondiego, Wakefielda, Chalmersa i Malthusa, ale właśnie dlatego, że tak zupełnie przypadła do nałogów i skłonności większej części przedstawicieli klasy średniej i wyższej, pozostał po dziś dzień składnikiem ekonomii prawowiernej; Millowi zaś należy się smutna sława nadania mu nowej wziętości i uroku przez swój opłakany rozdział pod nagłówkiem: „Podstawowe twierdzenia o kapitale”, rozdział, będący pasmem bezczelnych fałszów, które posuwają się aż do sprowadzenia ekonomii politycznej na poziom religii. Na szczęście coraz większa ilość badaczy wykrywa błędy tego rozumowania. Nie mogę wdawać się tu w dowodzenie szczegółowe. Zamierzam uczynić to gdzieindziej, streszczę natomiast twierdzenia Milla. Zgadając się wogóle ze Smithem w poglądach na oszczędność i kapitał, Mill podejmuje się dowieść, że kapitał jest wynikiem oszczędzania, i natychmiast odbiera twierdzeniu temu wszelkie znaczenie, powiadając, iż oszczędzanie możemy rozumieć, jako produkcję dóbr, przewyższającą spożycie, nawet gdyby „równocześnie zwiększało się spożycie osobiste.” Twierdzenie, że „kapitał jest wynikiem oszczędności”, zmieniło się w ten sposób na twierdzenie, że „kapitał tworzy się przez tworzenie.” Skoro tak jest, Mill pragnie dowieść, że „jeżeli tylko są istoty ludzkie zdolne do pracy, i jest pokarm do ich wyżywienia, mogą one zawsze znaleźć zajęcie w wytwarzaniu czegoś.” Jakże to? Byleby wszystkie osoby, mające pieniądze na zbycie, postanowiły, zamiast iść na rynek i kupować tam wszelkiego rodzaju towary, zająć

raczej bezpośrednio pracowników wytwarzaniem towarów, na które niema popytu! W streszczeniu brzmi to nieprawdopodobnie, a jednak takie jest dowodzenie. Nie powinniśmy nabywać towarów, albowiem—powiada Mill — „popyt na towary nie jest popytem na pracę”; ten sofizmat bankrutów wykładają poważnie następcy Milla, wyjaśnia go zaś na przykładach w sposób bardzo miły bajeczka dla młodzieży pióra Fawcetta. Pierwsza rzecz, którą mamy uczynić, jest pójść na rynek pracy i bezpośrednio nająć ludzi, aby wybudowali nam dom. Nie trzeba iść do budowniczego i prosić go o wybudowanie domu, gdyż to byłoby żądaniem towaru, a więc nie żądaniem pracy, i jako takie, nie sprawiłoby nic dobrego. Jeżeli jednak sami dajemy zajęcie mularzom, jesteście dobroczyńcami rodzaju ludzkiego. Po wybudowaniu pierwszego domu najlepszym dalszym ciągiem takiego wyświadczenia dobrodziejstw będzie przystąpienie do budowy drugiego domu bez najmniejszego względu na to, czy pierwszy dom się sprzedaje; gdyby bowiem ktoś oznajmił chęć nabycia go, żądałby towarów, nie zaś pracy, podczas gdy my powinniśmy baczyć, żeby do dostarczania zajęcia robotnikom nie skłaniał nas popyt na towary — czyż bowiem formuła nie mówi, że tak być nie powinno?

Taki jest obmyślony i wyłożony przez Milla plan zapewnienia ludziom zajęcia, dopóki tylko jest pokarm dożywienia ich. Gdybyśmy plan ten przyjęli, niewątpliwie dopięlibyśmy celu, mianego na względzie — dopóki tylko starczyłoby żywności. Gdyby każdy człowiek dawał z pierwszej ręki zajęcie pracy za wszystkie uciulane pieniądze, wykarmilibyśmy robotników, dopóki byłoby z czego. Sztuka i cywilizacja byłyby stratne, ale dla mularzy nastąpiłyby piękne czasy. Jeżeli wszakże zwrócimy się do następnego rozdziału Milla pod nagłówkiem: „Popularne środki zaradcze na niską płacę”, znajdziemy takie zdanie <sup>1)</sup>:

„Państwo mogłoby zapewnić wszystkim, którzy się urodzili, zajęcie z hojną zapłatą. Czyniąc to wszakże, byłoby

---

1) Str. 220.

obowiązane do samoochrony i dla dobra wszystkich celów, dla których istnieje rząd, musiałyby baczyć, żeby nikt się nie rodził bez jego zgody."

Otóż staje się doskonale jasnym, że obmyślony przez Milla plan dostarczania pracy z pierwszej ręki kosztem mających wartość „oszczędności“ każdego obywatela (plan, który, jak powiada Mill, dostarczyłby pracy i pokarmu wszystkim, dopóki istniała żywność) znaczy tyleż, co „zagwarantowanie wszystkim, którzy się urodzili, zajęcia za hojną zapłatą”; a przeto plan ten, jak sam Mill dowodzi, dałby się urzeczywistnić tylko pod warunkiem, że społeczność, jako całość, doglądałaby liczby urodzeń. Jednakże Mill nie wspomina ani słowa o tem ograniczeniu w rozdziale p. n.: „Podstawowe twierdzenia o kapitale”, mówiąc tam w sposób, wykluczający ten warunek. Tymczasem zalecany przez niego sposób działania nie tylko wręcz urąga zdrowemu rozsądkowi, lecz przeczy wszystkim zasadom przemysłu handlowego, uznawanym i wykładanym przez Milla w całej książce. Pamiętam dobrze głębokie zniechęcenie, które na czas jakiś opanowało mię, gdy spostrzegłem zupełną nicość tych rozumowań człowieka, zajmującego pierwsze miejsce zarówno w szeregu ekonomistów, jak logików. Ale jakkolwiek ten rozdział nie ma żadnego znaczenia, posłużył przecież poniekąd do podtrzymania uroku nierozsądnej nauki Smitha o oszczędności, którą Mill, jak mniema, uzasadnił <sup>1)</sup>, podczas gdy naprawdę postępował przez szereg głupstw logicznych do twierdzenia zupełnie przeciwnego, iż dobrobyt społeczności podtrzymuje się przez powszechne spożycie nieprodukcyjne, takie jest bowiem, zgodnie z jego własnymi przesłankami, określenie tej sprawy dobroczynnego zatrudniania pracy.

Skończywszy pierwszą, wzorowaną na zdaniu Smitha część dowodzenia, wyjaśniwszy niby, że „oszczędność wzbogaca, a marnotrawstwo zuboża zarówno społeczność, jak je-

---

<sup>1)</sup> Str. 45.

dnostkę”, Mill dodaje w przypisku <sup>1)</sup>—tak prawie, jak Smith— że „warto zwrócić uwagę na rozmaite okoliczności, które do pewnego stopnia zmniejszają szkodę, zrządzaną bogactwu ogólnemu przez rozrzutność jednostek.“ Mógł to słusznie powiedzieć wtedy, kiedy sam rzeczywiście zabierał się do napominania wszystkich, żeby stawali się rozrzutnikami i najmowali ludzi do budowania domów, których nie potrzebują. Wskazawszy dość pobieżnie i sprzecznie, w jaki sposób wydatkowanie może przynosić korzyść społeczności, Mill kończy przypisek słowami: „Są jeszcze inne bardziej ukryte sposoby, za pomocą których marnotrawstwo jednego człowieka może wywoływać równoważne nadmierne oszczędności innych, o tem wszakże mówić będzie można dopiero w tej części książki czwartej, gdzie wyłożymy zasadę, ograniczającą nagromadzanie kapitału”, zasadę ograniczającą—dodajmy—o której tymczasem niema jeszcze żadnej wzmianki, i której się domyślnie przeczy. Księga czwarta jest blisko końca tomu, rozdział obecny jest blisko początku. Zwracamy się do książki czwartej i przekonywamy się, iż Mill robi uwagę, że w tem, co się tyczy nagromadzania kapitału, język Smitha jest „chwiejny i zmienny, zdradzając brak poglądów określonych i dobrze przetrawionych” <sup>2)</sup>. Prawda, i nie mamy po co iść dalej, albowiem staje się widocznem, iż następca Adama Smitha znajduje się w tem samym położeniu, tylko ma wyraźnie mniej powodów do wymówki.

Nie daleko jednak trzeba szukać przyczyn, wyjaśniających pomieszanie Milla. Wziął się on do dzieła taksamo, jak Adam Smith, pod natchnieniem optymizmu wolnohandlowego. Pierwsze pokolenia tej szkoły pozostawały pod silnem wrażeniem wielorakiego złego, zrządzonego przez ograniczenie handlu; zdawało się też im, iż usunięcie ograniczeń jest wszystkim, czego kiedykolwiek mogła potrzebować ludzkość. Nie mogli oni nabrać wiary, że przy najbardziej nawet swobodnem działaniu społeczności przemysłowej

---

<sup>1)</sup> Str. 45—6.

<sup>2)</sup> Str. 440.

istnieją dążności, które prowadzą do klęsk; praktycznie rzeczy biorąc, cieszyć się trzeba, iż mieli oni takie poglądy, dość rozsądne względnie do warunków czasu. Jednakże nawet gdy dowodzenie Malthusa wykazało wyraźnie, że w każdym przemyśle nieuregulowanym tkwi zasada zgubna, radykaliści wolnohandlowi nie zastosowali się do dowodzenia, chociaż przyznawali, że jest ono trafne. Czy dlatego, że gwałtowność opozycji przeciw wolności trzymała ich uwagę często skupioną głównie na zyski zależne od tej wolności, czy też dlatego, że dążyli oni do stawiania oporu tym toryso-maltusistom dawnej daty, którzy sprzeciwiali się wszelkim reformom i bronili wszelkich nadużyć, dość, że z pewnością niewielu albo nikt z nich nie pamiętał o zasadniczej prawdzie poza abstrakcjami nauki ekonomicznej. Widzieliśmy, że sam Jan Mill w książce, w której wyraźnie wykładał zasadę Malthusa, pomieścił całe rozdziały i ustępy, nie tylko zapominające o niej, lecz jej wewnątrznie przeczące. Koniec końców niema chyba czemu się dziwić. Wysuwając zasadę ludnościową zgodnie i stale na pierwsze miejsce, doczekano-by się tego tylko, że wszelkie ustępstwa pochwyciliby i wyzyskali ludzie, usiłujący podtrzymać wszystkie współczesne niesprawiedliwości na tej zasadzie, iż sprawiedliwość nie zdoła zapewnić dobrobytu.

W związku z tem powinniśmy przypomnieć sobie, że pomimo wszystkich swoich sprzeczności ekonomicznych Mill był pierwszym ekonomistą liberalnym, który wyraźnie nalegał na niezbędność kontrolowania ruchu ludności a jednocześnie przynaglał do reform liberalnych. Malthus, na którego prawda, wypowiedziana przezeń, wywarła głębokie wrażenie, nie widząc żadnego sposobu ograniczenia wzrostu ludności, chyba przez zaniechanie małżeństw, sprzeciwiał się odwołaniu praw zbożowych, ono bowiem, jak przewidywał, podniosłoby znacznie przyrost. Ricardo i Jakób Mill dobitnie wskazywali, że ludność dąży do powiększania się prędzej, niż środki do życia, albo jak wyrażał się Jakób Mill, gdyż i on trzymał się teorii oszczędzania i funduszu zarobkowego, prędzej, niż kapitał, wszakże obaj ci ekonomiści nie posunęli się dalej. M'Culloch, deista pełen optymizmu, bez-

wstydnie dowodził, że prawo zaludnienia jest podobnie, jak inne, dobroczynnem urządzeniem Opatrzności, gdyby bowiem nie ciągła potrzeba pilnej walki o środki do życia, „społeczeństwo stopniowo wpadłoby w zubożenie i zwątlenie“ <sup>1)</sup>. Wiara taka pozwalała spokojnie zamykać oczy na ciągłe żniwo śmierci. Pomiedzy wybitnemi ekonomistami Janowi Millowi sądzono było jeśli nie konsekwentnie, to przynajmniej usilnie zwracać uwagę na to, że zaludnienie może być ograniczone przez roztropność ludzką. Przypominam sobie opowiadanie, którego teraz nie mogę powtórzyć, o tem, jak Mill zamłodu usiłował rozpowszechnić znajomość neomaltuzjanizmu pomiędzy służbą kobiecą. Jeżeli usiłował istotnie, przynosiłoby mu to zaszczyt, nie zaś niesławę, jak niektórzy zdawali się myśleć, opowiadanie wszakże jest nieprawdopodobne. Wpływ swój w tym względzie zużytkował natomiast swobodnie w książkach swoich, kładąc zaś nacisk na tę niezmiernie ważną prawdę, okupił wiele sofizmatów. Jeżeli, jak mówi Morley, sławą Carlyle'a było, iż zrozumiał, że żyjemy w okresie przesilenia, tedy sławą Milla musi być to, że na dalszą odległość widział fakty bardziej dokładnie i przedstawiał je zdrowiej.

## XII.

Istotnie poza dodaniem odwagi staremu złudzeniu, jakoby oszczędność jednostek była źródłem pomyślności narodowej, i poza wzmocnieniem rzeczy nierozsądnych w dziedzinie religji, błędy Milla nie należały do rodzaju, dla ludzi szkodliwego. Nawet o ile chodzi o religję, można powiedzieć na korzyść Milla, że uczynił daleko więcej dla rozsądku, niżli przeciw niemu. Morley utrzymywał o nim, że nie napadając otwarcie na teologję, uczynił jednak więcej, niż jakikolwiek inny pisarz, dla podcięcia korzeni ducha teolo-

---

<sup>1)</sup> *Principles of Pol. Econ.* wyd. 2-gie, str. 228

gicznego <sup>1)</sup>. Kiedy pisał Morley, nie wyszły jeszcze na świat *Trzy rozprawy o religji*. Ale *Wolność* zrobiła już po części to, co *Rozprawy* zrobiły później, zachęciła wiele osób religijnych do wytrwania w religijnym sposobie myślenia. Prawda, że ci, których Mill swoją *Logiką* i *Badaniem filozofji Hamiltona* uczył myśleć systematycznie, naogół nie doznają szkody od *Rozpraw*, i takich musiało być wielu. Ale z drugiej strony czytelnicy, zaczynający od *Rozpraw*, znajdowali jaknajsilniejszą zachętę do pozostania przy mniemaniach swoich, przekonywując się, że człowiek, uznany za sceptyka, tak bardzo zbliża się do prawowierności i w dowodzeniu używa pomysłów tak wybitnie prawowiernych <sup>2)</sup>. Musimy dopiero ważyć szkody i korzyści, obliczając zaś je, możemy spostrzec przewagę po prawej stronie.

Bardzo wiele mówiono już o skutkach pewnego ustępu *Ekonomji Politycznej*, w którym Mill zgadza się, że protekcjonizm może być ostatecznie najlepszą polityką młodej kolonji. Powiadano, że Cobden na łożu śmierci oznajmił uroczyście, iż ten jeden ustęp zrządził więcej złego, niżeli sprawiła dobrego cała reszta książki. Wszelako wadą Cobdena, skądinąd tak godnego podziwu i oświeconego męża stanu, stojącego tak znacznie wyżej od polityków współczesnych, było to, że nie oceniał dokładnie ani drobiazgowo złego, związanego z własnymi teorjami handlowymi. W zaraniu życia był on jednym z jaskrawych optymistów wolnohandlowych. Umiał widzieć wszelkie abstrakcyjne zła, wynikające ze skażonego rozwoju systemu ochronnego w kolonjach, mniej wszakże był spostrzegawczym na zła, współlistniejące z wolnym handlem w kraju, wyjąwszy chyba, o ile mógł się w nich dopatrzeć—co nie było rzeczą trudną—wpływów rządu marnotrawnego i militarne go. Ale ostatecznie wbrew mniemaniu niektórych osób Cobden nie był zadowolony z kierunku, w którym posuwała się cywilizacja angielska pod

<sup>1)</sup> *Critical Miscellanies* t. III, str. 43. *The Death of Mr. Mill*.

<sup>2)</sup> Courtney jednak odrzuca połowiczną metodę Milla z taką emfazą, jak przeciętny racjonalista (*Life* str. 173).

wplywem wolnego handlu. Biograf jego zaznacza, że „ustawicznym strapieniem w życiu Cobdena było uporczywe zatykanie uszu przez tych, do których obsypania bogactwem i dostatkami się przyczynił, zatykanie uszu na wszystko, co Cobden mówił o idealach społecznych, do jakich bogactwa powinny prowadzić posiadaczy swoich. W końcu zmuszony został powiedzieć sobie to, co pisał do pewnego przyjaciela: „Narody nie nauczyły się jeszcze korzystać z pomysłowości, wolności i pokoju. Nauczą się tego na wyższym stopniu cywilizacji. Zdaje się nam, że jesteśmy wzorami dla potomności, gdy tymczasem jesteśmy tylko sygnałami ostrzegawczymi, pomagającymi unikać skał i mielizn“ <sup>1)</sup>. W tem jest istotnie mało optymizmu manczesterskiego. Ale pozostaje faktem, że publicystyczny zawód Cobdena przejawia mało takich uczuć w porównaniu z zadowoleniem z rozwoju przemysłowego, i albo opowieść o łożu śmierci jest zmyśloną — takimi są zapewne bardzo często opowieści o łożach śmiertelnych — albo też ostatnie myśli jego dyktowała w całości młodzieńcza wiara teoretyczna. Jakkolwiek było, zarzut przeciwko Millowi popierali też inni stronnicy wolnego handlu, i domaga się on odparcia. Daremnie byłoby mówić, że istotna szkoda, zrządzona kolonjom naszym przez ich zasady protekcyjne, w czemkolwiek dolegliwością swą przypomina kłopoty, które spadły na metropolję skutkiem wzrostu ludności. Cobden ze swoim optymizmem handlowym nie potrafił, jak się zdaje, uchwycić tej prawdy. Z tą jego niedołnością godził się fakt, że nie mógł on dojrzeć argumentów socjologicznych, przemawiających za uznaniem przez Milla protekcyjizmu w młodych kolonjach. Czystą zasadą wolnohandlową jest, że każdy obszar powinien wytwarzać to, co może wytwarzać korzystnie w warunkach wolnego handlu; zasada ta nie sięga dalej. To znaczy, że jeśli Kanada może z największą dla siebie korzyścią wytwarzać bułdę i pszenicę, jeżeli może ciągnąć z nich zyski w wolnej wymianie, a nie jest zdolna w tych samych warunkach wy-

---

<sup>1)</sup> *Life of Cobden* przez Jana Morleya t. II, str. 481.

tworząc z zyskiem innych towarów, powinna zadowolić się tylko uprawianiem pszenicy i gospodarstwem leśnym i na wieczne czasy mieć ludność, złożoną prawie całkowicie z rolników i leśników. Tymczasem zagadnienie to domaga się rozwiązania na podstawie zasad, leżących poza obrębem ekonomji politycznej, zasad, o których Cobden nie chciał wiedzieć. Jeżeli rolnicy i leśnicy kanadyjscy postanowią nadać cywilizacji swej większą złożoność, postanowią poczynić pewne ofiary w celu stworzenia u siebie rozmaitych rękodzieł i sztuk, jeżeli przyjdą do wniosku, iż postęp ogólny domaga się istotnie takiej różnorodności, to pod tym względem rozumowanie ich nie będzie głupie, ale mądre. Nie mówię, żeby w młodych kolonjach protekcyjizm dziś miał być wykonywany według świątłych <sup>1)</sup>, albo nawet według uczciwych zasad; z pewnością ukrywa on niebezpieczeństwa poważne, z których najoczywistszem jest uporczywe zakorzenianie się dążności złych po zupełnem już zapewnieniu zamierzonego zysku, ale z drugiej strony przynosi on niejedną korzyść cywilizacji, podczas gdy wolny handel obok wielkich korzyści swoich wypiastrzał rozpaczliwe szkody. Rada Milla była rozsądna i naukowa i jest przykładem jednego ze szczęśliwych zastosowań metody biologicznej do zagadnienia, traktowanego przez innych w sposób mechaniczny.

Czasami znów Mill zdawał się skłaniać do niebiologicznej metody badania przedmiotów zasadniczo biologicznych albo raczej socjologicznych. Jego opór przeciw zniesieniu kary śmierci wyjaśnić mogą jedynie, jako objaw przywiązania do apriorycznej metody rozumowań Benthama o odstrasżających skutkach kar. Pozytywne badanie przedmiotów karnych wskazuje, że powzięte *a priori* przypuszczenie o wpływie odstrasżającym jest zawsze błędne, że naprzykład więcej kradziono owiec w czasach, gdy ludzi wieszano za to tuzinami,

---

<sup>1)</sup> Kanadyjczycy w szczególności doszli aż do zniszczenia swego przemysłu i handlu przez utrzymywanie taryf przeciw wszystkim krajom, podczas gdy Stany Zjednoczone wymierzały taryfy przeciw nim. W tym wypadku wyraźnie przeważały dążności zgubne i złe.

niż dzisiaj, gdy przestępstwo to karane jest lekko. W ten sam sposób morderstwa nie mnożą się w stosunku do wyroków, darowujących życie, to też nasuwa się myśl, że śmiało można zaniechać czynu wstrętne zwierzęcego i zwierzęcość szczepiącego, czynu, który wyraźnie upośledza i przytępia wrażliwość ludzką. Ale nie tylko na tej drodze można po bić Milla; przegrywa on też sprawę wobec zasady etycznej, której, jak mniemam, nie zaprzeczyłby nigdy, gdyby mu ją postawiono. Karanie śmiercią znaczy w praktyce tyleż, co najmowanie wykonawców do uskuteczniania czynności, którą brzydzą się wszyscy oświeceni obywatele tak dalece, iż urząd kata uważano zawsze za wykluczający człowieka, który go pełni, z obrębu zwykłego obcowania. Wykonywując wyroki sędziego, kat powinienby stać na jednym z nim szczeblu, jako urzędnik publiczny, i używać jednakiej z sędzią sławy, tymczasem jest zupełnie inaczej, a gdy niedawno postawiono w parlamencie wniosek rozciągnięcia dozoru nad zachowaniem się i słowami kata, okazało się, że żaden urzędnik nie zgodziłby się podjąć tego. Powodem jest po prostu, że czynność kata budzi obrzydzenie. A jednak ogół, który się wzdryga przed nią i który osobiście cofnąłby się ze zgrozą przed jej wykonaniem, nie przestaje za pośrednictwem przedstawicieli swoich używać kata. Mill mógł śmiało zasługiwać na naganę za usprawiedliwianie takiego postępowania zasadami moralnemi.

W innym znów sporze z filantropami stanowisko Milla jest, jak sądzę, bardziej obronne. W parlamencie przemawiał on i głosiwał przeciw Cobdenowi i wielu liberałom, którzy czynili zabiegi w celu usunięcia z pod praw wojny całego handlu państw, wojnę toczących. Dowodził on, że najlepszym środkiem położenia końca wojnie jest dać uczuć obywatelom wszelkie jej klęski, że usunąć jedno z najdotkliwszych złych następstw wojny znaczyłoby uczynić dla obywateli stan wojny zgola obojętnym. Morley powtarza za Cobdenem, że w żadnym razie nie można spodziewać się przerwania wojen, że zatem w ciągu ich trwania powinniśmy łagodzić o ile możności wszelkie ich złe skutki. Cała sprawa nie ma prawdopodobnie znaczenia praktycznego, trudno bo-

wiem pojąć, żeby narody wogóle zobowiązywały się zostawić w spokoju handel wzajemny, jeżeli są w walce śmiertelnej, w każdym jednak razie wiele da się powiedzieć na korzyść stanowiska Milla.

### XIII.

Są wreszcie poglądy jego, które uznać wypada za błędne, lubo nie zrzędziły one wielkiej lub żadnej zgoła szkody w nauce społecznej. Profesor Bain, najkompetentniejszy krytyk Milla, z emfazą podnosi błąd jego teorii, tyczący się przyrodzonej równości sił ludzkich <sup>1)</sup>. „Zaślepienie to—powiada dr. Bain—Mill odziedziczył po ojcu i nie umiał niczego się nauczyć ani zapomnieć w tym względzie.“ Istotnie Mill nigdy nie rozumiał właściwie warunków fizycznych życia umysłowego; „nie uwzględniał on tego, co każdy wykształcony fizjolog stwierdza dziś, jako fakt. Przestrasza mię to — dodaje dr. Bain—że w obu tych błędach uczucia Milla nadawały kierunek jego umysłowi.“ Tem bardziej zdaje się to prawdopodobnem, gdy zaznaczymy, w jaki sposób Mill we wczesnym szkicu swoim o Benthamie, będąc w okresie odchylenia się od jego nauki, oskarża dawnego mistrza o niewuwzględnianie natury ludzkiej.

„Tem, co jest jedyną przyczyną istnienia wszelkich interesów materialnych—pisał wówczas Mill—co jedynie uzdolnia każde zbiorowisko istot ludzkich do bytowania w postaci społeczeństwa, jest charakter narodowy; on to sprawia, że jednemu narodowi udaje się wszystko, cokolwiek zamierza, inny zaś chybia celu, że jeden naród rozumie i pragnie rzeczy wzniosłych, inny pełza w podłości; charakter narodowy czyni, że wielkość narodu trwa silnie, charakter też skazuje naród na wczesny i gwałtowny upadek. Prawdziwym nauczycielem, wskazującym najstosowniejsze urządzenia społeczne w Anglii, Francji lub Ameryce, jest ten, kto umie wy-

---

<sup>1)</sup> Jak wyżej, str. 146.

łożyć, jak da się poprawić charakter Anglików, Francuzów lub Amerykanów oraz jak stał się takim, jakim jest. Filozofja praw i instytucji, nie oparta na filozofji charakteru narodowego, jest niedorzecznością<sup>1)</sup>.

Ta nienajlepsza mieszanina poglądów Carlyle'a i Coleridge'a jest bardzo mało przekonywajacem zaprzeczeniem metody Benthama, ale przynajmniej zdaje się zawierać uznanie prawdy, iż charakter się zmienia. W *Logice*<sup>2)</sup> spotykamy pomysł „etologii politycznej albo teorii przyczyn, określających typ charakteru danego ludu w danym czasie.” Tu już Mill staje się sprzecznym z sobą, a nowy jego termin obala się z dwu stołków, na których myśliciel usiłuje go usadowić. Później w *Ekonomji Politycznej* spostrzegamy, że Mill w najlepsze powraca do Benthama, odrzucając zwykłe u Anglików przypisywanie nędzy irlandzkiej, rzeczywiście wywołanej przez złe instytucje i cudzoziemskie panowanie, gnuśności rasy celtyckiej. „Ze wszystkich gminnych sposobów, za pomocą których ludzie wykręcają się od zastanowienia nad wpływem warunków moralnych i społecznych na umysł ludzki, sposobem najbardziej prostackim jest zwyczaj przypisywania różnic w postępowaniu i charakterze odziedziczonym różnicom naturalnym”<sup>3)</sup>. Jest to wysoce słuszne, ale zarazem dostatecznie sprzeczne z napaścią na Benthama, który albo uznawał różnice przyrodzone, albo nie uznawał niczego. Ale drugą reakcją swoją Mill posunął aż do nałogu pisania o wszystkich różnicach uzdolnienia, jako zależnych od wychowania<sup>4)</sup>, i wtedy, zwłaszcza gdy czytamy rozprawę o *Poddaństwie Kobiet*, trudno powątpiewać, że szczególna gorliwość w obronie emancypacji kobiet usposabiała go do mówienia o różnicach umysłowych, jak-gdyby one zawsze były nabyte, nigdy zaś ustrojowe.

1) *Dissertations and Discussions* t. I, str. 365—6.

2) T. VI, r. 9, § 4.

3) T. II, r. IX, § 3. Por. *Autobiography* str. 274.

4) Chociaż nie bardzo trzymał się tego poglądu w słynnym uogólnieniu swoim, tyczącem się „partji głupich”, przez co chciał powiedzieć, nie że zachowawcy są głupcami, jeno że ludzie głupi są ogólnie zachowawcami.

Humanieści nowożytni.

A jednak mimo wszystko, cośmy powiedzieli, ten błąd Milla nie mógł zrządzić dużej szkody albo nawet nie zrządził żadnej, gdy odwrotnie musiał sprawić wiele dobrego, zwalczając błąd przeciwny i oklepany, wytknięty przez Milla na przykładzie stosunku Anglików do Irlandji, błąd, który dotychczas jest jednym z najbardziej ulubionych ogólników stronnictwa, zwanego przez Milla partją głupich. Dr. Bain powiada, że błąd co do fizycznych warunków umysłu był „w praktyce nieszkodliwy”, ale uwzględnić tu należy własne zdrowie Milla. Cierpiął on niewątpliwie, nie powiększał jednak ciężaru innych. Do podobnego wniosku docieramy też, gdy chodzi o sofizmaty, które znajdujemy w postawieniu i wykładzie poglądu Milla na zasadę utylitaryzmu. Sądzę, że błędem było historycznie i psychologicznie stanowisko Milla, gdy utrzymywał, iż idea sprawiedliwości wyrasta z pojęcia zgodności z prawem <sup>1)</sup>—twierdzenie, któremu sam przeczy później w *Poddaństwie kobiet*, mówiąc, iż „prawa i systematy polityczne zaczynają się zawsze przez poznanie stosunków, już znalezionych gotowemi pomiędzy jednostkami” <sup>2)</sup>. Jest dość widocznem, że pojęcie sprawiedliwości zaczyna się w popędach zwierząt. Nie spostrzegamy wszakże, żeby ten błąd Milla zrządził jakąkolwiek szkodę etyce praktycznej. Ale z drugiej strony czyż możemy przeceniać wpływ jego praktycznych wskazówek utylitarystycznych, uczących dobrego? Któż powie, jak dalece teorie te przyczyniły się do rozwoju rozumnej nauki moralności oraz do rozszerzenia jej nawet w kołach, przeciwnych rozumowi? Dobrze powiedział profesor Minto, że główną zasługą *Logiki* Milla jest nie tyle osiągnięcie pierwotnego celu technicznego, ile zastosowanie zasad doświadczalnych, przyjętych w naukach fizycznych, do badania spraw ludzkich, oraz że na zasługę te nie wywarły wpływu błędy techniczne książki ani nawet nieudolne próby zastosowania samemu własnej zasady w praktyce. Takie uchybienia równoważą się doda-

---

1) *Utilitarianism* str. 70.

2) *Subjection of Women* wyd. 2-gie, str. 8.

tniem i wpływami Milla na całą etykę jego czasów. Ludzie ciemni myślą o utylitaryzmie, jako o systemie, wytwarzającym groszorość i rugującym wszelką piękność z życia. Cóż mówią fakty? Zarówno ojciec, jak syn troszczyli się szczególnie o zachowanie piękności krajobrazów Anglii od szkody, rządzonej obojętnością projektodawców, wytykających koleje żelazne, a Jan Mill jeden z pierwszych pomiędzy pisarzami zakładał skuteczny protest publiczny w tym przedmiocie <sup>1)</sup>.

O działalności syna, jako męża publicznego, mamy znowu ze źródeł jaknajbardziej poważnych świadectwo jaknajbardziej dobitne. W czasach, gdy Mill zasiadał w parlamencie, *speaker* mawiał podobno, że Mill uszlachetniał i podnosił ton rozpraw. Ale Gladstone przydzielił ten hołd urzędowy w wyrazy gorętsze od urzędowych <sup>2)</sup>.

„Znaną nam była dobrze—powiada zasłużony mąż stanu—wyższość umysłowa Milla, jeszcze zanim wszedł do parlamentu. W zachowaniu się jego w sejmie przebijała się głównie, dla mnie przynajmniej, szczególna podniosłość moralna. Przypominam sobie teraz, że w owym czasie, z górą dwadzieścia lat temu, miałem zwyczaj nazywać go poufale Świętym Racjonalistą, wyrażając w sposób grubo i niezupelny to, o czym teraz mówię. Nie mógł go osiągnąć ani poruszyć żaden z tych bodźców, pobudek i podnieć, które w parlamentach trafiają do ludzi przez egoizm... Dla dobra izby gmin wogóle cieszyłem się z przybycia Milla i opłakiwałem jego nieobecność. Czynił on nas wszystkich dobrze. O jakiegokolwiek chodziłoby stronnictwo, o jakiegokolwiek poglądy, wyznam ze smutkiem, że tacy ludzie stanowią rzadkość” <sup>3)</sup>.

Jest to świadectwo człowieka, który o wielu ważnych sprawach myślał zupełnie inaczej, niż Mill, i który pod koniec swego życia nie był skłonny zapalać się do możliwej

<sup>1)</sup> Bain *J. S. Mill* str. 152—3.

<sup>2)</sup> Bain *James Mill* str. 399.

<sup>3)</sup> Courtney *Life* str. 141—2.

„świętości” racjonalizmu. Tem bardziej przekonywającym i stanowczym jest głos jego, jednocząc w sobie, jak zwykł był jednoczyć w innych razach, uczucia rozmaitych obozów postępowego odłamu opinii. Pożyteczność wpływu Milla dawała się uczuć we wszystkich kierunkach. „Żadne obliczenie—powiada przyjaciel jego Bain, wznosząc się do pewnego rodzaju uroczystej poezji w zamknięciu swego hołdu—żadne obliczenie nie zdoła streścić całkowicie bezmiaru drobnych drgnień wiedzy i myśli, które Mill wywołał w umysłach swego pokolenia.” Ja dodałbym jeszcze, że gdyby nawet miały zaginać bardziej mozolne prace Milla, gdyby nawet wziętość jego pomiędzy myślicielami zawodowemi w pewnej mierze się zmniejszyła <sup>1)</sup>, to i wówczas jednak Mill zasłu-

<sup>1)</sup> Nie próbowałem w ogólnym szkicu niniejszym oceniać *Logiki* Milla, chociaż ze wszystkich jego dzieł stworzenie tego właśnie użyło największą ilość pracy mózgowej. Łatwo zrozumieć, że myśliciel, który był zdolny do błędów, powyżej roztrząśniętych, musiał pomimo powszechnie uznanego w nim daru logiki oderwanej wpaść w pewne sofizmaty, przebiegając całą dziedzinę logiki; usiłowanie zaś ujęcia wszystkich takich fałszów uczyniłoby wykład mój nader niestosownym dla ogółu czytelników. Muszę jednak uzupełnić swe studjum wyjątkiem z doskonałego artykułu profesora Minto w *Encyclopaedia Britannica*; artykuł ten daje jaknajbardziej bezstronny, a jednocześnie jaknajwięźlejszy pogląd na mocne i słabe strony Milla, jako technicznego logika, oraz jest pod wielu względami bardziej pouczający, niż zasadniczo stronna krytyka W. L. Courtneya, która obecnie cieszy się największą być może poczytnością pośród „ogółu czytelników.”

„Jakkolwiek *Logika* Milla stała się niewątpliwie dziełem epokowym przez otwarcie mnóstwa nowych widoków umysłowych, przez dodanie nowej siły pędu schodzącemu na bezdroża staremu statkowi, przez siłę natchnienia, z jaką został zbądzany i oświetlony każdy z zatęchłych zakątków, przecież Mill nie uniknął wszelkich niezliczonych pułapek językowych. Badając zamiary Milla i badając książki, które obrał za punkt wyjścia, spostrzegamy jasno, że najgorsze jego błędy wynikły z postanowienia, żeby metodę naukową wyklądać, jako uzupełnienie logiki scholastycznej. W obronie syllogizmu Mill miesza formy syllogistyczne z rozumowaniem dedukcyjnym. Każde rozumowanie dedukcyjne można wcisnąć w formy syllogizmu, ale nie każdy syllogizm jest dedukcyjny. Rozumowanie, zawarte w rozmaitych formach syllogistycznych, nie jest zgoła dedukcyjnym w tem znaczeniu, żeby zawierało przejście od ogółu do szczegółu. Chociaż Mill znał Arystotelesa w oryginale, przecież nie rozumiał faktu, że cały aparat syllogizmu został pierwotnie zbudowany do rozumowania pod pewnymi warunkami. Co się tyczy

żyłby sobie na taką wdzięczność narodu, jaka należy się ludziom, którzy wskazują ludzkości drogi, prowadzące ku górze, i ostrzegają przed ścieżkami, ginącymi w przepaściach—na wdzięczność za to, że ze świeżą wymową i świeżą mądrością głosił bliźnim swoim naukę, którą po wszystkie czasy spotykały zjadliwe napaści, którą zbyt często bezcze-

wyrazu indukcja, Mill używa go w rozmaitych połączeniach dla oddania trzech lub czterech odrębnych znaczeń: dla oznaczenia indukcji, jako dodania orzeczeń do terminu ogólnego; indukcji, jako wniosku ze znanego o nieznanem; indukcji, jako sprawdzania za pomocą doświadczenia; indukcji wreszcie, jako dowodu twierdzeń przyczynowych. Formą jego systemu kierowało rzeczywiście scholastyczne pojęcie o indukcji, jako środka uzasadniania twierdzeń ogólnych; w takim charakterze wprowadzona została indukcyjna część jego systemu po dedukcyjnej, gdy tymczasem większa część tego, o czym Mill mówi pod nazwą indukcji, a zwłaszcza tak zwane metody doświadczalne, w istocie nie ma zupełnie żadnego związku z uzasadnianiem twierdzeń ogólnych, jeśli weźmiemy ostatnie w znaczeniu technicznym, zwykle im nadawanem.

Ale trwałej wartości i wpływu indukcyjnej logiki Milla nie należy mierzyć technicznymi niedokładnościami i niezgodnościami, którym umysł akademicki łącznie może przypisywać niewłaściwą doniosłość. W technicznej historii nauki *Logikę* Milla można uważać za usiłowanie spojenia praktycznych dowodów prawdy, wyłożonych w *Discourse on Natural Philosophy* Herschla, z teoretycznymi poglądami na indukcję, postawionymi w *Logice* Whately'a. Lecz dla historii myśli wielka doniosłość dzieła Milla polega nie tyle na usiłowaniu postawienia metod naukowych i odkrycia pierwszych zasad, na których spoczywają te metody, ile na systematycznym zastosowaniu metody naukowej do tego, co Mill nazywał naukami moralnymi. Milla krytykowano często, że jakoby porywał się do uczenia ludzi, jak mają prowadzić poszukiwania i jak czynić odkrycia w naukach fizycznych. Dzieło jego zmierzało raczej do tego, żeby z postępowania mężów nauki wydobyć zasady, według których postępują, sprawdzając i uzasadniając rozumowania swoje co do przyczyny i skutku w świecie fizycznym; zrozumiałwszy zaś te zasady, zobaczyć, czy nie dadzą się one zastosować do sprawdzania i dowodzenia rozumowań, tyjących się przyczyny i skutku w świecie moralnym. Jaki jest wpływ na charakter ludzki i szczęście ludzkie danych warunków społecznych i fizycznych, klimatu, instytucji, obyczajów, praw? Jak można udowodnić wnioski, tyjące się takich zagadnień? To były pytania, któremi zajmował się Mill, a wybitnie nowym pomysłem w dziełach jego była próba wykazania, że twierdzenia, tyjące się przyczyny i skutku w sprawach ludzkich, jeżeli tylko pozwalają na udowodnienie bezwzględne lub przybliżone, muszą być udowodniane według tych samych zasad, co i twierdzenia, tyjące się przyczyny i skutku w świecie materialnym.<sup>4</sup>

szczono, która jednak dotychczas dzięki pomocy Milla stoi bezpieczniejsza, niż kiedykolwiek dawniej, zarówno od nieprzyjaźni, jak od hańby—naukę, że szczęście rodzaju ludzkiego jest mrzonką, jeśli nie zapewnia go pozostawienie wszystkim ludziom możliwie największej wolności działania i możliwie największej swobody myśli.

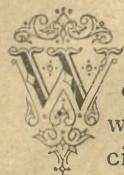
---

## Emerson.

**R**ALF WALDO EMERSON, trzeci z kolei pomiędzy szczęściem dzieci niezamożnego kaznodziei gminy bostońskiej, urodził się w Bostonie 25 maja 1803 roku. W 7-ym roku życia został sierotą, w 9-ym poszedł do szkoły, w 10-ym lub 11-ym mógł już tłumaczyć wierszem Wirgiljusza, a w 1821 r. wstąpił do kolegium w Harvardzie. Skończywszy je ze stopniem miernym, studjował teologję pod kierownictwem dr. Channinga i uczęszczał na wykłady do głównego seminarjum unitarystów *Harvard Divinity School*. W 1826 r. midleseckie kolegium kapłańskie upoważniło go już do sprawowania obowiązków duchownych, które zaczął pełnić w New-Bedfordzie, dokąd wyjechał dla zdrowia. W 1829 r. przeniósł się do Bostonu i ożenił z panną Heleną Ludwiką Tucker (zmarła bezdzietnie w 1832 r.). Kazanie o Wieczery Pańskiej poróżniło go ostatecznie ze współwyznawcami, nie chcąc przeto krępować ich i siebie, usunął się ze stanowiska i wyjechał do Europy, gdzie poznał Carlyle'a w Craigenputtocku. Wrażenia z podróży po Anglii opisał w *English Traits*, a po powrocie miewał odczyty i wykłady. W 1834 r. osiadł w Concordzie; w 1835 r. ożenił się po raz drugi z panną Lydją Jackson z Plymouth. W tym samym roku wygłosił w Bostonie szereg wykładów o literaturze angielskiej, następnego roku o filozofji historii, potem o kulturze ludzkiej. Treść swoich poglądów filozoficznych, poetyckich i moralnych zawarł w trzech głównie dziełach: zbiorku poczyj p. n. *Nature* (1836 r.), zbiorku mów p. n. *The American Scholar*, wygłoszonych w *Phi-Beta-Kap-*

pa Society of Harvard University i zbiorku rozpraw p. n. *Address before the senior class in Divinity College, Cambridge* (1838 r.). Potępiał niewolnictwo, ale niezbyt stanowczo popierał partję, dążącą do jego zniesienia. Zm. w Concordzie (stan Massachusetts) 27 kwietnia 1882 r. (*Przyp. tłum.*).

## I.



W dziejach kultury godnym uwagi jest fakt, że mówiąca po angielsku ludność północnej Ameryki, chociaż oddawna już przewyższa liczebnie ludność starożytnego kraju, dotychczas w drobnej ledwo części przyczyniła się do tej kategorii plodów piśmiennictwa angielskiego, która ma trwałą wartość. Z wyjątkiem wysoce znakomitych dzieł Jonatana Edwardsa, który zresztą wkładał znaczną siłę rozumowania w dowodzenie rzeczy nieprawdopodobnych, i z wyjątkiem tworców zdrowego rozsądku Franklina, literatura amerykańska zaczyna istnieć dla czytelników angielskich dopiero od bieżącego stulecia, a ledwo w drugiej jego połowie książki amerykańskie zaczęły zjednywać sobie jakieś szczere uznanie. Powiastki Fenimore'a Coopera nie zawierały żadnej oryginalnej lub trwałej siły kulturalnej, a przyjemne utwory Washingtona Irvinga były raczej owocami przyswojenia dawnej kultury angielskiej, niż wkładem do niej. Czynniki amerykańskie wyraźnej doniosłości zjawia się po raz pierwszy w wyborowej literaturze angielskiej dopiero z Emersonem, ale choć już wówczas w pokoleniu współczesnym Emersonowi na czele szeregów literackich stały przynajmniej dwie jeszcze inne postaci amerykańskie, dzisiaj liczba ich z pewnością nie jest bezwzględnie większa, stosunkowo zaś jest mniejsza. Współcześnie z młodym Emersonem żył Edgar Poe, ten szczególnie objaw czystego rozumu w literaturze wyobraźniowej, i Hawthorne, pierwszy niemal, a jednak najbardziej samodzielny wielki nowelista szkoły psychologicznej. Longfellow rozumie się był poczytniejszy od nich; jak znowu dr. Holmes był może poczytniejszy od Emersona, ale obu tych ulubionych pisarzy niepodobna chyba zaliczyć do pierwszorzędných sił literackich.

Skoro zaś cudzoziemskość i subtelność Hawthorne'a jedną mu serca małej ledwo garstki, a elektryczny blask umysłu Poe'go jest zbyt zimny i zaświatowy, aby mógł się podobać przeciętnej naturze ludzkiej, więc z grupy tej pozostaje jeden Emerson, najogólniej uznawany po tej stronie Atlantyku za pisarza doniosłego. Od chwili dojścia Emersona do sławy dostaliśmy znowu Löwella, który dotąd na szczęście żyje i dotąd pod względem ogólnej siły nie ustępuje żadnemu krytykowi współczesnemu; pomiędzy młodszymi zaś ludźmi mamy dwóch tylko wysoko wykształconych nowelistów, zajmujących czoło drugiego szeregu: Jamesa i Howellsa, z których pierwszy ma więcej zdolności krytycznych, niż twórczych. Dalej mamy Walta Whitmana, który pod pewnymi względami wywarł na umysły mieszkańców swego kraju wpływ mocniejszy, niż którykolwiek z żyjących dziś jeszcze rówieśników jego, i to raczej siłą swego ducha i posłanniczej idei, niż dorobkiem literackim. Ten krótki wykaz wyczerpuje najprzedniejsze imiona literatury amerykańskiej z ostatnich lat pięćdziesięciu, a jeżeli w tej chwili my Anglicy nie mamy zdaje się sił do wytwarzania pierwszorzędnych pisarzy i myślicieli, w Stanach Zjednoczonych upadek jest jeszcze widoczniejszy, ponieważ tam żyją dotąd rozmaici mężowie, cieszący się dawną sławą. Wielka rzeczpospolita posiada zaledwie kilku zdolnych uczonych i garsteczkę mniej lub więcej uzdolnionych pisarzy w dziedzinie socjologii i filozofji; z tych na osobną wzmiankę zasługują Lester Ward i Daniel Greenleaf Thompson. Ale pisarze ci muszą dopiero zdobywać sobie rozgłos w Brytanji lub Europie, i pozostaje faktem, że ogromna ludność amerykańska dostarcza bardzo małego przychówku znakomitych autorów.

Niepodobna patrzeć faktowi temu w oczy, nie oglądając się za jakimś wyjaśnieniem, to zaś podać nie łatwo. Nie może być, żeby sam tylko ograniczony rozwój życia uniwersyteckiego w Stanach tamował literaturę, ponieważ większość własnych naszych najcelniejszych pisarzy z ostatnich lat stu nie zawdzięcza nic zgoła albo bardzo mało wszechnicom. Mill młodszy, Ricardo, Grote, Scott,

Dickens, Lewes, Spencer, Huxley, Tyndall, Jerzy Eliot, Browning, Karolina Bronte, Janina Austen—ci mężczyźni i te kobiety nie przedstawiają wcale nauki uniwersyteckiej, a chociaż poeci nasi naogół posiadają uniwersyteckie dyplomy, przecież łatwo można pojąć, że Browning miałby takie samo znaczenie bez uczęszczania na uniwersytet Londyński, a w dziełach Thackeraya czuć mało przygotowania uniwersyteckiego. Taksamo rzecz się ma z Darwinem, nie mówiąc już o Carlyle'u. Różnicy pomiędzy obu krajami nie można też uzależniać od samych tylko warunków handlowych literatury amerykańskiej, które oglądają autorów krajowych skutkiem nieograniczonego przedrukowywania książek, przywożonych z Anglii <sup>1)</sup>; większość pisarzy angielskich, których wymieniłem, nie miała zapewnionych warunków życiowych, właściwych krajowi naszemu. Oczywiście musimy uznać poniekąd obie te przyczyny, działające pośrednio i bezpośrednio, a nadto dodać wniosek, że nawet w pojętej społeczności potrzeba długiego czasu na rozwinięcie się twórczego podłoża umysłowego. Ameryka wydała jednego z największych wynalazców, Edisona i wielkie mnóstwo wynalazców pomniejszych, ale literatura jej względnie do cywilizacji jest jeszcze jakościowo uboga. Myśl klasy wykształconej nie wyprzedziła jeszcze cywilizacji ogólnej, i są widoki, że zanim do tego dojdzie, nastąpią poważne zmiany w urządzeniach społecznych.

## II.

Emerson więc jest dla nas najwybitniejszym przedstawicielem wpływu amerykańskiego na nowożytną kulturę angielską. Przed nim, jak powiada Lowell, rodacy jego byli „jeszcze społecznie i umysłowo przywiązani do myśli angielskiej”; on dopiero „przeciął linę” i dał im „sposobność puścić się na niebezpieczeństwa i sławę własnych błę-

---

<sup>1)</sup> Nowe prawo o przedrukach zmieni ten zwyczaj.

kitów" <sup>1)</sup>. A chociaż główne zasady myślowe Emersona nie były nowe i nie stanowiły jego własności, on przecież rozwinął je w sposób istotnie niezależny. Jan Burroughs powiedział o Emersonie, że otrzymał on wykształcenie „przed urodzeniem” <sup>2)</sup>, a to za pomocą zogniskowania w sobie uzdolnień, nabytych przez nadzwyczaj liczny poczet przodków stanu duchownego, z którego wyszli oboje jego rodzice. Gdyby istotnie zasługą wielu pokoleń kapłańskich było wydanie na świat Emersona, widoki ludzkie na przyszłość byłyby wogóle promienniejsze, musimy jednak i nadal przypuszczać, że Emerson więcej nieco zawdzięczał nauce, wchłoniętej po urodzeniu, niż temu, co odziedziczył. Odziedziczył natomiast—a o tem często się zapomina — zdolności retoryczne w najlepszym znaczeniu tego wyrazu zarówno pod względem literacko-stylowym, jak i pod względem fizycznym. W szkole przyszły publicysta nie zaznaczył się żadnym godnym uwagi rysem umysłowym z rodzaju tych, którychby można szukać w latorośli rodu kapłańskiego, odznaczało go jeno usposobienie do wygłaszania wierszy—z pewnością własnych <sup>3)</sup>. Co więcej, gładki i wyrobiony styl, właściwy pismom Emersona w wieku dojrzałym, ukształtowany jest widocznie na wzór stylu listów i rozmów tej bardzo uderzającej kobiety, ciotki Emersona, której sposób pisania, jak wiemy, podziwiał on wielce <sup>4)</sup>, i której wpływ na ukształtowanie się swego charakteru Emerson sam podnosił z emfazą <sup>5)</sup>. Moralny spadek purytański widzę daleko bardziej w tej ciotce, niż w Emersonie. Przywiązana namiętnie do siostrzeńców swych, potrafiła wszakże zerwać bezwzględnie z Ralfem Waldo w życiu późniejszym, nie bacząc na ciągłą jego miłość, po prostu dlatego, że nie mogła zność jego „powietrznych rozmyślań” <sup>6)</sup>. Nie

1) Szkic o Thoreau w *My Study Windows*.

2) *Birds and Poets* wyd. angielskie, str. 223.

3) *Cabota Memoir* wyd. angielskie, t. I, str. 44.

4) *Ib.* I, str. 30.

5) *Ib.*, *ib.*

6) *Ib.* I, str. 58.

żeby miała być prawowierną purytanką. Siostrzeniec jej świadczy <sup>1)</sup>, iż przy wrodzonej silnej skłonności do starego kalwinizmu była ona na przekór sobie samej racjonalistką i sceptyczką i w ten sposób zawsze się z sobą różniła. W ciotce tęga umysłowość kojarzyła się z charakterem namiętnym i upartym; w siostrzeńcu jej, którego matka miała usposobienie stanowcze i nie dające się przekonać <sup>2)</sup>, odziedziczone skłonności łagodził temperament pogodny i upodobanie w tem, o czem napomyka Walt Whitman, mówiąc: „Kocham i przywołuję mą duszę.” Mało w tem śladów purytanizmu, a chociaż Emerson cofnął się wstecz po pierwszej swojej pochwalie *Liści trawy*, przecież pozostał zawsze do pewnego stopnia Grekiem, stworzonym za czasów pierwotnych popędów ludzkich.

Zdawałoby się, że Lowell dowiódł, iż ślady purytanizmu w Emersonie są oczywiste, ale wszystko to zależy od sposobu używania wyrazów. „Purytanizm przeszłości — powiada — znalazł niechętnego sobie poetę w Hawthorne'ie, obdarzonym najrzadszą w tem stuleciu wyobraźnią twórczą, pod pewnemi idealnemi względami najrzadszą od czasów Szekspira, ale purytanizm nieśmiertelny, purytanizm, który uczynił Nową Anglję tem, czem jest, i któremu sądzono zrobić Amerykę tem, czem być powinna, odezwał się przez usta Emersona“ <sup>3)</sup>. Dalej zaś mówi: „Naprawdę zarówno prezbiterjanizm szkocki, jak purytanizm Nowej Anglji znalazły nowe wcielenie w Carlyle'u i Emersonie, głosicielach formalnej ich śmierci, a dążność jednego do zasady władzy, drugiego zaś do niezależności mogły być przepowiedziane przez każdego, ktokolwiek badał historję.” No! w taki sposób można dowieść o byle czem, że wynika z tego, co je poprzedzało. Powiedzieć, że Carlyle wyrasta z prezbiterjanizmu szkockiego, i twierdzić, jak to czyni dalej Lowell, że „ruch w kierunku transcendentalizmu był przejawem pro-

<sup>1)</sup> *Ib.* str. 31.

<sup>2)</sup> *Ib.* str. 35, 37.

<sup>3)</sup> Szkic przytoczony.

testanckiego ducha purytańskiego, szukającego sobie nowego uścia", znaczy zupełnie to samo, co powiedzieć, że protestantyzm wyrósł z katolicyzmu, a chrześcijaństwo z pogaństwa i tak dalej bez końca. W każdym z tych twierdzeń jest prawda pozytywna, niema tylko ogólnej prawdy, wyrażającej zmianę rozwojową. Jakób Mill zupełnie taksamo wyszedł z prezbiterjanizmu szkockiego, jak Carlyle, a przecież nie ciążył ku władzy, jeno ku niezależności. A purytanizm nowo-angielski, jeżeli się nie mylę, równie dobrze, jak prezbiterjanizm szkocki, i dziś jeszcze, gdyby tylko mógł, obstawałby dość często przy władzy, jak obstawał w przeszłości. Nadto jeżeli protestantyzm albo purytanizm ma przyjąć na siebie ruch transcendentalny, trzeba mu także przypisać powstanie ateizmu, który, jak to przyzna Lowell, musi też od czegoś pochodzić.

Wolę powiedzieć, że Emerson, wychowany w unitaryzmie nowo-angielskim, dostawszy się wcześniej pod wpływ zarówno Channinga, jak transcendentalistów europejskich, wyzbył się stopniowo ostatnich resztek odziedziczonego specjalnego dogmatu i stał się wyznawcą deizmu, nie zadając sobie nigdy pracy logicznego odróżniania go od panteizmu <sup>1)</sup>. Kolejne stopnie rozwojowe unitaryzmu, z których ostatniego przedstawicielem był Emerson, są doskonale zrozumiałe tak dalece, iż kłopotliwą niepewność wywoływać może tylko myśl, w jaki sposób dotychczas zachowało się tak wiele przeżytków unitaryzmu starego. Przypuszczam, że jest to skutkiem ciągłego ruchu chwiejnych chrześcijan w kierunku najmniejszego dla ich uczuć oporu. Zawsze byłem zdania, chociaż unitaryści nigdy zdaje się nie uznawali tej myśli, że istnienie swoje w ostatniem stuleciu sekta zawdzięcza w znacznej mierze ruchowi deistycznemu, przekształconemu przez krytykę Butlera. Bądź co bądź unita-

---

1) „Emerson mógł sobie „metafizycznie“ (*Collected Writings* t. II, str. 58) przeczyć osobowości Boga, nie przywiązywał wszakże nigdy wielkiej wagi do swej metafizyki, to zaś, co rozumie on przez osobowość, nie jest zdaje się niczem innym, jak tylko ujęciem w granice jednostkowe.“ Cabot, I, str. 340.

ryzm nie przedstawiał się nigdy jako ruch, pielęgnujący myśl doskonale spójną lub przenikliwą. W uczoneści drobiazgowej oddał on wiele usług od czasów Lardnera aż do Samuela Sharpe'a, nigdy wszakże, jak sądzę, nie udzielił bodaj trochę znacznego poparcia nauce ścisłej, chociaż rozumie się wielbiciele dr. Martineau zupełnie inaczej sądzić o tem będą. W Emersonie zaś, kwiecie literackim ruchu unitarystycznego w Ameryce, widzimy właśnie ten kierunek rozwoju, który pozostał jedynie możliwym po wyczerpaniu się dawnego ducha ostrożnego racjonalizmu i po oddaniu systemu pod wpływ nieokreślonych uczuć katolickich. Jedni zaczynają ciężyć ku prawowierności, inni wpadają w panteizm poetycki.

Cofnięcie się Emersona od obowiązków kapłańskich daje miarę siły pociągu ku prawowierności, właściwego unitarystom. Właściwie mówiąc, pomiędzy Emersonem i jego owieczkami nie było żadnego zatargu co do wiary nominalnej, tylko Emerson miał wstręt do podtrzymywania instytucji komunji, jako niestosownej i mającej znaczenie zbyt nadwątłone, podczas gdy gmina nie rozumiała, dlaczego ma porzucać ten czcigodny zwyczaj. Emerson w rzeczywistości wzywał ją do powrócenia na stanowisko, z którego dawnych arjan polskich wywabiły przełożenia Socyna, ale wyznawcy, mocno stojąc przy prawowierności socynowskiej, nie chcieli pójść za wezwaniem. Emerson doznał zawodu, ale usunął się spokojnie, i świat pozyskał pisarza i nauczyciela, gmina zaś straciła kaznodzieję, zawsze zresztą zbyt literackiego i świeckiego względnie do jej gustu. Władzę nad umysłami dawał mu głównie jego dar słowa, styl i urok obejścia się; dowiadujemy się też, że „pierwszych wielbiciele pozyskał na kazalnicy“, na której raził lub zawadzał innym<sup>1)</sup>. Co się tyczy ustąpienia ze stanowiska, powiedzieć można tyle tylko, że jeżeli podtrzymywał chętnie przekonanie o powstaniu biblji drogą szczególnego objawienia, mógł równie dobrze pozostać przy komunji z chleba i wina. Wszak sam dowo-

<sup>1)</sup> Cabot, I, str. 150.

dził później przeciw komu innemu: „Cóż za pożytek z zamiarów podnoszenia sztandaru negacji?”<sup>1)</sup> Komunikowanie chlebem i winem jest zwyczajem czcigodnym, ale panowie eklektycy zawsze ulegają kaprysom.

### III.

Odstępstwo Emersona od prawowierności dysydenckiej musiało koniecznie wzmocnić się skutkiem wczesnych odwiedzin Europy, w której widział Włochy i Landora, Anglję i Coleridge'a, Wordswortha i Carlyle'a. Popęd do odrębności i ogląda życia kulturalnego zostały przez to wzmocnione, a skłonności popchnęły go ku ludziom, którzy umieli dodawać ducha jego transcendentalizmowi, nie nalegając na doskonalenie się w logice, której mu brakło. Sam bowiem Emerson wcześniej poznał w sobie zupełny brak umiejętności spójnego rozumowania, ale jak snadnie czyni natura ludzka, starał się wytłumaczyć sobie, że wada ta jest raczej korzyścią. W dzienniku jego z dwudziestego pierwszego roku życia obok uwagi, dotyczącej zamiłowania w poezji, znajdujemy dodatek: „Moja zdolność rozumowania jest stosunkowo słaba, nie mogę też mieć nadziei napisania kiedykolwiek czegoś w rodzaju *Analogji* Butlera albo *Rozprawy* Hume'a.” A potem wypowiada chełpliwą myśl, że „najwyższy rodzaj rozumowania o przedmiotach boskich jest raczej owocem pewnej wyobraźni moralnej, niż maszynowej czynności rozumu, jaką widzimy w Lockem, w Clarke'u i w Dawidzie Hudem”<sup>2)</sup>. Otóż teoria ta, która zresztą nie jest własnością Emersona, stawia nas tuż obok tego, co możemy nazwać stroną praktyczną jego transcendentalizmu. Poglądy jego w tym względzie, jak we wszelkich innych punktach filozofji, trzymały się dość luźno; obok takiego wynurzenia, jak po-

---

<sup>1)</sup> Słowa powiedziane do kogoś, kto zabraniał nazywać się chrześcijaninem. J. B. Thayer *A Western Journey with Mr. Emerson* str. 18.

<sup>2)</sup> Cabot, t. I, str. 100—1.

przednie, można też znaleźć w dziełach Emersona mnóstwo zdań, brzmiących całkiem przeciwnie. Nie robi to nam zresztą niespodzianki, gdy sobie uprzytomnimy, że Emerson wpadł w odmet czystego empiryzmu, który przecież usidlał myślicieli tęższych od niego. Żadne zagadnienie konkretne nie występuje w nowożytnej filozofji częściej od pytania, w jaki sposób ludzie dochodzą do tego, co zwiemy ideami oryginalnymi, nowymi uogólnieniami albo przeblaskami spostrzegawczymi, nie mającemi zdaje się żadnego pochodnego związku z wiedzą poprzednią. Wielce skłonny jestem mniemać, że Kant doszedł do specjalnej swojej teorii rozumu przez zdawanie sobie sprawy ze swych własnych doświadczeń umysłowych w ciągu tych najwcześniejszych rozmyślań naukowych, o których z zasady tak dziwnie zapominają badacze jego filozofji. Jedni po drugich wciąż kładą nacisk na ten postępowy pierwiastek pojmowania ludzkiego, który tak stale przejawia się w domniemaniach; to zaś często skłania ludzi do przypuszczania, że ten pierwiastek postępowy jest czemś, całkiem pozbawionem związku z tak zwaną władzą rozumowania albo przynajmniej ze sprawą rozumowania, według pospolitej nazwy <sup>1)</sup>. Przekonać się można, że takie stanowisko zajmował po części Edgar Poe <sup>2)</sup>. Podzielał je jak się zdaje Goethe, gdy spostrzegł, że uczeni nie chcą przyjąć jego teorii barw <sup>3)</sup>, a Schopenhauer, którego filozofja tak bardzo odbrzmiewała pierwiastkami osobistemi, po wielekroć powtarzał także to twierdzenie <sup>4)</sup>, znalazłszy je gotowem pod ręką w poprzednim romantyzmie i transcendentalizmie. I on przemawia językiem, który znaczy tyleż prawie, co nazywanie poprzednich filozofów mąszynami do rozumowania, a chociaż prędkoby się umiał załatwić z filozofowaniami Emersona, mógł jednak powie-

<sup>1)</sup> Bacon pogardzał tem mniemaniem. Porównaj w tym względzie krytykę Jevonsa (*Principles of Science* str. 576), Bagehot'a (*Postulates of English Pol. Ec.* str. 17—19) i Milla (*Logic* t. VI, r. 5. § 5).

<sup>2)</sup> W *Eureka*.

<sup>3)</sup> Obacz profesora Wallace'a *Life of Schopenhauer* str. 83.

<sup>4)</sup> *Ib.* str. 82, 87, 96—97 itd.

dzieć wraz z nim: Wierzę, iż tylko natchnienie stwarza rzeczy wielkie i trwałe, tylko uległość tajemnemu głosowi”<sup>1)</sup>).

Otóż cała rzecz w tem, co to jest za głos tajemny? Czy to jest coś takiego, czego nie miewają nigdy ludzie rozumujący? Przeciwnie, jest to warunek, poprzedzający wszelką ich pracę. Fakt, że Emerson nie podejrzewał nawet nigdy, iż pomysły analityczne Lockego i Humego są zupełnie taksamo natchnieniami albo tajemniczymi głosami, jak jego myśli, fakt ten dowodzi, jak ciasnym i jak powierzchownym może być niby głęboki i rzeczywiście wszechstronny transcendentalista. Niemasz większego zaślepienia nad przypuszczenie, że ludzie, stosujący metodę analityczną, nabywają pojęć przez mechaniczne analizowanie. Czynność analizy jest sama przez się sięgnięciem w głąb co do charakteru identycznym z tak zwanym przez Emersona głosem tajemnym. Ludzie przeciwni konsekwentnej krytyce literackiej powiedzą, że dla nich trafna ocena jest dziełem sądu samorzutnego. Ależ bo w krytyce tak się dzieje. Zawsze naprzód przychodzi wrażenie, a potem dopiero analiza i rozumowanie. Słyszałem, jak pewien wagnerzysta usiłował zniesławić krytykę Wagnera, napisaną przez nieboszczyka Edmunda Gurneya, mówiąc, że Gurney miał wstręt do tej muzyki i poprzestawał na wyszukiwaniu dowodów w celu uzasadnienia swej odrazy. Tymczasem wagnerzysta ów powinien był wiedzieć z własnego doświadczenia, że taka jest kolej wszelkiej krytyki. Całe zagadnienie polega na tem, czy rozumowanie następne dowiedzie, czy też nie dowiedzie zgodności wrażenia szczególnego ze wszystkimi innymi wrażeniami naszymi, wyższość zaś człowieka rozumującego i analizującego nad innymi ludźmi polega na tem, że on stosuje do wrażeń swoich ów sprawdzian, będący w gruncie rzeczy jedynym sposobem odróżnienia prawdy od błędu, podczas gdy czysty impresjonista nie ma żadnej próby doświadczalnej i pozostaje przy tajemnym głosie swoim, od którego zaczął. Wzorem wszelkiego błędu jest właśnie

---

<sup>1)</sup> *Letters and Social Aims: Inspiration.*  
Humanieści nowożytni.

myśl niezupełna, Emerson zaś twierdzi, że należy o ile możliwości podtrzymywać tę niezupełność. Natchnienie jest „tak płodne, jak krzak jeżyny.” Coleridge odpowiedział damie, która się go dopytywała, czy wierzy w duchy, że nie wierzy, ponieważ widział ich zbyt wiele. Taksamo oględny racjonalista nie wierzy w natchnienia, bo miewał ich zbyt wiele. Wie on, że jeżeli próba przez rozumowanie, próba powszechnej zgodności stwierdza prawdziwość wielu jego natchnień, natomiast odbiera wiarogodność daleko większej ich ilości; umie też on coś więcej, niżli chylić się kornie przed pojęciami dlatego jedynie, że przyszły mu one do głowy—bo nie masz żadnej innej drogi, którąby mógł przyjść błąd. Można w tem widzieć zjawisko tajemnicze, że wciąż miewamy nowe pojęcia, ale tajemniczość ta nie większa jest od tajemniczości faktu, że mięśnie w miarę używania ich wzrastają w siłę. Każdy rozumny człowiek może mieć pięćdziesiąt natchnień podczas przechadzki porannej, i jeżeli zastosuje metodę literacką Emersona przy odrobinie jego literackiego talentu, będzie wnet z tych natchnień tworzył książki. Obawiam się jednak, że gdyby nawet miał on talent niewątpliwy, obdarzać będzie potomność wielką ilością materiału do śmietników.

Talent Emersona z pewnością jest wyższy ponad wszelkie wątpliwości. Niełatwo znajdziemy w jakimkolwiek piśmiennictwie podobny dar słowa jasnego, a podniecającego już przez jedno odezwanie się. Powiedzmy też odrazu, że mnóstwo tych zdań jest równie prawdziwych i cennych, jak świetnych. Tylko co zajmowaliśmy się przez chwilę poglądem Emersona na głos tajemny, uważany, jako pewna prawda. Pogląd taki jest tyleż przepisem na nieuctwo, ile i na doskonałość. Postępując zgodnie z nim, możemy być równie dobrze bigotami i blagierami, jak obywatelami wolnomyślnymi i dzielnymi. Cóż innego robili ci fanatycy i zapaleńcy, z których Emerson śmiał się albo wzruszał ramio-

---

<sup>1)</sup> W tym względzie porównaj znowu *Autobiography* Milla str. 180 i Todhuntera *Conflict of Studies* str. 15.

nami? Nieraz zapewne Emerson mawiał, iż musieli oni być takimi, jakimi byli, ale w takim razie wszystkie jego rady, udzielane rodzajowi ludzkiemu, były zgoła bezcelowe—oczywiście, jeżeli pozwolilibyśmy sobie rozumować w tym przedmiocie.

## VI.

Ta słaba strona nauki Emersona jest dostatecznie widoczna dla najrozumiejszych uczniów jego, a mówiąc o uczniach, pragnąłbym też być zaliczonym do nich, przynajmniej jako były wychowaniec. Pięćdziesiąt razy na sto Emerson pobudza nas do myśli wręcz przeciwnych jego poglądom. Wszakże są jeszcze wciąż bałwochwalcy albo wielbiciel, chętnie przeczący oczywistości lub ukrywający ją. Emerson w istocie uczył setki razy, że prawda jest taką właśnie, jaką zdarzy się nam uczuć, więc też ludzie szczerzy odpowiadają mu uwagą, że jest to doskonałem hasłem zarozumiałości. I rzeczywiście chociaż Emerson jest wogóle jednym z najmilszych i najskromniejszych ludzi, to przecież słabostka ulegania każdemu „natchnieniu”, które nań spłynie, każe mu często odzywać się w sposób, trącający czcżą zarozumiałością. Jakże bowiem inaczej nazwać możemy zdanie, że Locke i Hume byli jedynie maszynami do rozumowania, jak gdyby coś lepszego było zostać maszyną do bujania w wyobraźni? Późniejsze lekceważenie wielkiego myśliciela Hume'go, jako niby człowieka, który, nie będąc głębokim, pozyskał sobie sławę dzięki jednemu tylko bystremu spostrzeżeniu, lekceważenie to <sup>1)</sup>, zestawione z następnym lekkomyślnem niedocenianiem tyłu potężnych talentów, jak np. Scotta i Gibbona <sup>2)</sup>, przekonywa nas, że je-

<sup>1)</sup> *English Traits* r. XIV.

<sup>2)</sup> Dla Emersona „Poe był tylko człowiekiem od pobrzękiwania wyrazami.” Conway *R. W. Emerson* str. 292. Wobec tego dobrze jest dowiedzieć się, że „o sobie samym Emerson powiedział raz, znaglony do mówienia:

dynie nałóg spójnego rozumowania, oparty na stosownem usposobieniu, czyni umysł zupełnie wszechstronnym. Usposobienie Emersona było samo przez się przedziwne; jego naturalny dar powabności i wszechstronnej wyrozumiałości przeświecały zawsze nawet przez dogmatyzm, ale jednak ograniczoność i dogmatyzm istniały trwale, bo przecież Emerson musiał koniecznie włożyć w książkę wszystkie swe „natchnienia!” Jak gdyby „natchnieniami“ nie były też wszystkie nasze przesady i niesłuszne kaprysy!

Co się tyczy filozoficznej i praktycznej doniosłości nauki, wyłożonej w zdaniach: „Szanujcie swe spostrzeżenia intuicyjne,” „Mimowolnym spostrzeżeniom należy się wiara najzupełniejsza“ i tak dalej, Cabot w dziele swem *Memoir of Emerson* robi uwagę, że „dla Emersona nic nie było bardziej obce, niż cześć bałwochwalcza względem mniemań albo nastrojów swoich” <sup>1)</sup>. Otóż jest to zupełną prawdą o tyle, że w Emersonie jeden nastrój łatwo wypierał inny, a natchnienie zarozumiałości szybko ustępowało wobec natchnienia pokory. Czyż jednak to zastrzeżenie Cabota nie mieści w sobie przyznania, iż Emerson obfituje w sprzeczności, oraz iż niektórych najbardziej charakterystycznych nauk jego nie należy brać za wyraz myśli zupełnej albo stałej, jeno za doraźne oznaki jednego z przeważających w nim nałogów umysłowych? Najlepszą uwagę, jaką można było uczynić w tym przedmiocie, jest zdanie Cabota <sup>2)</sup>, że „szacunek dla intuicji znaczy u Emersona tyleż, co opieranie się senności, snadnie mogącej opanować umysłowe władze nasze.“ Nie ulega wątpliwości, iż Emerson dopomaga wielce do rozproszenia tej senności, ale prawdą jest też, iż często sprowadza sen lub odrętwienie w skutkach szczególnie do snu podobne, bo zachęca on ludzi płytkich do oddawania czci własnym przesądom lub tym pojęciom nałogowym, które narzucają się nam z siłą prawd koniecznych.

---

„Wziętość moja taka, jak jest, przytaczana będzie kiedyś na dowód ubóstwa czasów moich.“

<sup>1)</sup> Cabot *Memoir of Emerson* t. I, str. 251.

<sup>2)</sup> Str. 25.

Wadą istotną Emersona jest naprawdę ta pewna gnuśność umysłowa, która godzi się z niezdolnością albo polega na niezdolności do ciężkiej pracy myślowej. Odbija się to we wszystkich pismach jego, rozważanych, jako utwory literackie, i we wszystkich jego wierszach, rozważanych, jako szereg utworów artystycznych. Cóż bowiem w poezji jego zawodzi i zniechęca tylu przyjaznych czytelników i wszystkich najlepszych krytyków? Stałe błędy w mierze i rytmie, częsty rozziw w takcie muzycznym i w mowie, co wobec analizy ostatecznej jest po prostu wynikiem niedbalstwa, żaden bowiem człowiek wogóle zdolny do wierszowania nie byłby w stanie dopuścić się takich czysto ślepych przekroczeń. „Niezapalanie lampy i nieprzepasywanie łądźwi“ sprawia, że w tkance wierszowej Emersona rozwierają się wszystkie te szpary i rysy, pomimo iż poszczególne natchnienia jego tak często bywają szczęśliwe. Wiedział on sam o tem, raz po raz przyznając się do „rozległej niemocy“ <sup>1)</sup>, do zastarzałej gnuśności. W głębi serca czuł on, że wielkich i trwałych ksiązek nie tworzy się w taki sposób, w jaki on pracował nad swemi, że nie wystarcza tu czynność wykropkowania w notesie wszelkich przypadkowych pomysłów, rejestrowania ich i potem dopiero zestawiania pod nagłówkami w szkicach lub odczytach, sztukując jedne z drugimi w miarę potrzeby <sup>2)</sup>. Carlyle pomimo całej swej przyjaźni zawczasu porównał szkice te do worków ze śrótem <sup>3)</sup>, i sam Emerson w liście do Carlyle'a mówi, że jego sposób tworzenia czyni „każde zdanie cząsteczką o nieskończonej sile odpychającej“ <sup>4)</sup>. „Był on dobrze świadom—powiada Cabot—niekonsekwencji, wynikającej z jego sposobu pisania, i równie mało, jak wszyscy, podobał w niej sobie.”

„(Dziennik, r. 1854)—Gdyby Minerwa obiecywała mi po-darunek i pozostawiała wolny wybór, powiedziałbym, żeby

1) List do Carlyle'a *Correspondence* t. II, str. 334. Ob. też str. 59, 326 itd.

2) Cabot, t. I, str. 294.

3) *Correspondence* t. II, str. 82.

4) *Correspondence* t. I, str. 161.

mi dała spójność. Obrzydła mi urywkowość. Nie chcę być literackim albo umysłowym śmieciarzem. Niech przypadnie ten żydowski kramik, pełen kawałków i skrawków jedwabiu, aksamitu i złotogłowiu, niech raczej uprzedę sobie kilka łokci lub mil tęgiego szpagatu, niech doczekam się kłębka, z którymby doszedł do jakiejś królewskiej prawdy, sznura, którymbym związał trochę zdrowych i coś wartych faktów.“

Tak bezpośrednia samoocena ma w sobie nieco patosu i czyni wrażenie; na chwilę nawet rozbraja krytyka, zwłaszcza że jest tak dobrze wypowiedziana. Ale był to tylko nastrój przemijający, jak natychmiast wyjaśnia Cabot:

„Ale dążenie do zupełności w sądach nie godziło się z jego literackim wyznaniem wiary:

„Nie poniżałbym się rozmyślaniami nad myślą ani też wyczekiwaniem jej. Jeżeli myśl przychodzi, zgotować jej mogę przyjęcie, ale jeśli przychodzi nie samorzutnie, przyjęcie jej wcale nie jest słusznem” <sup>1)</sup>.

W taki sposób upór odprawia samoocenę razem z manatkami. Ale w istocie i to także jest patetyczne. Jakże łatwo każdy z nas może w taki sam sposób schlebiać sobie uczuciem, że ułomność jego jest raczej mocną stroną, niedołęstwo zaś szczytem oświecenia! Za to wszystko czas wymierzy nam sprawiedliwość — jeżeli jesteśmy autorami książek. Ci, którzy jaknajszczerzej rozkoszowali się Emersonem, uczuwają czasami chłód nadchodzącej obojętności. Wszystkim znana jest opowieść o wrażeniu, wywołanem przez odczyt Emersona o Platonie. „Czy nie mógłbyś pan powiedzieć mi — zapytał ktoś sąsiada podczas wykładu Emersona—jaki związek ma ostatnie zdanie ze zdaniem poprzedniem, i jaki związek ma to wszystko z Platonem?” „Żadnego, mój przyjacielu, chyba w umyśle Boskim!” Z żalem czytamy wzgardliwą uwagę Walta Whitmana, który nazwał Emersona mistrzem na jeden miesiąc młodości — i to po przyjęciu i tak znacznem wyzyskaniu serdecznej pochwały Emersona dla pierwszej swej książki. Ale przyznać musimy,

<sup>1)</sup> Cabot, t. I. str. 295.

że niepewną jest godność takiego mistrza, o którym uczniowie przychodzą do przekonania, iż światło, rzucane przezeń, może kiedyś stać się błędnym ognikiem groźnym dla wszystkiego, co mogą powiedzieć w przyszłości. Sam Emerson wyrzekł, że nawet człowiek mądry trzydzieści razy na dzień mówi, nie rozumiejąc się zupełnie. A jednak sam był nieprzyzwoicie zuchwały wobec uznawanego przez się niebezpieczeństwa.

## V.

Jeżeli słusznem jest wyjaśnienie nasze, że myśl Emersona nie była dość tęgą w stosunku do umiejętności krystalizowania i wypowiedania wrażeń, to ujemna krytyka nasza może się wnet zakończyć zwróceniem uwagi na tak zwaną filozofję Emersona, stwarzaną w warunkach tych samych, co i aforyzmy codzienne. Dotychczas wszyscy główni komentatorowie Emersona przyznawali, że nie można szukać w nim filozofji we właściwem znaczeniu wyrazu <sup>1)</sup>. Był on poetą, przez którego usta przemawiały wrażenia panteistyczne, otrzymywane przez poetów po wszystkie wieki i we wszystkich cywilizacjach, u Indusów, Greków, Egipcjan, Niemców. Poezja, jeśli się tak wam podoba, jest filozofją pierwotną. Tem bardziej przeto musimy odczuwać niedostateczność filozoficzną metody poetyckiej w wieku nauki i prozy, która jest środkiem tak bardzo zasobniejszym. Jak wszyscy jego poprzednicy i współcześni w wierze intuicyjnej, Emerson miewał ustawicznie podniosłe spostrzeżenia jedności wszechświata, którą w zachwyceniu poetyckiem musiał koniecznie nazywać Bogiem, ale podobnie też, jak tamci, w każdym innym nastroju ulegał fatalnej nieświadomości, która pchała go do odrzucania własnych uogólnień, do roz-

---

<sup>1)</sup> „Miejsce Emersona jest pomiędzy poetycznemi, nie zaś pomiędzy filozoficznemi umysłami.“ Frothingham *Transcendentalism in New England* str. 236.

bijania jedności na dwoistość, na wielokrotność, na wyrazy spostrzeżeń właściwych ludziom, nie uogólniającym wcale. „Transcendentalizm—powiada Cabot—był dla Emersona nie szczególnem pasmem nauk, lecz stanem umysłu” <sup>1)</sup>. Dodajmy: przypadkowym stanem umysłu, a wyrazimy się zupełnie dokładnie.

Na zasadzie prozy Emersona wielbiciele jego mogą zapewne z wielkiem prawdopodobieństwem zaprzeczać posądzeniom go o panteizm. Teodor Parker np. przeczy w wyrazach pełnych oburzenia. „Rzucano nań głupie oskarżenia o panteizm, pograżający Boga w naturze, ale nikt nie był dalszy od tego. Nie pograża on nigdy Boga w człowieku” <sup>2)</sup>. I to jednak są zdania, których autor, chociaż moralista i uczony, nie może właściwie filozofować. Mówić, że panteizm „pograża” Boga w naturze, gdy teoria ta powiada, że Bóg jest naturą, znaczy po prostu chować się poza wyrazy; mówić zaś, że „nikt nie był dalszy” od panteizmu, niż Emerson, jest to w istocie być bardzo niebacznym. Inni wielbiciele jego przyznają, że Emerson „niewątpliwie zawsze pragnie ulec pod natarciem panteizmu”, i co najwyżej mogą tylko obstawać przy tem, że tam, gdzie frazeologia jego jest „niewątpliwie panteistyczną”, jest ona „poetyczną, i nie należy brać jej dosłownie” <sup>3)</sup>. Prawdą zaś jest po prostu fakt, że jak widzieliśmy, Emerson czasami bywał panteistą, czasami zaś nie, a to skutkiem dorywczej swej metody myślenia i tworzenia. „Nie zna on — powiada jeden z najlepszych jego komentatorów — tych wyraźnych odróżnień i określeń, które ocaliłyby go od oskarżeń o panteizm” <sup>4)</sup>. „Nie znał” ich, ponieważ nie był do nich zdolny. „Dzieci bogów—oznajmił—nie dowodzą nigdy” <sup>5)</sup>. Nie; nawet jeżeli nie mogą dowieść, co zdaje się leży w naturze tej rodziny.

<sup>1)</sup> Cabot, t. II, str. 39.

<sup>2)</sup> Przytoczone przez Cooke'a, str. 290.

<sup>3)</sup> *Ib.* str. 291.

<sup>4)</sup> *Ib.*

<sup>5)</sup> Conway *R. W. Emerson* str. 272.

Tymczasem nie możemy powiedzieć, żeby wszystkie te błędy i sprzeczności były błahostką, nie możemy zbyć ich aforyzmem Emersona, że „głupia konsekwencja jest złym duchem umysłów małych“, oraz że „wielkie dusze po prostu nie mają co robić z konsekwencją.“ Jeżeli wielkie lub inne dusze stosują tę zasadę w moralności handlowej, snadnie mogą dostać się do więzienia, a jeżeli według niej postępują zwykle w dydaktyce, mogą prawdopodobnie doczekać się kiedyś wypchnięcia do podrzędnych kramów księgarskich. Człowiek rozumny nie będzie nigdy znieważał zdrowego rozsądku tego rodzaju przechwałkami. Na szczęście dla siebie Emerson nie mógł nigdy wytrwać konsekwentnie w niekonsekwencji, chociaż chlubił się sztandarem chaosu.

## VI.

Ulgę przynosi zwrócenie się od tych okresów stanu umysłowego, nieszczęśliwie wyhodowanych przez Emersona, do okresów innych, dających się rozważać z uczuciami nader odmiennymi. Biorąc książki Emersona w całości, powiedzieć można, że jeśli jego światło księżycowe jest zupełnie takie same, jak innych ludzi, natomiast światło słoneczne jest jego wyłączną właściwością i stoi o wiele wyżej od przeciętnego. Mateusz Arnold, rozebrawszy z właściwą sobie miłą przenikliwością główne punkty działalności Emersona oraz uzasadniwszy, że nie jest on wielkim prozaikiem, bo stylowi jego „brak koniecznej całkowitości dobrej tkaniny,“ i nie jest wielkim poetą, bo brakuje mu prostoty, konkretności i siły rozwoju, wyrokuje ostatecznie, że niemniej przeto „jak poezje Wordswortha są zdaniem mojem najwybitniejszym utworem, wierszowanym po angielsku w ciągu bieżącego stulecia, tak *Szkice* Emersona są najważniejszym dziełem, napisanem prozą. Dzieło jego jest donioślejsze od dzieł Carlyle'a” <sup>1)</sup>. Nie jest on wielkim pisarzem ani litera-

---

<sup>1)</sup> *Discourses in America* str. 196.

tem w tem znaczeniu, w jakim wielkimi pisarzami byli Cicerone, Swift, Platon, Bacon, Pascal i Voltaire, wszakże iż „podtrzymuje mocno szczęście i nadzieję”, jest najważniejszym prozaikiem angielskim wieku XIX-go. Wyrok ten w swej powabnej dowolności jest bardzo charakterystyczny dla Arnolda; rozumie się też, że wyrażenia: „najważniejszy” nie można brać za wyrok ostateczny ani o Emersonie ani o Wordsworth’sie. Arnold nie posiadał ani środków, ani metody do wyszukania tego, co jest istotnie „najważniejsze” w literaturze stulecia. Umiał on przejść ponad całym Spenserem, poprzestając na jednym wdzięcznym poruszeniu łożnią i chustką i w kryształowym frazesie streszczając ciężkie tomy, których nie czytał. Nie zdarzyło mu się nigdy zadać sobie pytania, dlaczego to mianowicie Jerzy Eliot lub Mill są mniej „ważni” od Emersona, albo też na czem głównie polega ważność i z jakiej przyczyny. Jeżeli jednak weźmiemy uogólnienie z zastrzeżeniem należnym „artykułowi” Arnolda, znajdziemy się na drodze do wniosku zupełnie słusznego. Podtrzymywanie „szczęścia i nadziei” przez Emersona nie jest wprawdzie najważniejszą rzeczą w prozie angielskiej dziewiętnastego wieku, nie są to bowiem rzeczy, których potrzebowałibyśmy najpilniej, ale powiedzmy odrazu, że dar jego, ofiarowany nam w tym względzie, jest darem świętym. Z pewnością nikt tak nie pobudza, jak on. W porównaniu z Emersonem moralność Jerzego Eliota ma wygląd kaleki i zapach stęchlizny, myśliciele zaś zawodowi, chociaż kształcą, nużą nas nieco. Ale w Emersonie mamy zawsze harmonijny powiew lasów i równin Concordu, powiew, którym oddychał Thoreau nad jeziorem Walden. Nawet słabostka zapisywania wszelkich natchnień dała nam mnóstwo zdań wzmacniających, mnóstwo chwil orzeźwienia, bijącego, jak zdroje wiosenne. Arnold i wszyscy bez wyjątku świadczą, jak odpowiada młode serce na wiele tych zdań niezrównanych. „Miejmy ufność w sobie; każde serce drga tą struną żelazną. Ktokolwiek jest człowiekiem, musi być nonkoformistą <sup>1)</sup>. Kto chce pozyskać wawrzyny nie-

<sup>1)</sup> Arnold nie przytoczył oczywiście tego zastrzeżenia.

śmiertelne, tego nie mogą wstrzymywać nazwy dobra, ten musi szukać, czy dobro istnieje. Nic niemasz ostatecznie świętego, oprócz prawości umysłu. Rozgrzeszcie się sami, a pozyskacie potwierdzenie od świata" <sup>1)</sup>). W nauce o głosie tajemnym i szepcie wewnętrznym brzmi czysta nuta prawdy moralnej, nuta prawdziwa, ani ostra, ani płytka, harmonizująca ze wszystkimi arcynutami wiedzy ludzkiej. Raz po raz powraca to drganie, które jest tchem w nozdrzach demokracji:

„Zoologowie mogą przeczyć temu, iż włosy końskie w wodzie przemieniają się w robaki, ale ja myślę, że co stare, gnije, a co minęło, przedzierzga się w węże. Cześć dla czynów zmarłych przodków naszych jest uczuciem zdradzieckiem. Ich zasługą było nie oddawanie czci staremu, lecz uświetnianie chwili współczesnej; fałszywie osłaniamy niemi zwyczaje, których oni nienawidzili i którym urągali" <sup>2)</sup>).

Takie zasady Emersona warte są z pewnością wielu rozpraw, podniecają bowiem wszystko, co jest w ludziach najlepszego, a chociaż państwa taksamo, jak ludzie, nie mogą żyć podnieceniami, mogą przecież niekiedy dzięki im uniknąć śmierci lub upadku. Gdy pomyślę o szlachetności, rozbrzmiewającej w niektórych jego wierszach dydaktycznych, zapominam o ich niedbalej, chropowatej szacie i w końcu uchylam się od przyjęcia zdania Arnolda, że gładkie i muzykalne utwory Longfellowa albo Whittiera są warte tyleż, co cała poezja Emersona. Pieśń jego zdyszana jest i poszarpana, ale uchwycił on nuty Apollona, których tamci nie słyszeli nigdy. Jego nauka poetycka ma pewną właściwość najistotniejszą, dzięki której tak się ma do ich poezji, jak Milton do Cowpera, niekiedy zaś potrzeba jej tylko ostatniego dotknięcia, aby dorównać najszlachetniejszym pieśniom Goethego.

W niektórych tonach i taktach Emerson umie zabył-  
snać zdaniem i myślą, do jakich niezdolni są Longfello-

---

1) *Self-Reliance*.

2) *Works and Days*.

wowie w chwilach najszcześniejszych. Skoro zaś rozcinamy, bo czynić to musimy, poezję jego na włókna, skoro ściśle wazymy jego zlecenia, do czego sam on najzupełniej nas upoważnił, nie odmówimy bodaj na chwilę uznania melodyjnym strofom, któremi Emerson w jednym ze swych nastrojów gromił przyjaciela:

Nie waz się deptać grobów  
Ani z całunu obnażać mogiły,  
Którym czas miłosierny  
I przyroda pozwoliły  
Osłonić błędy mądrości niezmiernej.

Nie waz się deptać grobów  
Ni się nie staraj po zachodzie życia  
Człowieka z nędznej wyzuwać ozdoby —  
Z jego trofeów pogrzebowych —  
Mirry, wina, dzwonów bicia  
I ostatniego z ołowiu spowicia.  
Idź! niech ci powie, jak się życie z nim zmagalo,  
Jak walczył z niem i parł się śmiało.

Szkoda żywota, gdy w cynicznych klótniach  
I w błahych sporach wysnuje się marnie —  
Szybko pasmo się wyprzedzie,  
Mrok wkrótce nas ogarnie,  
Więc w górę! Cel twój miej na względzie,  
A Bóg pomocą tobie będzie <sup>1)</sup>

Ale w istocie w nauce Emersona mało jest napomnień o śmierci, ani nie zaraz je znaleźć można. Jest on prawdziwym poetą optymizmu, co nie jest rzeczą łatwą; pomysłność jest prozaiczną, a zmysł poetycki zwraca się bardziej samorzutnie ku cieniom. Chwałę Emersona, i to chwałę, pozyskaną nie tak łatwo, jest wpojenie w ludzi przekonania, że każdy wiek musi w sobie samym znaleźć źródło najwyższego natchnienia, jeżeli ma być kiedykolwiek zdolny udzielać natchnienia innym. Przed Waltem Whitmanem, chociaż Whit-

<sup>1)</sup> Do *J. W.* (Przekład p. Władysława Nawrockiego. *Przyp tłum.*)

man zapomniał zdaje się o tem, Emerson nauczał lud amerykański samemu kształtować literaturę swoją <sup>1)</sup>:

„Świadectwem albo miarą talentu poetyckiego jest zdolność odczytywania poezji w sprawach bieżących, stapienia okoliczności dzisiejszych, nie posługiwania się starymi przesądami Scotta lub Szekspira, lecz przeistaczania mniemań wieku dziewiętnastego i narodów istniejących w symbole powszechne. Łatwo jest odmalowywać na nowo mitologję, zamki feudalne, wyprawy krzyżowe, męczeństwa Europy średniowiecznej, ale subtelnej i przeważnej trzeba myśli, żeby wykazać, czy takie same siły twórcze działają dziś we własnych naszych domach i zebraniach publicznych, żeby przeistoczyć żywe energie, działające w tej chwili, na symbole powszechne... Każdy mógłby być poetą, gdyby umysł jego trawił doskonale. Oznaką poety jest siła ujęcia dnia bieżącego wraz z jego nowinami, jego troskami, jego obawami, jak sam poeta je podziela, ujęcia i podniesienia aż do rozumu boskiego, dopóki nie ujrzy się, że to wszystko ma w sobie cel i piękność—a jednocześnie uwzględnienia astronomji i historii i wiekuistego porządku świata. Niema przedmiotu, któryby nie należał do poety: polityka, ekonomja, rękodzieła, giełdziarstwo zarówno, jak zachód słońca i dusze ludzkie; tylko że poezją są te rzeczy, ułożone w prawdziwym ich porządku; pomieszczone lub ułożone w porządku kuchennym, są one niepoetycznymi“ <sup>2)</sup>.

To mówi człowiek, który przeszedł przez życie szczerze i z talentem, a jeżeli te lub owe nauki jego okazują się rozwinięciem teorii, skojarzonych z nazwiskiem Carlyle'a, to przecież nic niemasz bardziej czonego nad powtarzanie bezmyślne starego epigramatu, że Emerson był tylko kieszonkowem wydaniem przyjaciela <sup>3)</sup>. Carlyle zdaje się sam myślał, że Emerson jest w pewnej mierze jego „synem ducho-

<sup>1)</sup> Jak i Poe *Marginalia* VII; wyd. *Ingrama Works* t. III str. 351.

<sup>2)</sup> *Letters and Social Aims: Poetry and Imagination*.

<sup>3)</sup> Podzielanie poglądu tego przez Poego jest jednym z najcięższych zarzutów przeciw wielkiemu temu krytykowi (*Works* t. III, str. 378).

wym<sup>1)</sup>, ale trudno byłoby wskazać bodaj jeden ustęp w Emersonie, dobry czy zły, mądry czy niemądry, do którego autor nie mógłby był dojść w sposób dla nas zrozumiały nawet, gdyby Carlyle nie był żył nigdy. Że sam Emerson był osobistością, wywierającą wpływ magnetyczny i nakazujący, widać to na przykładzie przewagi jego nad Thoreau<sup>2)</sup>, który przecież uczynił styl mistrza o tyle własnym, o ile Emerson uczynił własnym styl swej ciotki. Rozumiem, że Thoreau spłacił dług, oddając Emersonowi słuszne pierwszeństwo w sprawie niewolniczej. Nie mógł zapewne Emerson bez względu na okoliczności zbłądzić w tej mierze tak, jak błądził Carlyle, ale przyłączenie się do strony prawej nie mogło mu przyjść zupełnie naturalnie wobec wszystkich wybryków i fanatyzmu tej strony. Z początku nie stanął on szczerze przeciw niewolnictwu i ganił abolicjonistów za to, iż „niecierpią karności” i „śpieszą do władzy, zanim się odśłużyli swoje”<sup>3)</sup>. Ale „nieszczęsne sumienie” nakazało mu szacunek dla nich, i poszedł drogą prostą. Stopniowo rozpalał się do tej wielkiej sprawy. Od pierwszej chwili, jak zaczął mówić dobrze, nikt nie mówiłby lepiej, jednak w dzienniku swoim pisze, że sprawa „brnie w błocie filantropijnem”, i dodaje: „Rzecz pewna, iż współczuję zupełnie myślom, które wypowiadam, ale biorę je raczej od przyjaciół moich, niż dyktuję sam. Nie z własnych pobudek je wygłaszam”<sup>3)</sup>.

Ale usługa, oddana przezeń ludzkości, rozleglejsza jest od przykładu własnego zachowania się w tym lub owym zbiegu okoliczności, rozleglejsza jest też, niż sam jego optymizm, jakkolwiek wzmacniał on społeczeństwo. Arnold, oceniając w powierzchowny swój sposób wartość *Rysów Angielskich*, wnioskuje, że książka ta nie ma trwałej wartości, jest bowiem szeregiem „spostreżeń człowieka systematycznie pocziwego” jak *Staremu Naszemu Domowi* Hawthorne’a brak

1) Opisane w *Memoir Cabota*.

2) Cabot, t. II, str. 45.

3) Cabot, str. 51—52.

znowu wartości dlatego, że jest „dziełem człowieka zmar-  
twionego”<sup>1)</sup>. Jest to szczególny błąd krytyczny. Emerson  
był istotnie dobrotliwy, ale krytyka Arnolda mogłaby mieć  
jakikolwiek znaczenie wtedy tylko, jeżeliby dała do zrozumie-  
nia, że dobrotliwość Emersona czyniła go ślepym na wady  
Anglików. Tymczasem nic podobnego nie widzimy. Słabą  
stroną książki tej nie jest systematyczna poczciwość, chociaż  
Emerson ma niewątpliwie zawiele przychylności dla anglo-  
saxonizmu wogóle. Słabą jej stroną jest to, co tkwi zawsze  
w metodzie Emersona: nierozwiązane sprzeczności i bezwsty-  
dna niekonsekwencja. Rozbierając ją, przekonywamy się,  
jak zwykle, że Emerson zapisywał każde uogólnienie, które  
przychodziło mu do głowy dzień po dniu, i nie czynił ża-  
dnych usiłowań w celu pogodzenia jednych z drugimi, cho-  
ciaż z natury rzeczy każde z nich jest uogólnieniem kilku  
szczegółów. Weźmy wszakże książkę, jaka jest, a będziemy  
mieli szereg świetnych charakterystyk wad i niedomagań  
angielskich, z których wiele tak dalece utrafia w myśl Ar-  
nolda, że z trudnością można uniknąć wniosku, iż on albo  
przerzucił tylko niedbale książkę, albo przeważnie zapomniał  
o jej treści, gdy mówił o systematycznej przyjaźni Emersona  
dla Anglików.

Ale i sam Arnold przyznaje się dalej, że „jakkolwiek  
silny był optymizm Emersona, jakkolwiek niepokonaną była  
wiara jego, że ze wszystkiego tego, co widział wokoło sie-  
bie, wyłonią się skutki dobre, przecież nigdy żaden mizan-  
tropiczny satyryk nie widział wyraźniej od niego uchybień  
i nedorzeczności ani nie wytykał ich odważniej”<sup>2)</sup>. Zasto-  
sować się to da zarówno do jego krytyki życia i urządzeń  
angielskich, jak i amerykańskich, ogólna zaś teoria społecz-  
na jest nadewszystko lekarstwem pożytecznym dla wszelkiej  
cywilizacji.

„Pedanterją jest oceniać narody według liczby głów,  
albo według ilości mil kwadratowych terytorjum, albo jak-

---

1) *Discourses in America* str. 173.

2) Str. 189, 190.

kolwiek bądź inaczej, niż doniosłością ich dla ducha czasu. Porzućmy te obłudne bajania o masach. Masy są grube, ślepe, nędzne, szkodliwe w wymaganiach swoich i wpływie; nie trzeba im schlebiać, lecz uczyć je. Nie chcę pozostawiać im niczego, jeno poskramiać je, ćwiczyć, dzielić i rozpraszać i wydobywać z nich jednostki. Najgorszą stroną miłości bliźniego jest to, że życia, których nam każą strzec, nie są warte zachowania. Masy! Masy są klęską. Nie chcę żadnej zgoła masy, jeno ludzi uczciwych, zacnych mężczyzn, kochających, słodkich, wykształconych kobiet, ale nie milionów łopato-rękich, ciasnołbowych, lejących w siebie gorzałkę dusigroszów lub zupełnych nędzarzy. Gdyby rząd miał na to sposób, wolałbym widzieć, iż ogranicza ludność, zamiast ją mnożyć. Gdy rząd zrozumie prawdziwą zasadę działalności swej, każdy przychodzący na świat witany będzie, jako rzecz istotnej wagi."

Zważmy, że to mówi republikanin z republikanów, nie tylko przyjaciel, ale pod względem duchowym przedstawiciel myśli demokratycznej. Słowa jego nie są wezwaniem do wstrzymania postępu, ale żarliwym pobudzeniem do postępu lepszego rodzaju. „Mniemamy — pisze dalej — że cywilizacja nasza jest już blizka południa, gdy tymczasem jesteśmy za ledwie o pianiu kogutów i wschodzie gwiazdy porannej” <sup>1)</sup>. Jest to zarazem protest i przepowiednia. A chociaż on, który wygłosił tę przepowiednię, nie podał nauki, jak urzeczywistnić nadzieje, niemniej jednak należą mu się zaszczyty i wawrzyny za to, iż sprawił, że nad wszystkimi ludźmi zdolnemi podzielać jego ideały zaciążył przymus jego szlachetnych pragnień i pięknej wymowy.

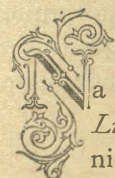
---

<sup>1)</sup> *Politics.*

## Mateusz Arnold.

**M**ATEUSZ ARNOLD urodził się 24 grudnia 1822 r. w Lalehamie blisko Staines, kształcił się w Winchesterze, Rugby'u i w *Balliol College* w Oksfordzie. W 1843 r. odznaczono poemat jego o Cromwellu. Po skończeniu nauk był przez lat kilka sekretarzem prywatnym lorda Landsdowne'a, od 1851 do 1857 r. był inspektorem szkół, a w 1857 r. powołano go na profesora poezji w Oksfordzie. Z polecenia rządu wyjeżdżał kilkakrotnie na ląd stały, badając szkolnictwo we Francji, Niemczech i Holandji, a wyniki spostrzeżeń swoich ogłaszał w książkach, które robiły wielkie wrażenie. W r. 1883 objeżdżał Stany Zjednoczone, wygłaszając odczyty w miastach największych. Za dwuletnią opiekę nad księciem Gienui, gdy ten kształcił się Harrow, Arnold dostał order włoski. Zmarł nagle w Liverpoolu 15 kwietnia 1888 r. *Essays in Criticism* wyszły w r. 1865, *Culture and Anarchy* w r. 1869, *Literature and Dogma* w 1872 r., *Last Essays on Church and Religion* w 1877 r. (Przyp. tłum.)

### I.



Na karcie tytułowej jednego z egzemplarzy podręcznej *Literatury Angielskiej* Tomasza Arnolda widziałem niedawno skreśloną ołówkiem uwagę, zawierającą akt oskarżenia rodziny Arnoldów, wystosowany przez jednego z tych sekciarzy, którzy dotąd w takiej ilości plamią cywi-Humaniści nowożytni.

lizację naszą, wywołując w wielu wątpliwość, azali wogóle można mówić o znikaniu fanatyzmu we wszelkiem tegoż rozumieniu. Oskarżenie zmierzało do tego, iż *Literatura* napisana została z punktu widzenia rzymsko-katolickiego, oraz dowodziło, iż katolicyzm jej autora, sceptycyzm brata jego Mateusza Arnolda i wreszcie racjonalizm ich siostrzenicy pani Humphrey Ward były oznakami złego, tkwiącego w systemie wychowawczym dr. Arnolda, który wychowywał dzieci swe na chrześcijan w ogólnem jedynie znaczeniu, nie wpajając w nich żadnego ściśle określonego systemu nauki. Przypisek ten jest interesujący ze względu, że rzuca światło na uczucia członków kościoła angielskiego w sprawie dozoru nad szkołami, wątpię wszakże, czy jako wyjaśnienie faktów, które omawia, ma on choć trochę większą wartość od innych uogólnień klerykalnych. Rodzina Newmanów, której przekonania rozszczepiły się w ten sam sposób, chowana była wyraźnie po prawowiernemu; nie zauważyliśmy też, iżby racjoniści zazwyczaj pochodzili z rodziców, będących chrześcijanami wolnomyślnymi. Rozsądnie rzeczy biorąc, domyślać się tylko możemy, iż w życiowym zawodzie synów dr. Arnolda dadzą się odszukać niektóre z jego dążności umysłowych, rozwinięte swobodnie w kierunkach rozmaitych, zrozumieć wszakże łatwo, iż najbardziej staranne kształcenie przezeń synów w jakimś jednym sposobie myślenia posłużyłoby tylko do podniecenia i uwydatnienia ich specjalnych dążności. Ojciec był jednym z tych ludzi, którzy łączą znakomite zdolności umysłowe lub krytyczne z silnem wzruszeniem lub usposobieniem przywiązaniem do wierzeń odziedziczonych. „Myślę—pisał do jednego ze swoich byłych wychowawców—że dążność do ateizmu istnieje w każdym badaniu naukowem, prowadzonym usilnie, a bez podkładu wiary, bez podkładu, starannie wzmacnianego i do nadbudowy służącego”<sup>1)</sup>. To szczere wyznanie, że wiara powinna być ustalona przed badaniem,

---

<sup>1)</sup> Stanley *Life of Dr. Arnold* roz. VIII, *Letter* 146. Por. roz. VI *Letters* 15 i 46.

jest przykładem przejrzystej żarliwości charakteru Arnolda. Zachowywał on prostą wiarę swoją zbyt ufnie, żeby mógł się w niej zachwiać, w wielu wszakże kierunkach, gdzie mu nic nie stało na drodze, umysł jego rozwijał rozumne i krytyczne poglądy na życie, a chociaż dzisiaj jest on dla nas w głównych punktach odpychający i wsteczny z powodu surowości i zjadliwości teologii swojej, przecież dla własnego pokolenia był świetnym przedstawicielem liberalizmu i tolerancji w kościele. „Waśń moja ze stronnictwem antyliberalnym—pisał do przyjaciela w r. 1830 — doszła do tego, że chcąc zmusić dzieci moje do wyjazdu do Ameryki, wyzuć mnie i wszelkich innych z własności, ze stanowiska, ze wszystkich nieoszacowanych dobrodziejstw społeczności angielskiej.“ Potem zaś następuje polityczne wyznanie wiary, wyłożone bardzo dobrze.

„Niemasz nic bardziej rewolucyjnego, bo niemasz nic bardziej nienaturalnego i wstrząsającego społeczeństwem nad usiłowanie unieruchomienia rzeczy i stosunków, podczas gdy przez samo prawo stworzenia cały świat jest w wiekuistym postępie; przyczyny wszystkiego złego na świecie można doszukać się w tym naturalnym, ale jaknajbardziej zgubnym błędzie ludzkiej gnuśności i zepsucia, mniemających, że zadaniem naszym jest ochraniać, nie zaś ulepszać. Gubi to nas wszystkich bez wyjątku: osobniki, kierunki, narody” <sup>1)</sup>.

Ale taki człowiek był rozumie się bardzo daleki od zupełnego liberalizmu, był naprzykład daleko mniej liberalny, niż wychowaniec jego i biograf dziekan Stanley, i w tym samym liście, oznajmiwszy, że „widok czasów jest dla jego umysłu okropny”, powiada otwarcie: „Gdybym miał dwie szyje, musiałbym sądzić, że czeka mię doskonała sposobność być powieszonym przez obie strony, jak dzisiaj sądzę, że uda mi się pójść na szubienicę z ręki tych, którzy wezmą górę, jeżeli rzeczywiście dojsć ma do walki.”

---

<sup>1)</sup> Roz. VI *Letter* 23 do J. T. Coleridge'a.

Nielatwo nam dzisiaj cofnąć się myślą wstecz do r. 1830, kiedy Mateusz Arnold był chłopcem ośmioletnim, a ojciec jego, zwierzchnik szkoły w Rugby, stroniący od toryzmu i jednocześnie od racjonalistycznego liberalizmu, pełen oburzenia na jednych i wzdrygający się na drugich, mógł mówić bodaj przenieśnię o powieszeniu swem przez oba stronnictwa i o wygnaniu dzieci swoich do Ameryki po kawałek chleba. Trzeba przypomnieć sobie, że były to czasy drożyzny zboża, powszechnej nędzy, początków czarizmu, agitacji za bilem o reformach.

Wiele darować trzeba człowiekowi, który wpadł na myśl, że chłopców w szkole można nauczyć mówić prawdę, po prostu biorąc od nich słowo, ale trudno przypuszczać, żeby dr. Arnold przy swoim liberalizmie politycznym nie tylko dawał ogólnie zdrowe kierownictwo moralne, ale nadto dostarczał wiele filozoficznego światła; nie może też być jego winą, jeżeli przykładem i naukami własnymi nie doprowadził wychowanców swych i dzieci do zostania żarliwymi stronnikami kościoła anglikańskiego i zajadłymi wrogami racjonalizmu w religji. Przed odłączeniem się Newmana Arnold gorąco oskarżał jego i jego zwolenników, że pozostają w kościele, z którym nic ich nie wiąże, a zdolnym będąc mówić ze zdumiewającą wyrozumiałością o unitaryzmie <sup>1)</sup>, jednocześnie miał do katolicyzmu taki sam prawie wstręt, jak do niewiary <sup>2)</sup>. Poza tem Arnold, jak się zdaje, wierzył pobożnie w istnienie i działalność diabła, jako osoby; w listach swoich mówi o nim równie często, jak Carlyle, ale najwidoczniej z daleko większą prostotą i szczerością.

## II.

Bieg życia ludzi młodych zależy tyleż od ich usposobienia, ile i od wychowania, usposobienie zaś Mateusza Ar-

---

<sup>1)</sup> Stanley *Life of Dr. Arnold* roz. VII. *Letters* 63, 75, 82; roz. VIII *Letter* 160.

<sup>2)</sup> *Ib.* roz. II *Letter* 17 i Dodatek D, urywki 1 i 6.

nolda z wielu względów nie sprzyjało rozwojowi w kierunku, wytkniętym przez ojca. Nie miał on gwałtowności, pobożności i nietolerancji, właściwych kierownikowi szkoły w Rugby, zdaje się także, iż ojca niepokoił nadto widoczny w synu brak gorliwości moralnej. Swinburne (czy też ktoś inny) nazywał swego towarzysza w poezji „Dawidem, synem Goljata”, dając w ten sposób do zrozumienia, że dziecię światła miało Filistyna za ojca. W istocie wszakże młody Arnold nie zdradzał zdaje się wcale wielkich natchnień Apollona, wyróżniając się natomiast głównie wesołością i lekkomyślnością, które, jak dowiadujemy się od lorda Coleridge'a, sprawiały przykrość i zawód ojcu, nie wywołując wcale na twarzy jego uśmiechu, chociaż syn w poemacie swoim *Kaplica w Rugby* mówi o „promiennej energii” i „ulotnej wesołości” ojca. Urywkowe wiadomości, które doszły do nas z czasów pobytu Arnolda w kolegium za pośrednictwem *Wspomnień* Clougha, dają nam poznać rzeźkiego młodzieńca, obdarzonego upodobaniem w rzeczach pięknych, niezbyt gorliwie uczącego się ani myślącego, zato składającego dowody dostatecznej pewności siebie. Jego poemat konkursowy *Oliver Cromwell* <sup>1)</sup>, chociaż stoi wyżej nieco od przeciętnych sztywnych utworów tego rodzaju (z których okazuje się, jak dalece system, przyjęty przez uniwersytety angielskie, dławi te zdolności poetyckie, które pomimo niego później kwitną nieraz pomiędzy ludźmi z wykształceniem uniwersyteckim), jednakże słabo zapowiada ową świeżość w dotknięciu i w natchnieniu, która później uczyniła Arnolda jednym z najwybitniejszych poetów angielskich, lecz temat poematu świadczy już o zupełnym przyjęciu przez syna liberalizmu ojcowskiego. Z drugiej strony z własnych jego wspomnień i wierszy nabieramy przekonania, iż w gustach swych i dążnościach niezbyt godził się z ideałami ojca. W jednym szkicu <sup>2)</sup> opowiada, że zobaczywszy w młodości grę Racheli w Edynburgu, został nią tak

<sup>1)</sup> Datowany w r. 1841, gdy Arnold miał lat dziewiętnaście.

<sup>2)</sup> „O teatrze francuskim w Londynie“ *Irish Essays* str. 210.

oczarowany, iż pojechał do Paryża i co dwa miesiące chodził patrzeć na jej grę. W drugim szkicu <sup>1)</sup> opowiada, że po przeczytaniu *Janiny*, porwany urokiem Jerzego Sanda, postanowił pojechać do Francji i zobaczyć widownię różnych opowiadań tej autorki, natychmiast też zaczął szukać jednej miejscowości na „wielkiej mapie Cassiniego w księgarni Bodlejowskiej.” Zestawmy te epizody z owym zdarzeniem, które wyryło tak głębokie ślady między innymi na grupie poematów, zatytułowanych *Szwajcarja*, a spostrzeżemy w Arnoldzie indywidualność, dotkniętą nowożytnymi podnietami i nowożytnym sceptycyzmem, zdolną do uniesień estetycznych i zboczeń wzruszeniowych, na jakieby nigdy nie był sobie pozwolił zwierzchnik szkoły w Rugby; spostrzeżemy charakter i etykę, bardzo dalekie od wiary w osobowego djabła i od zgrozy wobec nieewangelicznych czasopism dla biednych.

Cechą młodości Arnolda jest zdaje się raczej psychologiczny, niż umysłowy niepokój. Doniosłość naukowej krytyki religii oceniał pośrednio, przysłuchując się niedbale racjonalistom z jednej, uczniom Newmana z drugiej strony. W tej dziedzinie, jak zawsze, pojęcia działały nań estetycznymi pierwiastkami swemi; nie tracił wiele czasu nad Straussem, na wzór przyjaciela swego Clougha, nie miał też ascetycznej pobożności, niezbędnej, żeby iść za Newmanem. Przeważny wpływ wywierał nań w młodości zdaje się autor *Obermanna* Senancour, którego nauka była pesymizmem uczuć, nie rozumu, bardziej szczerem rozwinięciem melancholji Chateaubriand'a <sup>2)</sup>, usposobieniem, które w każdym przejawie jest mniej lub więcej naturalnem wznowieniem melodji Rousseau po wstrząsającej serca i wyczerpującej nerwy pieśni wielkiej rewolucji. W ten sposób zanim Arnold doszedł do wieku średniego, naturalnem uściem twórczości jego była poezja, wyrażająca nastroje i uczucia; połą-

<sup>1)</sup> „Jerzy Sand“ w *Mixed Essays*.

<sup>2)</sup> Obacz własną poufną krytykę Arnolda w dopisku do jego *Stanzas in Memory of the Author of „Obermann“*.

czenie zaś dostatecznego, jeżeli nie gruntownie naukowego wykształcenia klasycznego, nabytego w Rugby'u i Oksfordzie z szacunkiem dla współczesnych mu wrzuceniowych lub estetycznych pisarzy francuskich wywołało niewątpliwie tę dojrzałą i karną sztukę wysłowienia się, która czyni najbardziej natchnione wiersze Arnolda niezrównanymi pod względem wykończenia i pełności formy oraz treści, prozę zaś jego czyni zawsze jasną i gładką, a często pełną atyckiej miąższości i dosadności. Wykształcenie Arnolda, chociaż nie głębokie, było wszechstronne, obejmując zarówno Goethego i Heinego, jak Sainte-Beuve'a i Guérin'a; od Goethego i Heinego wzięł on formę niektórych najwyrazistszych swoich wierszy białych niewymiernych. Jako prozaik wszakże, skorzystał najwięcej od Francuzów <sup>1)</sup>, przejmując od nich tę wytworność i powabność, tę łatwość i prostotę, które, pielęgnowane niegdyś w Anglii, na czas jakiś wyszły u nas ze zwyczaju pod niezbędnym naciskiem rozwiniętych idei, nie mogących się pomieścić w formach Addisona. W tym samym czasie Thackeray w większej potrzebie uczył się miarkować młodzieńczą swoją surowość angielską przykładami francuskimi jak również wznowieniem tradycji własnych naszych typów Augustowskich.

Uznając wszakże, co winien Arnold kulturze francuskiej, nie powinniśmy zapominać o wyraźnym wpływie ojca jego, raz jeszcze uwydatniającym tę doniosłość dla literatury wczesnego przykładu rodzinnego, którą już zaznaczyliśmy, mówiąc o naśladowaniu ojca przez Carlyle'a i naśladowaniu ciotki przez Emersona. Dr. Arnold w wielu pismach swoich wykazuje ogromny brak powabności, ale w *Kazaniach* jego i w *Wykładach o Historji* znajdziemy widoczne pierwiastki stylu synowskiego: wrażliwe poszukiwanie

---

<sup>1)</sup> „Sainte-Beuve—mówi Arnold w wykładzie swoim *Numbers*—pisał do mnie w ostatnich latach życia swego: „Życie i literaturę naszą poznałeś pan od wnętrza w ten głęboki sposób, który poświęca we wszystkie tajniki; to też znajomości tej nie stracisz pan nigdy.“ Arnold nazywa Sainte-Beuve'a „jednym z głównych swoich dobroczyńców.“ *Discourses in America* str. 38—9.

prostoty, umiarkowania, jasności i płynności, wiotką rozwlekłość budowy, równoważenie zastrzeżeń, powtarzanie wyrazów i zdań w kolejnych opowiadaniach — słowem te rysy charakterystyczne, które oczywiście rozwinęła w ojcu praca kaznodziejska na użytek chłopców. To zaś skojarzenie godności z jasnością, które czyni przemowy nauczycieli szkolnych wyrazistemi, udzieliło się pismom syna, lubo w nich te same przymioty krępują usposobienie, wywierające wpływ prawie niepomierny względnie do ich znaczenia. W ostrem ścieraniu się szkół i stronnictw angielskich, pełnem odgłosów Cobbeta i *Timesa*, odbrzmiewającym złośliwością Juniusa i gwałtownemi przycinkami późniejszego Burkego, gdzie nawet przenikliwa krytyka Coleridge'a dotknięta była chorobą *odium theologicum* taksamo, jak krytyka Macaulaya zdradzała namiętność polityczną, gdzie nawet poważna polemika Jana Milla widocznie podnosiła za sobą kurzawę walki—w tej atmosferze pogodna pobłażliwość, z jaką Mateusz Arnold mówił o ludziach i zwyczajach, o książkach, dążnościach i ruchach, miała od początku urok orzeźwiający i porywający. W sporach jest on wyraźnie niemocny i nieprzekonywający, to też trafny popęd kazał mu zajmować stanowisko powierzchowne i pośrednie; gdy wszakże rozprawia, czyni to z ochoczością, okupującą wady luźnej logiki i niedokładnej znajomości przedmiotu. Umiał on drwić bez nieprzyzwoitości i bez goryczy, szydzić bez hałaśliwego nadrabiania miną—są to zalety francuskie, do których Arnold nagiął rodaków swoich zaleceniami i własnym przykładem. W ten sposób był on bardziej cywilizatorem, niż nauczycielem, ale tacy cywilizatorowie są cenni i rzadcy. I podczas gdy wybredne zwracanie uwagi na rzeczy drugorzędne, jak gdyby były one najważniejszymi, ściągало drwiny na niego samego, a pogodny upór wywoływał czasami zniecierpliwienie, natomiast nuta zarówno poważnej melancholji, jak poważnego męstwa, dźwięcząca w tylu wierszach jego, utrzymała go nawet w oczach przeciwników na stanowisku wysokiem. W ten sposób Arnold był w swoim czasie jedną z głównych postaci pomiędzy przedstawicielami umysłowości angielskiej.

Z drugiej strony tym zdolnościom i wdziękom odpowiadały wady umysłowe, chociaż nigdy nie odpychające, przecież ostatecznie ważne. Pomiędzy rzeczami, których nie potrafił mu przekazać jego dzielny ojciec, była zdatność do ciężkiej pracy. Wiedza i umiejętność musiały przychodzić mu łatwo, co znaczy, że musiały odpowiadać jego upodobaniu, jeżeli wogóle miały być przez niego nabyte. W ostatnim artykule swoim, wyjaśniając wartość sposobu myślenia pewnej amerykańskiej autorki krytyk, która wyznawała, że miło jej myśleć o doskonałości, jako o rzeczy pospolitej i częstej, Arnold słusznie powiada, że tak nie jest, że chcąc osiągnąć doskonałość, człowiek musi zużyć niemal całe swe serce. Ale nawet wówczas, gdy Arnold zmuszał smak swój i wykształcenie do brania jaknajszczęśliwszego udziału w jego pracy, mianowicie w poezji, umiał on czasami być płytkim i pozbawionym natchnienia, ponieważ brakło mu tego niezmordowanego pragnienia doskonałości, które dodaje bodźca najwyższym artystom. Szczęściem dlań było, że w szkole i kolegjum tak długo prowadził studja klasyczne i inne pożyteczne ćwiczenia, sam bowiem nie mógłby był wykształcić się równie skutecznie. O ile zaś wykształcenie w szkole i w kolegjum nie zdołało poprawić bodaj trochę wad umysłowych: braku logiki i gruntowności myślowej, o tyle pozostały mu te wady do końca życia.

### III.

Zastanawiając się nad Carlyle'em i Emersonem, widzieliśmy, że do zdobycia trwałej i spójnej filozofji życia i postępowania potrzeba poważnych i ciągłych usiłowań utrzymania zgodności, jako ostatecznego sprawdzianu prawdy, potrzeba zapobiegliwego baczenia na oczywistość, wytrwałego wystrzegania się sideł, stawianych przez uprzedzenia i upodobania. Widzieliśmy, że Carlyle dla braku samokrytyki i cierpliwości naraził się na to, iż przez całe życie miotaly nim popędy jego usposobienia tak dalece, że ogłupiał on stale własne swoje najlepsze zasady i najszczytniej-

sze myśli, dochodząc do tego, że jako nauczyciel, stał się po prostu naczyniem złości, dobroczynnym tylko, jako antidotum na odrętwienie. Widzieliśmy, że Emerson z usposobieniem daleko uprzejmiejsem zeszpecił zbawienną naukę swoją znaczną ilością płytkiej nierozwagi, wynikającej z braku baczności naukowej na zrównanie osobiste; przekonaliśmy się też, że i on nie potrafił skupić w jedność całokształtu myśli swych, pozostając obskurantem pod względem religijnym. Nadewszystko zaś na przykładzie Jana Milla widzieliśmy, że nawet nałóg rozumowania nie może zupełnie uchronić człowieka od poważnych błędów zależnych od jego usposobienia, chociaż nałóg taki służy do nadania zbawiennej miary zgodności całemu systematowi krytyki życiowej. Jeżeli więc do krytycznych poglądów na życie zabiera się człowiek bez zdolności logicznych i bez wprawy w myślenie logiczne, co właśnie powiedzieć można o Arnoldzie, to niepodobieństwem jest, żeby mógł uniknąć częstych błędów i niekonsekwencji, żeby mógł dojść do trafnej nauki moralnej. Może on dostrzegać i poprawiać niektóre poważne błędy umysłowe współczesnego mu pokolenia, lecz nieodzwrotnie ucierpi od własnych nie mniej poważnych błędów. „Jeżeli sprawiedliwy ledwo się ocali, cóż będzie z grzesznikiem i bezbożnikiem?” jak powiedziała by ojciec Arnolda. Dziwaczne rzeczywiście wypadłoby nazwać mniemanie czyjeś, że mężczyzna lub kobieta może liczyć na zdobycie dokładnej wiedzy w naukach psychologicznych, moralnych i historycznych za sprawą byle jakiego łatania swoich poglądów intuicyjnych, wiadomości, nabytych w szkole, i przesądów, jeżeli w naukach przyrodniczych, jak widzimy codziennie, potrzeba nieskończonej cierpliwości i porównywania dowodów, chcąc dojść do trwałych uogólnień. Tutaj cały zastęp uczonych traci lata na badaniu wiadra błota z dna morskiego, mikroskopuje każdą jego kroplę, odosabia drobniutkie jego światy żyjące, popelnia błędy i poprawia je, w najgorszym razie wciąga do spisów mnóstwo surowych faktów, aby dać materiał do pracy tym, którzy zajmą się uogólnieniami. W naukach zaś moralnych i społecznych kilku pełnych poświęcenia ludzi pracuje ciężko nad zestawianiem

danych i trzymaniem na wodzy teorii, podczas gdy całe tłumy przychodzą z codziennymi przekonaniem swemi i wysławiają jeden po drugim prawa z lekkomyślnością i zarozumiałością—szczygłów. Arnold w życiu późniejszym poprzestawał zawsze na swej intuicji, na swoich pierwszych pomyślach, swoich nabytych sposobach patrzenia na rzeczy i do rozległej zawłości spraw ludzkich stosował niewiele więcej prócz ogładzonego i przychylnego ludzom sądu oraz właściwego szeregu upodobań. Przypisać to należy nie tylko temu, że nie miał on nigdy żadnej biegłości w pracy naukowej, chociaż poglądy jego ojca i jego własne w tym względzie są wymowne.

„Gdyby można było pragnąć rzeczy niemożliwych — pisał dr. Arnold do pewnego byłego wychowawca — pragnąłbym w takim razie dla mych dzieci dobrej biegłości w naukach fizycznych, ale z należytem podporządkowaniem jej na korzyść świeżości i zupełności wiedzy w dziedzinie moralnej. To wszakże, jak mniemam, urzeczywistnić się nie da, bo nauki fizyczne, jeżeli wogóle mamy się w nich kształcić, są zdaje się zawiłkie, żeby można było pracować nad niemi ἐν παρέργῳ; dlatego też, zamiast uważać je za rzecz główną dla umysłu syna mego, wolałbym raczej pozwolić mu myśleć, że słońce obraca się dokoła ziemi, a gwiazdy są jeno błyskotkami, poprzyczepianemi do jasno-niebieskiego sklepienia. Z pewnością jedyną rzeczą potrzebną dla chrześcijanina i dla Anglika jest poznanie filozofji chrześcijańskiej, moralnej i politycznej; wówczas widzielibyśmy drogę przed sobą nieco wyraźniej i nie wpadalibyśmy ani w judaizm, ani w toryzm, ani w jakobinizm, ani w żaden inny -izm<sup>1)</sup>”.

Nadzwyczajne to rozumowanie, wyłączające wszelką znajomość nauk fizycznych z programu pospolitego wykształcenia i pozostawiające pielegnowanie ich kilku samotnikom, zostało nieco przekształcone przez syna w ostatnim jego wykładzie o *Literaturze i Nauce*; ale rozprawy jego na temat: „literatura versus nauka” — jak gdyby pogodzenie ich było

---

<sup>1)</sup> Stanley *Life* roz. VIII *Letter* 133.

niemożliwe—nie o wiele więcej budują czytelnika od dowodzeń ojca. Arnold zdaje się przez całe życie patrzeć na nauki przyrodnicze obojętnie lub podejrzliwie. Przypomnijmy tu sobie, jak odmalował go w ciągu ostatniego z nim sporu Fryderyk Harrison: jest to „dobrze zachowany Ariel, skaczący z kwiatka na kwiatek”, uznający wciąż naukę za zbyt trudną, żeby można było ją osiąść. Własna nawet zasada Arnolda, że powinniśmy znać wszystko, cokolwiek pomyślano i powiedziano najlepszego, nie może służyć mu za wymówkę wobec zarzutów zaniedbywania nauki nowożytnej, wkraczającej wszędzie w dziedzinę ważnych zagadnień życia i postępowania.

Nie pozwalajmy sobie jednak przypuszczać, że znajomość nauk fizycznych wystarcza do zrobienia człowieka socjologiem naukowym. Jasnym jest, że jak powiada Arnold za Wolfem—„naukowem jest wszelkie nauczanie, które przeprowadzamy systematycznie i w którym posuwamy się aż do jego źródeł podstawowych” <sup>1)</sup>; biegłość zaś naukową pewnego rodzaju pozyskać można i poza naukami fizycznymi. Wielką jest dalej prawdą, że—jak nalega profesor Huxley—„większe ma widoki powodzenia wojsko, rozpoczynające kampanję nad Renem bez doskonałej broni i bez żadnej szczegółowej podstawy działania, niż człowiek, przystępujący do krytyki życia bez znajomości tego, co zrobiły nauki fizyczne w ciągu ostatniego stulecia.“ Ale znajomość tego, co zrobiły nauki fizyczne, nie daje zgoła rękojmi trafności krytyki życiowej. Znaczna miara takiej znajomości pozwala na przykład profesorowi Tyndalowi zgadzać się wielce w politycznych ideałach swoich z ludźmi nader nieoświeconymi, większa zaś jeszcze miara nie zapobiega temu nawet, że profesor Huxley jest w swej krytyce życia chwiejnym i nieprzekonywającym; zdaniem niektórych właściwości te nie opuszczają go naprawdę nawet w pracy nad naukami fizycznymi. Istnieją bowiem taksamo zdolności naukowe, jak istnieje kształcenie naukowe; istnieje też taksamo zdolność

---

1) *Discourses in America* str. 87.

do nauk moralnych i społecznych, jak istnieje do fizycznych; a chociaż niekiedy zdolności te łączyć się mogą w sposób skończony, jak w Cliffordzie, przecież połączenie takie jest rzadkie. Rzeczywistą ujmę przynosiło Arnoldowi to, że brakło mu daru naukowości we własnej dziedzinie pracy. Nawet w specjalnym swoim zakresie literackim, chociaż napisał w tym kierunku kilka doskonałych książek i powiedział tyle przedziwnych rzeczy, odznaczał się dowolnością upodobań i brakiem metody w krytyce. Bardzo charakterystyczny jest jego sposób popierania projektu angielskiej Akademii Literackiej. Chcąc dowieść, że Akademia Francuska pielęgnowała prostotę i czystość stylu francuskiego, przeciwstawia przesadnie kwiecisty urywek z Jeremjasza Taylora szlachetnie czystemu urywkowi z Bossuet'a; wyciąga niektóre najbardziej chropowate okresy Burkego i porównywa nad wszelki wyraz oklepane, jak sam wyznaje, zdanie Addisona z wymownym zdaniem Joubert'a. Otóż taka metoda jest, że użyję własnych wyrażenń Arnolda, metodą barbarzyńców i Filistynów, nie zaś metodą człowieka wykształconego, który przedmioty literackie powinien porównywać w sposób naukowy. Dobierając przykłady według planu Arnolda, dowieść można każdego twierdzenia, jakie się podoba: zarówno twierdzącego, jak przeczącego.

Odwrotną a niespodziewaną stroną tej metody jest fakt, że krytyk z takimi zwyczajami mógł wpaść w jaskrawe sprzeczności z sobą samym. W szkicu: *Przewodnik po Literaturze Angielskiej* <sup>1)</sup> Arnold pisze, iż w Grayu „nigdy nie jest bardzo trudno“ o „styl fałszywy“, którego przykładem jest druga od końca zwrotka *Elegji*. W rozprawie o Emersonie <sup>2)</sup> oddaje Grayowi sprawiedliwość za „wysławianie się naogół czyste w wieku języka nieczystego.“ Większość badaczy literatury zgadza się w ogólnych zarysach ze Swinburnem na zarzuty jego, stawiane wyrażonemu w ostatnich czasach przez Arnolda zdaniu, że gdy skończy się stulecie

---

<sup>1)</sup> *Mixed Essays* str. 201.

<sup>2)</sup> *Discourses in America* str. 157.

bieżące, nazwiska Wordswortha i Byrona stać będą najwyżej pomiędzy imionami poetów angielskich. Ale przypadek zrządził, iż stanowcze upośledzenie Byrona przez Swinburne'a wzmacniają wcześniejsze uwagi Arnolda, opiewające, iż „poezja Byrona mało posiada sama przez się trwałości” i jest „czcza pod względem treści” <sup>1)</sup>. Upodobania literackie Arnolda były tyleż dowolne, ile niestałe.

Lubo sposobem myślenia różnił się bardzo od Emersona, przecież był nader do niego podobny ze zwyczaju polegania na sądach, z góry powziętych; skutkiem tego tam nawet, gdzie niejedno dałoby się powiedzieć na obronę jego zdania, Arnold wywołuje w uważnym czytelniku zgorszenie lekkomyślnością i niedbalstwem swoim, które każą mu utrzymywać, że już dowiódł swego, podczas gdy on tylko wypowiedział rzecz w wyrazach własnego gustu. Chcąc przeciwstawić kościół katolicki protestantom na niekorzyść ostatniego, Arnold prześlizguje się powiewnie i dowcipnie po sektach brytańskich, mówiąc <sup>2)</sup>: „Anglikanizm nasuwa na myśl ciało biskupie angielskie, nazwisko Kalwina nasuwa na myśl dr. Candlisha, Chalmers—księcia of Argyll, Channing—towarzystwo Bostońskie, katolicyzm zaś stawia przed oczami—coż mam powiedzieć?—całą rozmaitość mężczyzn i kobiet, zaludniających sztuki Szekspira.“ Niepodobna czynić porównań bardziej dziwacznych. Z jednej strony nie mamy nawet ogólnego wyrazu protestantyzmu, jeno nazwiska osób pojedynczych, wysunięte na pokaz; z drugiej strony wyraz ogólny nasuwa rozległe skojarzenia historyczne, i to znów starannie dobrane. Z równą słusnością możnaby powiedzieć, że protestantyzm nasuwa na myśl całą rozmaitość kobiet i mężczyzn z utworów Goldsmitha, Fieldinga, Scotta, Janiny Austen, Thackeraya, Dickensa, Jerzego Eliota i Hawthorne'a, katolicyzm zaś przypomina tortury, pale, inkwizycję, plugawych zakonników, pobożnych mor-

<sup>1)</sup> *Essays in Criticism* wyd. 3-cie, str. 7—8.

<sup>2)</sup> *Ib.* str. 228.

derców włoskich, fałszywe cuda, wabiące okiem dziewice, rozpustnych papieży i Lukrecję Borgia.

Właściwy Arnoldowi zwyczaj opierania się na sądach, z góry powziętych, na „tajemnym głosie”, jak zwykł był mawiać Emerson, przypadkiem pociągnął za sobą zabawne następstwa innego rodzaju. We wczesnej broszurze swojej o *Anglii i Kwestji Włoskiej*, ogłoszonej w 1859 r., Arnold podjął się opisać stanowisko i widoki na przyszłość głównych mocarstw europejskich, i tam (na str. 33—34) jest jedno takie treściwe omówienie:

„Prusy są wielkiem mocarstwem jedynie z imienia... Prusy, nie posiadając pod dostatkiem ani obszaru ani ludności do podtrzymania wielkiej swej potęgi wojskowej, mogą mieć liczne i groźne wojsko jedynie kosztem wyczerpania finansów swoich. Tymczasem roztropnie wołają one mieć finanse w dobrym stanie. Ale w takim razie wojsko ich jest cieniem. W regularnych pułkach swoich nie mają one ani jednego człowieka, któryby służył całe trzy lata. Większość ich landwery składa się z szanownych obywateli—żonatych, ojców rodzin. Wymagać od takich bataljonów, żeby odparły natarcie żuawów, byłoby równie mądre, jak stawiać to żądanie parafjanom z Marylebone. Wojskowi francuscy wiedzą o tem doskonale. O wojsku austriackiem mówią oni z wielkim szacunkiem. „Jest to piękna armja—mówią oni o wojsku austriackiem—ale nieszczęśliwa”, o wojsku zaś pruskiem powiadają: „Jest to gwardja narodowa.”

Tak pisał Arnold na siedem lat ledwo przedtem, zanim ta sama armja pruska w ciągu sześciotygodniowej kampanji rozbiła w puch armję austriacką, — na jedynaście lat zaledwie przed Sedanem. Niełatwo popełnić błąd większy. O zmarłym hrabi of Derby powiedział ktoś—mówią, że słowa te wyszły z ust dzisiejszego hrabiego of Derby: „Możecie ufać zdaniu jego, ilekroć ma dobre wiadomości—ale wówczas nie ma on nigdy dobrych wiadomości.” Nie porównywajmy Arnolda z lordem Derby, chociaż Derby był człowiekiem uczonym, ale co jest prawdą o jednym, jest w odmiennym stopniu prawdą i o drugim. W zakresie znajomości greczyzny, w której Arnold daje się porównać z lordem

Derby, jego delikatna umiejętność oceniania nie wznosi się nigdy do stopnia biegłej wiedzy. Niepodobna czytać rozpraw jego z profesorem Franciszkiem Newmanem o przekładaniu Homera bez uczucia, że Arnold nigdy nie prowadził nauki swej systematycznie w myśl Wolfa i nie docierał w niej do źródeł podstawowych. Krytykował on przekład Newmana niesprawiedliwie; wpadając w zwykły swój grzech, wybierał urywki złe, podawał je za przykłady i nie próbował nawet ocenić ogólnego powodzenia pracy; w sprawie zaś archaizmów homerowskich niema wątpliwości, że Arnold doznał porażki, chociaż odpowiedź profesora Newmana była niepotrzebnie namiętna. Niektóre zaś z własnych przekładów Arnolda podobnie, jak Clougha, były pod względem artystycznym prawie taksamo złe, jak cokolwiek stworzonego dawniej w tym rodzaju.

## IV.

Ta sama rozwiązłość metody krytycznej, takie samo porządkowywanie dowodów i rozumowań upodobaniom osobistym charakteryzują, jak mi się zdaje, w stopniu zgubnie wielkim główne pasmo rozpraw Arnolda o zagadnieniach religijnych, chociaż daleki jestem od zaprzeczania faktu, że światłym i niesekciarskim wykładem swych pojęć przyczynił się wielce do podniesienia i pogodzenia z rozumem myśli religijnej w tym kraju (w Anglii). Eklektyzm jego jest niezmiernym postępem od fanatyzmu jego ojca. A jednak właśnie taksamo, jak z zapatrywań ojcowskich wysnuł niektóre z najgorszych i z najlepszych swoich dążności politycznych, tak też w sposób dziwnie wierny trzymał się metody ojca w wielu swoich rozumowaniach religijnych. W kazaniu dr. Arnolda o *Stworzeniu Świata* naprzykład <sup>1)</sup> mamy próbkę egzegiezy, którą czytać można, prawie, jak najdoskonalszą karykaturę niektórych dowodzeń syna. Kaznodzieja

---

<sup>1)</sup> *Sermons on Interpretation* str. 2.

opowiada, że u leksykografa greckiego Suidasa dochował się godny uwagi urywek z pism starego autora etruskiego, zawierający wiadomość o stworzeniu wszechświata i twierdzący, że na wykończenie świata bóstwo potrzebowało sześciu tysięcy lat; w ciągu pierwszego tysiąca powstały niebiosy i ziemia, w ciągu drugiego widnokrąg, w ciągu trzeciego morze, w ciągu czwartego słońce, księżyc i gwiazdy, w ciągu piątego wszystkie żywe istoty z wyjątkiem człowieka, a w ciągu szóstego człowiek, przyczem dalej urywek daje do zrozumienia, że jak sześć tysięcy lat ubiegło, zanim człowiek został utworzony, tak też sześć tysięcy lat jeszcze trwać będzie rodzaj ludzki. Otóż ten ułamek legiendy etruskiej dla badacza z umysłem otwartym jest wyraźnym dowodem, że podanie *Gienezy* o stworzeniu jest o wiele starożytniejsze od pism hebrajskich oraz że w perskiej nieco odmianie zaszło ono w bardzo dawnych jeszcze czasach daleko na zachód, bo aż do Włoch. Ale dr. Arnoldowi nie zdarza się nigdy traktować przedmiotu w duchu zawodowo-uczonym lub naukowym. Zabiera się on do wykazania słuchaczom swoim, że wersja biblijna jest wyraźnie wyższa od pogańskiej. Oczywiście oznaką prawdziwości objawienia w Piśmie Świętem <sup>1)</sup> — twierdzi dr. Arnold — jest brak w Biblii wszelkiej wzmianki co do tego, kiedy nastąpi koniec ludzkości; jest nią także prosta wskazówka biblijna, że „stworzył nas Bóg, nie zaś my sami”; dalej kaznodzieja kładzie nacisk na brak w opowieści etruskiej napomknienia o tem, że Bóg dał ludziom panowanie nad zwierzętami. Nie znajdujemy ani słówka o możliwości wspólnego pochodzenia opowiadań o stworzeniu. Nie uwzględniona jest wcale w Etrusku jego wzmianka, że świat został utworzony przez Boga; nie przyjęty pod uwagę fakt, że ustęp przytoczony jest jeno ułamkiem, że Etrusk może także mówić dalej o tem, iż człowiek

---

<sup>1)</sup> Dowiadujemy się jednak, iż prywatnie Arnold „nie wahał się mówić, że opowiadanie o potopie Noego było oczywiście bajeczne, a historia Józefa była „pięknym poematem“ (F. W. Newman *Phases of Faith* wyd. 2-gie, str. 68). Trudno jest pogodzić to z tonem kazania o legiendzie o stworzeniu.

ma panowanie nad zwierzętami. Weźmy teraz przemowę dr. Arnolda o zdarzeniu z Phineesem <sup>1)</sup>. „Mówiąc ze stanowiska historycznego—powiada kaznodzieja—zgadzam się zupełnie, że zdarzenie, zapisane w rozdziale dwudziestym piątym książki *Liczb*, jest stanowczo nadzwyczajnie przykre. Wszelako to, co tworzy istotę opowiadania, rozważanego, jako urywek historii, jest właśnie jeno znikomą formą jego, jeśli brać je, jako urywek Pisma Świętego. Pustynie Arabji, cudzoziemskie obyczaje i język, rozpusta, krwawa kara, wszystkie rysy narodowe i osobiste, Madjanitka, Izraelici, Phinees, kapłan plemienia izraelskiego—wszystko to możemy pominąć w rozważaniu naszym. Pozostaje jeszcze wówczas prawdziwa i wiekuista nauka Pisma.” I tak dalej. Otóż taka metoda albo taktyka jest zupełnie taktyką Mateusza Arnolda. Usuńmy wszystkie fakty, a będziemy mieli tyle miejsca do wykładu, ile nam potrzeba. Wyczytajmy własną myśl naszą w jakimkolwiek starem piśmie, a będziemy mogli dowodzić, że jest ono nadzwyczajnie budujące.

Ojciec wierzył w osobowego Boga, w osobowego diabła, w boskość Jezusa, w cuda i w zmartwychwstanie; syn nie wierzył w żadną z tych rzeczy, ale zachował upodobanie w tem, co ojciec jego nazywał biblijnością, i uzasadniał stanowisko swoje w tych razach zupełnie taksamo niedbale, jak ojciec <sup>2)</sup>. Nabrawszy zwyczaju opierania swego zmysłu moralnego na Biblii, Arnold w ostatnich latach życia wziął sobie za cel dźwiganie upadającej powagi obwoływaniem myśli, że nigdzie człowiek nie znajdzie równie dobrych, jak tam, przykładów duszy, pożądamy prawości. „Naród żydowski”—każe nam wierzyć Arnold—przywiązywał „najcelniejszą, wyjątkową wagę” do prawości <sup>3)</sup>; chociaż krytyk

<sup>1)</sup> Tom przytoczony, str. 71.

<sup>2)</sup> Warto zaznaczyć, że naśladował on ojca w opieraniu się głównie na czwartej ewangelji, w której dr. Arnold widział dzieło naocznego świadka zdarzeń. Por. prof. Newmana *Phases of Faith* str. 81 oraz *Literature and Dogma* wyd. 5-te, str. 174—5.

<sup>3)</sup> *Last Essays on Church and Religion* przedm., str. XVIII; *Literature and Dogma* roz. I.

przyznaje, że Żydzi pojmowali tę prawość opacznie. Na czemże więc polega ich wyższość? Badaczom wiadomo, że Żydzi nie mieli wcale większych uzdolnień do prawości, do sprawiedliwości, niż jakikolwiek inny naród starożytny <sup>1)</sup>, nie stali pod tym względem wyżej od Persów i Egipcjan, stanowczo zaś niżej od Greków i Rzymian. Już sam fakt, że dla nich prawość zaczęła streszczać się w posłuszeństwie prawu kapłańskiemu, jest dowodem ich niższości; przypadkowe namiętne wołania proroków o sprawiedliwość społeczną są miarą braku jej u Żydów, jako u społeczności. Ale upodobania i nałogi Arnolda ciągną go w kierunku biblijności; upodobania zaś stanowią o dowodzeniu. Wolnomyślni uczeni z krajów stałego ładu wyrażali zdumienie na widok celów jego, on zaś, wierny posłannictwu swemu ostrzegania rodaków przed wyłącznością wyspiarską, posłannictwu, przyjętemu po części na równi z innymi celami od ojca <sup>2)</sup>, najzupełniej rozumiał, że wolnomyślni stałego ładu byli przeciwi niemu. Ale zarzuty ich nie miały u niego żadnej wagi.

Cały stosunek Arnolda do Biblii polegał na tem, że utworzył on sobie oderwane albo idealne pojęcie ludu, zwanego przez się Izraelem, i nabrał przekonania, iż lud ten po wszystkie czasy albo przynajmniej do samego prawie czasu upadku przeniknięty był temi zasadami moralnymi lub religijnymi, które w księgach Starego Zakonu zrobiły największe wrażenie na własnym poczuciu religijnem lub moralnem Arnolda. Nie możemy nazywać tego złudzeniem doszczętnego nieuctwa, często bowiem, jak się zdaje, podzielał je Renan, który musiał posiadać lepszą wiedzę, ale u Arnolda złudzenie od początku zdaje się stanęło na przeszkodzie poznaniu faktów.

---

<sup>1)</sup> Porównaj świeże wyznanie Gladstone'a (*Landmarks of Homeric Study* str. 95), że pierwotna historia Żydów dowodzi, iż stali oni niżej poziomu Greków z czasów Homera, przeciwstawmy też starożytne pisma żydowskie takim samym pismom chińskim pod względem właściwego zmysłu moralnego.

<sup>2)</sup> Obacz niżej, str. 184.

Możemy nieraz widzieć Arnolda <sup>1)</sup>, jak postanawia wewnętrznie—na wzór sprytnego dziecka—dowieść swej sprawy koniecznie, tym lub innym sposobem. Nie jest on w stanie zapobiec temu, żeby nie usłyszeć zdania, iż hebrajski ideał prawości był rzeczą bardzo lichą, więc też gdy dochodzi do tego punktu, nie może mu zaprzeczyć. „Złe nie obejmuje u nich wszelkich wogóle błędów serca i czynu, lecz oznacza głównie ucisk, drapieżność, mowę gwałtownie kłamliwą, wybryk zuchwały i głośny. Prawda, że ich pojęcie prawości było znacznie w tym rodzaju, było ciasne” <sup>2)</sup>. Znaczy to, że etyka hebrajska była w znacznej mierze taka sama, jak i innych ludów pierwotnych, starożytnych i nowożytnych. Wobec tego założeniu nadaje się dla celów chwilowych postać następującą: „Ktokolwiek szczerze rozważa postępowanie bez względu na to, jak ograniczony jest tor, po którym ono biegnie, musi w pracy tej stawiać przed wzrokiem świadomości wszelkie bez wyjątku postępowanie” <sup>2)</sup>. Otóż twierdzenie takie dla przeciwników, rozprawiających szczerze, równa się przyznaniu, że moralność lub prawość w postępowaniu Żydów nie inną była, jak u wszelkich ludów; niemasz bowiem nic pewniejszego nad to, że każdy lud szczerze dawał bacność na swe postępowanie, jeśli zwłaszcza zgodzimy się na zastrzeżenie: „bez względu na to, jak ograniczony jest tor, po którym ono biegnie.” Ale Arnold, złożwszy broń w swej sprawie, rusza dalej z wykładem,

---

<sup>1)</sup> Bardzo znaczącem jest wyznanie jego w jednym z ostatnich raportów do Wydziału Wychowawczego („O niektórych rzeczach, dotyczących się wychowania początkowego w Niemczech, w Szwajcarii i we Francji“, 1886 r.), że „słabo“ zwracał uwagę na kształcenie moralności u uczniach szkół francuskich, bo wyrobił sobie przekonanie, że jako niereligijne, musi ono być nieskuteczne.

<sup>2)</sup> *Literature and Dogma* str. 56; por. str. 84, 87 i *Last Essays* przedm. str. XVIII.

<sup>3)</sup> Porównaj to z wymówką, zwróconą do sumiennego Różnowiercy, który „nie wie, że z sumiennością swoją nie zrobi nic, dopóki nie dotrze do głębi sumienia i nie zmusi go do powiedzenia sobie, że ma słusność“ (dzieło przytoczone, str. 223). Przepis, stosowny we wszystkich kłopotliwych położeniach. Przeciwstawmy nadto przypuszczenia, poczynione w *Discourses in America* str. 105—7.

jak gdyby nic nie zaszło. Owszem twierdzi nawet, że wzmo-  
cnił stanowisko swoje. „Zarzucano w końcu ludowi temu,  
że nie był w stanie być posłusznym nawet ciasnym pojęciom  
swoim o prawości, jeno wciąż uciskał, rabował, spotwarzał,  
był zmysłowym, gdy tymczasem waga i doniosłość świad-  
ectw żydowskich o sprawiedliwości leży w tem, iż Żydzi  
tak głęboko odczuwali niezbędnosć tego, co sa-  
mi tak bardzo niezdolni byli wprowadzić w czyn!!“

Ten wyraz: „sami” charakteryzuje książkę. Faktem  
historycznym jest, że pewni osamotnieni Hebrajczycy, od-  
dzieleni długimi przerwami, świadczyli przeciw złemu po-  
stępowaniu Hebrajczyków wogóle, jak pisarze rzymscy po-  
stawiali na wady Rzymian, a pisarze angielscy i francuscy  
wytykali grzechy swoich rodaków. Zgodnie z zasadą Ar-  
nolda pisma Juwenala i Tacyta dowodzą, że wśród Rzymian  
przeważała miłość surowej moralności, dzieła zaś Carlyle'a  
i Ruskina świadczą o namiętnej umiłowaniu przez Angli-  
ków nowożytnych prawości i ogłady życiowej. Błądność ta-  
kiego rozumowania stoi niżej krytyki, a jednak Arnold do  
końca był jego igraszką, dopatrując się w protestach Plato-  
na i Sokratesa świadectwa niedoskonałości Greków, w os-  
karżeniach zaś proroków hebrajskich dowodu, że Hebrajczy-  
cy wogóle posiadali wielkie zdolności moralne. Aby zaś  
wzmocnić swą krytykę wolnej miłości, jako „zgubnej dla  
postępu” (pogląd taki nie wywierał żadnego wpływu na po-  
dziv Arnolda dla Jerzego Sanda), wyraża uznanie Żydom  
za wrodzoną słuszność poglądów na sprawy płciowe, cho-  
ciaż uznaje ich poligamię <sup>1)</sup>.

Przy takiej metodzie wykładu bardzo mało znaczy fakt,  
czy posiadamy, czy też nie jakąkolwiek gruntowną znajo-  
mość przedmiotu dla oparcia na niej rozumowań swoich;  
wnioski w każdym razie nie będą miały wartości.

Gdyby nawet jednak Arnold posiadał był równie wiel-  
ką znajomość faktów historycznych, jak wielkiem było nie-  
uctwo jego, nieokiełznana samowola nie pozwoliłaby mu stać

---

<sup>1)</sup> *God and the Bible* str. 153—5. Por. *Literature and Dogma* str. 38.

się przewodnikiem wiarogodnym. Jakikolwiek byłyby dane jego, wyłożyłby to właśnie, co sobie upatrzył w myśli. W przedmiotach religijnych ufał on, że „umysły z małą zdolnością do zawilych rozumowań mogą jednak przez naukę pozyskać pewną biegłość w wiedzy użytecznej i niejaką władzę zdrowego sądu, a nawet mogą prostować błędy, popełnione przez siłaczy logicznych właśnie wskutek nadmiaru ich zdolności“ <sup>1)</sup>. To przypuszczenie, iż człowiek może błędzić przez zbytek logiki, zawiera w sobie zapowiedź wszelkich fałszów i usterek Arnolda.

## V.

Biorąc tedy działalność myślową Arnolda, jako całość, przekonywamy się, iż w tem, co moglibyśmy nazwać jej formułą, zgadza się ona poniekąd przedziwnie z pracą życiową Carlyle'a, który tak się różnił od Arnolda usposobieniem i upodobaniami. Obaj ci ludzie przystąpili do krytyki życia z poglądami, które dzięki wczesnemu ich kształceniu wyprzedzały w znakomity sposób poglądy ich ojców; gdy wszakże skończył się okres kształcenia przez nabywanie wiadomości, okres, który nie przygotował ich do stosowania należytych metod rozumowych, działalność obu pisarzy zaczęła polegać na uzewnętrznianiu literackiem upodobań swoich za pomocą zabiegów, które mogły przekonywać, lecz nigdy nie były w stanie dowieść. Sprowadzając wszelkie fakty do swego zrównania osobistego i nie próbując zgoła poprawiać poglądów intuicyjnych za pomocą sprawdzianu zgodności powszechnej, występują oni w postaci proroków, ludzi z posłannictwem, nie zaś jako myśliciele lub ludzie, dowodzący prawdy. A chociaż szczęśliwsze usposobienie i lepsze zrównoważenie Arnolda czyniło jego egoizm umysłowy pociągającym w tych razach, w których Carlyle był odpychający, przecież i on dostarcza pamiętnego przykładu wste-

---

<sup>1)</sup> *Literature and Dogma* wstęp, str. 9

cznej dążności życia do wyłącznego chociaż roztropnego posłuszeństwa odziedziczonym skłonnościom wzruszeniowym. Podobnie, jak Carlyle w życiu późniejszym był daleko bliższy poziomowi umysłowego ojca, niż w okresie uczenia się i nabywania wiadomości, taksamo i Mateusz Arnold, starzejąc się, zbliżał się widocznie do stanowiska swego znów ojca. Nie dość na tem; zobaczymy, że w polityce Arnold, nie zaprzeczając bezwzględnie najlepszym teoryjom swoim, doszedł do wysuwania takich nauk, z których jedne raziły i odpychały ducha cywilizowanego, inne zaś zasłużyłyby sobie ze strony ojca na zarzut tchórzostwa.

## VI.

Powiedziałem, że Arnold przejął po części od ojca posłannictwo swoje ostrzegania rodaków przed ich wadami wyspiarskimi. Dr. Arnold nauczył się porównywać Anglię z lądem stałym zarówno przez podróże swoje, jak i przez czytanie, Mateusz zaś, podróżując z rodzicami i braćmi, przywykł wcześniej patrzeć na rzeczy oczami swego ojca. W obu Arnoldach pociąg do krytyki musiał walczyć ze skłonnościami patryjotycznymi. Dr. Arnold podczas podróży w r. 1830 zapisuje w dzienniku swym uwagi nad zdaniem Guizot'a, który utrzymywał, że Francja wytwarza jednostki, umysłowo bardziej posunięte i rozwinięte, niż Anglja.

„Wielu Anglików szydzić będzie z tej myśli, ja wszakże sędzę, że jest ona do pewnego stopnia należycie uzasadniona, i że rozumowa wyższość nasza w czasach nowożytnych zgoła nie idzie w parze z postępem wszelkiego rodzaju dobrobytu i sprawności w życiu społecznym. Nie wątpię też, iż nędzny nasz system wychowawczy odgrywa wielką rolę w szeregu przyczyn tego zjawiska. Twierdzę, że historycy nasi powinni być dwa razy tak dobrzy, jak historycy innych narodów, bo nasza cywilizacja społeczna jest zupełna... Dalej znów nasze zwyczaje życia czynnego dają umysłom przewagę olbrzymią, bylebyśmy pracowali; nie pracujemy jednak, skutkiem czego historia własnego kraju naszego jest

po dziś rzeczą do zrobienia taksamo, jak historia grecka i rzymska. Cudzoziemcy wiedzą, że nasze położenie wyspiarskie zacieśnia i zwęża nam umysły, a zdanie to bynajmniej nie jest niedorzecznością. Gdybyśmy nie byli pod względem fizycznym ludem bardzo czynnym, brak łączności z lądem stałym uczyniłby nas prawie tak lichemi, jak Chińczycy”<sup>1)</sup>.

Nie poprzestając na zapewnieniu, że tymczasem „społeczna cywilizacja nasza jest doskonała”, dr. Arnold oznajmia dalej, iż „zupełny *gentleman* angielski — chrześcijanin, mężny i oświecony — jest, jak sądzę, czemś więcej, niż mogą pojąć Guizot lub Sismondi; myślę, że żaden inny kraj nie mógłby dostarczyć doskonalszego odczucia natury ludzkiej. Jednakże — zastrzega się znowu — nie jest to bynajmniej wzór najdoskonalszy.” A potem znów narzeka, że „podróżnicy i szpicerze nasi naśladowają strony zewnętrzne zwyczajów cudzoziemskich bez żadnego ich rozróżniania, jak o tem właśnie świadczy pożyczona od Francuzów niedorzeczna moda niedjedzenia ryby nożem; Francuzi przestrzegają tego, bo nie mają stosownych noży.” Wreszcie w dziewięć lat później, porównując Francję z Anglią, wyznaje, iż zdaje mu się, „że zgodnie ze zwykłemi prawami Opatrzności Boskiej stan Francji daje więcej nadziei na przyszłość”, że „społeczeństwo francuskie jest pod wielu względami bardziej stateczne”, oraz że skutkiem tego „prawda religijna i moralna” może tam wywołać błogie skutki, „ilekroć to się Bogu podoba.” „Tymczasem w Anglii jakaż siła moralna zdoła bez bezpośredniego i jawnego wdania się Boga pokonać fizyczne trudności, zależne od naszego stanu ludności i stosunków własnościowych?” Jednocześnie wszakże oznajmia, że jeśli Anglja ginie, „ginie najczynniejsze i najszlachetniejsze życie, jakie świat kiedykolwiek widział”; jakkolwiek zaś wielkimi mogą być w porównaniu z Francją złe strony Anglii, „przecież każdy musi też widzieć, że Anglicy są większym narodem, niż Francuzi, to znaczy podobniejszym do jednego z tych wybranych ludów historii, które wyznaczone były do

<sup>1)</sup> *Life* dodatek D, okres VI, urywek 8.

spełnienia wielkiej pracy dla rodzaju ludzkiego”<sup>1)</sup>. I tak dalej, a wciąż mnóstwo daremnych powtarzań imion Boga i Opatrzności. W tych przyływach i odpływach uczucia, niepowściąganego żadnem szerokiem uogólnieniem, mamy szczególnie zupełny zarys daleko bardziej rozwiniętej i opracowanej krytyki synowskiej, omawiającej warunki bytu i przyszłe widoki Anglii i Europy.

Za młodu, kiedy zmysł estetyczny przeważał, a przekonania moralne były stosunkowo utajone, widzimy w Mateuszu Arnoldzie głównie czujność na wady rodaków, to też w swych pismach prozą daje się on poznać naprzód, jako wróg kierunku patrijotycznego, jako przedstawiciel kierunku, zwanego przez Spencera antypatrijotycznym. Daleki od myśli, że „społeczna cywilizacja nasza jest doskonała”, napada on na nią z tysiąca stron za pomocą satyry, ironji, szyderstwa i dowodów rozumowych, a jeżeli dowodzenia nie grzeszą złożonością, szyderstwo zato jest wyborne. Nawet wówczas, gdy uogólnia w sposób jaknajbardziej gorączkowy z szczegółów dorywczych, pociski jego często wywierają skutek. Któż kiedy zapomni, jaki użytek zrobił Arnold z nazwiska dzieciobójczyni Wragg i z wyrażenia urzędowego: „Wragg została aresztowana?” Jako dowodzenie, rzecz ta w podręczniku logicznym mogłaby służyć za typowy przykład sofizmu, a przecież jakoś osiągnęła swój cel. Przy całej zaś przejrzystej powierzchowności rozumowań swoich, przy płocheni przywłaszczaniu sobie wiedzy nieistniejącej Arnold niewątpliwie taksamo dokonał wybornego dzieła przez żarty i drwiny z zarozumiałości brytańskiej, jak dokonał wybornego dzieła przez swoją wytworną kampanję przeciw dogmatycznemu nierozsądkowi, gdyż większość osób, wyznających prawowierne i układowe zasady patrijotyczne, nie ma wprawy ani biegłości w rozumowaniu i potrzebuje z początku bodźców, któreby ją strwożyły i obudziły, nie zaś nauki ścisłej, która na tym stopniu ledwoby ich conajwyżej musnęła. Za pomocą delikatnej swej wietrzności Arnold wprowadził wszy-

---

1) *Life* okres IX, urywki 2 i 7.

stk'ich takich ludzi w wątpliwość i zaniepokojenie, podczas gdy ich pierwsze cierpkie odpowiedzi pozostawiły go pogodnym i nie zniechęconym. Niektóre odpowiedzi, udzielone przez ludzi gruntownie wykształconych, mogły istotnie wystarczyć do zamknięcia ust każdemu człowiekowi, mniej pełnemu zadowolenia ze swych poglądów intuicyjnych. Spokojne dowodzenie Spencera, że Arnold sam nie wiedział, co mówi, gdy oświadczał, iż Anglikom w porównaniu z Francuzami brakuje idei, spokojne to dowodzenie ma straszliwy pozór gruntowności. A jednak w zdaniu Arnolda została się pewna prawda, której nie ujął dokładnie Spencer; zobaczymy też później, że w tem właśnie miejscu Spencer musiał oprzeć się na takim poglądzie na idee i czyny, do którego zaprzeczenia posunął się później w sporze z Comte'em. Myśl Arnolda pozostaje prawdziwą w tem znaczeniu, że wielka liczba Anglików patrzy na idee podejrzliwie, podczas gdy Francuzi zwykle witają je mile; mowa tu o ideach, systematyzujących fakty wogóle, historję zaś w szczególności. Pragnęłoby można, żeby Arnold żył dziś jeszcze i raz jeszcze wraził w umysły rodaków swoich — jeżeliby tylko sam to widział teraz <sup>1)</sup>—jak bardzo pozostają oni w tyle za Francją w pracy nad doniosłemi gałęziami badań historycznych. W tem, co Arnold niezgrabnie nazywa religją porównawczą naprzykład, zwłaszcza zaś w rozborze rozumowym początków chrześcijaństwa Francuzi dokonali w ciągu lat dwudziestu daleko więcej pożytecznej pracy, niż my, a teraz są już bardzo bliscy wyprzedzenia Niemców. Pomnożenie uniwersytetów we Francji dowodzi także raz jeszcze otwartości umysłu francuskiego dla idei, które u nas znajdują trudne i powolne przyjęcie. Ale w ostatnich latach życia Arnolda wzrok jego zaczął tracić zdolność dostrzegania takich rzeczy.

---

<sup>1)</sup> W Raporcie o Wychowaniu z r. 1886 (przytoczony poprzednio) Arnold wykłada, że ideał Komenjusza, który kazał „kształcić wogóle wszystkich ludzi, jacy się rodzą, do wszystkiego, co ludzkie“, „kieruje w znacznym poniekąd stopniu czynnością szkół ludowych w krajach niemieckich, a teraz także i we Francji, w Anglii zaś nie pamiętamy o nim zdaje się prawie wcale.“

## VII.

Z pewnością daremnie szukalibyśmy u Arnolda zgodnego rozbioru lub spójnego wyjaśnienia naszych dążeń narodowych, dobrych lub złych. Daremnie szukalibyśmy u Arnolda szeregu zasad „współzależnych, podporządkowanych i wzajemnie pochodnych”, jak niegdyś wyraził się Harrison w zdaniu, często przytaczanem przez jego przeciwnika z właściwym mu uśmiechem. Z takim samym uśmiechem opowiadał też, że „filozofja zawsze wprowadzała go w kłopot”, i że żartowano sobie z jego braku zdolności do zawitych rozumowań. Kiedy zaczyna klasyfikować, pochwyci z pewnością cechy rzeczywiste albo też z pewnością będzie powierzchownym. Taką jest sławna jego klasyfikacja własnych rodaków na „klasę wyższą zmaterializowaną, klasę średnią zwulgaryzowaną i klasę niższą zezwierzęconą”, albo według innego określenia, na barbarzyńców, Filistynów i motłoch. Oczywiście niema w tem określeniu nic naukowego, żadnego istotnego zgłębienia wpływów, wywieranych przez rozmaite warunki na tworzenie się typów klasowych, a jednak jak udatne jest oznaczenie, jak blisko dociera ono pod pewnemi względami do wykrycia tych wpływów! Gdybyśmy zapytali, czy klasa średnia nie jest zupełnie tyleż zmaterializowana, ile zwulgaryzowana, oraz czy klasa wyższa nie posiada w znacznym stopniu właściwości, przypisywanej motłochowi, czy nie pragnie zgnieść oporu za pomocą zwierzęcej siły, nieokreśloność rozróżnienia wystąpiłaby dość wyraźnie. Arnold przyznawał, że Filistyni zbliżają się do barbarzyńców i do motłochu; to jednak nie ocala jego klasyfikacji. „Ilekróć—powiada—sprzęgamy pogląd zapalczywy z nieuctwem i namiętnością, ilekróć pragniemy zgnieść przeciwnika za pomocą czystego gwałtu, ilekróć jesteśmy zawistni, ilekróć jesteśmy brutalni”, zawsze odnalazłby się w pierśiach naszych „wiekuisty duch motłochu” <sup>1)</sup>. Otóż to nie są

---

1) *Culture and Anarchy* str. 107—8.

rysy charakterystyczne pracowitego gminu naszego, jeżeli brać go zbiorowo; widoczniej daleko są to cechy znamienne postępowania klasy wyższej i średniej w stosunkach politycznych. Były to rysy charakterystyczne pospółstwa greckiego i rzymskiego, które w znacznej mierze należało do stanu niewolniczego i było okryte wzdrgadą, lecz Arnold zapomniał, iż u nas bardzo odmienny system przemysłowy przy wszystkich swoich złych stronach musiał przeistoczyć dążności polityczne ludu. U nas lud nie jest naogół obrońcą lub podporą gwałtu i przymusu; podobają w tem sobie klasa wyższa szczególnie, potem zaś klasa średnia. A jednak pozostaje prawdą, że przemysłowe warunki nasze przez skutki swoje utrzymują tłum w surowości i niedorozwoju, że nasza klasa średnia jest powszechnie zwulgaryzowana w tem znaczeniu, iż piastuje ideały nie wyższe od ideałów klasy najniższej, jeno bardziej rozległe w zależności od większych dochodów tej klasy, oraz że nasza klasa wyższa albo żyjąca bez pracy — pomimo wszystkich warunków sprzyjających — pod względem posiadanych ideałów wogóle nie stoi wyżej, jest zasadniczo zmaterjalizowana, jak wyrażał się Arnold, i tylko ze strony materialnej i na powierzchni przewyższa ogładą innych. Ostatecznie powiedzieć można, że cała nasza cywilizacja jest zmaterjalizowana, klasy zaś, biorąc je hurtem, różnią się jeno ogładą, obyczajami i poziomem pożytkowości materialnej. We wszystkich klasach jednakże sroży się gruba namiętność do tego, co nazywamy sportem, do podnieceń najsurowszych, na jakie tylko pozwala prawo; pomiędzy najwyższymi zaś i pomiędzy najniższymi ideałem podniecenia takiego jest mordercza walka zapaśników. Wyścigi końskie, które określić można, jako święto narodowe, popierane są przez wszystkich; Lord Hartington, lord Rosebery i lord Randolph Churchill interesują się — w swój odmienny sposób — rzeczami temi równie szczerze, jak ich lokaje. Istotnie więc, jak powiada Arnold z właściwą sobie poprawnością, nasza klasa wyższa naogół jest „trochę niedostępna dla idei i światła“, chociaż lord Rosebery stanowi z pewnością wyjątek.

Zasługą Arnolda jest, że naginał uwagę rodaków swoich do tych wad w sposób przyjacielski, ale nieubłagany. Jego plany poprawy ustroju społecznego z pewnością nie były dojrzałe; zadanie jego polegało na stawianiu zarzutów i satyrycznem ironizowaniu, na budzeniu ludzi, pogrążonych w prawowierności i wyłączności wyspiarskiej, nie zaś na wskazywaniu, jak stworzyć nowe społeczeństwo. Wiele wszakże znaczy już samo rozpoczęcie walki i to nie, jak Carlyle, jedynie w imię zbyt dobrze znanego Boga, ale w imię cywilizacji i oświaty ludzkiej. Gdyby tylko Arnold przewyższał Carlyle'a pod względem spójności i wiedzy, a przede i prawdziwego blasku o tyle, o ile przewyższał go usposobieniem i połykiem literackim, byłby nie tylko wielkim, ale największym z nowożytnych naszych reformatorów społecznych. Jeżeli wszakże mówimy o spójności czyli konsekwencji, wymieniamy zaletę, której brakowało zawsze ludziom czystej intuicji, zaletę, która zaczyna się i kończy z głosem tajemnym.

Arnold ze zwykłym uśmiechem wyznaje, że podług prawa i sprawiedliwości jest Filistynem, chociaż zerwał z klasą swoją; że ilekroć bierze do ręki strzelbę lub różgę, czuje, że ma w sobie coś z barbarzyńcy; wyznaje wreszcie, że gdyby posiadał duży majątek, mógłby być także „trochę niedostępny dla idei i światła.” Należy się obawiać, że za-  
możność, właściwa klasie średniej, nie ocala ludzi od stania się niedostępni dla pewnych idei i nie tępi w nich resztek barbarzyństwa, będącego czemś więcej, niż uprawianiem sportów zapaśniczych. Arnold bowiem w miarę, jak się starzał, zbliżał się, nie zaś oddalał od ideałów klasy barbarzyńskiej, aż doszedł wreszcie do wskazanego — szczególnego zaiste — pomieszania zasad. Przecież w jednym z ostatnich swych szkiców politycznych szydzi z tego rządu angielskiego, który po porażce pod Majuba-Hill miał odwagę powstrzymać się od dalszego „karania ogniem i mieczem” przez wojnę, którą uznał za niesprawiedliwą. Według Arnolda polityką właściwą było prowadzić dalej wojnę — sprawiedliwą, czy niesprawiedliwą — i zgnieść Boerów, którzy

ośmielili się stawiać opór i bić nas <sup>1)</sup>. W tym samym tak-że szkicu, wydrwiwszy Harrisona za to, że „w nadmiarze młodzieńczej energii, wchodząc na tor życia, obciążył się wzięciem na swe barki starego francuskiego pedanta i dziwaka“, a później w „wieku średnim wzięciem na siebie jeszcze i różnowierców protestanckich“, tak mówi dalej: „a dziś, kiedy się postarzał, robi wrażenie, że dopóty się nie uspokoi, dopóki do brzemienia swego nie doda Towarzystwa Pokoju” <sup>2)</sup>. Zważmy, że ten *flaneur*, który drwi z rządu za cofnięcie się przed rozlewem krwi i szydzi z celów Towarzystwa Pokoju, jest tym samym moralistą, który czyni spostrzeżenie, iż „odstępstwo, jako ruch religijny za dni naszych, byłoby niemal śmieszne, gdyby nie to, że z powodu wzbudzanych przez się skłonności i czynów jest tak krańcowo niereligijne” <sup>3)</sup>, oraz iż usposobienie różnowierców naszych jest „głęboko niechrześcijańskie”; tym samym moralistą, który napomina nas, żebyśmy „zważyli na postępowanie”, i ostrzega, żebyśmy chuciom nie pozostawiali władzy nad sobą <sup>4)</sup>.

## VIII.

Zachodzi poważna potrzeba zastanowienia się nad niepowodzeniem etyki, opartej wyłącznie na upodobaniu literackim i szukającej wyłącznie literackiego potwierdzenia. Dla umysłu szczerego niewiele jest rzeczy bardziej zniewalających lub pobudzających, niż ton Arnolda, gdy w charakterze moralisty mówi ze słodką powagą o ukochanej przez Hebrajczyków prawości, gdy napomina naród swój, poprawiając wyrażenia Pawła: „Cokolwiek jest prawdziwego, cokolwiek jest wzniosłego, cokolwiek jest czystego, cokol-

1) „Jeszcze słowo o Ameryce“ w *Nineteenth Century* luty 1885 r. str. 230.

2) *Ib.* str. 229.

3) *Literature and Dogma* przedm., str. XI.

4) *Ib.* str. 370.

wiek lubego, cokolwiek jest dobrej sławy, gdziekolwiek jest cnota, gdziekolwiek czeka chwalebność, tam zwracajcie ducha, do tych rzeczy biegnijcie myślą”<sup>1)</sup>. Zdaje się brzmieć w tem prawdziwy akcent słodkiego rozumu, głos nauczyciela, obdarzonego gienjuszem moralnym. Czemże są jednak wszystkie te rady, jeżeli nie pasmem czczych frazesów, gdy nie wiemy jasno, co oznaczają słowa? Prawość i prawda! o tak! strzeżmy ich w imię ludzkości! Świat ginie dla braku ich. Lecz czemu są prawość i prawda? i jak mamy określać, co zasługuje na dobrą sławę? Jeżeli prawda ma znaczyć natchnione przekręcanie tekstu i systematyczne fałszowanie historii religijnej w interesach uczucia, i jeżeli prawość ma oznaczać naleganie z zimną krwią na niesprawiedliwe wojny w imię uroku narodowego, to pod jakimże względem lepsza jest cała ta miódopłynna moralność od wątpliwych objawów litości niegodziwca? Jednakże umysły nasze są tak posłuszne samemu nawet gadulstwu na temat moralności i tak czule na sam zapach świętości, że zarzuty te — nie wątpię — brmieć będą, jak niedorośle szemrania dla tych, którzy dostali się pod urok Arnolda. Jest to tem prawdopodobniejsze, że Arnold rzeczywiście staje czasami po stronie etyki sympatycznej, a przeciw barbarzyństwu. Ku czci jego zawsze pamiętać należy, że od samego początku upodobania i popędy kazały mu wołać o sprawiedliwość dla Irlandji i utrzymywały go aż do końca na stanowisku obrońcy równości. A wyrazy oskarżenia, zwracane przez Arnolda przeciw cywilizacji naszej, jak już przyznaliśmy, raz po raz trafiały do przekonania umysłem wykształconym. Z tego wszystkiego wynika, że gdy się widzi, iż taka powaga błędzi, i to nawet grubo, ludzie wolą dawać nieprawościom jego miano błędów i niechętnie wierzą, iż umysł, który w ten sposób kończy, może być w zwyczajnym stanie zasadniczo niewiarogodny, bo widzą, że często dawał on wyniki szczęśliwsze. Tem większa jest potrzeba uporczywego nalegania ze strony „obrońcy złego.” Tymczasem ja powiadam,

---

<sup>1)</sup> *Discourses in America* str. 30.

że to, czemu dajemy miano pierwotnego popędu do prawości, jest jeno osobistą lub plemienną idjosynkrazją, która przypadkowo zdaje się być sprawiedliwością w oczach naszych; niejakaż zaś pewność co do konsekwentnej sprawiedliwości zaczynamy mieć wtedy dopiero, gdy każdy popęd, każde uczucie, każda podnieta trzymane są na wodzy przez ów dalszy jakościowo ograniczający popęd, uczucie lub podniętę, które kładą za warunek sprawiedliwości zgodność wewnętrzną i współrzędność uczuciową wszystkich innych ludzi, których wypadek obchodzi. Pamiętajmy, że rozsądek jest to tylko porównywanie tak zwanego uczucia naszego z innymi uczuciami, które mówią nam co innego, niż pierwsze, a to w celu postępowania według poglądu ogólnego, nie zaś według pierwszego bodźca. Postęp moralny dokonuje się przez popieranie pewnych wyników tego zwyczaju porównywania, poniekąd względnie do stanu pierwotnego, na którymby były rzeczą prostą i oczywistą; stąd zdarzyć się może, iż ludzie, którzy sami nie przestrzegają zwyczaju hamowania podnięt za pomocą rozwagi, uczuć za pomocą uczuć, mogą jednak przedstawiać szereg podnięt w znacznej mierze społecznych i dobroczynnych. Ale wiekiusty zatarg, który jest źródłem postępu moralnego, zawsze powstaje na nowo, gdy ludzie tacy z równą ufnością działają według skłonności niespołecznych i szkodliwych, jak według skłonności, przez nich i przez innych zgodnie uznawanych za dobre. Wówczas całościowy ich nałóg zarozumiałego dogmatyzmu moralnego, zbrojny w wielorakie potwierdzenia, czyni z nich istne przedmurza złego dlatego właśnie, że nie mogą oni zrozumieć, iż złe może się kiedykolwiek kojarzyć z nimi. Nauce nie wolno mieć żadnych upodobań oprócz tej wszechobjęmej wyrozumiałości, która otacza zarówno rzeczy złe jak dobre, zarówno zdrowe jak niezdrowe.

Istnieje bowiem taka wyrozumiałość naukowa, jak to przyznaliśmy poprzednio po skończonym przeglądzie życia Carlyle'a. Powinna ona wchodzić w grę w chwili, gdy dowodzenie krytyczne dobiegło końca. Tutaj zaś, trzeba zaznaczyć, wyrozumiałość naukowa osłania Arnolda wbrew jego własnej woli. Mówiąc, że nauce nie wolno mieć żadnych

słabostek, rozumiemy, iż złem może ona nazywać tylko to, co jest złe, chociażby człowiek, który się go dopuszcza, był sprawcą dobrego. Skoro zadaniem nauki moralnej jest usuwać złe, tedy szaleństwem byłoby zamykać oczy na jakiegokolwiek jego objawy. Z chwilą jednak, gdy usunięcie złego załatwione zostało, że tak powiem, przez djagnozę, przepisanie lekarstwa i udzielenie przestrogi, nauka moralna nie jest już powołana do zemsty taksamo, jak lekarz w stosunku do chorego. Ale nasz apriorysta, który (powiedzmy to wbrew logice) tyle zyskać może na takim ze sobą obejściu, raz po raz stara się gorliwie o wypowiedanie zasad, nie dopuszczających zgola ostatecznej wyrozumiałości. Weźmy własne słowa Arnolda:

„Nauka lekarska nie zdawała sobie nigdy sprawy, a nawet nigdy może nie zabierała się do oceny wewnętrznego związku między błędem moralnym a chorobą. Do jakiego stopnia albo w ilu razach to, co się nazywa chorobą, zależy od czynników moralnych, użytych niewłaściwie albo skutkiem nadużycia ich albo skutkiem użycia niedostatecznego—nie wiemy prawie wcale, badamy zaś bardzo mało. Z pewnością wszakże zależność taka jest o wiele ściślejsza, niż zwykle sądzimy”<sup>1)</sup>.

Zwróćmy uwagę na tę charakterystyczną luźność myśli: „nie wiemy prawie wcale”, a jednak „z pewnością” wiemy, iż rzecz zdarza się daleko częściej, „niż zwykle sądzimy.” Ale spójrzmy dalej, jak płytkie jest to rozumowanie. Choroba, powiadamy, przychodzi częstokroć z zaniedbania lub nadużycia czynników moralnych. Więc już koniec? Skądże pochodzi, iż *A* zaczyna nabierać dążności do nadużywania lub zaniedbywania swych czynników moralnych częściej, niż *B*? Czyż właśnie sama ta dążność nie jest „chorobą”, wadą ustrojową? Oczywiście jest, ale transcendentaliście jakiegokolwiek stopnia szczególnie trudno zrzec się rozkoszy utrzymywania, iż nieuwarunkowana wola ludzka, dusza, tkwiąca *in vacuo*, potrafi sama wywoływać w sobie złe przez

1) *Literature and Dogma* str. 147.

własną bezprzyczynową przewrotność, że dusza jest jednocześnie własnym swoim motorem, dźwignią, punktem oparcia i przedmiotem.

## IX.

Otóż wnioskiem ostatecznym z tego wszystkiego jest, że umysł ludzki jest nadbudową ciała, a to znów — mniej lub więcej rozległym przekształceniem strony fizycznej rodziców lub przodków; skoro zaś orzekliśmy, że Arnold, człowiek instynktów doraźnych mało skłonny do posiadania popędów wtórnych, w podstawach swego powołania prorockiego miał pewne złe popędy, wroga dlań czynność nasza dobiega końca. Teraz możemy spokojnie oddać się przyjemnej pracy ułożenia wyjaśnień w wyrazach dziedziczności i fizjologii. Arnold, ojciec jego i dziad jego wszyscy pomarli od nagłych chorób sercowych, ludzie zaś muszą po ojcach swoich brać coś więcej, niż trwałość środkowego worka mięśniowego. Poznaliśmy już w Arnoldzie pewne rysy dziedziczne, możemy też prawdopodobnie wskazać inne. Ów samorzutny pociąg do wojny, jak widzieliśmy, został odziedziczony na równi z pietyzmem i to w postaci mniej przekształconej, bo był ledwo połowicznie utajony w ojcu. We wstępnym *Wykładzie o Historji* dr. Arnolda jest ustęp, mówiący o tem, jak pociągające są opisy bitw; wstęp ten kończy się tak oto: „Kto może czytać je bez zajęcia, ten — skłonny jestem mniemać — różni się od ogółu rodzaju ludzkiego na gorsze raczej, niż na lepsze; raczej brakuje mu pewnych szlachetnych przymiotów, posiadanych przez innych ludzi, niż posiada takie, którychby brakowało innym” <sup>1)</sup>. Prawda istotnie, że dla wielu z nas opisy bitw są nadzwyczajnie zajmujące, ale dowodzenie, że ci, których wojna zajmuje, są przez to samo szlachetniejsi od innych obojętnych, jest jaskrawym przykładem metody, opartej na uprzedzeniach. W pismach

1) *Lectures on Modern History* wyd. 4-te, str. 8—9.

swoich dr. Arnold wypowiadał niewątpliwie zgrozę na myśl wojny europejskiej, wszakże ten ustęp i inne, wyszłe z pod jego pióra, wskazują, że miał on wiele popędów wojskowych; syn zaś, który zawsze pielęgnował raczej upodobania i wzruszenia swoje, niż moralność rozumową, rozwinął te popędy, ale ich nie przytłumił. Natomiast przyznać trzeba ojcu — bo posiadał rzeczywiście, podczas gdy syn miał ledwo trochę — szczerą miłość sprawiedliwości, jakkolwiek źle oświetloną. Przykro jest tylko, że w ojcu miłość sprawiedliwości, a w synu dworskość zarówno współistniały z takimi przeblyskami popędów barbarzyńskich; skojarzenie to za każdym razem mogłoby nas istotnie zniechęcać, gdybyśmy nie pamiętali, że obaj Arnoldowie zarówno byli idealistami albo apriorystami, dla których moralność jest czemś obcem nauce.

Naturalnie nie tylko w rzeczach moralności Arnold, składając dowody niekonsekwencji, uwidocznia ocknięcie się nastroju fizjologicznego po młodzieńczym okresie wrażliwości na nowe idee. Gdyśmy się już załatwili z zagadnieniem moralnego złego, będzie może bardziej zajmującą, niż melancholiczną pracą tropić w dziełach Arnolda łańcuch sprzeczności, wytykający jego kierunek rozwoju. Z początku, jak widzieliśmy, Arnold jest młodym światłym Anglikiem, przejętym kulturą cudzoziemską i cudzoziemskimi pojęciami, żywo odczuwającym błędy patryjotyzmu. Widzi on, że wielką wadą Anglików jest brak ducha krytycznego i zdrowego zastosowania krytyki. Anglik pyta tylko, czy książka lub sztuka podoba mu się; Francuz pyta, czy mu się słusznie podoba. Skutkiem tego Anglik nie widzi w tem wady, gdy coś jest nienormalne. „Rok 1789 zapytywał, czy rzecz dana jest rozsądna; rok 1642 zapytywał, czy rzecz jest zgodna z prawem, albo gdy posunięto się dalej, czy rzecz jest zgodna z sumieniem. Oto zwyczaj angielski”<sup>1)</sup>. Koniec końców Arnold uznaje za rzecz szczególnie rzadką w Angliku trzymanie się na baczności przed złudzeniem

---

<sup>1)</sup> *Essays in Criticism* str. 12.

i samooszustwem i wyróżnia, jako wyjątek rzadki i świetny, fakt, że w napisanych na schyłku życia *Myślach o Sprawach Francuskich* Burke „napadł na siebie samego” za zapatrywania na rewolucję francuską. Burke wypowiedział tam (dość zresztą niewyraźnie) troskliwe podejrzenie, iż mógł się bądź co bądź omylić, i w duchu deistycznym zauważył, że człowiek może nieraz ślepo i daremnie sprzeciwiać się wyrokom Opatrzności, biorąc je „za zwykłe plany ludzkie.“ Na to Arnold odpowiada z zapalem: „Nie znam nic bardziej uderzającego i dodać muszę, nie znam nic bardziej nieangielskiego.”<sup>1)</sup> I za pomocą sarkazmu i moralu ostrzega rodaków, żeby się otrząsnęli ze zbyt dobrego mniemania o sobie.

A teraz zwróćmy się do późniejszego dzieła, do *Ostatnich Szkiców o Kościele i Religji* i odczytajmy w nich znany już dziś zbyt dobrze urywek z biskupa Butlera i uwagi doń Arnolda. Arnold rozwodzi się tu nad kościołem angielskim, nie myśląc już o przeważnym braku racjonalności wśród Anglików, lubo będąc jeszcze w stanie dostrzec niektóre błędy—kościelne i niekościelne.

„Nie znam żadnej innej instytucji tak rozumnej. Powiedziałem, że kościoły biorą charakter od swoich wielkich ludzi. Pokażcie mi inny jaki wielki kościół, którego główny działacz i pochodnia wypowiedziałyby zdanie, podobne do tego—*splendide verax*—zdania Butlera: „Rzeczy są tem, czem są; następstwa zaś ich będą tem, czem będą; dlategoż więc mielibyśmy pragnąć, żeby nas oszukiwano?” Objąć i przetrawić takie zdanie znaczy tyleż, co wykształcić się moralnie i umysłowo. Ostatecznie zaś jakkolwiek głęboko butlerowskim jest to zdanie, przecież Buttler dlatego tylko posiadał je, że jest Anglikiem, że na dnie natury jego leży zasób zdrowej siły”<sup>1)</sup>.

No! czyż Karol Adderley, albo *Daily Telegraph*, albo Roebuck powiedzieli kiedykolwiek coś w połowie tak głu-

1) *Ib.* str. 18.

2) *Last Essays* str. 178 („Kościół Angielski“).

pio-patrjotycznego? Czyż kiedykolwiek żądał kto inny od Anglików, żeby wierzyli, iż Pascal, Bossuet, Neander i Döllinger niezdolni byli wznieść się do takiej wysokości moralnej i umysłowej, na której nie życzyliby sobie być oszukiwanymi i wyznawaliby to? Nie będę tropił w piśmiennictwie innych instytucji kościelnych „zdania podobnego”, przypomnę tu tylko wyrazy krytyka *Żaby Skaczącej*: „Nie widzę żadnego powodu, dlaczegoby ta żaba miała być lepsza od każdej innej żaby” — z rodzaju kościelnego. Istotnie bowiem gdy się pomyśli, że Arnold wypowiedział swe wspaniale - napuszyste zdanie do czytelników, będących wyznawcami kościoła angielskiego, czuje się, że spadamy do poziomu krotchwili.

A to jest dopiero jeden wzgląd. Nie tylko nieangielskie stanowisko Burkego stało się szczególnie angielskim stanowiskiem Butlera, ale cudzoziemski dar krytyki i angielski brak zmysłu krytycznego okazały się nic nieznaczącymi. Instytucja angielska i bez krytyki jest znakomicie rozumna. Krytyka cudzoziemska róższarpuje Biblię na sztuki i skłonna jest obchodzić się bez niej, więc krytyka cudzoziemska jest ostatecznie całkowicie błędna, w Anglii zaś „nieuczony żartowniś belletrystyczny”, jak Arnold raz sam się określił <sup>1)</sup>, potrafi wszystkich urządzić, jak należy.

Dalej idą nadzwyczajności. „Być może — pisał Arnold w pierwszych szkicach swoich — za lat pięćdziesiąt w angielskiej izbie gmin stawiać będą instytucjom zarzut nienormalności, i przyjaciel mój, członek parlamentu, wzdygnie się w grobie. Tymczasem wszakże starajmy się usilnie o to raczej, żeby za lat dwadzieścia w literaturze angielskiej stawiano zarzuty zdaniom, iż są niedorzeczne. Byłaby to zmiana tak ogromna, że wyobraźnia nie jest prawie w stanie jej objąć” <sup>2)</sup>. Otóż nawet w owym czasie Arnold sam udzielał poparcia rzeczom nienormalnym i obrażał się, gdy dowodzono, że niektóre zjawiska są niedorzeczne. Colenso wska-

<sup>1)</sup> W *Essay on the Study of Celtic Literature*.

<sup>2)</sup> *Essays in Criticism* str. 42.

zywał nedorzecznosc historji o zyciu Izraelitow na puszczy, i Arnold zachowywal sie wzgledem niego rownie wrogo, jak ogol duchowieństwa. Ale nadto mial sie on jeszcze wyroznic obrona kościoła angielskiego, który sam w sobie jest zjawiskiem nienormalnym, przez Arnolda zaś był broniony na podstawach jaknajbardziej jaskrawo nienormalnych, jako instytucja, popierająca idee prawosci. Historycznie kościół ten, jak wiemy ze słów Morleya, był „sojusznikiem tyranji, narzędziem ucisku społecznego, zwolennikiem niewoli umysłowej.” Na to Arnold ma śmiałą odpowiedź, „że każdy kościół należy sądzić podług jego wielkich ludzi” <sup>1)</sup>. Ale arnoldowa obrona jest też nienormalną w każdym szczególe. Przy jego wierze w boskość i nieśmiertelność czczenie kościoła chińskiego byłoby czynem równie zaszczytnym, jak czczenie kościoła angielskiego, był on wszakże gotów brnąć przez wszystkie maskarady obrzędów, byle tylko uczynić zadość estetycznym upodobaniom swoim. Cała religja Arnolda była sama przez się nienormalnością. Słabą stronę judaizmu widział w tem, że religja ta była zbyt narodową i społeczną, kościołowi zaś angielskiemu poczytuje za zasługę, że jest narodowy i społeczny, i gani różnowierców za krzątanie się około spraw własnych kościołów. W dziedzinie polityki Arnold złożył także jaknajbardziej doskonałe dowody ulegania oskarżonej przez się dążności angielskiej, która w nienormalności nie widzi zarzutu przeciw prawu. Prawo, zabraniające małżeństwa z siostrą zmarłej żony, opiera się całkowicie na widocznie błędnem rozumieniu pewnego tekstu hebrajskiego, i wielu dobrych obywateli nalegało na zniesienie zakazu z poważnych względów praktycznych. Obywatele ci bezwątpienia wpadali w sprzeczność o tyle, o ile pragnęli jeszcze wzbronięcia małżeństwa z wdową po zmarłym bracie, ale większość z nich po prostu domagała się tego, czego odczuwała niezbędność i co mniemała, że otrzymać zdoła. Arnold zawsze opierał się im na tej jedynie zasadzie, że małżeństwa, których uprawnienia domagano się,

---

<sup>1)</sup> *Last Essays* str. 167.

są w złym guście. Tak jest; smak jest rzeczą delikatną, i kiedy Arnold pozwala sobie mówić o wolnomyślnych różnowercach, że sami pragną poślubić siostry zmarłych żon swoich, zmusza znów innych ludzi do skrzywienia się z niesmaku. „Ma on chętkę na siostrę zmarłej swej żony” — tak określa Arnold postać liberalnego, popierającego agitację za zniesieniem prawa; jeżeli będziemy głosowali za nim, uczynimy to dla własnych swoich prywatnych widoków. Na to chce się powiedzieć, co powiedziała pani de Broglie o pani de Balbi, że „jedynie nadmiar dobrego smaku może nauczyć takich złych obyczajów.”

## X.

Smak może doprowadzić człowieka do dziwnych wniosków. Można powątpiewać, czy najgorętsi wielbiciele Arnolda byli w głębi duszy zupełnie zadowoleni z jego teorii *Liczy*, wygłoszonej przezeń w ostatnich latach życia pod takim nagłówkiem w szczególnej rozprawie, którą napisał dla swych czytelników amerykańskich, której wszakże, jak się zdaje, nie zdołali oni wysłuchać. W wykładzie tym po wszystkich swoich zabiegach na obronę równości, po wszystkich pomysłach uczynienia tłumów chrześcijańskimi, Arnold stawia teorię, iż niepodobieństwem jest, żeby cały naród posiadał cywilizację, że narody żyją jedynie kosztem „osadu”, pozostawianego przez ich wielkich ludzi, że ludność Stanów Zjednoczonych może uważać się za szczęśliwą, iż jednocześnie jest tak germańską i tak liczną, bo w ten sposób posiadać może we wspomnieniach swoich największy zasób osadu jakościowo dobrego. W Atenach wobec trzystu pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców nawet osad jednej dziesiątej, trzydziestu pięciu tysięcy, nie wystarczał do zachowania państwa przy życiu; ludność izraelska podobnie nie mogła dostarczyć dość osadu, ale w takim kraju, jak Stany Zjednoczone, przy pięćdziesięciomiljonowej ludności pochodzenia germańskiego, przygotowanej przez wyćwiczenie purytańskie, nawet osad jednego na stu przedstawiałby ilość

pięciusettyśiączną, a to wystarczyłoby prawdopodobnie do zapewnienia przyszłości zadaniom państwa. Nielatwo znaleźć w piśmiennictwie świeckiem teorię, któraby odznaczała się okropniejszą fantastycznością. Cały pomysł od samego początku tak całkowicie wisi w powietrzu, że nie możemy nigdy wkroczyć na pole jego zastosowań praktycznych. Najpierw Arnold stawia przypuszczenie, że państwa podobnie, jak upadały w przeszłości, upadać muszą w czasach przyszłych, dalej zaś powiada, że ilekroć państwo upada, dzieje się to zawsze skutkiem „zepsucia“ większości mieszkańców. Przytacza po kolei Ateny, Żydów, Asyrję, Rzym. Tymczasem każde z tych państw upadło pod gwałtownością podboju orężnego, i niemasz nic, coby wskazywało, że gdyby nie ów podbój, państwo nie istniałoby nieprzerwanie aż do dni naszych. Dowodzenie Arnolda nie ma żadnego znaczenia, jeżeli nie każe się domyślać, że podobnie, jak owe starożytne państwa upadły pod gwałtem, taksamo upaść może każde państwo nowożytne; ale w Arnoldzie nie znajdujemy wzmianki o możliwości takiego obrotu rzeczy, i niema powodu przypuszczać, że myślał on o tem rzeczywiście. Atenom, Żydom, Asyrji i Rzymowi z kolei brakowało dostatecznie mocnej organizacji wojskowej i politycznej. Najczystem wszakże doktrynerstwem byłoby utrzymywać, że organizacja taka zwykła być identyczna ze zdrowym „osadem“ w tem znaczeniu, jak go określa Arnold. „Osad“ amerykański, jak się dowiadujemy, ma składać się ze wszystkich ludzi, pielęgnujących Pawłowe „cokolwiek“, i oni mają ocalić od zguby zepsutą większość. Ało cóż jest zgubą? Francja, dowiadujemy się, naraża się na zgubę z powodu czci, oddawanej przez Francuzów sprośności albo bogini Aselgei, bo takim piętnem Arnold oznaczał zawsze pod koniec swego życia cały naród francuski i siłę jaskrawej wymowności utworów powieściowych francuskich, nie troszcząc się, czy Berlin i Wiedeń nie przejawiają dokładnie takich samych dążeń, co Paryż, czy Paryż Zoli nie jest rzeczywiście zdrowszy od Paryża Molière'a, albo czy Londyn Szekspira nie zdradzał gustów Paryża Zoli. Czytelnika męczy ta uparta pobieżność, i znowu jeszcze natarczywiej staje w myśli pytanie: w jakim

więc sposób zanosi się na zgubę Francji? Upadnie pod podbojem orężnym? A gdyby tak Francja dzięki wielkiemu wodzowi pobiła w nowej wojnie Niemcy, czyż Niemcy upadłyby wskutek braku dostatecznie zdrowego osadu? Nadto zaś jeżeli podbój nowożytny przestaje oznaczać zniszczenie polityczne i materialne podobne do zniszczenia Asyrii i Rzymu, jeżeli niema już plemion barbarzyńskich zdolnych burzyć cywilizację, to cóż mamy rozumieć przez zgubę? Czy dzisiaj w Paryżu jest więcej sprosności, niż było w wiekach średnich, w Berlinie zaś czy jest mniej, niż było sto lat temu? A jeżeli ilość ma stanowić pewną rękojmię, to skąd pochodzi, że dla Francji z trzydziestu pięciu milionami ludności sprosność zdaje się być niebezpieczniejszą, niż dla Francji dziesięciomiljonowej?

Darmo się pytać. Poza teorią „liczby“ niema żadnej myśli socjologicznej ani filozoficznej; jest to tylko nastrój, cofnięcie się zmęczonego smaku przed surowizną ogromnego zaludnienia i kultury demokratycznej. Nałóg frazeologii i formułowania dostarcza pozorów uogólnienia, i w taki sposób dochodzimy do fantastycznego twierdzenia, że trzydziści pięć tysięcy ludzi zdrowych nie może ocalić państwa trzystopięćdziesięciotysięcznego od wpływu zepsutej większości, pięćset zaś tysięcy ludzi może poniekąd ocalić pięćdziesięciomiljonowe państwo od zgubnych dążności pozostałej części czterdziestodzieci- i półmiljonowej. W taki sposób potwierdza się prawdziwość starej przechwałki dr. Arnolda, wypowiedzianej wobec syna bez obawy o przyszłość jego umysłu, że ludy germańskie są najlepsze: skoro mamy szczep germański i wyrobienie purytańskie, możemy poprzestać na jakichś pięćset tysięcy ludzi, zdrowo wierzących w „cokolwiek”, w stosunku do czterdziestu dziewięciu i pół milionów ludzi zepsutych. Trudno powiedzieć, czy mamy śmiać się czy płakać, ale przynajmniej nie mamy potrzeby pytać, czy ta wesoła i wielce radosna nowina zapewni spokój duszom germańskiego lub jakiegokolwiek innego pochodzenia, z wyrobieniem purytańskim lub bez niego. Nie spostrzeżono, żeby nawet najbardziej wyborowi obywatele amerykańscy ucieszyli się wobec

nadziei, że dusze ich żywcem przechowane zostaną w składzie osadowym Arnolda. Z czemże mamy to porównać? Myśl nieprzepracze zwraca się ku pewnemu ustępowi w pewnym szkicu o Spinozie:

„Fra Angelico, najśłodszy i najbardziej natchniony z duchów pobożnych, dał nam w wielkim swoim obrazie Sądu Ostatecznego pojęcie swoje o piękności. Wybrani krążą w kole po bujnej trawie pod drzewami, obciążonemi owocem; dwaj z nich, bardziej ruchliwi od innych, wzlatają ponad ulicę, obwarowaną strzelnicami, ulicę pustą, pełną całej nudy wieków średnich. Przez otchłań daje się dostrzec, dla napojenia świętych rozkoszą, pałający kocioł, w którym Belzebub przyprawia potępieńców”<sup>1)</sup>.

Jeżeli nazwiemy świętych osadem, innych zaś niezdrową większością—ha! wówczas obraz można przyjąć za alegorię.

## XI.

Ale ta Apokalipsa nowej wiary niezbyt jest zabawna. Słuchając jej, dochodzimy raz jeszcze do przekonania, nie powiem pesymistycznego, ale i nie wesołego, że w nauce społecznej niepodobna pozyskać zdrowego sądu o rzeczach za pomocą samej tylko dobrej woli, nawet połączonej z usposobieniem szczęśliwym, jeżeli brak naukowej wytrwałości i ścisłości. Raz jeszcze przyjść musimy do smutnego wniosku, że prorok, który oświadcza się z mową natchnioną o prawości i o zadaniach życia, może być przewodnikiem niebezpiecznym i bezradnym. Arnold zresztą jest z pewnością lepszy od typu zwykłego.

Podobnie, jak Carlyle, skończył on na tem, że pod pewnemi względami — chociaż nie pod tyloma — pozostał w tyle za najlepszymi myślami wieku swego, aczkolwiek wyruszył w świat z pojęciami i pragnieniami znakomicie lepszymi od pojęć przodków. Jest to wniosek zniechęcający, i czytel-

<sup>1)</sup> *Essays in Criticism* str. 267.

nicy moi, odczuwając to, mogą być skłonni do powątpiewania, czy warto w ten sposób rozskubywać proroków na kawałki po to tylko, żeby niejako uwiecznić ich sofizmaty. Milej jest w istocie zastanawiać się nad ich osobistemi cnotami i myśleć o ich zaletach raczej, niż o błędach. Ale jakież będzie pożytek z krzątania się nad własnymi naszymi celami, jeżeli nie uprzytomnimy sobie jasno, dlaczego nie powiodło się dopięcie tylu innych celów? Na co uznawać mamy spokój tam, gdzie spokoju niema? Żołnierz musi badać wyprawy poprzedników swoich, jeżeli chce znać sztukę wojenną; reformator musi poznać mapy oceanu życia, jeżeli chce uniknąć mielizn i skał podwodnych, musi też mieć się na baczności przed zboczeniami busoli. Przykro jest czytać o minionych rozbiciach i zawodach, ale bardziej przykro doznać raz jeszcze zawodu dla braku myśli. Aż dotychczas wszystkie zawody po największej części od tego zależały, i najwyższa czujność nie zabezpieczy nas zupełnie od nieszczęścia. Bądźmy tedy surowo czujni.

A w tym duchu powiedziawszy wszystko, przekonujemy się, że w rzeczywistości jesteśmy pojednani z ludźmi, na których błędach uczyliśmy się ostrożności, i spostrzegamy, że nawet wspomnienie tych błędów staje się wzruszającym, nie zaś przykrem; ludzie ci bowiem, o ile nas ostrzegali, zasłużyli się lepiej, niż umieli, i częstokroć posunęli naprzód to, czemu się opierali. Gdy chodzi o Arnolda, pojednanie jest łatwiejsze, niż kiedykolwiek. Nawet w błędach swych jest on pomimo wszystkiego postacią dobrotliwą, krocząc pośród nawałności życia z pogodnym wdziękiem, który jest napomnieniem nawet dla przeciwnika, błogosławieństwem zaś dla nas wszystkich; bo dla wszystkich bywa on często, i jako poeta i jako nauczyciel, szafarzem piękności, pomocą, oparciem, przyjacielem. O Carlyle'u mogliśmy powiedzieć, że przynajmniej podniecał i wyzywał drzemiące sumienia ludzkie. O Arnoldzie możemy powiedzieć nie tylko, że czynił to samo z daleko większą powabnością i umiarkowaniem, a daleko mniej odpychającą gwałtownością, niż Carlyle, ale że w tysiącnych razach pierwsze jego wezwania bywało tak dalece słuszne i mądre, iż słuchanie go było

zarazem pożyteczne i miłe. Przypadkowemu wzmocnieniu ducha barbarzyństwa możemy przeciwstawić liczne usługi, oddane wolnomyślności i liberalizmowi, oświacie, prawdziwemu duchowi cywilizacji. Jeżeli zgrzeszył niechcący przeciw rozumowi, usiłując obalić bardziej skrajne postaci nierozumu, nie zapominajmy, że czynił to ostatnie z mocą przekonującą, która według wszelkiego prawdopodobieństwa działała pod pewnemi względami daleko rozległej i skuteczniej, niż działać zdołały najbardziej konsekwentne dowodzenia naukowe. Usługę tę wreszcie oddawał z takim umiarkowaniem i z taką o świadectwa rozumowe dbałością, o ile tylko pewne z góry powzięte poglądy pozwalały mu je zebrać i zastosować, że nauczył ludzi przywiązywać do rozumu większą wartość, niż sam przywiązywał, i rozwijać dalej zasady, które sam usiłował stosować. Żaden może pisarz ówczesny nie doprowadził większej ilości ludzi, wykształconych konwencjonalnie i obdarzonych pomierną zdolnością myślenia, do wyrzeczenia się swoich najnierozsądniejszych poglądów tradycyjnych. I nie tylko grzeczność i wykształcenie Arnolda pomimo całej jego naukowej niedoskonałości zapewniają mu zawsze wyróżnienie i powagę, jako publicyście, ale poza postacią publicysty stoi zawsze postać poety, im bardziej mglista, tem więcej czarująca, poety, którego pieśń tak często odzywa się westchnieniem pośród umiłowanej teorii i wesołych szyderstw propagandy. Któż mógłby zapomnieć w chwili oceniania tej propagandy o melancholicznem tle pieśni, smutnie wyznającej wewnętrzne wątpliwości co do prawdy:

Ach! nie żądajmy, by ręka  
 Na życia nieznaną toni  
 Wiodła prosto w drogi sterze;  
 O to, że chybi celu, niech się nikt nie lęka,  
 Jeśli go piękne nęci i wstrzyma wybrzeże,  
 Lub przyjaciel powita, by pójść z dłonią w dłońi <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> *Human Life* (przekład p. W. Nawrockiego).

## Jan Ruskin.

---

**J**AN RUSKIN, urodzony w Londynie 8 lutego 1819 r., był jedynym dzieckiem bogatego kupca win (1785 — 1864) rodem z Edynburga. Chował się i kształcił w domu rodzicielskim naprzód w Londynie, potem w Denmark-Hill, wreszcie wstąpił do Oksfordu w charakterze studenta uprzywilejowanego (*gentleman commoner*). Za poemat *Salsette and Elephanta* dostał w r. 1839 nagrodę z poezji angielskiej; skończył nauki w r. 1849. Później studjował malarstwo pod kierunkiem Copleya Fieldinga i Hardinga, ale mistrzami—jak sam mówi — byli mu Rubens i Rembrandt. Dzieje myśli i czynów młodzieńczych opowiedział w czarującej autobiografji p. n. *Praeterita*. Pomiędzy r. 1843 a 1860 wydał *Modern Painters*, książkę, której pierwotnym celem było dowieść wyższości pejzażystów nowożytnych (zwłaszcza Turnera) nad dawnymi; w 1849 r. *The Seven Lamps of Architecture*, w 1851—53 r. *The Stones of Venice*, w 1858 r. *Lectures on The Political Economy of Art*. Szeregiem studjów, szkiców, notatek, uwag i myśli są *Crown of Wild Olive* (praca, handel, wojna, przyszłość Anglii), *Sesame and Lilies* (Literatura), *Frondes Agrestes* (malarstwo), *Munera Pulveris* (ekonomja polityczna), *Unto this Last, Fors Clavigera* (listy o różnych rzeczach do robotników angielskich). Od 1869 do 1879 r. Ruskin zajmował katedrę sztuki, ufundowaną w uniwersytecie Oksfordzkim przez Feliksa Slade'a (antykwaryusz i kolekcjonista, 1789—1868), w 1871 zapisał temuż uniwersytetowi 5000 f. szt. na utrzymanie profesora rysunków, w 1883 r. powołany znów został na tę samą ka-

tedrę, lecz po roku zrzekł się jej. Z nadzwyczaj obfitych i niesłychanie cennych zbiorów własnych utworzył muzeum w Walkley, przeniesione w roku 1890 do Sheffieldu. Potem mieszkał w Brantwood nad Coniston Lake (*Przyp. tłum.*).

## I.

**T**rzydzieści trzy lata blisko minęło, odkąd Jerzy Eliot napisał o Ruskinie: „Jego mała książka o *Ekonomji Politycznej Sztuki* zawiera pewną ilość ustępów wspa-  
niałych, pomieszanych z okropnemi próbkami zarozumiałej głupoty w niektórych przedmiotach ekonomicznych; poważam go wszakże, jako jednego z wielkich nauczycieli doby dzisiejszej“ <sup>1)</sup>. Sąd ten—rzecz ciekawa—streszcza przeciętną osnowę terażniejszych poglądów na Ruskina, rozpowszechnionych pomiędzy czytelnikami dość wrażliwemi, żeby odczuwać siłę pisarza, i dość niezależnemi, żeby podziwiać go, nie ulegając mu zupełnie. Podobnie, jak Carlyle i Arnold, Ruskin sam złożył świadectwo, że nie udało mu się wysiłki w celu wywarcia wpływu na pokolenie swoje; wyznanie to, pochodząc od człowieka tak odmiennego, jest pouczające i godne pamięci. Carlyle uczynił je z rozpaczą <sup>2)</sup>, Arnold z poddaniem się i napół żartobliwie <sup>3)</sup>, Ruskin gorzko i namiętnie <sup>4)</sup>. Jeżeli oni mówią tak, fakt musi być prawdziwy, bo umysłem ich służyły za miarę niepowodzeń wyrazy pragnień własnych; ale wyznanie stawia nas wobec pytań: jakie są w tym względzie fakty przedmiotowe? jak dalece ludziom tym rzeczywiście nie udało się wpłynąć na pokolenie swe w kierunku, w którym czynili wysiłki? Mill i Emerson nie poczynili żadnych takich wyznań lub skarg; czy mniejsze

<sup>1)</sup> *Cross Life* t. II, str. 7. Pouczającym jest porównanie nastroju, w jakim Ruskin krytykował później Jerzego Eliota w swym szkicu o *Zmysłeniu, lięknie i Brzydocie*.

<sup>2)</sup> *Froude First Forty Years* t. II, str. 478.

<sup>3)</sup> *Ldiscourses in America* str. 3.

<sup>4)</sup> *Fors Clavige-a* list 84 i inne.

mieli pragnienia, czy może łatwiej zostali zaspokojeni? Naprawdę ideały ich były równie wysokie; dalecy też byli oni od wdzięcznego zadowolenia ze stanu rzeczy. A może przy swoich bardzo odmiennych sposobach myślenia byli mniej samolubni od innych, z usposobienia mniej pochopni do wiary, że świat nie zdoła zapewnić sobie zbawienia, czerpiąc światło skądinąd, niż od nich? W przeciwstawieniu do Carlyle'a tłumaczenie takie, jak sądzę, dałoby się przyjąć, a jeżeli co do Arnolda wydaje się ono mniej stosownem, to prawdopodobnie dlatego, że Arnold pomimo pozornej fanatyczności przekonań swoich <sup>1)</sup> i pomimo wielu pierwotnych objawów bigoterji miał w usposobieniu pewną obronę przeciw manjackiemu zatapianiu się w sobie samym i skutkiem tego nie był w typowej rozterce z duchem wieku. Czy wszakże to samo wyjaśnienie za pomocą zawiedzionego i rozgoryczonego egoizmu przyda się do wytłumaczenia poczucia porażki u Ruskina, nie będziemy próbowali rozstrzygać, dopóki nie przyjrzymy się jego życiu.

Z pośród mężów, których badaliśmy tu po kolei, Ruskin najmniej może da się oświetlić dziedzicznością. Widziany z tej strony, Ruskin od pierwszego razu uderza nas, jako wytwór nienormalny, nie zupełnie rozumie się przeczący teorii dziedziczności, ale nasuwający myśl o ograniczoności wiedzy naszej i o subtelności sprawy, za pomocą której dany organizm ludzki powstaje w przybliżeniu z dwu innych. Syn ciężko pracującego kupca win, którego umysłowość odznaczała się tylko rozwiniętymi upodobaniami artystycznymi, i przesiąkniętej ewangeliją Szkotki o charakterze stanowczym, ale umyśle i usposobieniu ciasnych — wyrasta na jednego z najwymowniejszych prozaików wszystkich wieków i piśmiennictw, na pisarza, którego poczucie artystyczne jest nie upodobaniem, lecz rodzajem namiętności, którego charakter jest dziwaczny i poza stałością literacką i artystyczną słaby, którego wszyscy gotowi są uznać za gienjusz na mocy tej widocznej zdolności do wysoce natężonej pracy

---

<sup>1)</sup> *Literature and Dogma* str. 86. *God and the Bible* str. 9.

mózgowej, która jest warunkiem wszelkiego znakomitego wykształcenia w człowieku, czy będzie to ustrój, umiejący kierować sobą, czy też źle zrównoważony. Wyraźną jest zwłaszcza rzeczą, iż zdolności Ruskina polegały głównie na nadzwyczajnym darze spostrzegawczym, uznawanym powszechnie za podstawę artyzmu; jednakże Ruskin w istocie nie był artystą kształtów lub barw, chociaż pracował nad wprawieniem się w rysunek wierny i skończony. Połowę życia swego poświęcił na usilną, lubo przerywaną pracę nad zbadaniem i rozbiorem zjawisk artystycznych, o których pisał z ogniem i żarliwością zupełnie nowemi w literaturze krytycznej, a jednak ludzie rzeczywiście gienjalni w sztuce sztychli często z sądów jego, jako ze zdań człowieka, który patrzy na piękność oczami moralisty. Dalej Ruskin posiadał niezrównany prawie dar języka, doprowadziwszy wytworność i energję słowa do granic nieprzewyższalnych, a jednak w wierszu, który jest kwiatem sztuki mówienia, jawnie chromał, zdradzając brak widoczny pewnej istotnej części uzdolnienia poetyckiego. Nakoniec po pilnem przygotowaniu się do filozofji estetyki stał się jednym z najdosadniejszych i najruchliwszych nowoczesnych krytyków życia, sięgając na tem polu jeżeli nie do rozległej, to do głębokiej wyrazistości i wpływowości, jakich nie zdobył żaden z jego współczesnych. I tutaj jednakże mistrzowską wymowę i porywającą przenikliwość kaziła namiętność do myśli bezzasadnych i niespójnych, wywołując często w bezstronnym sędzi wątpliwość, czy nierozsądek nie równoważy w Ruskinie mądrości, skoro ją napewno pozbawia zaufania ludzkiego.

## II.

Do szeregu niespodzianek, z których splata się osobistość Ruskina, przybywa jeszcze fakt, że nominalne jego stanowisko w piśmiennictwie angielskiem dotychczas jeszcze dla społeczeństwa określa się pierwszym jego dziełem, na którego przedrukowanie długo się nie zgadzał, gdy w latach dojrzałych przestało go ono zadawałać. Zdanie ogólne nie

jest zresztą bezzasadne, bo chociaż wiele myśli w tej książce jest źle rozważonych, styl zaś wielce niepoprawny, przecież z pewnością *Malarze Nowożytni* dla swej wymowności i energii są jednym z najznakomitszych dzieł, jakie kiedykolwiek zostały stworzone przez młodzieńca dwudziestoletniego. Urodzony w 1819 r., Ruskin ogłosił tę pierwszą swoją pracę w dwudziestym czwartym roku życia. Oprócz tego dzieła, o którym mowa, pod wielu względami jest kluczem do zrozumienia rozwoju autora, ponieważ daje nam ono poznać, że Ruskin postępował zwykle od spostrzeżeń estetycznych do teorii moralnej i w taki sposób zarówno artystyczne, jak i moralne sądy swoje budował bezpośrednio na wrażeniach, władz zaś rozumowych używał zawsze początkowo do poparcia poglądów intuicyjnych, później dopiero, i to rzadko, do ujęcia ich w karby. A jednak ta właśnie zdolność obserwacji i wrażliwość były w nim tak żywe, że im zawdzięcza Ruskin sławę uprzedzenia krytyki tych wad, z przesady płynących, które dla czulego smaku dzisiejszego szpecą wczesne jego pisma bez względu na to, czy słuszne zawierały się tam poglądy. Ruskin pierwszy powiedział, że jego styl młodzieńczy był często przeładowany. „Coraz więcej czuję żalu—pisał w r. 1874 o jednym z urywków, ogłoszonych wówczas bez jego zezwolenia <sup>1)</sup> — kiedy odczytuję ten i inne wyjątki z najbardziej wymuszonej i słabej z pośród wszystkich moich książek (pisanych w okresie opierania się)—z drugiego tomu *Malarzy Nowożytnych*; boleję nad chorobliwie gwałtowną jej namiętnością i ciasnotą myśli. Jednak książka ta, jak inne—mówię to z głębi duszy—była uczciwa i w gruncie rzeczy przeważnie dobra, tylko że wszystko w niej rozgotowane jest na miazgę.“

Nie jedyny to wszakże promień światła, rzucony przez Ruskina w wieku późniejszym na własne lata młodzieńcze. W *Malarzach Nowożytnych* twierdził wprost, że nigdy jeszcze nie namalowano dobrze żadnego z epizodów ani z bohaterów biblijnych, w 1874 zaś roku mówi o tem: „Piszac ów

---

<sup>1)</sup> *Frondes Agrestes* str. 148, przypisek.  
Humanisci nowożytni.

ustęp, nie wiedziałem nic o Luinim, Filipie Lippim lub Sandro Botticellim i nie umiałem wnikać w najgłębsze uczucia tych nawet ludzi, których głównie badałem: Tintoreta i Fra Angelico. Ale publiczność brytyjska do chwili obecnej jest równie mało obeznana z wielkimi florentyńczykami, jak ja byłem wówczas; dla niej więc ów ustęp pozostał prawdziwym<sup>1)</sup>. Obok otwartości, z którą Ruskin krytykuje własną swą znajomość Tintoreta i Fra Angelico, zauważmy tu doniosłość przyznania się do zarozumiałości, która pozwalała młodemu krytykowi stawiać rozległe uogólnienia na zasadzie znajomości kilku ledwo malarzy, i weźmy następnie późniejszą uwagę do ustępu, w którym młodzieniec wyniośle stawia Scotta ponad Wordsworthem i Tennysonem, jako poetę, a ponad Goethem i Balzac'iem, „jako wielkiego przedstawiciela myśli swego wieku w literaturze.” „Nie znałem wcale Goethego—wyznaje znów—kiedy zestawiałem go z Balzac'iem”<sup>2)</sup>; ale w tym razie całkiem bezwstydnie Ruskin zaczyna usprawiedliwiać dawny swój wyrok nieuczta za pomocą wiedzy, nabytej później, i usprawiedliwia, dodać trzeba, dość źle. Wyznania te mają prawdopodobnie wagę dla większej ilości dzieł Ruskina, niż sam on wymieniał. Popędliwy dogmatyzm w przedmiotach, w których myśl jego nie poszła nigdy dalej ani głębiej od pierwszego żywego uprzedzenia, pozostał do końca rysem znamionym dzieł Ruskina w takim samym stopniu, jak szybka i przenikliwa analiza zjawisk społecznych i wogóle wszystkich, których jądro przeniknął pierwszy palący rzut oka.

### III.

Powiedziałem, że charakter Ruskina jest niejasny ze stanowiska dziedziczności, a jednak z wielkim prawdopodobieństwem powiedzieć można, iż w nim tylko pewna właści-

1) *Ib.* str. 9, przypisek.

2) *Ib.* str. 17, przypisek.

wość ustrojowa nerwów i krwiobiegu, pewna szczególność funkcji serca i mózgu na podstawie szerszego wykształcenia doprowadziły do daleko wyższej potęgi samorzutny smak artystyczny ojca, po którym syn wziął uwielbianie Turnera, i silną a nierozumową pobożność matki, która wpoila w dziecię swą wiarę i swój nałóg religijności <sup>1)</sup>. Rozważając starannie pracę jego od początku aż do końca, dostrzec musimy, że jest on przede wszystkim spostrzegaczem, „człowiekiem widzącym” w ścisłym znaczeniu wyrazu, człowiekiem, który w sztuce wykrywa zamiary i znaczące rysy tam, gdzie inne oczy niedopisują, który co prawda widzi też często w sztuce i w przyrodzie, w słowach i w książkach zamiary i rysy znaczące całkowicie nierzeczywiste, stworzone przez własną jego wyobraźnię, ale który wykrywa też należycie stosunki życiowe między rzeczywistymi zjawiskami tam, gdzie zupełnie chybia tępe oko przeciętnego człowieka, i który taksamo umie odszukać wszelki odcień planu i celu w malowidle średniowiecznym lub w wielokształtnym obrazie katedry gotyckiej. Kilka własnych wyrazów, wcześniej napisanych przez Ruskina, wyłuszczają specjalną naturę jego daru:

„Im więcej o tem myślę, tem bardziej przekonywam się, jak mocno wraża się we mnie wniosek, iż największym po wszystkie czasy czynem duszy ludzkiej na tym świecie jest widzieć coś i opowiedzieć jasno, co się widziało. Stu ludzi potrafi mówić na jednego, który umie myśleć, ale tysiące potrafią myśleć na jednego, który umie widzieć. Widzenie jasne jest prorocstwem, poezją i religją — wszystkim razem” <sup>2)</sup>.

Dla niego było ono takim zawsze; częste zaś spostrzeżenia, iż widzi rzeczy całkiem odmiennie w różnych czasach, nigdy, jak się zdaje, nie zachwiały w nim nałogowej, ustrojowej ufności w konieczną prawdziwość własnych wrażeń.

---

<sup>1)</sup> Obacz *Fors Clavigera* list 10, str. 5; 42, str. 129; 53, str. 119; obacz też *Fraeterita*.

<sup>2)</sup> *Modern Painters* t. III, cz. IV, roz. XVI, ust. 28.

W *Malarzach Nowożytnych* i w *Siedmiu Świecznikach Budownictwa* Ruskin pisał o rzeczach protestanckich i katolickich w całkowicie ewangelicznym duchu swej matki, wnosząc do pełnego nadętości i retoryczności ówczesnego fanatyzmu angielskiego, którego przykład tak często dawał Arnold, własne bogactwo języka i zasobność głosu, ale nie wnosząc myśli, o którychby warto było mówić. Ponieważ zaś protestantyzm jego był co do istoty swej czysto angielski, owszem wprost parafjalny, i nawet wrażenia estetyczne zdolne były go nadweręzać, więc też Ruskin umiał zapominać o nim, ilekroć podziałało nań wrażenie dość żywe i głębokie. Wyrzekł się go w opisie małej „kaplicy waldensów, gdzie drobny piskliwy idjota głosił przed audytorjum, złożonym z siedmnastu starych bab i trzech drągali, że oni to są jedynymi dziećmi Boga w Turynie”<sup>1)</sup>. Od tej chwili nicość uroszczeń sekciarskich stała się częścią składową zwykłych myśli Ruskina. Teraz zobaczymy, w jaki sposób doszedł on do tego pojęcia. Każdy myślący człowiek, który po prostu zastanawiał się nad ogólnymi faktami religji chrześcijańskiej, nawet bez podniety piskliwego waldensa w małym zborze turyńskim mógł łatwo zrozumieć niedorzeczność wzajemnego potępienia się katolików i protestantów. Ale Ruskin dożył do lat z górą trzydziestu<sup>2)</sup>, stworzył różne dzieła, pracowicie wykończone i do wielkich zmierzające celów, i dopiero to szczególne spostrzeżenie w Turynie dało mu poznać prawdę za pośrednictwem oka i ucha. Tutaj być może mamy jakby klucz do jego ułomności artystycznej. Wyobraźnia Ruskina, na pozór tak bogata w działaniu, funkcjonować zaczyna zdaje się dopiero za otrzymaniem bezpośredniego bodźca od wrażeń zmysłowych. Dajmy mu je, a o ile skojarzenia obrazów wzrokowych owładną nim, umysł snuć będzie pasmo najgorętszych myśli, zabłysnąwszy odrazu słowami pałającymi. Tak naprzykład widok marnego kawałka opuszczonej

---

<sup>1)</sup> *Fors Clavigera* tom VII, r. 1887, list 76, kwiecień, str. 104.

<sup>2)</sup> Obacz retoryczny przypisek protestancki, dodany do *Seven Lamps of Architecture* 1849.

i beużytecznej ziemi, zagrodzonej sztachetami żelaznemi przed nowym gmachem na przedmieściu, które Ruskin zwykł był odwiedzać, nasuwa mu do głowy całą panoramę spełniania się bezcelowych i bezmyślnych zabiegów w dzisiejszym naszym przemysłowym i kapitalistycznym ustroju, jako całości, oraz przechodzenia ich w stan brzydoty, zobojętnienia i znikczemnienia <sup>1)</sup>. Takich bodźców pełno na świecie, i Ruskin jest nieskończenie wrażliwy na nie, gdy jednak wypadnie mu mówić o jakimś zagadnieniu, gdzie bodźce owe nie służą, gdzie ścieżka do prawdy biegnie manowcami, możliwemi do przebycia jedynie pod warunkiem niestracenia z oczu wątku cierpliwie snutej myśli, której warunkiem jest metoda zgodności, Ruskin jest przewodnikiem zaiste cudackim. Skutkiem tego, ilekroć wrażenia zmysłowe nie zdołają pobudzić go do jasnego widzenia, religja jego staje się równie dowolną i nierozumną, jak wówczas, gdy wpajała mu ją matka, biblijność staje się równie średniowieczną, filozofja równie dziecinną.

## IV.

Powiedziałem, że Ruskin, jako nauczyciel społeczeństwa, wywiera wpływ bardziej skuteczny i silny, niż którykolwiek z jego współczesnych. Zawdzięcza to dwu wielkim zaletom swoim: umiejętności stylowej i jasności wykładu w zakresie dokładnego widzenia. Proza jego, która od początku posiadała niezmierny zasób siły i barwności, w latach późniejszych stawała się coraz bardziej samowładną i iskrzystą, nie tracąc nic ze swej wymowności, zdając się wypalać coraz czystiej w ogniu entuzjazmu. Jako pisarz, ma się on tak do Carlyle'a, jak Apollon do Tytana, jest z urodzenia arcy mistrzem <sup>2)</sup>, gdy tamten jest olbrzymim zapaśni-

1) Obacz *The Crown of Wild Olive* wyd. z r. 1882, str. 4—10.

2) Nie znaczy to rozumie się, iż Ruskin nie pracował gorliwie. Przyznaje się do naśladowania Hookera (*Frondes Agrestes* str. 147) i opowiada, jak niegdyś poświęcał godziny całe na wyglądanie ustępów.

kiem; potrafi też osiągać skutki, o których Carlyle nie marzył nigdy. Arnold, przytaczając z podziwem jeden z najcudowniejszych ustępów opisowych Ruskina, zauważył z łagodną wymówką, że styl usiłuje tutaj uczynić więcej, niż w rzeczywistości może dokazać proza. Własny styl Arnolda z pewnością nie kusił się nigdy o to; tchnienie jego ducha nie porusza nigdy gładkiej powierzchni przezroczych wód słowa. Ale słuchanie Ruskina, nawet gdy wyczerpuje język, jest doświadczeniem literackim cennym z każdego względu. Przewyższając Carlyle'a magicznością słowa, Ruskin przewyższa go też siłą świetlną swej krytyki nowożytnych stosunków angielskich, krytyki, która widzi prawdziwie i zdąża do celu trafnie. Przygotowanie jego, nabyte dzięki ścisłym badaniom w dziedzinie stosunków estetycznych, zdawało się udzielać mu nadzwyczajnej siły widzenia i przedstawiania sobie w grupach i masach stosunków naszego życia przemysłowego, widzianych przez Carlyle'a jedynie pod kilku kątaami etycznymi, chociaż i Carlyle miał oko malarza. Carlyle, w gruncie purytanin, wpadał zawsze w przenośnie etyczne, Ruskin zaś, odzywając się na pierwiastkowe bodźce estetyczne, daje nam błyskawiczny obraz faktów rzeczywistych. Stąd Ruskin jest w tych rzeczach krytykiem o wiele bardziej „niechybnym”, że użyję wyrażenia Wordswortha, i zaiste muszę przyznać się do pewnego braku stosunkowej miary w wykładach niniejszych, w których Ruskin zajmuje połowę tego miejsca, jakie udzielono z osobna Carlyle'owi i Arnoldowi. Jedna chyba migotliwość natężonego jego światła może do pewnego stopnia usprawiedliwiać krótsze zajmowanie się nim, bo pod względem wielu swoich poglądów i spostrzeżeń nad naszym ustrojem społecznym Ruskin przy całej swojej namiętności i skłonności do zboczeń zapoznaje nas z faktycznymi podstawami socjologii dynamicznej bliżej, niż jakikolwiek inny z mistrzów, których badaliśmy. Ze wszystkich pisarzy poprzednich Ruskin szczególnie przypomina Rousseau, do którego podobny jest z usposobienia <sup>1)</sup>, z nie-

<sup>1)</sup> Bardzo przypomina halucynacje Rousseau opowieść o dzikiem przekęceniu przez Ruskina uwag Carlyle'a o tem, jak się z nim obchodzono pod-

stałości, z namiętnej przenikliwości, z talentu literackiego, ze swych ideałów i pragnień społecznych. I być bardzo może, iż miał on wpływ dość podobny na pokolenie następne.

Czytać Ruskina jest to spostrzegać istotne znaczenie życia naszego w wyrazach wrażeń ludzkich i jednocześnie nabywać wynikające stąd możliwości wrażeń przyszłych. Przez swoje krzyki, potępiające maszynowość, Ruskin ściągnął na siebie nader wiele uzasadnionego lekceważenia, bo też o ile ocenia skutki ustroju maszynowego za pomocą fantastycznych wzorców bezwzględnych i fałszywych miar porównawczych, za pomocą przeciwstawiania terażniejszości urojonym stosunkom przeszłym, lekceważenie to jest usprawiedliwione. Z drugiej atoli strony Ruskin napisał na pochwałę maszynowości wiele ustępów najpiękniejszych w całym piśmiennictwie, naprzykład na pochwałę lokomotywy <sup>1)</sup>, co się zaś tyczy reszty, zarzuty Ruskina przeciw warunkom, w których używamy maszyn, i przeciw celom, do których je stosujemy, są nieprzeparte. I nawet: gdy przesadza i bierze przykład szczególny, który przez gwałt jedynie popiera jego zarzuty, nie zaś rzeczywiście uosabia fakt typowy, wówczas nawet jego sposób patrzenia na rzeczy i stawiania sprawy często daje dziwnie wiele do myślenia i może przydać się do stworzenia uogólnień zdrowszych, niż pomyślane przez Ruskina. Obaczmy naprzykład, jak uzasadniał wyrażenie swoje: „piekielny sposób przenoszenia się z miejsca na miejsce”, co miało ogólnie określać podróż koleją żelazną. W jednej chwili odtwarza z żywą drobiazgowością migotliwy obraz podróży koleją żelazną, widziany przez się rzeczywiście własnymi oczami.

---

czas przechadzek po Londynie. Obacz w tym względzie Shepherd'a *Life of Carlyle* t. II, str. 248—252.

<sup>1)</sup> Obacz wstęp, przytoczony w szkicu profesora Geddesa *John Ruskin* w serji *Round Table* str. 20. Ale Geddes myli się, twierdząc dalej, jakoby ustęp przytoczony dowodził, że w błędzie są ci, którzy utrzymują, iż Ruskin radzi zaniechać używania wszelkich maszyn. Ruskin rzeczywiście to zalecał; obacz niżej. Jest to jedna z jego niezliczonych sprzeczności.

„Naprzykład. Miasto Ulverstone leży w dwunastu milach ode mnie: cztery mile drogi górskiej ponad jeziorem Coniston, pięć doliną pasterską, pięć brzegiem morza. Trudno znaleźć przechadzkę zdrowszą lub miłszą. W dawnych czasach, jeżeli wieśniak konistoński miał jakiś interes do Ulverstone'u, szedł pieszo, nie stracił po drodze nic, chyba że zdarł podeszwy, pił wodę ze strumieni, a jeżeli wydał parę groszy, doszedłszy do Ulverstone'u, „był to już koniec świata!” Ale teraz ani pomyśli o czemś podobnem! Naprzód idzie trzy mile w kierunku przeciwnym do stacji kolejowej, potem robi koleją dwadzieścia cztery mile do Ulverstone'u, płacąc dwa szylingi w drodze za jedzenie. Podczas dwudziestoczeromilowej podróży siedzi beczynnienie, zakurzony, głupi, doznając przykrości albo z powodu zbyt gorąca, albo z powodu zbyt wielkiego zimna. W jednym i drugim razie pije piwo na dwóch lub trzech stacjach, spędzając czas jazdy na rozmowie z ludźmi, których spotka wypadkiem; nie ma w dodatku o czem mówić, taka zaś rozmowa zawsze staje się występna. Przybywa do Ulverstone'u zmęczony, napół pijany i z innemi jeszcze grzechami na sumieniu, a nadto przynajmniej o trzy szylingi uboższy, niż rano. Z sumy tej szyling poszedł na piwo, trzy pensy do kieszeni akcjonarjusza kolejowego, trzy pensy na węgiel, osiemnaście zaś pensów wydano na opłacenie tęgich ludzi, najętych do podłej mechanicznej pracy robienia i prowadzenia maszyny, któraby zamiast ich własnych nóg wozila pijanych wałkoniów. W skutkach mamy bezwzględną krzywdę i demoralizację biedaków, i to pod każdym względem, a niesprawiedliwy zysk bogatych. Wyobraźmy sobie proszę, co pomyślelibyśmy o całym tym interesie, gdybyśmy widzieli urzędników i służbę kolejową, zajętych istotnie przenoszeniem na własnych plecach rodaków swoich do Ulverstone'u? A przecież dzisiaj, gdy ludzie ci trącą nadto tyle żelaza i paliwa, dopatrujemy się w tem jakiegoś zysku! <sup>1)</sup>“

---

1) *Fors Clavigera* list 44, sierpień 1874, tom IV, str. 166—7.

Tymczasem jest to wyraźnie zły przykład podróży koleją, a wybór kontrastu między podróżą pieszą, a podróżą pociągiem, zamiast między przejazdem koleją a przejazdem w starym dyliżansie lub na wozie, każe niemal powątpiewać o zdolności autora do czynienia porównań sprawiedliwych. Ale przecież i tu jest pewna strona sprawy, której większość ludzi nie umie dojrzeć. Przejdźmy teraz do obrazu, który daje daleko więcej treści socjologicznej, do obrazu, którego przedmiotem jest stosunek angielskiego układu gruntowego do układu przemysłowego miast i estetyczne wyniki tego stosunku. Jak zwykle, Ruskin widzi rzeczy konkretnie i zaczyna od określenia stanowiska i działalności typowego *landlorda* lub szlachcica.

„Zajęcie szlachcica w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu polegało powszechnie na pobieraniu żywności, dostarczanej mu przez majątek ziemski, i sprowadzaniu jej do Londynu, aby nią wykarmiać ogromną ilość budowniczych, stolarzy i tapicerów (jeden z nich zacenił mi niedawno pięć funtów szterlingów za stołeczek pod nogi), fabrykantów powozów i uprzęży, krawców i modniarek, woźniców, lokai, lichych muzyków, kiepskich malarzy, szulerów i nierządnic oraz mnóstwa kupców, sprzedających pomniejsze bezużyteczne przedmioty dla zaspokojenia potrzeb ludzi z pierwszych kategorii. Ponieważ mięśnie i czas tej olbrzymiej ilości osób pozostają całkowicie nieprodukcyjne (bo rozumie się czas, stracony na samą czynność sprzedaży, jest nieprodukcyjny taksamo, jak nieprodukcyjny jest w bardzo znacznej mierze czas lokaja i woźnicy, podczas gdy żywot pospolitego tapicera, jubilera, skrzypka, malarza itd. itd. jest nie tylko nieprodukcyjny, ale szkodliwy), więc cała masa ludności londyńskiej nie robi nic zgoła ani dla wyżywienia, ani dla przyodziania się; gdy zaś marne ich życie nie pozwala im na żadną rozsądną rozrywkę, zmuszeni są szukać sposobu na zabicie czasu w laudajackich płodach literatury, na którą popyt daje znów zajęcie innej olbrzymiej klasie ludzi, nic nie robiących dla wyżywienia lub przyodziania się; nakoniec czcze spory tej występnej ludności dają zajęcie rozległemu przemysłowi prawników oraz ich kancelistów, którzy podobnież nic nie

robią dla wyżywienia lub przyodziania się. Wieśniak tymczasem może jeszcze być zdolny do zaopatrywania tej olbrzymiej ludności miejskiej w żywność (w postaci renty szlachcica), ale nie może bez pomocy maszyn dostarczać pajęczych ubiorów, cacek, wyrobów kruszcowych oraz innego śmiecia, bez którego nie obchodzi się nędzne życie tych ludzi. Z tego powodu nad całym krajem kopci się niebo i zapowietrza okolice, żeby Londynowi i innym takim miastom dostarczyć sztachetek żelaznych, banalnych mebli, klejnotów, bawidełek, liberji, koronek i różnych środków marnowania i zniesławiania życia. Stopniowo ludność wiejska traci możliwość zasycenia nawet żywnością żarłocznych ognisk zepsucia, i zachodzi konieczna potrzeba dowożenia żywności z innych krajów, dając im wzamian wszelkiego rodzaju towary, na które możemy złapać ich świerzbujące zachcianki i które możemy wytwarzać za pomocą maszyn. W taki sposób całkowita energja życia narodowego dąży do tego, żeby coraz bardziej zbliżać społeczeństwo do stanu wiewiórki w klatce albo psa, obracającego rożen — żywność przez obcego pana orzechami i ochłapami”<sup>1)</sup>.

A dalej idzie przelotny obraz środkowego Londynu, obraz dowcipny, gryzący, niezapomniany i niezbity. W tem rozumie się jest także przesada taksamo, jak i w Arnoldowej klasyfikacji rodaków, nie biorącej nawet dla przyzwoitości pod uwagę mnóstwa mniej lub więcej wykształconych i dobrych osób we wszystkich klasach. Jak wszyscy ludzie nie są w istocie rzeczy barbarzyńcami, Filistynami i motłochem, tak też życie przemysłowe i handlowe nie zawsze bywa nieszlachetne i bezmyślne, ale często rozjaśnione sztuką, oświatą i niesamolubnem uczuciem dobroci. Biorąc wszakże twierdzenia Ruskina hurtem, któż im odmówi siły i trafności?

Weźmy następnie znów inne z jego uogólnień socjologicznych, jeszcze bliżej docierające do prawdy, i zobaczymy, co się da zrobić z niego.

---

1) List 44, sierp. 1874 r., tom IV, str. 173—175.

„Rozważmy, jak naprawdę mają się rzeczy z temi pożyczkami obcych rządów wojskowych i jakie to są rzeczy dziwne. Gdyby przyszedł do nas mały chłopiec angielski i prosił o pieniądze na kupno rakiet i petard, pomyślelibyśmy dwa razy, zanimbyśmy mu je dali; przyszedłoby też nam może do głowy na widok wzlatających do góry fajerwerków (choćby nawet nie zrzędziły one żadnej szkody), że pieniądze zostały zmarnowane. Ale dzieci Rosji i dzieci Austrii przychodzą do nas pożyczać pieniądze, aby tracić je nie na niewinne rakiety, ale na ładunki i bagnety, które posłużą do natarcia na nas w Indjach, do dławienia wszelkich szlachetnych objawów życia we Włoszech... i tym razem dajemy im pieniądze natychmiast, ponieważ płacić będą odsetki. Tymczasem żeby zapłacić te odsetki, muszą oni nałożyć podatki na każdego pracowitego wieśniaka w posiadłościach swoich, i z jego pracy my żyjemy. Taki jest nagi fakt, takie jest znaczenie praktyczne naszych pożyczek cudzoziemskich i jaknajwyższego procentu od kapitałów, a potem kłócimy się z biskupem Colenso, że jakoby on przeczy Biblii, i święcie wierzymy w to, chociaż każdy rozmysłny czyn życia naszego jest nowem urąganiem wobec najpierwszych rozkazów Pisma!“<sup>1)</sup>

Zmieńmy co nieco w zdaniach, postawmy coś innego zamiast zmory zamiarów rosyjskich na Indje, a będziemy mieli żywy, dramatyczny djagram, ułatwiający zrozumienie większej części długów państwowych ze stanowiska życia i postępowania. Ale ten kierunek rozumowania prowadzi daleko, i w innem znów miejscu pod wpływem innego bodźca—bo Ruskin jest po prostu nieprawidłowym szeregiem zygzaków świetlnych, nie łączących się nigdy w światło ciągle—widzimy go, docierającego do wniosków najgłębszych.

„Niemasz rzeczywiście nic bardziej potwornego pomiędzy wszelkimi objawami dzikości lub głupoty ludzkiej, o jakich dochowała się pamięć, nad fakt, że rządy mogą być,

---

1) *Crown of Wild Olive* str. 41—2. Por. *Fors Clavigera* w miejscach wskazanych przez skorowidz pod wyrazem „Dług narodowy.“

zdolne dostawać pieniędzy na każde głupstwo, które im się podoba spełnić, sprzedając kapitalistom prawo nakładania podatków na przyszłe pokolenia aż do końca czasów. Wszelkie najokrutniejsze wojny i wszelkie najszkaradniejsze zbytki, uprawiane przez klasy próżniacze, są po sto z górą razy opłacane przez biedaków. A przecież muszę trzymać pieniądze w papierach publicznych lub w banku, bo nie znam innego sposobu zapewnienia im bezpieczeństwa; gdybym zaś odmówił pobierania procentu, oddałbym go tylko w ręce ludzi, którzy użyliby go na swoje złe cele, w każdym zaś razie na cele mniej dobre od moich. Niemniej jednak z każdym dniem nabiera dla mnie większej wagi pytanie, co nakazywać może słuszność w chwili obecnej. Czy nie lepiej jest zmniejszyć prywatne uczynki miłosierdzia a nawet zmniejszyć zbytkowność życia własnego, niż w jakikolwiek bądź sposób okazywać pobłażliwość dla grzechu narodowego? Ale rzecz ta nie wzburza mnie ani niepokoi; dość mi, że znam zasadę swoją i pracuję wytrwale nad lepszym jej wypełnieniem” <sup>1)</sup>.

Mamy tu odpowiedź Ruskina na oskarżenia, często miotane przeciw niemu, iż nie przystoi mu potępiać lichwy, skoro z odsetków przeżył większą część swego życia. Odpowiedź jest wystarczająca. Wszystko, co możnaby przeciw niej przytoczyć, jest, że gdyby Ruskin był zawczasu namyślił się zarabiać na utrzymanie własną pracą, jak mógł uczynić oddawna i jak to czyni z korzyścią nawet obecnie, czerpiąc dochód z książek swoich, byłby w stanie użyć majątku, pracowicie nagromadzonego przez ojca, na założenie instytucji, któreby działały w myśl jego celów. Ale zresztą w naszym świecie handlowym nawet instytucje muszą przeważnie istnieć z odsetków, z drugiej zaś strony ktokolwiek wie, jak rzadko myśliciel niezależny może dokonać najlepszego dzieła, do jakiego jest zdolny, pracując dla zarobienia na chleb i masło, ten nie będzie się śpieszył ze zdaniem, że sposób życia Ruskina był zły nawet w świetle jego własnych

---

<sup>1)</sup> *Fors Clavigera* list 44, str. 178—9, tom IV, r. 1874.

ideałów. Z pewnością i on w znacznej mierze pozwalał sobie na „zbytkowność życia”, ale też prawdopodobnie cierpiał z tego powodu i nie był tak bardzo próżniakiem, skoro pracował głową.

## V.

Praca Ruskina w dziedzinie socjologii nie skończyła się na zbadaniu moralnych połączeń i następstw instytucji; zwrócił zdolności swoje na pole ekonomji naukowej, dochodząc do kilku godnych uwagi wyników. Odrazu kładzie rękę na czcigodny sofizmat oszczędności i wypowiada fakt jak ten ma się rzeczywiście.

„Ludzie zawsze mówią i piszą, jak gdyby zamożność — (to znaczy bogactwo pieniężne) — była bezwzględna, i jak gdyby było możebne dla każdego dojść do bogactwa pod warunkiem trzymania się pewnych przepisów naukowych. Tymczasem bogactwo jest siłą podobnie, jak elektryczność, i działa jedynie w warunkach nierówności albo przeczenia samemu sobie. Siła gwinei, którą mam w kieszeni, zależy całkowicie od nieobecności gwinei w kieszeni sąsiada. Gdyby on jej nie potrzebował, dla mnie byłaby ona bezużyteczna”<sup>1)</sup>.

Jest to myśl najzupełniej prawdziwa, godząca w podstawę powszechnie przyjętego optymizmu ekonomicznego, który czyni z tak zwanej ekonomji politycznej nie ekonomję polityczną lub narodową, ale — jak słusznie mówi Ruskin — ekonomję kupiecką.

„Oszczędność kupiecka, oszczędność ekonomji „handlu“ lub „zapłaty“ oznacza nagromadzenie w rękach osobników legalnego lub moralnego prawa czy władzy nad pracą innych, przyczem każde takie prawo każe domyślać się, iż pojednej stronie jest tyleż właśnie biedy lub długu, ile po drugiej bogactwa lub wierzytelności“<sup>2)</sup>.

---

1) *Unto this Last* str. 40.

2) *Ib.* str. 42.

I podczas gdy ekonomista merkantylny myśli zawsze o samym tylko mechanizmie wytwarzania i wymiany, wytwarzając na oślep, żeby sprzedawać za bezcen, Ruskin słusznie nalega na to, że badanie i regulowanie spożycia jest wyraźnie najgłówniejszym zagadnieniem prawdziwego ekonomisty politycznego.

„Ekonomiści zazwyczaj mówią tak, jak gdyby w spożyciu bezwzględnie nie było nic dobrego <sup>1)</sup>. Tymczasem rzecz się ma zgoła odwrotnie; spożycie bezwzględne jest końcem, koroną i szczytem doskonałości wytwarzania, mądre zaś spożycie jest sztuką daleko bardziej trudną, niż mądre wytwarzanie. Dwudziestu ludzi potrafi zarabiać pieniądze na jednego, który potrafi ich użyć, a dla osobnika i dla narodu zagadnieniem żywotnym jest zawsze nie: „ile zarabia się pieniędzy?“, lecz: „na co się je wydaje?“ <sup>2)</sup>

Podejrzewam, że gdyby to był napisał ktoś inny, Ruskin mógłby protestować gwałtownie, iż „końcem, koroną i szczytem doskonałości wytwarzania“ jest nie spożycie, ale życie, podtrzymywane przez nie; wszelako w wyrazach ekonomji teoria jest całkowicie mocna, i wcielenie jej do nauki jest nieuniknione. W tym samym duchu od wielu już lat pracowali różni pisarze, jedni natchnieni przez Ruskina, inni zaś nie, i gdyby tylko Ruskin mógł być zawsze i wogóle pisać naukowo i logicznie, gdyby był mógł dać nam spójnie pomyślane dzieło ekonomiczne bez odbiegania od przedmiotu i bez dodatków nieuzasadnionych, bez tego słowem, co jest nie nauką, ale osobistym jedynie zboczeniem i kaprysem, sprawa przebudowy ekonomji mogłaby pójść w znacznej mierze prędzej. Ale u Ruskina prawda nie leży nigdy daleko od błędu, usposobienie zaś jego nie jest tego rodzaju, żeby pozwalało z pogodną rozkoszą poszukiwać prawdy. Zarozumiała pewność siebie popychała go do potępienia jesz-

<sup>1)</sup> Mill, mówiąc o spożyciu produkcyjnym, ma na myśli takie tylko spożycie, którego wynikiem jest wzrost kapitału lub bogactwa materialnego. Obacz t. I, ks. III, 4 i t. I, ks. III, 5. (*Przypisek Ruskina*).

<sup>2)</sup> *Ib.* str. 144.

cze nawet przed zrozumieniem całości, gdy zaś złapał ekonomistów na pewnych błędach, wbił sobie w głowę, że każda ich formuła jest fałszywa.

„Pisma gminnych naszych ekonomistów politycznych, zowiąc pieniądze jedynie „środkiem wymiany“, zaślepiają głupawą publiczność ku wygodzie wszelkich czynności praktycznych mechanizmu obiegowego. Pieniądz nie jest środkiem wymiany, ale oznaką, dowodem prawa. Dajmy na to, że w tej chwili mam dziesięć, dwadzieścia albo trzydzieści funtów sterlingów. Oznacza to w porównaniu z człowiekiem, który ma tylko dziesięć funtów, że ja mogę rościć sobie prawo, wymagać i czynić, co mi się podoba, z tysiąc, dwa tysiące albo trzy tysiące razy większą ilością rzeczy wartościowych, istniejących już w kraju“<sup>1)</sup>.

Zarzut „gminności“ możnaby słusznie zastosować do pogardliwej napaści na teorię, której krytyk nie zbadał, jak należy. Najzupełniejsza prawda, że pieniądz jest znakiem prawa, ale najzupełniejszą jest też prawda, że pieniądz jest środkiem wymiany, i typowa ważność jego od tego właśnie zależy, że jest on środkiem wymiany, ponieważ suma istotnie obiegającej monety jest o wiele mniejsza od całkowitej sumy należności. Znak prawa może przyjmować tysiące innych postaci prócz pieniężnej. Książeczka kasowa, wydana przez bank, jest znakiem prawa, takim samym dowodem jest kwit dłużowy, weksel albo dowód składowy (*warrant*) w handlu, a człowiek, posiadający trzydzieści tysięcy funtów, nie marzy nigdy o trzymaniu ich w postaci pieniędzy. Ale wielkie rozpowszechnienie się handlu wzięło początek z ułatwienia wymiany, umożliwionego przez pieniądze, które do dziś zachowały tę główną czynność. Krytyka Ruskina jest nie dbała i źle skierowana. Czemś gorszem wszakże, niż nie dbalstwem, jest przedwstępna napaść Ruskina na techniczną metodę ekonomji; przekręca on ją po prostu w ten mianowicie sposób, żeby wydawała się innym równie obrażającą poczucie moralne, jak obcą jest jego własnym sposobom

---

1) *Fors Clavigera* list 44, sierp. 1874 r., t. IV, str. 173, przypisek.

myślenia. Być może, iż pod tym względem Ruskin słowami swemi uwiódł więcej głów słabych, niż pod innymi względami pouczył głów mocnych dzięki lepszym sądom swoim.

„Pomiędzy złudzeniami, które w rozmaitych okresach opanowywały umysły wielkiego mnóstwa rodzaju ludzkiego, złudzeniem być może najciekawszem — z pewnością zaś najmniej zaszczytnem—jest nowożytna niby-nauka ekonomji politycznej, oparta na myśli, że potrafimy ułożyć pożyteczny kodeks działalności społecznej, nie uwzględniając wpływu uczucia społecznego“<sup>1)</sup>.

Otóż na samym początku mamy tu wyraźne oszczerstwo. Ekonomiści nigdy nie zapowiadali ułożenia „pożytecznego kodeksu działalności społecznej“, ale tylko wyłuszczenie praw lub dążeń normalnego postępowania ekonomicznego. Od oszczerstwa krytyk posuwa się teraz do niedorzeczności:

„Ani zbijam, ani wątpię o wynikach nauki, jeżeli przyjęto jej przesłanki. Po prostu tylko nie dbam o nią taksamo, jak nie byłbym ciekaw wniosków nauki gimnastycznej, któraby wychodziła z założenia, że ludzie nie mają kości.... Nowożytna ekonomja polityczna stoi na podstawie zupełnie podobnej“<sup>2)</sup>.

Nie mogę się teraz dziwić, że ekonomiści odwracają się od Ruskina z pogardą lub gniewem. Analogja jego jest czystą niedorzecznością, i mogłaby równie dobrze być użyta przeciw mechanice, o ile ta wychodzi z pierwszego prawa ruchu. Ruskin powtarza tu tylko stary i oklepany fałsz, nie dziw zaś, że gdy książka ekonomiczna tak się zaczyna, biegli czytelnicy, którzy też mają swe uprzedzenia, odrzucają ją lub wyśmiewają. Jeżeli czytać będą dalej, spotkają inne popisy, o których prawie niepodobna mówić językiem zwykłego sporu naukowego. Mówiąc o Ricardo, Ruskin wypowiada jedną zwłaszcza uwagę krytyczną, godną sofisty z Old

1) *Unto this Last* str 1.

2) *Ib.* str. 3—4.

Bailey <sup>1)</sup>. Przytacza zdanie Ricarda <sup>2)</sup>, że gdyby narzędzia pierwotnego myśliwca i rybaka były równej wartości i trwałości i gdyby były wytworem jednakowej ilości pracy, to „wartość zwierzyny, wytworu pracy jednodziennej myśliwego, równałaby się ściśle wartości ryb, wytworu jednodziennej pracy rybaka. Stosunkowa wartość ryb i zwierzyny zależałaby całkowicie od ilości pracy, włożonej w każdy wytwór.” Ruskin podkreśla wyrazy i woła:

„Doprawdy? A więc jeżeli rybak złapie jedną sardelę, a myśliwy upoluje jedną sarnę, jedna sardela będzie miała wartość jednej sarny; jeżeli zaś rybak wcale nie złapie sardeli, a myśliwy upoluje dwie sarny, to nie istniejące sardele będą miały wartość dwóch saren” <sup>3)</sup>.

Kto zna bodaj najpierwsze początki ekonomji, ten spostrzeże, iż jest to niegodne igranie z wyrazami. Ricardo stosuje rzeczywiście rozumowanie do zjawisk przeciętnych, i jeżeli przeciętnie dzienna praca rybaka da mu tylko jedną rybę, ryba ta będzie warta tyleż, co przeciętna zdobycz myśliwego, jakakolwiek mogłaby być ostatnia. Zasada Ricarda jest trwałą częścią nauki ekonomicznej. Ani słowa, Ricardo powinienby był, wypowiadając swe zdanie, poczynić bardziej dokładne zastrzeżenia ilościowe, ale pisał dla ludzi, którym wypada go rozumieć, nie dla takich, którzyby pragnęli dopuszczać się z nim kuglarstw. Ekonomiści zaś, którzy znali wartość i jednolitość nauki Ricarda, musieli być wielce skłonni do napiętnowania Ruskina na mocy tego haniebnego ustępu mianem niesumiennego sofisty <sup>4)</sup>.

<sup>1)</sup> Old Bailey (blisko więzienia Newgate, między Holborn Viaduct i Ludgate Hill w Londynie) jest miejscem posiedzeń głównego sądu kryminalnego. Tam osądzono członków tybunału, który skazał na śmierć Karola I, tam spalono *Eikonoklastes* i *Defensio Prima* Milтона, egzekwowano Wiljama Russela (1653), postę *savage'a* (1727), Bellinghama (1812) i t. d. (*Przyp. tłum.*)

<sup>2)</sup> *Principles of Political Economy* roz. I, dział 3.

<sup>3)</sup> *Unto this Last* str. 115.

<sup>4)</sup> Niekiedy zaś Ruskin ucieka się do jaknajbardziej zdumiewającej obelżywości. O Adamie Smith'ie tak pisze: „Prawda, że ten Szkot pół-krwi i pół-rozumu nie miał dosyć zdolności, iżby własnoręcznie wyrzeźbić na granicie bo-Humaniści nowożytni.

Taki obrót rzeczy jest pod pewnym względem typowym następstwem działalności Ruskina w wielu kierunkach. Dla braku cierpliwości i umiarkowania oraz niestety dla braku nieprzerwanej równowagi umysłu Ruskin zwrócił przeciw sobie zarówno ekonomistów, jak artystów, demokratów, racjonalistów i uczonych, a ten nadmiar powszechnej dokoła nagany zbyt drogo opłacony został przez człowieka, który pragnął zjednywać prozelitów. Zjednał ich w istocie, znalazł zwolenników dobrego często typu, wrażliwych, wykształconych, szczerych, współczujących, oświeconych, mających na pozór wszystko, prócz siły wywołania energicznego ruchu. Miał tysiące czytelników, ale musiał skarżyć się gorzko, iż pisał nadaremnie.

## VI.

Tymczasem nikt nie odwołuje się do sumienia jednostki w sposób bardziej przejmujący, nikt nie domaga się bardziej bezpośrednio czynów osobistych. W miejscowościach jaknajbardziej niewłaściwych, w ognisku pogrążonego w ciemnościach i djabelstwie życia fabrycznego, które go przyprowadza do wściekłości, w Sheffieldzie i Glasgowie Ruskin wzbudza wiry niezadowolenia z istniejącego porządku rzeczy. Kto raz go usłyszał, ten może stracić nadzieję lepszej przyszłości, lecz nie potrafi już pozostawać zupełnie obojętnym na istotę otaczających go stosunków. Oskarżenia olśniewają zmysł spostrzegawczy, jak błyskawica oko.

„Obecny wasz system wychowawczy na tem polega, żeby pozyskać hultaja budowniczego, który każe łotrowi dozorczy polecić łajdackiej zgrai murarzy, aby pośrodku miasta, zatrutego wyziewami, zbudowali wam bydłeco-głupi gmach z podłogą żelazną, przez którą zginiecie wszyscy pewnego mroźnego wieczora; do gmachu sprowadzacie sobie lalkowatego gawrona-kaznodzieję w długim surducie i bia-

---

dajby własną swoją cielecą głowę” (*Fors Clavigera* list 72, luty 1876 r. str. 47). Względem Milla był stale grubijański.

łym krawacie, żeby wam opowiadał w słowach gładkich, iż Boga niema, a z kawałka cukru zrobić można tyle a tyle potraw. Czy o wiele lepsi stajecie się przez to, czy też nie?" <sup>1)</sup>.

Czy gwałtowność i gorycz tej mowy odpychają i odrętwiają, czy też dzika niedorzeczność krzyków przeciw nie-estetycznym siłom cywilizacji czyni serca ludzkie zatwardziałościami wobec krytyki estetycznej? I jedno i drugie jest możliwe, przecież esteta, zwracając się do osobistości słuchacza, umie być ujmująco poważnym, umie patetycznie wywierać wrażenie.

„Jeżeli obecny stan tej rzekomo bogatej Anglii jest tak zasadniczo nędzny i rażony ubóstwem, że ludzie uczciwi muszą wciąż żyć z dnia na dzień, podczas gdy speculanci robią majątki, wyłudzając od nich pracę, i jeżeli skutkiem tego nie można odłożyć żadnej sumy na uczynki miłosierne, tedy człowiek uczciwy, będąc obezwładnionym, z pewnością mało może zrobić dla terażniejszości. Ale jeśli bodaj cośkolwiek da się zaoszczędzić dla miłosierdzia, czynmy je; kupujmy mały kawałek ziemi pośród najgorszej pustyni zdala od naszych miast przemysłowych, sześć stóp powierzchni, jeśli nie można mieć więcej, choćby miejsce na grób, jeśli taka wola, byle nabyć je na zupełną własność; pracą rąk własnych stwórzmy tam ogródek, ogródek, widzialny dla wszystkich ludzi i pielęgnowany dla wszystkich mieszkańców tej okolicy. Jeżeli nic bezwarunkowo nie zechce tam rosnąć, sprowadźmy bodaj roślin doniczkowych. Zmuszmy ten kawałek ziemi, żeby wyglądał porządnie, czysto, zielono lub barwnie. Trudności, które napotkamy, robiąc to, są najlepszymi przedmiotami myśli naszych; dobry uczynek, który spełnimy w ten sposób, jest najlepszym, jaki spełnić jesteśmy w mocy" <sup>2)</sup>.

Jest to już z pewnością postęp w porównaniu z wrzaskiem Carlyle'a, że należy coś zrobić, ale Bóg wie co. Jakaż

<sup>1)</sup> *Fors Clavigera* list 75, 1 marca 1877 r., tom VII, str. 79—80.

<sup>2)</sup> *Fors Clavigera* list 44, sierpień 1874 r., tom IV, str. 180.

jednak nadzieja wynurzy się z tego, że dokonamy zalecanych przekształceń? Ton mówcy waha się, nabrzmiewa i znów opada.

„Cóż czynić mamy, dostawszy się w tę mechaniczną kolej życia? Musimy w niej trwać i pracować, jak można najlepiej na dziś, ale postanowić sobie, że wydostaniemy się z niej, o ile można najprędzej. Jedynym punktem zasadniczym jest poznanie gruntowne, że życie to jest błędne, jak zaś wydobyć się z niego, to możemy określić później wolnym czasem.”

A jednak otrzymujemy wskazówki dość dokładne:

„Wszelkie mechanizmy potrzebne dla celów ludzkich mogą być poruszane przez wiatr lub wodę; Tamiza sama jedna mogłaby wprawiać w ruch dość maszyn, żeby tkać aksamity i jedwabie dla całej Anglii. Ale nawet to mechaniczne zajęcie, które nie pociąga za sobą zakażenia powietrza, powinno być o ile możliwości ograniczone, gdyż nieuchronnie znikczemnia ono.. W każdym razie nie powinniśmy dla żadnego celu ani pod żadnym pozorem żyć pośród dymu i brudu lub pozwalać innym na takie życie; powinniśmy widzieć, że niewolnikom naszym przystoi taka wygoda, na jaką pozwala im ich zajęcie, że pobierają oni zapłatę dość wysoką, iżby godziło się im często przerywać pracę dla wyzwolenia i spoczynku.”

W końcu wszakże znajdujemy najwyraźniej posępną i nieufną rezygnację, napół rozpaczliwą zimną krew proroka, który czuje, iż słowa swe rzucał na wiatr.

„Bądź co bądź, mówię swoje; nikt z nas nie wie, jak prędko biec mogą wypadki; zgadzając się z niemi, bądźmy przynajmniej rozumnie cierpliwi, jeżeli to wogóle potrzebne, nie zaś ślepo cierpliwi” <sup>1)</sup>.

Niekiedy znów zimna krew przechodzi w rozpacz, której jedyną latoroślą jest gwałtowność. Bo ta natura musi dawać wyraz każdemu nastrojowi, jak gdyby natchnienie chwilowe było ostatecznem uwieńczeniem myśli. Doprowa-

<sup>1)</sup> *Fors Clavigera* str. 177—8.

dzona starannie do równowagi igielka uczucia waha się w tę i ową stronę, wstrząsana ruchem statku, przyciągana przez rzeczy otaczające, niepokoiona przelotnymi prądami; duch, cierpliwie uwzględniający wszystko, obcy jest prorokowi. Skutkiem tego z pośród wszystkich ludzi sam prorok nie potrafi nigdy stawiać rzeczywistych przepowiedni.

## VII.

Czyż więc całej postawionej przez Ruskina krytyce życia nie udało się istotnie, jak nieraz twierdził sam autor, wywrzeć wpływu na postępowanie jego pokolenia? Mówi on, że mężczyźni czytują i chwalą jego książki, lecz nie są im posłuszni; że kobiety oddają mu hołdy, lecz nie przystępują do jego Towarzystwa Św. Jerzego. To prawda, i jeżeli nic nie zadawała Ruskina oprócz takiego widzialnego posłuszeństwa i takiego udziału w osobiście przezeń prowadzonym towarzystwie, to mógł z pewnością zejść do grobu z sercem złamanem. Społeczeństwo nie zmieni się nigdy za pomocą przesiąkania przez instytucje prywatne; musi ono przekształcić urządzenia własne, to zaś nie może nigdy stać się inaczej, jak tylko powoli, i nie może nigdy dokonać się mądrze i świadomie, jak tylko na zasadzie obszernej wiedzy i rozległego planu. Ale taki plan i taka wiedza z konieczności wyłączają panowanie egoizmu, to też mistrz, który żywi lichą ambicję rozkazywania społeczeństwu uczniów, zwących go mistrzem, zamiast szlachetnej ambicji ujrzenia ludzi coraz bardziej zdolnymi być samym sobie mistrzami tak, iżby uczynić zależność feudalną równie niemożliwą, jak już stała się barbarzyńską—taki mistrz skazany jest na skończenie życia w goryczy, jeżeli tylko ideały jego nie gasną wraz z siłą. Stracił on z oczu ślad rozumnej myśli, ukrytej w deistycznej zasadzie spuszczenia się na wolę bożą. Niemasz dłań zadowolenia poza urzeczywistnieniem własnej woli; wola zaś egoisty jest w warunkach danych równie ciąsna, jak jego życie. Niewątpliwie każdy reformator zachowuje się tak z początku, ponieważ istotną potrzebą i warun-

kiem spokoju ducha jego jest widzieć, iż rzeczy idą w pewnym kierunku. Ale niech się strzeże, żeby upodobań swoich nie posuwał poza granice możliwości, żeby serca nie wkładał w nic więcej, oprócz niezbędnych warunków ruchu postępowego. Niechaj starannie wyszukuje w myśli te warunki i o nie się ubiega i niechaj chętnie pozostawia resztę nieobliczonym popędom i pragnieniom rodzaju ludzkiego. W ten sposób najlepszą obierze sobie rolę w wypadkach. Wzdychać do odegrania w Europie roli Konfucjusza, do wyznaczenia wiekuistego porządku w świetle pewnych porządków starożytnych i obumarłych, jest to zatapiać miłość ludzi w egoizmie, a kto nie chce widzieć Europy, małpującej Chiny, ten musi cieszyć się, że jego bliźni nie pozwalają hipnotyzować się prorokom swoim.

Tymczasem na obliczu wszystkich dzieł Ruskina stoi wypisane, że silnie natężony egoizm był dlań warunkiem wymowności i energii. Niekiedy zapewne zdaje się on zniżyć we czci względem któregoś z mistrzów Ruskina, względem Carlyle'a lub kogoś innego, ale nawet wówczas Ruskin utożsamia poglądy osoby czczonej z własnymi i nie utrzymuje się nigdy w nastroju nieosobistego rozważania czystej prawdy. We wszystkich jego sporach, nawet w najlepszych i najśluszniejszych dowodzeniach widać zasadniczą niezdolność rozumienia lub choćby tylko przypuszczenia, że jakieś życie albo pogląd mogą być słuszne lub dobre, jeżeli nie godzą się z jego upodobaniami i przekonaniami. Stawia obowiązujące zasady kierowania wszelkiem życiem w zależności od tego, jakie były w danym czasie jego własne uczucia. Wyznając niekiedy transcendentalny szacunek dla kobiet, wytyka on wzory, według których kobiety mają żyć i myśleć, i to w chwili potępiania właściwej mężczyznom wiary, że oni powinni myśleć za kobiety. Mężczyźni nie powinni, ale Ruskin może. Prawo wyłożone zmienia się według okoliczności, przypadkowo działających w danej chwili na Ruskina. Raz wypada, że kobiety powinny rządzić domem. „Zdolności kobiety są do władania.... a umysł jej nie do wynajdywania lub tworzenia, jeno do słodkiego

porządkowania, układania i postanawiania" <sup>1)</sup>. Innym razem rzeczy się odwracają. „Wyobrażacie sobie może, jak mówiono wam zbyt często, iż żona powinna panować jedynie nad domem męża, nie zaś nad jego umysłem. Ach nie! prawdziwe panowanie kobiety jest właśnie wprost odwrotne; prawdziwa żona jest sługą małżonka w domu, zato w sercu jego jest królową” <sup>2)</sup>. Umysł zdaje się być tutaj utożsamiony z sercem. Ale inna książka uczy nas znów: „Mówiąc otwarcie, mężczyzna powinien znać gruntownie każdy język albo naukę, nad którymi pracuje, gdy tymczasem kobieta powinna znać ten sam język albo naukę o tyle tylko, żeby uzyskać możliwość odczuwania przyjemności męża i przyjemności najlepszych jego przyjaciół” <sup>3)</sup>. Dalej następuje trochę sofizmatów o różnicy pomiędzy wiedzą ograniczoną a wiedzą powierzchowną; kobieta powinna znać „w sposób wyśmienicie dokładny to wszystko, dokąd sięgają jej wiadomości”; ma to, jak przypuszczam, znaczyć, że kobieta powinna znać doskonale alfabet grecki lub konjugacje, żeby współczuć z poglądami mężowskimi na zepsute ustępy Eschileśa, oraz powinna znać doskonale dokładnie elementarny wykład botaniki, aby brać udział w rozprawach o stosunkach flory kopalnej. Gotowej odpowiedzi na te czułościowe niedorzeczności dostarczają słowa Milla: grubą zarozumiałością ze strony każdego mężczyzny, nawet ze strony każdej kobiety jest wskazywać, co mają od dziś robić, czego zaś robić nie mają wszystkie kobiety. Czemże jesteśmy zaiste, żeby rodzaj ludzki miał żyć według naszych wskazówek? A jeżeli nadto wskazówki nasze wciąż się widocznie zmieniają, kto może być pewnym, że którakolwiek z nich będzie kiedyś słuszną i dla kogo?

O ile sięga odczytanie moje, Ruskin jest pisarzem najbardziej z sobą sprzecznym, jaki żył kiedykolwiek. Zadaje on sobie kłam równie gwałtownie, jak Carlyle, i dla tej sa-

---

1) *Sesame and Lilies* wyd. 5-te, str. 136.

2) *Crown of Wild Olive* str. 143.

3) *Sesame and Lilies* str. 149.

mej zasadniczej przyczyny, że ma usposobienie po prostu gadatliwe; wścibia się przytem w daleko więcej przedmiotów, niż Carlyle, i stosunkowo więcej dogmatyzuje. W poglądach krytycznych na sztukę zasadą główną Ruskina w każdym dniu i roku i w każdej godzinie dnia jest zawsze chwalić lub ganić obrazy i metody według praw rzekomo ogólnych, lecz stawianych tylko na jeden raz. Dziś będzie potępiał, jako niegodne, wszelkie pisanie dla pieniędzy, jutro będzie stawiał za wzór życie Szekspira i Scotta, którzy systematycznie pisali dla zarobku. We wcześniejszych swoich *Wykładach o Sztuce* przyjmuje za zasadę, że najgodniejszym artysty przedmiotem jest oblicze i postać ludzka, w wykładzie późniejszym ma sobie za ba i bardzo malowanie postaci, dostępne jakoby dla każdego, wskazując natomiast krajobraz, jako sztukę rzeczywiście trudną i szlachetną. Przeczy sobie w tej samej książce, niekiedy w tym samym rozdziale, czasami na tej samej stronnicy.

Jednym z wyników usposobienia Ruskina jest, że jego krytyczne oceny osób bywają często szalenie niesprawiedliwe. Zabrania wychowañcom, którzy ulegle zrzekali się zdañ swoich na rzecz mistrza, czytać książki Henryki Martineau „nie dlatego, że jest ona niewierna” — na Woltera pozwala bez zastrzeżeń, ponieważ „głos jego rozlega się potężnie wśród wieków” — „ale że jest gminną i głupią w swej niewierze.” Jednakże przyznaje dalej, że niektóre jej pisma, umieszczone w *Deerbrook*, są całkowicie godne podziwu, i tak następnie usprawiedliwia obelżywy sąd swój:

„Wyrazu „gminność” używam tu w pierwszym (!) jego znaczeniu egoizmu, nie będącego samolubstwem, lecz niepojmowaniem własnego stosunku do wszechświata. Panna Martineau obmyśla książkę, później poczytną, i idzie na śniadanie, „nie wiedząc, jak wielka rzecz została dokonana.” Taksamo Buckle, umierając, myśli tylko, że nie skończy s w e j książki. Nie myśli zgoła, czy Bóg dokona kiedy S w e g o dzieła” <sup>1)</sup>.

1) *Fors Clavigera*. Nowa Serja, list 3, tom VIII, r. 1878, str. 76, n.

Pamięć Henryki Martineau, która, choć śmieszna mogła być nieraz jej radość z doznanych powodzeń, pod względem samooceny była jednym z najtrzeźwiejszych autorów, wytrzyma bez szkody napaść taką ze strony człowieka, którego pojęcia o „własnym stosunku do wszechświata” dotarły do szczytów dziwactwa, rzadko osiąganym na papierze. Ale napaść na Buckle'a wymaga potępienia gorętszego. Gdybym ją przeczytał, nie znając autora, nie wiedząc, że wyszła z ust człowieka, który paplał w sposób namiętne kapryśny, skłonny byłbym nazwać ją najpodlejszem i najhaniebniejszym oskarżeniem, jakie widziałem kiedykolwiek w piśmiennictwie świeckiem. Zresztą najzłośliwszy ksiądz, mniemać należy, zawahałby się mówić tak o rozrzuwającym westchnieniu uczonego, który umierał, zostawiając dzieło swe niedokończonym.

Wszystko to pochodzi z braku cierpliwości i z braku starania o zgodność, a te dwa braki są współzależne z prorockiem usposobieniem do zarozumiałej pewności siebie i czci dla siebie, grającej rolę deizmu. Najgorszy zaś z tego wszystkiego jest fakt, że gienjalność zdaje się być współzależna z nieroztropnością, że Ruskin miewa dar wymowy i olśniewające przeblyski przenikliwości pod warunkiem wpadnięcia w zapamiętałość prorocką, która nie pozwala na rozważę wszechstronną, że owładnięcie językiem polega na nadużyciu tej zdolności, co oddaje go nieustannie na łaskę wyrazów ponętnych, prowadząc do takich zagadek etymologicznych, nad którymi Arnold wzruszał tylko ramionami, oraz że pałająca żarliwość moralna wiąże się z pierwotnym nałogiem teozofji, nabytym jeszcze na kolanach matki i aż do końca czyniącym z Ruskina zawziętego wielbiciela biblijności, skutkiem czego — na wzór pikinjerów Cromwella — zwracał się on po zasady postępowania terażniejszego do starożytnej literatury hebrajskiej, prawdziwej i podrabianej. Przy takim zupełnym braku rękojmi zdrowego sądu, każdemu dziecku wrażeń musi się zdarzać, iż poda ludziom przypadkowo znalezione truciznę zamiast lekarstwa. Czasami Ruskin zdaje się tryumfować nad ciemnymi namiętnościami ludzkiemi, zdobywając się na nienawiść wojny i morderstw

z wyroku sądowego, ale rychło rozpalają go dawne złe ognie, i znów staje przed nami z obmierzłym kazaniem o szlachetności prawdziwej wojny, jako środka rozstrzygającego, kto jest człowiekiem najlepszym—zapamiętajmy to!—kto ma „najdzielniejsze ramię i najstalsze serce”, jakgdyby oznaczały one najmędrszą głowę lub najlepsze serce; i znów mamy wówczas pieśni pochwalne na cześć kata, który nawet w Carlyle’u mógł wywoływać poczucie, że zajęcie jego już się skończyło.

## VIII.

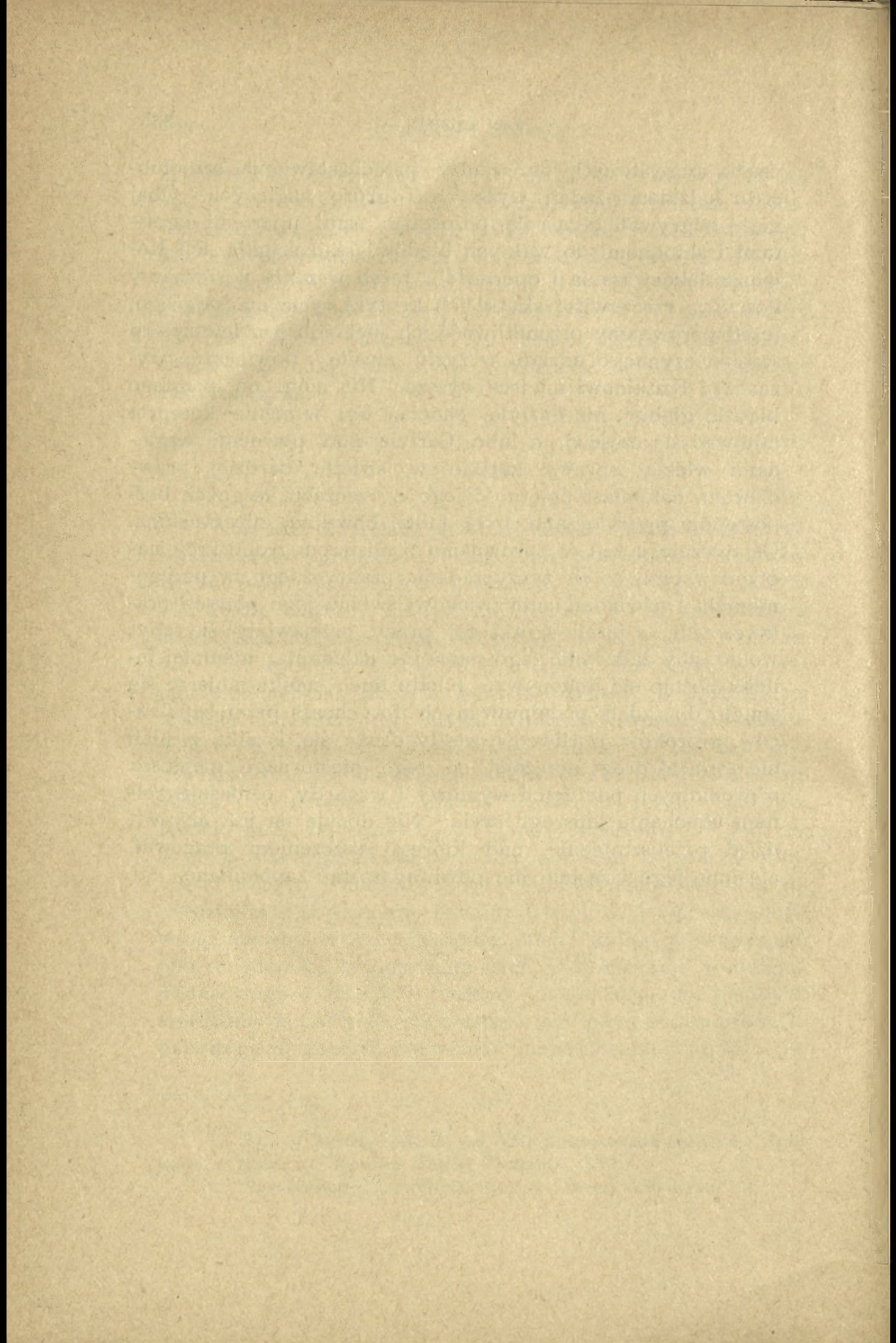
Nazwisko Carlyle’a prowadzi nas do ostatecznego i porównawczego streszczenia obu tych przyjaciół. Podziwiali się oni nawzajem wielce, przyczem Carlyle łączył podziw z krytyką, Ruskin zaś po największej części przestrzegał stanowiska uczniowskiego. Cóż więc w nich było wspólnego? Nic zgoła z miłości sztuki, która dla Ruskina była punktem wyjścia. Carlyle gardził sztuką <sup>1)</sup> i szydził z jej wielbicieli, podczas gdy nauka Ruskina streszcza się doskonale w jego własnym przedziwnym zdaniu: „Życie bez pracowitości jest zbrodnią, pracowitość bez sztuki jest zwierzęcością.” O Froude’zie, innym wybitnym uczniu Carlyle’a, Ruskin pisał, że jedną z jego „wad śmiertelnych” jest to, iż nie posiada „znajomości sztuki ani dba o nią” <sup>2)</sup>. Głównym węzłem jedności pomiędzy obu pisarzami jest, jak powiedzieliśmy poprzednio, badając Carlyle’a, po prostu duch wrogi rozwojowi nowożytnemu, duch, który prowadził ich obu do głęboko błędnych uniesień nad wiekami średnimi. Wobec tego o Ruskinie możemy powiedzieć, co ‘poniekąd mówiliśmy o Carlyle’u, że wartość jego polega na posiadaniu pobudzającej energji, na władzy niepokojenia gminnego po-

<sup>1)</sup> *Life of Sterling* część II, roz. VII; *Correspondence* Carlyle’a z Emersonem, t. I, str. 148; Emerson *English Traits* roz. XVI.

<sup>2)</sup> *Fors Clavigera* Nowa Serja, list 4, 21 marca, 1880 r., str. 114.

czucia szczęśliwości, na władzy przeciwstawiania samolubstwu ludzkiemu zadań wyższych i gróźb naglących. Obaj męże odgrywali taką rolę, pozostając sami upartymi egoistami i skłonni do walnych błędów, stąd ścigała ich Nemezys lekceważenia i oporności. Jeżeli wszakże porównamy ilościowo rzeczywiste skutki ich krytyki życia otaczającego, jeżeli porównamy przenikliwość ich wykładu i nadewszystko stopień czynnego udziału w życiu, musimy, powtarzam, wyznaczyć Ruskinowi miejsce wyższe. Nie mógł on podobno błądzić głębiej, niż Carlyle, chociaż był w stanie kompromitować się częściej, a lubo Carlyle pod pewnemi względami widział sprawy ludzkie w świetle bardziej prawdziwym, natomiast pojętność jego w rzeczach, leżących bezpośrednio przed oczami, była mniej chwytna, niż Ruskina. Ostatecznie uczeń w porównaniu z mistrzem zrobił krok naprzód w tem, co się tyczy zadania praktycznego, w przypominaniu i uświadamianiu wiekowi swemu jego potrzeb praktycznych, a jeżeli skutki tej pracy przejawiały się zbyt wolno, aby zadowolić jego namiętne nalegania, niemniej jednak postęp się dokonywa. Kiedy duch nauki zabierze się śmiało do zadań, podejmowanych dotychczas przez zapaleńców, proroków, gorliwców, wtedy okaże się, iż nikt z nich nie torował drogi potężniej od tego niesfornego gienjusza o gromowych pociskach wymowy i wzgardy, o nieśmiertelnem ukochaniu lepszego życia. Nie dożyje on już, aby widzieć przekształcenie, nad którego ziszczeniem pracował, ale imię jego i zasługi nie powinny zostać zapomniane.

---



## Herbert Spencer.

**H**ERBERT SPENCER urodził się w Derby 27 kwietnia 1820 r. Ojciec jego, przełożony szkoły miejskiej i sekretarz Towarzystwa Filozoficznego, był zapalonym entomologiem i przyuczał syna do zbierania, opisywania i klasyfikowania owadów. Rozwinięte w tej pracy popędy przydały się Spencercowi w późniejszej działalności naukowej. Nieprzewyciężony wstręt do lingwistyki nie pozwolił mu skończyć uniwersytetu w Cambridge, więc w 17-ym roku życia zwrócił się do zawodu inżynjerskiego, aby po 8 latach wziąć się do publicystyki i filozofji. Od 1860 r. pracuje nad *Filozofją Syntetyczną* (*Przyp tłum.*).

### I.



Wszystkich, które przejrzelismy dotychczas, poglądach krytycznych na życie, z wyjątkiem Milla, cechą znamioną, wyrytą na obliczu systematów, był fakt, że krytycy wypowiadali sądy rozległe na zasadzie wiedzy względnie szczupłej, będąc o wiele skłonniejsi do streszczania wszechświata, niż do przekonywania się, na czym on polega. Carlyle nie tylko brzydził się naukowem badaniem spraw ludzkich, ale nawet z zarozumiałością trudną do zrozumienia w umyśle rzeczywiście wyższym obrzucał nierozsądną wzgardą te idee nauk przyrodniczych, które w jego

oczach rewolucjonizowały myśl ludzką. Emerson, daleko bardziej zrównoważony i wrażliwy na nową wiedzę, był sam, jak widzieliśmy, jednym z najmniej spójnych, albo jak go nazywa Birrel, najmniej „konsekwentnych” myślicieli, oddając usługi raczej wzmacniającymi zdaniem swemi i hartującą wzniosłością ducha, niż spójnemi poglądami na sprawę ludzką. Arnold znów, chociaż nie uosabiał tego krańcowego nieuctwa naukowego, w którym ojciec jego chętnie dopatrywał się współrzednika właściwej żarliwości w dziedzinie filozofji chrześcijańskiej i politycznej, przecież ulegał wpływowi nauki o tyle tylko, o ile w owych czasach musiał mu ulegać człowiek, wykształcony liberalnie; do końca zato nie przestawał z miłym uporem patrzeć na życie oczami literata, szukającego najlepszej oświaty w tem, co „najlepszego myśleli i mówili” pisarze o niezbyt zawitych myślach; przekonany też był ciągle, że tylko tajemnicza siła pewnych starożytnych powiedzeń i przykładów może utrzymać ludzkość na drodze prawego postępowania <sup>1)</sup>. Ruskin w końcu, chociaż elektrycznym światłem swoim rozjaśniał błyskawicowo zarówno przyrodnicze jak społeczne nauki, był przecież w zasadzie, jak widzieliśmy, człowiekiem spostrzeżeń dorywczych, często prawdziwych, często błędnych, bez żadnego pierwiastku syntetycznego prócz deizmu, który po prostu przedstawiał wszechświat w wyrazach niesfornego usposobienia myśliciela. W Millu jedynie znaleźliśmy trafną i stateczną myśl o tej bardzo prostej prawdzie, że ponieważ wszelkie tak zwane uczucia pochodzą od spostrzeżeń lub pojęć, te więc uczucia mają największe prawdopodobieństwo słuszności, które wynikają z wiedzy najzupełniejszej i rozwagi najbardziej starannej, bo rozwaga jest jeno czynnością porównywania i poskramiania jednych uczuć przez inne.

Ale Mill nie poświęcał się całkowicie nauce, wkładając połowę życia w pracę biurową, zaszczytną i dobroczynną,

---

<sup>1)</sup> Należy wszakże zaznaczyć na korzyść Arnolda, że przez czas pewien przynajmniej głosił wyraźnie naukę o potrzebie kontrolowania. Obacz *Culture and Anarchy* str. 246.

lecz dla nauki jałową, nadto zbyt szybko potrafił zgromadzić dostateczny zasób wiedzy nowożytnej, nawet z dziedziny historii i socjologii, żeby stworzyć wszechstronną i głęboko pomyślaną krytykę życia. choćby nawet miał potrzebny do tej pracy zasób zdolności, władzy oceniania i wiązania faktów. W rozmaitych kierunkach Mill wyraźnie posunął wiedzę ludzką naprzód. W logice posunął całą analizę o jeden przynajmniej stopień; w ekonomji, nawet wznawiając stare fałszy, widocznie je rozpręgał i wprowadził naukę tę w dziedzinę poglądów prawdziwie politycznych w odróżnieniu od wyłącznie handlowych, wyświadczając szczególną usługę przez to, że kładł główny nacisk na zasadę dozoru nad zaludnieniem; w polityce praktycznej zaś poparł dowodzeniami, rozumowo uzasadnionemi i przekonywającemi, pożądaną swobody, które, wychodząc zarówno od mężczyzn jak od kobiet, przejawiają się tak często w postaci uczuć mętnych jeszcze i stają się ulubionym celem tanich pocisków ze strony pierwszych lepszych krytyków filozoficznego konserwatyizmu i jeszcze tańszych szyderstw ze strony ich towarzyszków mniej wybrednych, nienawidzących wszelkiej uczuciowości, chyba w najgorszym gatunku. Z tem wszystkiem jednak Mill pozostawił w filozofji swej luki niezmiernie; szczególnie widać w nim — poza praktycznym ujęciem zagadnienia ludnościowego — brak mocnych podstaw biologicznych, na których opierały się do samych prawie naszych czasów wszelkie filozofje polityczne i moralne, i których obecność jaskrawo w istocie rzuca się w oczy w wielu współczesnych pismach socjologicznych, odkąd Spencer wskazał jasno drogę prawdziwą. Dopiero bowiem z chwilą, gdy Spencer zaczął swe przedsięwzięcie, antropologję doprowadzono do jakotako naukowej formy. Spencer więc nie tylko skorzystał z materiału, który nie mógł jeszcze służyć Millowi przy jego wcześniejszem wykształceniu, ale nadto dzięki materiałowi temu znacznie rozszerzył swój widnokrąg, odkąd po raz pierwszy ułożył sobie plan pracy życiowej. W Spencerze więc przedewszystkiem z pośród wszystkich pisarzy angielskich szukać musimy możliwego zjednoczenia wiedzy ludzkiej. Po Comte'cie jest on pierwszym uczonym

nowożytnym, który pokusił się o taką syntezę; miał zaś on tę niezmierną wyższość nad Comte'em, że pracował na podstawach, wytkniętych przez teorię rozwoju, w znacznej mierze naszkicowaną przez siebie samego jeszcze przed Darwinem, a potem zaokrągloną przez biologję Darwinowską.

## II.

Tu leży jedna z różnic osobistych między Millem a Spencerem, różnica, nader znacząca w tym względzie. O Millu wiemy od jego przyjaciela i biografy, że „obce mu było bezwarunkowo wszelkie uczucie współzawodnictwa albo zazdrości wobec powodzeń cudzych. Jego oryginalność i płodność ideowa nie uwolniłyby go były tak zupełnie od obawy, żeby nie uprzedzono jego odkryć, nie uszczuplono jego powagi, gdyby nie posiadał był podstawy w szlachetności charakteru, którą nazwać możemy współczuciem. Wypowiadał się cały w rozmowie, myśli jego podchwytywano i robiono z nich użytek za zgodą jego lub bez przyzwolenia, wszakże ani jedno ani drugie nie niepokoilo go nigdy. O tym składniku charakteru Milla—dodaje dr. Bain z większą jeszcze emfazą—mogę mówić bezwzględnie, nie zaś jedynie pod krasomówczą przenośnią, w której część bierzemy za całość. Inne jego zalety miały granice, ta wszakże była nieskończona”<sup>1)</sup>. Nie sądzę, żeby najdalej idący wielbiciel Spencera próbował zastosować taką pochwałę do niego. Dbał on uważnie o powagę swoją, spierał się, gdy obliczano, ile zawdzięcza innym, i z większą naogół troskliwością stwierdzał prawa swoje do stanowiska wpływowego, niż w teoriach własnych wydzielał poprzednikom ich części. Pewne skąpstwo ideowe, pewien trwały głód sławy zdają się być niezbędne do utrzymania na szczytach rozpędu ludzi, którzy podejmują takie zadania, jak Spencer. Należy to brać raczej, jako fakt dany, niż jako skazę na osobistości. Gdy okręt Magellana powrócił do domu z pierwszej swej podróży do-

<sup>1)</sup> Prof. Bain *J. S. Mill* str. 155—6.

koła świata, przywołując jedynie nieśmiertelną pamięć o bohaterskiem sercu, które odniosło tryumf, a teraz gnije gdzieś na bezimiennej wyspie oceanu Spokojnego, czyż ludzie mniej czcili to serce dlatego, że w długiej walce ze znojem i zawodami, z rokosem, z waśnią, ze zwątpieniem wewnętrznym dźwigał je naprężony egoizm i nieskończona ambicja? Takie podsycanie uporu uzdatnia ulomne istoty ludzkie do wielkich rzeczy, do rozległych zarysów myśli albo do chyżych wzlotów siły według tego, jak zbudowany jest ich mechanizm mózgowy. Porównanie z okrętem Magellana przyda się jeszcze z innego względu, podobnie bowiem jak załoga, która po raz pierwszy opłynęła planetę naszą, wróciła do domu bez wodza, śmiertelnie znużona i wyczerpana, taksamo podróż dokoła obszaru wiedzy ludzkiej dotkliwie zaciążyła na myślicielu, który stworzył jej plan, tak dotkliwie, że w istocie nie on już chyba dokończy pomysłu. Ale choćby nawet nie odbył całkowitej podróży, choćby nawet nie wyszedł poza bohaterskie usiłowanie dopięcia rzeczy niemożliwej, niemniej przeto widok wysiłku byłby zdolny budzić w innych zapał. Gdy wraca do domu po daremnych poszukiwaniach drogi północno-wschodniej okręt z popękanymi belkami i podartemi na strzępy żaglami, z twarzami na pokładzie, napiętnowanymi bladością i znużeniem, czyż dlatego mniej cieszą się ludzie, że nie dotarto do bieguna? A czyż mniej czcić mamy myśliciela, który przez całe pokolenie stwarzał wielki plan i mozolnie dokonywał niezmiernego przeglądu wiedzy, wcielając jej wyniki w tomy *Filozofji Syntetycznej*, gdzie stoją przed nami odsiane i bezpieczne? Gdybyśmy wiedzieli nieomylnie, jak oceniać najrzadsze przejawy energii, powinniśmy uczcić tego rozbitego podróżnika, jak nie czczono nigdy żadnego poszukiwacza za jego kilkuletnie wysiłki.

Dlaczegoż więc go nie czcimy? Naprzód dlatego, że przeważa wśród nas dążność do oceniania gienjuszów w zależności od ich blasku i pozorów pobudzających. Ruskin zauważył raz, że jeśli jakiś człowiek nosi długie włosy i patrzy wzrokiem ożywionym, natychmiast gotowiśmy przypisywać mu szczególne władze, gdy zaś patrzy w sposób zwy-

kły, uprzędzamy się, że jest to pospolitość. Taksamo rzecz się ma z książkami; jeżeli rozbrzmiewają namiętnością i krasomówstwem, jak książki Ruskina, powiadamy: tu jest natchnienie, tu jest gienjusz, i bardzo często może miewamy słuszość; lecz jeżeli spotykamy niehałaśliwą wytrwałość myśli i spokojną trzeźwość mowy, choćby nawet myśli były widocznie głębsze od naszych, stosujemy raczej inne jakieś słowo, niż gienjalność, jakgdybyśmy mniemali, że wielka potęga myśli jest mniej rzadka, niż świetność formy literackiej. Tymczasem niezawodnie jest inaczej. Gdyby tłum ludzki zaprawiano do oceniania względnych wartości umysłów—brak wykształcenia takiego w tłumach jest przyczyną umiarkowanego wydzielania Spencerowi czci publicznej—uznanoby, że wielcy myśliciele analityczni i syntetyczni są najszczytniejszym wytworem literatury i nauki.

Emerson dobrze określił główny pierwiastek zdolności literackich Carlyle'a w zdaniu o „pochłaniających oczach i malarskiej ręce”, lecz czyż tylko „oko, odtwarzające obrazy”, ma nakazywać dla siebie ciekawość i podziw? Wszak oto mamy oko, pochłaniające kolejno w cierpliwym głodzie całe krainy wiedzy, całe królestwa przyrody i nie tylko katalogujące ich zawartość, ale wypracowujące ich prawa i z beznamiętną starannością zestawiające je w cały schemat wszechrzeczy. Energia pierwotna, straszliwa okresowość wszechświata, przemiany sił, przejście od tego, co zwiemy po prostu energją, do tego, co zwiemy specjalnie życiem, prawa jego, dalszy rozwój w świadomość, prawa jej od przejawów najprostszych aż do najbardziej złożonych, początki świadomej i na przepisach opartej moralności, powstanie religji, zasady spójności społecznej, powstawania i upadku społeczeństw—wszystko dostaje się zarówno do tej nienasyconej umysłowości, która usiłuje wszystko sobie przyswoić, nie biorąc z góry niczyjego rozumowania, jako prawdziwego, ale usiłując na każdym kroku odlewać je na nowo i oczyszczać, spajając wszelkie prawdy w nieprzerwany łańcuch konsekwentnej zgodności. Jakież to zadanie! jakaż cierpliwość! jakaż potęga! Czyż mamy stawiać to niżej, niż namiętne wybuchy kapryśnych literatów, którzy pracują chwilę i pró-

żnują przez chwilę, wyszydają się nawzajem od czasu do czasu przy jednych i tych samych tematach i nie wkładają w pracę ani atomu rozstrzygającej świeżej wiedzy, ani jednego pojęcia nowej lub głębszej analizy? Są czytelnicy i pisarze, którzy klasyfikują w ten właśnie sposób. Nawet dla Mateusza Arnolda Spencer jest pisarzem wymuszonym i dydaktycznym, stojącym na równi z Benjaminem Franklinem i Jeremjaszem Benthamem, jako wytwórca prozy, sucho naukowej i nie wzbudzającej natchnienia. Na szczęście w naturze rzeczy istnieje dążność do sprawiedliwości, istnieje „coś innego, niż my”—naprawdę całość jaźni innych osób — „coś, co pracuje dla słuszności”, i kiedyś, gdy historia kultury drobnym drukiem opowie o Mateuszu Arnoldzie, jako o miłym poecie, którego pewne utwory mają stałą wartość, jako o autorze wdzięcznych i przejrzystych szkiców, ciekawych dla specjalisty krytyka, bo są przykładem wczesnego okresu sztuki autora, imię Spencera będzie może jednym z ziarenek różańca wielkich umysłowości, które w ciągu wieków z odmiennem szczęściem zdążyły naprzód ku największemu z zadań, czyniąc ślub, z którego można się chełpić: „obieram całą wiedzę za dziedzinę swych badań.” W literaturze i piśmiennictwie naukowym zjawiają się od czasu do czasu ludzie, o których mówią stare dziejowe bajki społeczeństw, ludzie, stający się ojcami wielkich pokoleń, i jeżeli za dni naszych istnieje człowiek taki w Anglii, jest nim Spencer.

Lester Ward tak o nim pisze:

„Mówiąc ściśle, ogłoszono dotychczas trzy tylko zrozumiałe zasady kosmiczne; z tych jedna, jak dotąd, została powszechnie przyjęta. Są nimi: 1) prawo ciężenia, 2) hipoteza mgławicowa i 3) teoria rozwoju. Usiłowanie Herberta Spencera połączyć dwie ostatnie zasady w związku z pierwszą w powszechną teorię rozwojową zbliża się bardziej do zupełnego zjednoczenia nauki, niż cokolwiek uczynionego w tej mierze poprzednio. W istocie myśl, zawarta w wyrazie „rozwój”—jak go używa Spencer—bezwzględnie powszechnego i kosmicznego”<sup>1)</sup>.

1) *Dynamic Sociology* New-York, 1853 r., t. I, str. 8.

Jeżeli zaś, zaniechawszy próby uzasadnienia sobie prawdziwości tego sądu przez zbadanie *Filozofji Syntetycznej*, opanujemy tylko jedno pomniejsze dzieło jej autora, *Wstęp do Socjologii*, albo nawet jeszcze mniejszą książkę o *Wychowaniu*, znajdziemy się wobec takiego obszaru praktycznej spostrzegawczości i takiego stopnia siły uogólniającej, które—gdyby nawet nie było innych ich przejawów—wystarczyłyby do zaświadczenia o umyśle oryginalnym i władnym <sup>1)</sup>. Pozostaje to prawdą i dla pierwszej z rzeczonych książek, pomimo jej błędów i fałszów — spróbuję bowiem dowieść, że niektóre z końcowych zdań *Wstępu do Socjologii* są fałszywe, jako wnioski, jakkolwiek wyprowadzone zostały w sposób pouczający. Byłoby szczytem zarozumiałości myśleć o krytycznej ocenie *Filozofji Syntetycznej* w jednym lub dwu wykładach, to też środek ciężkości rozpraw naszych przenieśmy na *Wstęp do Socjologii* i jedną lub dwie inne książki.

## IV.

O człowieku, który dokonał tych czynów, wiemy niewiele. Nie rozprawiano o nim publicznie, jak rozprawiano o Carlyle'u i Emersonie za ich życia, na ogłaszanie zaś drukiem tego, co zdarzyło się słyszeć prywatnie, nie pozwala przyzwoitość. Własnością ogólną jest jeno fakt, że Spencer urodził się w Derby w r. 1820 z rodziny wykształconej, że ojciec jego był nauczycielem matematyki, wuj zaś znanym z filantropji księdzem kościoła panującego <sup>2)</sup>. Od tych dwu krewnych swoich Spencer, o ile sądzić można, otrzymał główne podstawy wychowania, które zresztą mało odpowiadało zwyczajom konwencjonalnym. Wykształcono go na inżyniera cywilnego, i Spencer pracował w tym zawodzie od

<sup>1)</sup> *Wychowanie* przełożono na trzynaście języków, między innemi na chiński i japoński.

<sup>2)</sup> O tym wuju obacz zajmujący wstęp biograficzny w książce *The Man versus the State* str. 20.

siedmnastego do dwudziestego piątego roku życia, kiedy upadek gorączki kolejowej, która w owym czasie doszła do szczytu, postawił go w konieczności, jak postawił dr. Tyndalla, szukać jakiegoś innego pola pracy. Wówczas Spencer zwrócił się ku literaturze. Próbował on już dawniej pióra na tematach zawodowych w czasopismach specjalnych; mamy też powody sądzić, że gdyby inżynierstwo cywilne pozostało dlań było zawodem chlebobajnym, *Filozofja Syntetyczna* nie zostałaby nigdy napisana. Ale jeszcze w dwudziestym drugim roku życia Spencer umieścił w dzienniku *Non-conformist* szereg artykułów, później ogłoszonych ponownie w postaci broszury o *Właściwym Zakresie Rządu*; w artykułach tych brzmiała już zdaje się główna nuta przyszłej jego socjologii praktycznej. Jakoż do socjologii praktycznej zwrócił się teraz, zaczynając ją wzorem tylu innych w roli dziennikarza. Od 1848 do 1853 r. pracował, jako współwydawca *Ekonomisty*, którego (także *Westminsteru* oraz innych czasopism) pozostał wiernym współpracownikiem, a w roku 1881 stworzył pierwsze swoje wielkie dzieło: *Statykę socjalną albo istotne warunki ludzkiego szczęścia*. Z uwagi Spencera o Arnoldzie we *Wstępie do Socjologii* <sup>1)</sup> dowiadujemy się, że „w młodości skutecznie opierał się wykształceniu klasycznemu, które Arnold ma za rzecz niezbędną”, i nie zna „najzupełniej arcydzieł literatury starożytnej w oryginałach, bardzo zaś pobieżnie zna je z tłumaczeń.” Możemy być pewni iż Arnold, czytając to, wruszał ramionami w poczuciu swej wyższości, aczkolwiek wyznanie Spencera mieści się w ustępie, krytykującym Arnolda za wychwalanie, jako wzoru doskonałości, próbki stylu Addisona, rozlazłej i niedołączonej w stopniu zdumiewającym. A jednak któż może wątpić, że wykształcenie Spencera, lubo miało niepotrzebnie braki ze strony literatury starożytnej, naogół daleko bardziej pozwalało mu zrozumieć życie, niż Arnoldowi jego wykształcenie, którego głównym składnikiem była znajomość klasycyzmu?

<sup>1)</sup> Wyd. z r. 1873, str. 415 (mowa o oryginale).

Jeden taki przykład próbny obala wszystkie łatwe dowodzenia Arnolda.

Godnym uwagi faktem jest to ściśle naukowe przygotowanie Spencera w czasie, kiedy w Anglii nikt z osób, stojących na czele piśmiennictwa, nie marzył zdawałoby się o pozyskaniu wiedzy rozumowej w jakiegokolwiek innej postaci, prócz literackiej; fakt ten dodaje odwagi, bo przypomina, że w tej chwili pośród nas mogą także wzrastać umysły, które kiedyś wtrącają w cień i w niepamięć cały ten wrzaskliwy wylew banalności pietystycznej, co dziś właśnie grozi zatopieniem rozumu. Na samym początku drugiej połowy bieżącego stulecia mieszkało w Londynie grono trzech osób, związanych węzłem przyjaźni: Spencer, Jerzy Henryk Lewes i Marjanna Evans, wszyscy wówczas jeszcze mało znani, ale można powiedzieć uosabiający w rozmaitych kierunkach główne prądy nowej epoki umysłowej: Spencer — myśliciel kojarzący i syntezujący, Lewes — literat, przedzierżgnięty w badacza naukowego, i Jerzy Eliot — wprowadzająca ducha naukowego do powieściopisarstwa i w ten sposób przedstawiająca jednocześnie i nowy czynnik umysłowości kobiecej i nowe przeznaczenie nauki. Warto też dalej zaznaczyć, że podczas gdy ówczesi główni krytycy życia w piśmiennictwie angielskim: Carlyle, Mill, Macaulay, Ruskin byli wszyscy pochodzenia szkockiego, tych troje było wyraźnie Anglikami, równie dobrymi Anglikami, jak Hallam, chyba Grant Allen miał dowieść, że Evansowie i Lewesowie pochodzą z Walji. Przedstawiają oni zasadniczo nową dążność stosunków angielskich, nadto zaś warto jeszcze wspomnieć, że podczas gdy Lewes, będąc pierwotnie literatem, miał styczność z Carlyle'em taksamo, jak Mill, Emerson i Ruskin, Spencer nigdy zdaje się w tamtym kierunku nie szukał oparcia. Możemy sobie wyobrazić, co mówił o nim Carlyle, i co on myślał o Carlyle'u. „Trocinowaty!” taki był niewątpliwie jeden z epitetów starszego mędrca. A jednak wykład Spencera dla nikogo chyba trocinowatym być nie może. Wybrani przyjaciele Jerzego Eliota nie mogli

w żaden sposób mieć tępego umysłu <sup>1)</sup>, w dziełach Spencera znajdziemy też trochę pierwiastków, odpowiadających pierwiastkom dzieł Eliota i nasuwających myśl, że rozmowy obojga przyjaciół pozostawały w ich pamięci. W *Statyce Społecznej* naprzykład mamy taki ustęp:

„Są ludzie, którzy nie cierpią wszystkiego, co ma postać ścisłych wniosków... „Jeżeli”, „ale”, „z wyjątkiem”—oto dla nich rozkosz... Tak mocno wierzą oni w „złoty środek”, że nie daliby chyba wiary wyroczni, gdyby ta wygłosiła im jakąś zasadę w całej rozciągłości. Gdybyśmy ich zapytali, czy ziemia obraca się dokoła swej osi z zachodu na wschód, czy ze wschodu na zachód, odpowiedzieliby niewątpliwie: „Potroszę w obie strony” albo: „Niezupełnie w żadną” <sup>2)</sup>.

Myśl równoległą do myśli tego ustępu znajdziemy w książce Jerzego Eliota *Impressions of Theoprastus Such* oraz w jego rozprawie o dziele Lecky'ego *Powstanie i Wpływ Racjonalizmu*, a figlarne, malownicze początki większości rozdziałów we *Wstępie do Socjologii* przypominają też wielce metodę Jerzego Eliota.

#### IV.

Wszystko troje przyjaciół zarówno wyrosło ponad polską wiarę religijną, wszakże myśli ich przez czas pewien

<sup>1)</sup> Lewes tak pisał o Spencerze w dzienniku swoim w styczniu r. 1859: „Winienem mu dług wdzięczności. Znajomość moja z nim była najbardziej jasnym promieniem w suchym bardzo, pustym okresie mego życia. Wyzbyłem się wszelkiej wogóle ambicji, żyłem z dnia na dzień, myślałem, że człowiekowi wystarczy złe każdodziennie“ (porównaj w tym względzie cytata z Varnhagena von Ensego w artykule lorda Actona o Jerzym Eliocie *Nineteenth Century* marzec 1885 r.). „Wpływ pobudzający umysłu Spencera, zwłaszcza podczas długich przechadzek naszych, raz jeszcze podniósł we mnie energię i ożywił śpiącą miłość nauki. Jego silna skłonność do teoretyzowania była zaraźliwą, a jedynie tylko bodziec teorii mógł mnie wówczas spowodować do pracy. Winienem Spencerowi jeszcze inny i głębszy dług. On mnie nauczył znać i rozumieć Marjanę...” *Cross Life of George Eliot* tom II, str. 76.

<sup>2)</sup> *Social Statics* roz. IX, str. 120—1.

stały na różnych szczeblach. W *Starym Społecznej* Spencer jest jeszcze nieokreślonym deistą z odcieniem filozofii Fichtego. W rozdziale pod nagłówkiem: „Idea boska i warunki jej urzeczywistnienia“ Spencer twierdzi, że najwyższym szczęściem ludzkości jest „myśl twórcza“; w tej niewinnej postaci „idea boska“ przewija się przez książkę. Trudno powiedzieć, jak długo trwał ten okres. *Pierwsze Zasady*, obmyślane w r. 1860, są stanowczo agnostyczne, ale *Wychowanie*, ogłoszone w r. 1861, ma jeszcze wiele wyrażań deistycznych. We *Wstępie do Socjologii*, ogłoszonym w r. 1873, spotykamy częste żarty z konwencjonalnego deizmu, ze zwrotów mowy w rodzaju: „Wielki Artysta“, „Arcybudo-wniczy“, „ręka Wszechmocnego“, „taktyka Opatrzności“ i tak dalej <sup>1)</sup>, lecz w *Wychowaniu* znajdujemy ustęp „o wielkiej epopei, wypisanej palcem Boga na tle ziemi“ <sup>2)</sup>, z powodu zaś zasady, że gry są lepsze dla dzieci od gimnastyki, dowiadujemy się, że kto nie pozwala dzieciom bawić się swobodnie, ten „wzbrania im wyznaczonych od Boga środków rozwoju fizycznego“ <sup>3)</sup>. Domyślać się trzeba, że *Wychowanie* ogłoszone zostało drukiem dopiero w czas jakiś po napisaniu.

*Zasady Psychologii* wydane zostały jeszcze w roku 1855 i rychło zdobyły sobie wysokie stanowisko <sup>4)</sup>, ale od *Pierwszych Zasad* rozpoczęło się wydawnictwo *Filozofji Syntetycznej* w drodze prenumeraty zeszytami. Tego sposobu wydawania autor trzymał się i nadal przez cały szereg lat, podczas których nabyte doświadczenie finansowe w przedmiocie zalegania prenumeraty doprowadziło go do wniosku, że ludzie świeccy i duchowieństwo stoją prawie narówni; wyznaczyć trzeba, że jest to wniosek przykry dla osób świeckich <sup>5)</sup>.

1) Str. 29, 33, 298 itd. (oryg. ang.)

2) Małe wyd. angielskie, str. 41.

3) Str. 155.

4) Obacz wczesną pochwałę Milla *Logic* t. II, roz. 7 i *Auguste Comte and Positivism* str. 72.

5) *Wstęp do Socjologii* przypisek 3 do roz. XV. Mówiąc nawiasem, byłoby rzeczą ciekawą wiedzieć, w jaki sposób Spencer stwierdzał świeckość wielu osób. Czy oznaczali ją oni sami, składając prenumeratę?

Widocznem jest, że i zdolności i doniosłość nowego filozofa uznane zostały odrazu i zupełnie przez poważnych czytelników; Buckle <sup>1)</sup> jeden z pierwszych oddał mu gorącą pochwałę. Jeżeli zważymy, co daje umysłom badawczym ta książka przez wprowadzenie jasnego porządku do zbieraniny pojęć, rozumiemy, że niełatwo znaleźć dla niej pochwałę zbyt wysoką. W zetknięciu z uogólniającą myślą Spencera całe mnóstwo młodych umysłów weszło poniekąd w nową dziedzinę porządku i spójności podobnie, jak piasek, rozsypany po brzegu powierzchni na tarczy doświadczalnej, podskakuje i układa się w linje rytmiczne pod wpływem drgającej struny – na mocy prawa równie tajemniczego, jak samo życie.

## V.

Na początku widzimy, jak Spencer usiłuje określić zakres władzy rządowej a zarazem pragnie podać pewne rekojmie postępowania rządu według zasad sprawiedliwości, ściśle wyprowadzonych z prawa równej dla wszystkich wolności, prawa, które jest złotą regułą etyki. Tutaj jednak, o ile etyka autora wyprzedziła jego biologję i socjologję, przywiązał się on do jednego punktu, mianowicie do równego dla wszystkich prawa do ziemi, któremu moc praktyczną mogło nadać jedynie zastrzeżenie, iż społeczność ograniczać będzie liczbę nowych pretendentów do ziemi, zwiększoną przez przyrost naturalny. W *Statyce Społecznej* Spencer całkowicie pominął tę trudność, chociaż została ona wyraźnie wskazana przez Milla, lubo zaś później zajął się specjalnie zagadnieniem ludnościowem, nie próbował przecież przerobić dawnego dowodzenia swego zgodnie z pomysłem unarodowienia ziemi, a nawet przecząc mu domyśl-

---

<sup>1)</sup> W „Spisie przytaczanych autorów“, umieszczonym na początku pierwszego tomu, i w przypisku 14 do rozdziału o „Umysłowości szkockiej w ciągu ósmnastego stulecia“ (Wydanie 3-tom., t. III, str. 364).

nie w ciągu lat wielu, w końcu wyraźnie je odrzucił. Utrzymuje teraz, że w tym wypadku niepodobna stosować etyki bezwzględnej, ponieważ zaś coraz dobitniej powstawał przeciw chęci szukania w polityce środków zaradczych na niesprawiedliwość społeczną, mamy więc prawo sądzić, że odrzucenie przezeń dawnej etyki politycznej było wynikiem tej samej dążności umysłowej, która występuje na jaw w wycieczkach przeciw błędom prawodawców. Żaden szczery sędzia nie zaprzeczy, iż zarzuty Spencera w tym względzie są silne i częstokroć nieprzeparte. Jeżeli wszakże są one składnikami rozwoju duchowego, godzącego się z uznaną niesprawiedliwością społeczną, tedy mamy prawo przypuszczać, iż podstawą zarzutów jest raczej temperament, niż nauka.

A jednak gdy zwrócimy się do analogicznego przykładu Darwina, którego usposobienie było tak dokładnie zrównoważone, i zauważymy, że i on też nadużywał zasady rozwojowej, będziemy może musieli przyznać, iż każda z kolei metoda naukowa doprowadzi do fałszów, jeżeli zechcemy posuwać ją poza pewne szczególne dziedziny zjawisk. Darwin, wyłożywszy częściowo powstawanie gatunków i pochodzenie człowieka w wyrazach prawa walki o byt i ostawiania się jednostek najodpowiedniejszych, spokojnie, lecz wyraźnie oświadczył się przeciw zalecanemu ograniczaniu ludności pod pozorem, że to osłabiałoby walkę o byt, która stworzyła cywilizację przeszłą i która musi koniecznie prowadzić ją nadal w przyszłości <sup>1)</sup>. Oświadczenie Darwina wskazując, jako przykład złapania się w wielkim potrzasku socjologii ewolucjonistycznej — w chęci czytania wstecz prawa rozwoju. Darwin uległ dążności tej w tym właśnie miejscu, gdzie biologja jego wiązała się z etyką społeczną, Spencerowi zaś, jak spróbuję dowieść, zdarzyło się to samo, gdy zastosowywał dane socjologiczne do postępowania współczesnego. Obaj myśliciele przypuszczali, że uogólnienie, stre-

<sup>1)</sup> Obacz list jego do G. A. Gaskella w dodatku do *Scientific Mollierism* panny Clapperton, str. 340; ob. też *Autobiography* pani Besant, str. 136.

szczające siły postępowe społeczeństwa zbiorowo nieświadomego, społeczeństwa bez pojęcia o rozwoju i o socjologii powszechnej, musi streszczać w sobie zarazem pierwiastki postępowe społeczeństwa zbiorowo świadomego, społeczeństwa, uprzytomniającego sobie rozwój i tworzącego socjologję powszechną. Chociaż sami dopomogli nam w najwyższym stopniu do takiego uświadomienia, przecież nie zdołali wyrozumieć, iż dojście do niego musi zrewolucjonizować dzieje ludzkie. Wyłożyli nam w głównych zarysach zasadę przeszłego postępu w zależności od walki o byt, nie udało się im jednak w punkcie zwrotnym spostrzec, jak także słuszność, iż wzorcem naczelnym postępu przyszłego musi być z konieczności „walka przeciw walce o byt“ <sup>1)</sup>.

Niema w tem zresztą nic dziwnego, ani też nie powinno to sprawiać jakiegos̄ zawodu badaczom myślącym. Własna Spencerowska analiza rytmiczności ustrojowej, postępu psychologicznego i socjologicznego przygotowuje nas do zastojów i stopniowań w myśli ludzkiej; do skurczów, następujących po rozkurczach, jak w ruchach robaka; ostrzega o niechęci umysłu do świeżych wysiłków nowego pościgu za odkryciami po wydaniu energii na usiłowania nowatorskie w ciągu całego okresu istnienia. Zatykając pochodnię w pewnym stałym punkcie, Spencer czyni to tylko, co czynili poprzednio inni, co uczynią po nim ci, którzy dziś nalegają, żeby niósł ją dalej, gdy on chciałby ją przytwierdzić. Dowolność w zakończeniu rozumowań rzuca się nam w oczy dlatego tylko, że sam myśliciel przyzwyczaił nas do postępowania naprzód; pomni na to, nie powinniśmy szemrać, że skończył swój bieg, ale raczej okrzykiem powitać wspaniały wzlot, którego dokonał.

---

<sup>1)</sup> Zdania tego użył po raz pierwszy, zdaje mi się, Lango. Obacz szkic biograficzny w *History of Materialism* przekł. ang. Thomasa, str. XIII.

## VI.

W filozofji Spencera, jak wskazuje jej nagłówek, jeden nieprzerwany ciąg prawa wiąże wszystkie zjawiska: od ruchu cząsteczek i obrotu słońc do zjawisk myśli ludzkiej i przeznaczeń narodów. *Filozofja Syntetyczna* zbiega się z formułą profesora Huxleya, że „budowa cząsteczkowa gazu kosmicznego pozostaje w takim samym stosunku do zjawisk świata, jak budowa zegara do jego zjawisk” <sup>1)</sup>, jeżeli rozumie się dodamy zastrzeżenie, niewyraźnie postawione przez Huxleya, iż nieskończony zegar kosmiczny jest zegarem wiecznego ruchu, a przenika go nieskończona energia wszechświata. Teoria ta, będąca właściwym materjalizmem <sup>2)</sup>, zazwyczaj przy pierwszym spotkaniu budzi w umyśle badacza wiekuiste pytanie, czy wobec tego i my też nie jesteśmy jeno w położeniu prostych czynników, ogniw łańcucha przyczynowości, nad którym czuwać nie mamy władzy? Jest to jedno z typowych zagadnień filozoficznych; logiczność odpowiedzi zależy tu od tego, czy jesteśmy, czy też nie jesteśmy zdolni odszukać sobie drogę po manowcach językowych. Oczywiście, że w wyrazach materjalizmu wszelkie nasze myśli i czyny są wynikiem myśli i czynów wszystkich naszych przodków; w znaczeniu dosłownem jest też prawdą, że myślom i czynom swym zapobiegać nie możemy. O ile wszakże wszelkie nasze czyny świadome odbywają się w zależności od naszych spraw myślowych, w warunkach danych wybieramy to, co wybrać powinniśmy, i wybór jest tylko

<sup>1)</sup> *Critiques and Addresses* str. 306.

<sup>2)</sup> Profesor Huxley czasami wypiera się materjalizmu, jako uznającego edynie „materję, siłę i mechanizm.“ Daremna rzecz wypowiadać takie zdania, jeżeli się nie wyjaśnia, w jaki sposób tak zwani materjaliści określają terminy: materja i siła. Profesor Huxley pisze, jak gdyby znaczenie tych wyrazów było doskonale pewne i niezmienne. Nie znam żadnego „materjalizmu“, któryby był, że tak powiem, bardziej „materjalistyczny“ od jego własnego. Ale Huxley wzorem zbyt wielu myślicieli angielskich bardziej jest zajęty unikaniem nazw kompromitujących, niż ich wyjaśnianiem.

postacią czy przejawem, za którego pośrednictwem energia kosmiczna uwidocznia się w nas dla nas samych i dla każdego. Niepodobna obejść prawa przyczynowości, jeżeli bowiem postanowimy wraz z Schopenhauerem zabić w sobie wolę życia pod pozorem, że jesteśmy jedynie jej marjonetkami, będziemy wówczas zupełnie takimi samymi lalkami woli śmierci i nie potrafimy zarówno w jednym jak w drugim razie przekroczyć przeznaczenia. Gdyby rodzaj ludzki miał przyjść kiedyś do wniosku, że istnienia podtrzymywać już nie warto, pogląd ten byłby tyleż bezwarunkowym wynikiem myślowym i tyleż niezbędnym wyborem, ile koniecznym jest obecnie wybór czynienia wszystkiego, co zdaje się najlepiej popierać rozwój życia.

Pożądanie, namowa i wybór są taksamo spełnianiem się prawa, jak wszelki bez wyjątku proces przyrodzony, porównanie zaś i walka rozmaitych pożądań i wyborów jest zupełnie tyleż naturalnem zjawiskiem, co działanie wzajemne ciał chemicznych i życie zwierząt niższych. Spencer przedstawił doniosłość tej prawdy dla postępowania w godnym uwagi zwrocie błagalnym:

„Ktokolwiekby się ociągał z wyznaniem tego, co myśli o prawdzie najwyższej—z obawy wyprzedzenia swego czasu — może się uspokoić, spoglądając na postęпки swe ze stanowiska nieosobistego. Niech się postara dobrze zrozumieć, że opinia powszechna jest czynnikiem, za pomocą którego charakter nasz wpływa na zmianę stosunków i urządzeń zewnętrznych; niech pamięta, że jego własne zdanie tworzy prawowitą część składową owego czynnika, że jest ono jednostką siły, wytwarzającą — wraz z innymi jednostkami — ową ogólną potęgę, która spowodowuje przeobrażenia społeczne; dostrzeże on wówczas, iż całkiem właściwie może nadawać zupełną jawność swoim przekonaniom najgłębszym, pozwalając im na wywoływanie takich skutków, jakie wywołać mogą. Przywiązanie jego do pewnych zasad i odraza do innych nie są bynajmniej pozbawionemi znaczenia. Wraz ze wszystkimi swemi zdolnościami, dążnościami i wierzeniami jest on wytworem czasu, nie zaś zjawiskiem przypadkowym. Powinien też przypomnieć sobie, iż będąc

potomkiem przeszłości, jest on rodzicielem przyszłości; że myśli jego są dziećmi, z niego zrodzonymi, których nie powinien skazywać obojętnością swą na zagładę. Podobnie, jak każdy inny, może on z całą słusnością uważać siebie za jeden z niezliczonych czynników, przez które działa Przyczyna Nieznana; skoro zaś ta wywołuje w nim pewne wierzenia, jest on już przez to samo upoważnionym wyznawać je i upowszechniać, gdyż—że nadamy tu znaczenie najwznioślejsze słowom poety—

Niemasz sposobu poprawienia przyrody,  
Lecz ona sposób ten stwarza sama: ponad sztuką,  
Która, jak mówicie, ma uzupełniać przyrodę,  
Istnieje sztuka, którą tworzy sama przyroda.

Człowiek rozumny przeto nie będzie się zapatrywał na wiarę, którą ma w sobie, jako na rzecz przypadkową i bez znaczenia. Dostrzeganą przez siebie prawdę najwyższą wyznawać on będzie śmiało, wiedząc, że cokolwiek się z nią stanie, on przez głoszenie jej odegra przynależną rolę na świecie, że gdy zamierzonego celu dosięgnie — dobrze, gdy nie dosięgnie—znowu dobrze, chociaż nie tak już dobrze” <sup>1)</sup>.

## VII.

Będąc ledwo małą iskierką siły kosmicznej, ofiaruję się przekonać wszystkich, co zechcą mnie posłuchać, iż są do zrobienia pewne rzeczy, których potrzeby nie widzi wielki nasz filozof ewolucjonistyczny. Nauka praktyczna, udzielona przezeń w wieku średnim, a więc zanim stał się całkowitym zachowawcą, w wynikach swoich wychodzi na to, że po większej części przeliczamy się, usiłując dogłądać spraw społecznych za pomocą systematów rządowych; że jednym ze składników mądrości powinno być raczej ogra-

<sup>1)</sup> *Pierwsze Zasady* tłumaczenie polskie J. K. Potockiego, Warszawa 1886 r., koniec części I.

niczanie wysiłków do kilku postaci opieki nad jednostkami przeciw nim samym oraz uczynienie tej opieki bardziej skuteczną, niż dotąd; w ten sposób wywołamy niezbędność opieki dalszej, którą dzisiaj tak często nadaremnie staramy się urzeczywistnić. Taka jest, jak sądzę, prawdziwa treść tej teorii Spencera z przed lat dwudziestu, którą wówczas profesor Huxley niezbyt trafnie nazwał „nihilizmem administracyjnym” <sup>1)</sup>. Wyraz ten dałby się usprawiedliwić, o ile używa się go porównawczo, ale w dowodzeniu Spencera jest tyle siły zniewalającej, tak mało zaś zrobiono dla przeprowadzenia tego nawet, co zalecał, że pierwszym obowiązkiem naszym jest zaznaczenie pozytywnej i praktycznej strony jego stanowiska. Wydaje mi się ściśłą prawdą, co mówi Spencer, że nowożytne prawodawstwo filantropijne w znacznej mierze chybiło celu, nie zdołało uczynić tego, co zamierzało, a nawet zrzędziło istotne szkody zamiast pożytku. Wiele jest też siły w twierdzeniu jego, że rzeczywiście skuteczny system sprawiedliwości, „szybki, skuteczny i niekosztowny dla pokrzywdzonego”, usunąłby znaczną ilość cierpień. Bardzo wszakże wymownym jest fakt, że chociaż w takim systemie sprawiedliwości możnaby upatrywać jedną z pierwszych reform, do których dążą indywidualiści, nie widać dotąd żadnego postępu w tym kierunku. Kiedy niedawno zabrałem się do nakreślenia planu takiej reformy <sup>2)</sup>, zmierzającej do usunięcia starych wadliwości kosztownego prawa oraz do zapobieżenia niedorzecznym usiłowaniam udaremniania wymiaru sprawiedliwości przez stawianie najętych sofistów, zwanych obrońcami, którzy mącą umysł sędziego, chociaż ten, na pozór otaczany czcią średniowieczną, w gruncie rzeczy zbyt często jest człowiekiem fizycznie słabym, a stąd prawdopodobnie i osłabionym umysłowo—kiedy zabrałem się do nakreślenia takiego schematu, nie mogłem odszukać ani jednej pracy w tym rodzaju, chociaż przyjąć można za rzecz pewną, iż reformatorowie

---

1) Obacz szkic, przedrukowany w *Critiques and Addresses* Huxleya.

2) Plan, naszkicowany w *National Reformer* 11 maja 1890 r.

pojedynczy rzucali niektóre takie pomysły. Co więcej sam Spencer nie wytrwał w zabiegach na korzyść reformy i ostatnią swą książkę poświęcił niemal całkowicie przedstawieniu lekkomyślności lub uciążliwości reform, przedsięwziętych w różnych innych kierunkach. System taniego wymiaru sprawiedliwości musi oczywiście pociągać za sobą pozornie nowe obciążenie społeczeństwa, a w ostatnich czasach przedmiotem ciągłej podejrzliwości Spencera było, że wszystkie pozorne ciężary w postaci nowych wydatków publicznych są rzeczywistymi poborami z osobistych udziałów własności wszystkich obywateli, czyniąc te udziały mniejszemi, niż byłyby w innym razie, nie przyczyniając się natomiast ani trochę do podniesienia dobrobytu ogólnego. Zobaczmy szczegółowo, jakie stanowisko względem życia zajmuje Spencer w swej socjologii stosowanej.

W pierwszej swej książce *Statyce Społecznej* Spencer na podstawie etyki bezwzględnej bronił równego dla wszystkich prawa do ziemi; zasada ta ma wagę jedynie z zastrzeżeniem, że ci, którzy siedzą na ziemi w danej chwili, zbiorowo będą mieli prawo — jeżeli uznają za stosowne — ograniczać liczbę dzieci, płodzonych przez jednostki; inaczej ludzie najniesumienniejsi mogliby do nieskończoności obciążać pozostałych utrzymaniem nadmiernie obfitego potomstwa swego. Ale Spencer, który zawsze unikał kwestji przezornej rozwagi w sprawie płodzenia dzieci, w dwadzieścia lat później, w r. 1871, występuje z wyraźnem dowodzeniem, że „niezmierna większość klęsk, którym zaradzać powołana jest pomoc państwowa, należą do klęsk, bezpośrednio lub pośrednio powstających z tego powodu, że państwo nie wykonywa właściwie swej ujemnie regulującej czynności”, oraz oświadcza, iż „wszędzie i zawsze... przekonywamy się, że gdyby powściągnąca czynność państwa była szybka, skuteczna i niekosztowna dla pokrzywdzonych, znikłyby prawie wszystkie sprawy, domagające się pozytywnego rozwiązania”<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> „Administracja wyspecjalizowana“ *Fortnightly Review* grudzień 1871 r., str. 632. *Essays* t III, str. 165—6.

Spotykamy tu więc przypuszczenie, że gdyby bez żadnego względu na unarodowienie ziemi zreformować gruntownie nasz system wymierzania sprawiedliwości, złe społeczne znikłoby tak ogólnie, że nie wymagałoby chyba wcale prawodawstwa zapobiegawczego. I tutaj znów Spencer wpada w błąd najcięższy przez pominięcie zagadnienia ludnościowego, łatwo bowiem wykazać, że żadne reformy systemu sądowego nie potrafią skutecznie zapobiec złemu, które powstaje przy naszym układzie przemysłowym skutkiem ślepego mnożenia się nie tylko proletariatu, lecz i innych klas. Socjolog porzucił dawne swoje założenie etyczne o prawie do ziemi, ale nie uczynił tego dla przyczyn właściwych; chybając zaś czy unikając tych przyczyn, któreby go spowodowały do przekształcenia, nie zaś do porzucenia dawnego stanowiska, podejmuje założenie nowe, zarówno nie dające się obronić, i twierdzi wyraźnie, że pewne wyszczególniane przezeń czynności ujemnie-regulacyjne wystarczą same jedne do zabezpieczenia dobrobytu społecznego. Dzisiaj, znów po dwudziestu blisko latach, nie znajdujemy już u Spencera nawet dowodzeń, że zalecana przezeń czynność ujemnie-regulacyjna zmniejszy niedolę społeczną, jeno wyraźne stawianie zasady, że przy naszym układzie społecznym klęski są „skutkiem złego działania natury ludzkiej, częściowo tylko przystosowanej do stanu społecznego” <sup>1)</sup>; nie uznaje też Spencer za rzecz prawdopodobną, żeby jakikolwiek kierunek działania zbiorowego mógł skutecznie walczyć z tem złem zachowaniem się, natomiast dobitnie obstaje przy zdaniu, że większość cierpień klasy biednej zależy od jej własnych błędów—choć dotąd ani razu jeszcze nie wskazuje ślepego rozmnażania się, jako ogniska złego—i powiada, że powinniśmy oddać ludzi na pastwę ich cierpień, gdyż to—i tylk .to—jest środkiem leczniczym <sup>2)</sup>.

Smiało można przyznać profesorowi Huxleyowi, że ten ostatni pomysł trzeba, mówiąc praktycznie, określić, jako

1) *The Man versus the State* str. 39.

2) *Ib.* str. 18, 19, 28 i t. d.

Humanisci nowożytni.

nihilizm administracyjny. Ale skądże znów profesor Huxley zabiera się do wyrokowania o takich zбочeniach? Uznał on co prawda niedawno w sposób widoczny nagłość zagadnienia, pomijanego przez Spencera i prawodawców naszych. „W polityce—oznajmił Huxley przed niejakim czasem — zagadnieniem nad zagadnieniami jest, jak zachowywać się wobec przeludnienia; sprawa ta staje przed nami na każdym kroku” <sup>1)</sup>. Ale w jaki sposób Huxley każe brać się do niej? Posłuchajmy własnych jego słów.

„Przeludnienie ma źródło podwójne: jedno wewnętrzne, w przyroście naturalnym, drugie zewnętrzne, w przychodztwie. Teoretycznie można zaradzić potrzebie przez usunięcie obu czynników..... Na tem polega istota planu „zamkniętego państwa przemysłowego,” wyłożonego przez Fichtego, i o ile ja rozumiem, niemasz innego sposobu urządzenia społeczeństwa w celu trwałego zaradzenia potrzebie... Nie przesądzam wcale, czy utopja Fichtego może być urzeczywistniona w praktyce” <sup>2)</sup>.

I na tem koniec! To się mówi po sześćdziesięciu pięciu latach życia, poświęconego w znacznej części na rozstrzyganie zagadnień społecznych i na krytykowanie pomysłów cudzych. Bywa nihilizm i nihilizm, ale spędzić życie— w zakresie swej socjologii — na wścibskim roztrząsaniu cudzych teorii postępowania, dojść w końcu do powtórzenia jedynej zasady pozytywnej, której oddawna już żarliwie broniło tylu innych, narażających się na wywołanie ze społeczeństwa, i po tem wszystkim oznajmić, że się nic nie ma do powiedzenia, jest to koniec końców niemal równie okropny rodzaj nihilizmu, jak każdy inny. Gdy chodzi o nieprawdziwość teorii politycznych Rousseau, którego nikt teraz nie czyta, o nedorzeczności teologiczne Henryka George’a, za którym idą jedynie reformatorowie niewyrobieni, o nierówność umysłową i fizyczną ludzi, której nikt nigdy

<sup>1)</sup> Art. o „Rządzie, anarchji lub zawiadywaniu“ w *Nineteenth Century* maj 1890 r., str. 865.

<sup>2)</sup> *Ib.* str. 865—6.

nie przeczył, profesor Huxley ma odwagę i zapał do wypowiadania swych poglądów. Ale gdy wypada zająć się rozpatrzeniem „zagadnienia nad zagadnieniami”, poradzić ludziom, jak mogą powściągnąć przeludnienie, stosując sposób, który jest jedynym „urządzeniem społeczeństwa w celu trwałego zaradzenia potrzebie”, wtedy komentator „nie ma nic do powiedzenia.” Jest to wyraz ostateczny jego zasadniczo przeczącego umysłu, który zmuszał go do odrzucania teorii rozwoju, zanim nie zebrano dowodów, wystarczających do zachwiania nawet bigotów, i stawiał go w sprzeczności z tak zwanym nihilizmem Spencera, nie wskazując wzamian, co należy czynić w rzeczywistości. W takich warunkach można formalnie wyobrażać sobie, że się ma słuszność, chociaż wynikiem całego zawodu życiowego będzie przeczenie albo praktyczna nicość. Co do mnie, z góry powiadam, że niewiele czuję wdzięczności dla publicysty, który pod wieczór swego żywota oświadcza o zgodzie swej z ludźmi, ogłaszającymi, iż przyrost ludności jest zagadnieniem nad zagadnieniami, a potem spokojnie odwraca się od ludzi, którzy chcą zrobić pierwszy krok i wziąć na siebie przykrości propagandy reformatorskiej. Profesor Huxley udaje, że odpięra zarzuty przeciw płytkiemu pragmatyzmowi swemu, podsuwając myśl o stróżu ulicznym, który czyni zadość obowiązkom swoim oczyszczania przejść przez ulicę. Tymczasem porównanie jest dość niefortunne; praca stróża ulicznego w Londynie (oczyszcza on przejście przez ulicę za parę pensów) jest wyraźnie próżnem nadszkakiwaniem: udaniem zamiataniem ulicy, już zamiecionej, albo służalczem niby-oczyszczaniem miejsca, gdzie niema błota, gdy dokoła leżą kupy śmieci. Jeżeli jednak profesora Huxleya zadawała rola zamiatacza w socjologii, niechże zgodzi się, żebyśmy go za takiego mieli.

### VIII.

Krytyka Spencera, przeprowadzona w duchu wyjaśniającym, nie zaś formalnym, krytyka, obierająca neomaltuzjanizm za punkt wyjścia, da nam odpowiedź praktyczną, ale nie

formalną jeno na nihilistyczne oświadczenia filozofa. Prawda, że prawodawcy nasi stworzyli mnóstwo bezpożytecznych a nawet szkodliwych praw dlatego właśnie, iż nigdy nie brali uczciwie pod uwagę zagadnienia ludnościowego. Uderzali oni zawsze prosto w garb blachy żelaznej, jak powiada Spencer w doskonałym porównaniu swoim.

„Widzicie — pisze we *Wstępie do Socjologii* — że ten arkusz blachy żelaznej nie jest zupełnie równy; z lewej strony jest nieco zgarbiony. Jakim sposobem wyrównać go na nowo? — Powiecie, że to rzecz bardzo prosta. Dość wziąć młot i uderzać nim po miejscu zgarbionem. Dobrze; oto młot; słucham rady waszej i uderzam. — Bij mocniej — powiadacie. — Nic nie pomaga; czy mam jeszcze raz uderzyć? Dobrze. A więc uderzam jeszcze raz, i drugi, i trzeci. Garb, jak widzicie, pozostaje; złe bynajmniej się nie zwiększyło, przeciwnie przyjęło większe rozmiary. Ale to jeszcze nie wszystko. Patrzcie, jak się blacha zgięła na przeciwnej stronie. Tam, gdzie przedtem była równa, jest teraz zgarbiona. Piękna roboto! Zamiast usunąć pierwotne złe, spowodowaliśmy nowe. Gdybyśmy byli przywołali robotnika wprawnego w prostowanie blachy, byłby nam zaraz powiedział, że przez bezpośrednie uderzanie po części wystającej nie osiągniemy nic, że przeciwnie szkodę tylko wyrządzimy. Byłby nam pokazał, iż należy uderzać młotem dalej, w kierunkach rozmaitych i w pewien właściwy sposób, aby na złe działać pośrednio, a nie bezpośrednio. Postępowanie to, jak widzicie, nie jest tak proste, jak sądziliście. Owa metoda zdrowego rozsądku, do której macie tak wielkie zaufanie, okazuje się bezsilną nawet wobec prostego kawałka blachy. A cóż dopiero wobec społeczeństwa! Czyż mniemacie — mówi Hamlet — iż łatwiej grać na mnie, niż na flecie? Czyż łatwiej wyprostować ludzkość, niż arkusz blachy?”<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Przekład polski Henryka Goldberga, str. 283—4 (I nadal przytaczać będe to dzieło z przekładu polskiego. *Przyp. tłumacza*).

Przykład istotnie wyborny—ale rozważmy jego znaczenie. Istnieje, jak przyznaje ten przykład, pewien sposób prostowania ludzkości, bylebyśmy potrafili go znaleźć. Ale gdzież w ostatecznej teorii Spencera znajdujemy wzmianki o tym sposobie? Przecież nawet we *Wstępie do Socjologii* czytamy prawie wyraźnie, że skrzywiony arkusz blachy należy zostawić działaniu atmosfery i własnych sił cząsteczkowych. Prawda, że samo tylko ustawodawstwo zakazowe nie wpłynęło prawie wcale na wytępienie pijaństwa; prawda, że przepisy budowlane nie powściągnęły fuszerki, że ustawy, regulujące przemysł, częstokroć stawały się martwą literą, czem stanie się też prawo o pracy ośmiogodzinnej, jeżeli je otrzymamy. Czyż niema jednak żadnego sposobu poprawienia skrzywionego społeczeństwa, czyż niema dynamiki społecznej oprócz społecznej statyki? A stary pomysł unarodowienia ziemi; czyż nie byłby on uderzeniem skutecznym, bylebyśmy tylko mogli jednocześnie doglądać zaludnienia? Zmniejszenie długu państwowego celem ujęcia przemysłowi wielkiego ciężaru czyż nie byłoby ciosem, dobrze skierowanym? Uspołecznienie monopolowych urządzeń użyteczności publicznej, jak oto: kolei żelaznych, banków, gazowni, wodociągów, czyż byłoby tylko partackim klepaniem po garbie? Tak jest, odpowiada Spencer pod koniec życia; uspołecznienie monopolowych urządzeń użyteczności publicznej za pomocą jakichkolwiek bądź środków jest jeno krokiem ku „nadchodzącej niewoli” <sup>1)</sup>.

Spójrzmy teraz na stanowisko etyczne i społeczne, do którego posunął się socjolog w swym rozwoju. Wypowiedział on teorię etyki bezwzględnej i względnej; teoria ta w zastosowaniu do polityki zdaje się polegać na tem, że etyka bezwzględna kategorycznie zaleca państwu pewne czynności pierwotne i ujemnie regulujące, jako czynności bezwzględnie słuszne (ochronę od morderstw, rabunków, gwałtów, oszustw i złamań umowy), podczas gdy poza tą ochroną wkraczamy w dziedzinę etyki względnej, która już

<sup>1)</sup> Obacz *The Man versus the State* str. 38.

jest rzeczą wyboru pomiędzy rozmaitemi złemi albo rozmaitemi niedogodnościami <sup>1)</sup>. Spełnianie tych pierwotnych czynności ochrony jest bezwzględnie słuszne i nie może w żaden sposób zrządzić szkody podobnie, jak dla matki rzeczą bezwzględnie słuszną jest karmienie dziecka bodajby z narażeniem własnego życia, istnieje wszakże kres, poza którym jej poświęcenie dla dobra dorastającego dziecka może zrządzić więcej szkody, niż przynieść korzyści; gdy kres ten nadchodzi, zagadnienie wkracza w dziedzinę etyki względnej.

Mniemam, że używanie wyrazów: bezwzględny i względny w takim rozróżnieniu jest niewłaściwe i utrudnia należyte pojmowanie przedmiotów myśli. Przez etykę rozumiemy skojarzone logicznie zasady sprawiedliwego postępowania społecznego; zasady te albo wszystkie są bezwzględne, albo wszystkie względne. Gdy wypada wybierać między dwojgiem złego, zarówno prawdziwie bezwzględnym jest obowiązek obrania kierunku najlepszego, jak bezwzględnym jest w każdym innym razie obowiązek czynienia tego, co jest widocznie słuszne. Terminy Spencera nie odpowiadają treści rzeczy; właściwie należałoby odróżniać stosowność bezpośrednią od przypadkowej, albo pierwszorzędną od wtórnej. Tymczasem wiemy z historii, że czynności społeczne lub rządowe, zalecane przez Spencera, jako bezwzględne, chociaż niezbędność ich zrozumieć łatwiej, niż potrzebę czynności, przez Spencera nie pochwalanych, podjęte zostały przecież jedynie powoli i stopniowo, cywilizacja zaś polegała na postępie od prostego wzajemnego powściągnięcia się jednostek w celach samoobrony do pewnych stałych i zbiorowych urządzeń otamowawczych, wykonywanych przez ogół mniej lub więcej skutecznie. Przez czas długi morderstwa nawet nie poskramiało działanie zbiorowe; przejście zaś do działania zbiorowego w tym razie było zjawiskiem, które według

---

<sup>1)</sup> Nadaję wyrazom swoim postać taką, która wydaje mi się należytem oddaniem nauki Spencera o etyce względnej i bezwzględnej, chociaż zresztą niepodobna prawie streścić nauki tej w pojedynczem zdaniu. Obacz *Data of Ethics* rozdz. XV i porównaj cenne dzieło Collinsa *Epitome of the Synthetic Philosophy* str. 541—3.

mianownictwa Spencera wkracza w dziedzinę etyki względnej, skoro wyrosło ze stopniowego zrozumienia, iż złe strony odwetu i krwawych sporów są większe od złych stron kosztownego wymiaru sprawiedliwości w sądach i uciążliwości mechanizmu społecznego. Jest to wzorzec wszelkiego ruchu politycznego. Sam Spencer wskazuje dostatecznie jasno, że rozwój przekonania o niezbędności etycznej lub też o dogodności danej czynności społecznej nie ma naprawdę żadnego zrozumiałego kresu; rzecz polega po prostu na trafnym i słusznym wyborze, dokonywanym w miarę kolejno postrzeganych wydarzeń. Staje się bardzo widocznem, że w stosunku do wielu z nas Spencer stoi na takim samym stanowisku, jakie zajmowali zachowawcy starożytni, gdy opierali się reformatorom ówczesnym, usiłującym wprowadzić zasadę zbiorowego karania morderstw i kradzieży.

Jeżeli od faktów, które zmuszają do zastanowienia się, wzbudzając uczucia pochodne, przejdziemy do faktów, o których powiedzieć można, iż dają pokarm uczuciom bezpośrednim, stanowisko stanie się jeszcze jaśniejszem. Dowodząc, że nie powinniśmy oddzielać cierpienia od błędu <sup>1)</sup> (do którego zaliczono też nieprzezorność), że powinniśmy tolerować doznawanie pewnych cierpień, jako niby środków leczniczych, Spencer skarży się na opłacanie przez państwo wpisów szkolnych za ubogie dzieci i na projekt wydawania tym dzieciom obiadów publicznych, skarży się równie gorąco, jak i na każdą inną czynność publiczną. Zwróćmy uwagę, że tutaj właściwie Spencer żąda, iżbyśmy w cierpieniach biednych dzieci widzieli słuszną karę ich rodziców, nie zaś iżbyśmy widzieli w dzieciach jednostki niezależne; takie stanowisko niewątpliwie równa się zburzeniu wszelkiej etyki społecznej, która ostatecznie spoczywa na biologicznym fakcie współczucia. Na czemże polegało własne dowodzenie Spencera przeciw zwyczajowi gry w karty? Że „ten rodzaj czynności jest w istocie swej antysocjalny; wykorzenia on sympatję, krzewi niewzruszony egoizm i tym sposobem

---

<sup>1)</sup> *The Man versus the State* str. 19, 28.

sprowadza powszechne upodlenie charakteru i postępowania" <sup>1)</sup>). Jakież lepsze określenie znaleźć można dla własnego stanowiska Spencera w sprawie morzenia głodem ubogich dzieci? <sup>2)</sup>).

Niema potrzeby mówić, że takie stanowisko wobec cierpień dzieci naszych staje się coraz bardziej bezwarunkowo niemożliwe dla ludzi cywilizowanych, którzy myślą o tym przedmiocie; tu właśnie spostrzegamy biologiczny pierwiastek różnicy między nami a Spencerem, mianowicie iż złe, poznane za pomocą uczucia, dla nas jest coraz powszechniej nieznośne, dla niego zaś możliwe do zniesienia. Dość dziwnym zbiegiem okoliczności wielki nasz socjolog, znakomicie uposażony pod tyłu względami, okazuje się w końcu pod jednym względem, — pod względem temperamentu — źle przystosowanym — że użyję jego własnego zwrotu — do współczesnego okresu rozwojowego społeczeństwa. Któż zaś zechce przesądzać, o ile to złe przystosowanie jest wynikiem natężonego przygotowania rozumowego do badań socjologicznych?

## IX.

Omawiając fakt cierpień dziecinnych ze strony indukcyjnej albo praktycznej, znajdziemy w nim przykład typowy znaczenia socjologii stosowanej albo dynamicznej. Spencer odwołuje się nie bez pozorów słuszności do przykładu dawnego ustawodawstwa o biednych, które rozmnożyło pauperyzm i stworzyło całą klasę kobiet, poszukiwanych na małżonki z powodu wielkiej liczby posiadanych przez nie dzieci nieprawych <sup>3)</sup>. Nic nie mówiąc, że reforma

<sup>1)</sup> *Wstęp do Socjologii* str. 322.

<sup>2)</sup> Już po napisaniu słów powyższych podano do wiadomości publicznej, że Spencer wstąpił do Towarzystwa Zapobiegania Okrutnemu Obchodzeniu się z Dziećmi, którego sekretarz niedawno właśnie rozgłaszał nieprzyzwolite oszczerstwa przeciw ludziom, podobnie mniemającym o religji, jak Spencer. Nie idzie wszakże za tem, żeby Spencer pragnął uchronić dzieci biedaków od wyginięcia z nędzy.

<sup>3)</sup> *Wstęp do Socjologii* str. 104—5, 389—90.

praw o biednych w danej chwili oddała te dzieci na pastwę głodu, Spencer właściwie każe nam ogładzać prawie dzieci dzisiejsze. I teraz jeszcze nie znajdujemy ani słowa przestrogi dla mizernych rodziców, jak mają unikać posiadania wielkiej ilości dzieci. Stanowisko Spencera względem zagadnienia ludnościowego jest dla mnie ostatecznie zagadką, bo wykładając przywidzenia Doubledaya, podzielane zdaje się dotychczas przez wielu socjalistów i innych, co do wpływu dobrego odżywiania się na zmniejszenie płodności, Spencer jak gdyby wprost ufa wątpliwemu domniemaniu optymistycznemu, że bardzo wysoka cywilizacja zmniejszy kiedyś płodność bez względu na wszelkie ograniczenia rozumne, podyktowane przez przezorność <sup>1)</sup>. W gruncie rzeczy rozpaczliwa potrzeba przezornego powściągnięcia się n a d z i s rzuca mu się w oczy dowodnie i codziennie; jednakże Spencer nie napomyka ani półsłówkiem o możliwości oświecania tłumów w tym przedmiocie. Co więcej kompromituje się, lekceważąc wartość wykształcenia, byleby tylko uzasadnić nieufność swoją względem wychowania narodowego. Jeżeli uznaje jakikolwiek środek, który mógłby przemówić do rozumu nieopatrznych rodziców, środkiem tym jest logika cierpienia – które pociąga za sobą głodzenie dzieci. Jedyną dźwignią, w którą Spencer jakotako wierzy, jest bicz strachu przed piekłem na ziemi, strachu, który w gruncie rzeczy nigdy nie wprowadzi ludzi na drogę jedynie w tym razie prawdziwą i który daleko prawdopodobniej popchnie do dzieciobójstwa, niż do rozwagi. Cofnijmy się teraz do książki o *Wychowaniu*, napisanej trzydzieści lat temu, i spójrzmy, jak miłośnie Spencer dawniejszy rozwijał prawdy, że najczęściej powracają do więzienia ci młodzi zbrodniarze, którzy przeszli przez chłostę <sup>2)</sup>, oraz że w przytułkach dla obłąkanych najlepiej odpowiada celowi metoda swobody i łagod-

<sup>1)</sup> Obacz *Principles of Biology* t. II, str. 483 i nast. Porównaj broszurę autora szkiców niniejszych (Forder, Stonecatter Street) p. n. *Over-Population* str. 13 oraz krytykę jednego z ostatnich wynurzeń Spencera w artykule w *National Reformer* z 15 lutego 1891 r. o „Nieboszczce Konstancji Naden.”

<sup>2)</sup> Dzieło wymienione, str. 121.

ności. Zmierzymy teraz odległość, o jaką cofnął się on wstecz, jako socjolog, gdy doszedł do przekonania, że łagodność i współczucie mogą kierować warjatami, ale nie wpłyną na ludzi umysłowo zdrowych!

Trudno odgagnąć, jak się to stało, że myśliciel, który napisał książkę o *Wychowaniu*, kładąc w niej tak wielki nacisk na potrzebę kształcenia młodzieży dla przyszłych obowiązków rodzicielstwa, mógł w ten sposób zapominać o dodatnich skutkach szerzenia wiedzy praktycznej. Nie umiem znaleźć innego w tej mierze wyjaśnienia, jeno że ciągnęła troska o utrzymanie pierwotnego stanowiska wbrew poglądom cudzym i o zwalczanie oporu przeciw teorii własnej doprowadziła go z jednej strony do ignorowania i odrzucania neomaltuzjanizmu, z drugiej zaś do pomiatania wychowaniem narodem przez zmniejszanie wartości wychowania wogóle. Potrzeby takiej czynności dowodowej doprowadziły Spencera do niejednej płaskiej sprzeczności. Zbijając stary zarzut Mateusza Arnolda, że Anglikom brakuje idei, Spencer gani „przypuszczenie, że powodzenie w praktyce nie zależy od wyższości teorii. Przypuszczenie to powiada — jest błędne. Wszelką metodę, prowadzącą do urzeczywistnienia wytkniętego celu, musi nieodzownie poprzedzać myśl prawdziwa”<sup>1)</sup>. W innym rozdziale tej samej książki, krytykując Comte'a, tak pisze:

„Tak np. gdy (Comte) mówi o „anarchji umysłowej, która jest głównym źródłem naszej anarchji moralnej”, gdy objawia przekonanie... że zdrowa teoria spowodowałaby i zdrową praktykę, to widoczna, że związku między właściwościami obywateli a zjawiskami życia społecznego nie pojął dokładnie; związek ten sięga daleko głębiej, niż żeby mógł być zmodyfikowany przez prostą zmianę panujących idei”<sup>2)</sup>.

Otóż co do tego zagadnienia o stosunku pojęć do uczuć, zagadnienia, które jest źródłem tylu fałszów, Comte przeczył sam sobie często i jaskrawo, i to nie tylko w jednej książce

1) *Wstęp do Socjologii* str. 229.

2) *Wstęp do Socjologii* str. 347.

w porównaniu z innymi, ale w rozmaitych częściach *Rozprawy o Całości Pozytywizmu*, oddając przewagę bądź pojęciom, bądź znów niekiedy uczuciom. Ale tutaj widzimy, że i Spencer wpada w zupełnie taką samą sprzeczność, utrzymując w jednym rozdziale, że słuszne albo skuteczne postępowanie wynika z pojęć prawdziwych, w drugim zaś, że prawdziwe pojęcia bynajmniej nie dają rękojmi słusznego postępowania. Twierdzenie ostatnie powtarza w całej rozciągłości w swoich *Powodach, dla których różni się od Filozofji p. Comte'a*, obstawiając przy tem, że „światem rządzą lub obalają go uczucia, którym pojęcia służą jedynie za drogowskazy” <sup>1)</sup>. A tymczasem prawdziwe i naukowe rozwiązanie sporu leży konkretnie w jego własnych *Zasadach Psychologii*, gdzie oznajmia, że „we wszystkich zjawiskach umysłowości widzimy jedność składu... Najzawilsze czynności rozumowe dają się rozłożyć na intuicyjne spostrzeżenia podobieństwa i różnicy pomiędzy wyrazami, mniej lub więcej ukrytymi. Rozważając najwyższe nawet rozumowanie ze strony podstawowej, widzimy, że stanowi ono jedność ze wszystkimi niższymi postaciami myśli ludzkiej, z popędem i działaniem odruchowym w najprostszych nawet przejawach” <sup>2)</sup>.

To znaczy, że przeciwstawność uczuć i pojęć nie jest prawdziwa, że nowa wiedza jest podstawą nowego działania, bo uczucie i rozumowanie są jeno wcześniejszymi i późniejszymi stopniami działalności umysłowej, która powstaje ze spostrzeżeń.

Gdy jednak zwrócimy się do najbardziej opracowanych i beznamiętnych uwag Spencera nad zasadami działania społecznego, znajdziemy szereg wniosków niweczających i odrętwiających, które, chociaż mówią o nieskończonym po-

1) *Reasons* str. 37; *Essays* t. III, str. 69. Omawiałem poniekąd ten spór w artykule: „Pojęcia wobec uczuć; kwestja określenia“ w *National Reformer* z 19 i 26 kwietnia 1885 r.

2) *Principles of Psychology* wyd. 3-cie, t. II, str. 291-9. Do tych samych wniosków doszedł oddawna Destutt de Tracy *Éléments d'Idéologie; Logique* wyd. 2-je, str. 185.

stępie, zdają się wzbraniać mu każdego kroku. We *Wstępie do Socjologii* mamy szereg przedziwnych rozdziałów o potrzebie nauki społecznej i trudnościach jej zdobycia, o rozmaitych rodzajach uprzedzeń i o rozmaitych rodzajach potrzebnej wprawy i przygotowania naukowego—wprawy w logikę i matematykę, przygotowania za pomocą biologji i psychologji. A jakż jest koniec całego przygotowania? Jest to istotnie arcyszczególne zakończenie, jak na taką rozprawę. Spencer nie ma nadziei, jak sam powiada, osiągnąć więcej niż tu i owdzie wpłynąć na czytelnika,

„żeby w chwili spokoju zastanowił się nad pytaniem do jakiego stopnia poglądy jego na sprawy społeczne są dziełem okoliczności, i jak wielkie jest prawdopodobieństwo że albo zupełnie są one błędne, albo tylko w części prawdziwe... Może myśl ta sprawi, iż nie będzie tak silnie obstawał za swem przekonaniem; być może zrozumie konieczność poddania go krytyce i sprostowaniu, a przede wszystkim może mniej pochopny będzie do działania według owego przekonania”<sup>1)</sup>.

Jak dotąd, mogłaby to być po prostu dobra stara rada: „nie śpieszmy się zbyt”<sup>2)</sup>, ale Spencer ma na myśli coś więcej jeszcze. Chce on nie tylko dać do zrozumienia, że reformy społeczne powinny być powolne; tej prawdy uczymy się dość rychło. W istocie rzeczy stawia on samobójczą zasadę, że żadna zmiana pojęć ludzkich, żadne szerzenie nowych poglądów nie może mieć żadnego wpływu na przyspieszenie rozwoju społecznego.

„Powierzchnia ziemi — powiada — uformowana została przez siły, które w ciągu jednego roku prawie nigdzie nie wywołują zmian widocznych. Nieprzejrzana wielość jej różnorodnych form powstała wskutek procesów, tak powolnie się odbywających, iż następstwa ich prawie nigdy nie dadzą się uchwycić w okresach czasu, które stanowią pole naszej obserwacji. Nie pozostaje nam nic innego, jak prawdy te

1) *Wstęp do Socjologii* str. 412—3.

uznać i nadzieje nasze do nich zastosować. Światło, padając na kryształ, może zmienić jego układ cząsteczkowy, wszakże nie inaczej, jak wskutek nieprzeliczonych prawie uderzeń... Podobnież zanim w naturze ludzkiej lub w instytucjach ludzkich zajdą zmiany, posiadające taką stałość, któraby z nich zrobiła część dziedzictwa ludzkości, potrzeba, aby uczucia, myśli i czyny taką niezliczoną ilość razy się powtórzyły, iżby zmiany te nastąpić mogły. Czas trwania procesu tego nie może być skrócony, trzeba go przeżyć cierpliwie." <sup>1)</sup>

Sądzę, że twierdzenie to przesiąknięte jest fałszem od początku do końca. Naprzód Spencer każe nam wierzyć, że postęp społeczny jest z konieczności tak powolny, jak bieg zmian geologicznych i zoologicznych, chociaż przypuszczenie to pozostaje w całkowitej sprzeczności z wszelkimi doświadczeniami historycznymi. Postęp społeczny jest w istocie powolny względnie do nadziei naszych, ale jest szybki w porównaniu z przemianą gatunków, i zestawiać go z procesem tym, lub ze zmianami geologicznymi, lub z działaniem światła na kryształ, jest to zaciemniać wszystkie fakty za pomocą fałszywej analogji. Co więcej postęp społeczny w rozmaitych czasach zmienia się co do szybkości bardzo znacznie, a najwyższe stopnie ruchliwości jego zbiegają się z najwyższymi stopniami rozwoju zbiorowej świadomości społecznej. Wszak samo istnienie tego prawodawstwa, z którego Spencer się naigrawa, samo istnienie tej literatury socjologicznej, do której wzbogacenia Spencer tak wielce się przyczynił, dowodzi, że świadomość zbiorowa w czasach dzisiejszych ożywiła się na całym świecie. Co jest czynnikiem najniezawodniejszym, określającym zmianę gatunku? Zmiana w otoczeniu; to też prawdziwa analogja mówi, że skoro nasze otoczenie umysłowe się zmienia, skoro zmienia się nasze życie umysłowe, przekształcić się musi i nasza osada społeczna. Ale zmiana warunków staje się coraz bardziej szybką lub staje się coraz bardziej możliwą w miarę, jak wznosimy się po drabinie świadomości. Powierzchnia zie-

<sup>1)</sup> *Wstęp do Socjologii* str. 424—5.

mi istotnie zmienia się powoli w ciągu stuleci z wyjątkiem okresów przewrotowych, których prześlepieć nie należy. Ale ustroje zdolne są zmieniać otoczenie swoje przez przenoszenie się z miejsca na miejsce, czyniąc zaś to, wywołują zmiany biologiczne. Dalej znów społeczeństwo ludzkie, nie zmieniając swego otoczenia fizycznego, może szybko przeistaczać się umysłowo, wchodząc w zetknięcie z innym społeczeństwem o kulturze odmiennej, i wszystkie znakomite cywilizacje, o których posiadamy należyte wiadomości, dostarczają przykładów tego wzajemnego oddziaływania społeczeństw i kultur, dzięki któremu cywilizacja wtórna wyrasta szybko pod wpływem bodźca, wziętego od innych, pierwotnych względem niej cywilizacji. Grecy wyrosli z Azjatów, Fenicjan i Egipcjan podobnie, jak ci ostatni z Etjopów; Chaldejczycy z Akkadów; Indusowie aryjscy z drawidzkich; przedhiszpańscy Meksykańczycy i Peruwijczycy z dawniejszych szczepów meksykańskich i peruwijskich; Rzymianie ze wszystkich ludów nadśródziemnomorskich; średniowieczni Włosi z zespolenia rzymskiego; Europa doby odrodzenia z Maurów i z wpływu odnalezionej starożytności; nowożytni Europejczycy i Amerykanie z coraz wzrastającego ogólnego oddziaływania na siebie wszystkich państw obu półkuli, ostatnim zaś przejawem tego oddziaływania jest wpływ Europy na Japonję i Japonji na Europę. Spencera można wezwać do zmierzenia swej formuły z przykładem Japonji, nie mówiąc już wogóle o tamtych innych faktach. A jeżeli takie zmiany zdarzają się w masach społecznych wskutek pierwotnych jedynie oddziaływań, wywołanych przez zetknięcie się umysłów niefilozoficznych, to o ileż prędzej dokonywane być mogą przeistoczenia, gdy zaczną się mnożyć umysły filozoficzne czyli umysły o świadomości rozległej i zaczną wpajać uogólnione pojęcia swoje w tłum, który aż dotąd nie zastanawia się, nie rozważa?

## X.

Spencer daje do zrozumienia, że nic podobnego zdarzyć się nie może; z pewnością też nie zdarzyłyby się, gdyby on mógł temu zapobiec. Ale tymczasem Spencer wbrew woli własnej wciąż podsycił rozwój, bo uogólnienia jego, dotyczące się sił sprzecznych, posłużą jeno do rozszerzenia tej zbiorowej świadomości, która przyspiesza rozwój społeczny. Sama jego walka z *Nadchodzącą Niewolą* równa się przyznaniu, iż odbywa się szybko pewnego rodzaju zmiana<sup>1)</sup>; z konieczności też musi uciec się do teorii, że zmiana ta nie będzie trwała, do teorii, której, mówiąc nawiasem, zaniedbuje związać z analogiami swemi z dziedziny fizyki i zoologii. Prawdą jest, że po rewolucjach następują reakcje, ale gdzie i kiedy Spencer oznaczył i określił warunki, w których ewolucja przechodzi w rewolucję? Poznanie niebezpieczeństw rewolucji staje się częścią składową świadomości tych, którzy starają się o zmianę, a nowe to spostrzeżenie stwarza nowe warunki działalności.

W istocie sam nawet Spencer usiłuje stworzyć jeszcze jeden nowy warunek, filozofując na rzecz wstecznictwa, bo to właśnie najwidoczniej czyni we *Wstępie do Socjologii*. Gdyby radę jego, zwróconą do wszystkich ludzi, żeby byli „mniej pochopni do działania” w myśl przekonań swoich, przyjęto powszechnie w stopniu jednakim, rzeczy pozostałyby prawie zupełnie w takim stanie, jak są, bo w warunkach danych zachowawca byłby mniej pochopny do zachowywania, nowator zaś byłby mniej pochopny do wprowadzania ino-

<sup>1)</sup> Już po napisaniu słów powyższych została wydana przez D. G. Ritchiego mała książeczka o *Zasadach Interwencji Państwowej*. W książce tej pomiędzy rozmaitemi uwagami krytycznemi, które muszę uznać za źle pomyślane, znajduję nieprzeparłe pokonanie Spencera na jego własnym gruncie—według tego co sam on mówi w *Jednostce wobec Państwa* o tej rzeczywistej zmianie politycznej. Jednym tchem oświadczają, że działanie celowe nie może zmienić społeczeństw—i że prawodawcy nowożytni zmiany takie rzeczywiście wywołują. Obacz książkę Ritchiego, str. 47. Zwolenników Spencera można wezwać do odparcia tej krytyki; punkt ten należy wreszcie doprowadzić do porządku.

wacji. Ale uważajmy, że sam Spencer nie jest ani trochę mniej pochopny do działania według swoich przekonań, a to właśnie jest wskazówką, że tak dziać się musi powszechnie. Ludzie ze świadomością rozwiniętą będą mniej narwani, niż byli, podobnie jak człowiek cywilizowany jest mniej narwany od dzikiego, ale nie będą oni mniej wytrwali. Rzekiwiście usiłowania Spencera zmierzają natomiast do tego, żeby pohamować zapał liberałów i wzmocnić bezwładność zachowawców. Postępujemy jego wniosku:

„Tak więc człowiek, należący do wyższego typu, jakkolwiek przyznaje, że śmiałe plany są bodźcem niezbędnym dla fanatyka, jakkolwiek uznaje użyteczność złudzeń jego, gdyż są przystosowane i do jego natury i do jego szczególnej czynności, człowiek taki mimo to zadawałać się skromniejszymi nadziejami, a jednocześnie musi być wytrwałym i w pracy nie ustawać. Musi pojmować, jak mało stosunkowo da się zrobić, a jednak być przekonanym, że i to małe spełnić warto; jednym słowem musi być energiczny, jak filantrop, a spokojny, jak filozof.”

Spójrzmy teraz do jakiej nawskroś fałszywej dochodzimy w końcu psychologii. „Śmiałe plany” fanatyka, to znaczy jego fanatyzm, nazwane tu są użytecznymi, jako „przystosowane do jego szczególnej natury.” gdyż są one jego szczególną naturą; a jego „szczególną czynność,” którą Spencer utożsamia z jego naturą, podano poprzednio za przeciwwagę typu przeciwnego, który nie ma żadnych zgola nadziei ani planów. Znaczą to, że fanatyk jest rzeczywiście użyteczny dlatego, iż przeciwdziała „ludziom, należącym do wyższego typu,” którego przedstawicielem jest Spencer—bo do takiego punktu dochodzą argumenty, pomimo iż filozof nasz usiłuje dowieść, że nie jest ani radykalistą ani zachowawcą, jeno oboma potroszę albo raczej czemś wyższem od obu. W rozdziałach, omawiających uprzedzenia polityczne i uprzedzenia teologiczne, Spencer ponownie wysuwa kwestję pojednania religji z nauką i po tym szczeblu wznosi się do pewnego rodzaju pojednania radykalizmu z zachowawczością. Uczucie, „jedynie słusznie zwane religijnem,” ma, jak się dowiadujemy, „źródło w tem, co stoi ponad ludzkością i ponad

wszystkiem w świecie;" uczucie to, powtarza Spencer raz jeszcze, jest niezniszczalne <sup>1)</sup>).

Radykaliści, powiada Spencer, nie mogą zrozumieć, że torysi są zbawiennym hamulcem ich niepraktycznego zapалу; torysi nie mogą pojąć, że porządek ustalony jest tylko względnie dobry, oraz że zapobiegają oni po prostu zmianom przedwczesnym <sup>2)</sup>). W rozumowaniu tem mamy podwójne błędne koło. Zmiana, o której mowa, jest „przedwczesną” dlatego tylko, że zachowawca jest zachowawcą; gdyby nie było wcale zachowawców, nie byłoby zgoła zmian przedwczesnych. Mogłyby być błędy, ale to jest co innego, niż zmiany „przedwczesne.” „Ani jedni, ani drudzy — powiada Spencer — nie pojmują ani swej własnej roli, ani też roli przeciwników swoich, a o ile tego nie są w stanie pojąć, o tyle też nie mogą zrozumieć zjawisk społecznych.” Cóżby się stało, gdyby p o j m o w a l i zjawiska społeczne i własne swoje role? Cóż robi Spencer, który mniema, że je pojmuje; i coź robimy my, idąc za jego dowodzeniem? Po prostu spełniamy dalej — oby tylko z większą oględnością! — własną swą zachowawczość albo radykalizm! Bo Spencer jest teraz w stosunku do wszelkich pomysłów i zamiarów zachowawcą, opierając się wszelkiej zmianie, nie jako przedwczesnej, ale jako bezwzględnej zmianie na gorsze; jest zachowawcą nader czynnym. Jego rada, żeby być mniej pochopnym do działania w myśl swoich przekonań, ma na względzie wyraźnie radykalistów, nie zaś zachowawców. „Człowiek wyższego typu,” jak widzieliśmy, musi ostatecznie zadawałać się daleko skromniejszymi nadziejami, „a jednocześnie musi być wytrwałymi w pracy nieustawiać” — stanowisko znakomicie łatwe do zdobycia; wszyscy to przyznają. Musi on widzieć, że bardzo mało da się zrobić, a jednak „być przekonanym, że i to mało spełnić warto; jednym słowem musi być energicznym, jak filantrop” — energicznym, robiąc bardzo mało — „a spokojnym, jak filozof.” Ostatecznie powinien uwierzyć w siłę kosmiczną i wsadzić ręce do kie-

<sup>1)</sup> Str. 327.

<sup>2)</sup> Str. 305.

szeni — w zamiarze ściśle przeczącym. Powinien kształtować się na wzorach owej pocziwej szlachty starej daty, o której mówi piosenka Gilberta, iż

„...ciągle w wojnie,  
Nie robiła nic tak szczególnego,  
Ale robiła to bardzo dobrze.”

Myślę, że taki jest ideał zachowawców. Gdy jednak okaże się, iż energja filantropijna po stronie przeciwników staje się zbyt rączą, że zbyt mało robi sobie ze statyki społecznej, wówczas „człowiek wyższego typu” otrzymuje wyraźną zachętę, żeby zapisał się do Ligi Obrony Wolności i Własności, a natomiast spokój filozoficzny schował tam, gdzie niedawno trzymał rękę.

## XI.

A jednak chociaż czynność Spencera polegała pozornie na umocnieniu zachowawców w zachowawczości i na zachwianiu liberalnych w liberalizmie, przecież rzeczywisty skutek jego nauki był prawdopodobnie w znacznej mierze wprost odwrotny. Radykalizmowi wyłożył on jego błędy, w zachowawcach zaś, o ile zachowawcy czytują *Filozofję Syntetyczną*, osłabił wiarę w stałość układu społecznego; bo jak sam wskazuje, ideały dawnych torysów uznawały zmianę nie za przedwczesną tylko, ale za zbrodniczą i zgubną. Zachowawczość pozostanie wśród ewolucjonistów — świadkiem własny rozwój Spencera — ale nie wróci już ona nigdy do stanu czysto pierwotnej popędowości; na świadomość jej padł czar prawa zmian kosmicznych. Spencer usiłował dowieść, że rozwój społeczeństw całkowicie świadomych nie może być inny, niż rozwój społeczeństw przeważnie nieświadomych, że owszem nie może być inny, niż przemiany materji zupełnie nieświadomej albo gatunków zwierzęcych, pozbawionych świadomości ludzkiej. Ale już samo to twierdzenie jest wzbogace-

niem świadomości; rozszerzenia zaś granic umysłowości nie można cofnąć nigdy, chyba za pomocą rozprężenia społecznego, kiedy poziom umysłowy obniża się pod każdym względem. Istnieją wyraźnie i działają w kierunku rozprężenia społeczeństw siły takie, które, niepowściągane, mogłyby wywołać tego rodzaju zwyrodnienie, siły, sprawiające przerost niższych dziedzin życia społecznego i dążące do zabagnienia dziedzin wyższych, do wznowienia wierzeń i ideałów, z których wyrosliśmy już oddawna. Pomimo wszystkiego, czego bezpośrednio uczył nas Spencer, ten proces zgubny może posuwać się dalej. Spencer radził nam pozwolić, żeby nędzny tłum młody i stary marł w nędzy swojej; nalegał, żebyśmy zaniechali tego wychowania narodowego, które, jak dotąd, jest najdonioślejszym środkiem samoobrony przeciw śmiertelnej zarazie wzrastającego nieuctwa; pragnął, żebyśmy wprost urągali jeszcze groźniejszej chorobie coraz głębszego niezadowolenia. Zalecał nam koniec końców uczynić serca twardymi, żebyśmy w ten sposób mogli wznieść się do wyższej moralności, która oznacza zupełniejszą zdolność współczucia. Ale daremne to są rady. Serca nie stwardniają na rozkaz; i to jest także zjawiskiem kosmicznym, zależnym od całkowitej sumy warunków bytu. Zamiast być posłuszni Spencerowi, borykamy się z wielkim zagadnieniem biologicznym, którego pominięcie jest najcięższym błędem filozofa; sądzymy, że istnieje sposób ratowania bliźnich naszych bez zwiększania ich samotnej bezsilności; sposobem tym jest wiedza, jest st o s o w a n a umiejętność społeczna. Stajemy ostatecznie w szeregach nowej szkoły, która łączy badania nad statyką społeczną z pracą nad społeczną dynamiką, i ganimy naukę pierwszych mistrzów socjologii za to, że widzieli w niej koniec, gdy jest ona dopiero początkiem. Mówiąc słowami autora *Socjologii Dynamicznej*, powiadamy o mistrzach tych, zwłaszcza o największym z nich, Spence-rze, iż „nie zdołali oni pojąć prawdziwej natury sztuki w zastosowaniu do wszelkich dziedzin nauki. Spoztrzegając związek gienetyczny w procesach przyrodzonych, błędnie wnosili oni, że drogi i środki przyrody powinny być dro-

gami i środkami człowieka. Pomieszała zasadniczą myśl sztuki pięknej z myślą sztuki użytecznej, naśladowanie przyrody z jej kontrolowaniem. Uczą, że metoda przyrody jest właściwą metodą człowieka, podczas gdy ta ostatnia jest z konieczności metodą sztuczną<sup>1)</sup>. Można dodać, że nawet takie odróżnianie naturalności od sztuczności jest zbyt wielkiem ustępstwem na rzecz Spencera, albowiem świadome usiłowanie zastosowania się do sposobu życia, wywnioskowanego drogą badań, jako do sposobu życia jaknajprawdziwiej „naturalnego”, jest co do istoty swej równie „sztuczne,” jak wszelkie usiłowania nowatorskie. Ostatecznie wniosek domyślny, utajony w teorii Spencera, że pewne działanie polityczne może naprawdę nie być „wzrostem,” równa się unieważnieniu jego własnej filozofii kosmicznej. Skończył on na pojęciu „porządku naturalnego,” które cofa nas na stopień myśli przednaukowej<sup>2)</sup>.

A teraz, zganiwszy, co było do zganienia, odpowiedzmy na pytanie, jak mamy mierzyć dług nasz względem człowieka, którego rozległe dzieło stworzyło podstawy tej nowej sztuki (nie zapominajmy, że sztuka ta jest „sztuką, którą tworzy sama przyroda”), i którego głębokie i gruntowne nauki dostarczyły nam światła mocniejszego, niż skłonności Spencera, pragnące zgasić to światło? Któż inny za dni naszych w takim, jak on, stopniu rozpostarł i rozpalił wiedzę naszą? Któż przyczynił się więcej od niego do przebudowy naszego życia? Tak niezniszczalne są zasługi Spencera, że ostatnie wyrazy nasze muszą koniecznie być ich uznaniem. W imieniu wszystkich, którzy zgadzają się z krytyką naszą, zwrócą ku tej części dzieła myśliciela, jaką uznajemy za znikomą, musimy ostatecznie powstać i zawołać: Bądź pozdrowiony ojciec duchowy i mistrzu czcigodny, któryś nas pierwszy nauczył po wiekuistych wskazówkach słońca i gwiazd poznawać drogę w lesie życia! Chociaż dzisiaj widzimy się zmuszeni oba-

1) Dzieło wymienione, t. I, przedm., str. VI.

2) Obacz *The Man versus the State* str. 64.

łać wzniesione przez ciebie zasieki, odrzucać twoje sposoby gimnastyczne i zaniechać sztuki myśliwskiej, którejs nas nauczył, przecież pragniemy zawsze należeć do wielkiego rodu, którego ty jesteś głową; a gdy z kolei wspominać zaczniemy wielu, twoje imię, nie zaś żadne inne, wymienimy dzieciom naszym, jako imię najprzedniejszego założyciela nowego kierunku, największego zwiastuna nowego wieku.

---

## SKOROWIDZ

- A**damsen prof. o Fichtem 22.  
 Akademia angielska (projekt) 173.  
 Amerykańska literatura 137, 138.  
   " wojna domowa i Carlyle 71, 90.  
   " domowa i Emerson 158.  
   " domowa i Mill 90.  
 Angelico Fra 202.  
 Anglja i ład stały 183—186, 195, 196.  
   — klasy jej 188.  
 Anomalje 197—199.  
 Armja Zbawienia 73.  
 Arnold M. 161—204, 207, 214, 238, 243, 245.  
   o Emersonie 153—155, 158, 159.  
   — jego rodzina 162.  
   " wykształcenie początkowe 165, 169.  
   " zapał młodz. 166.  
   " wykształcenie cudzoziemskie 167.  
   " styl 168.  
   " powabność 168.  
   " wady umysłów. 169.  
   " brak metody 170.  
   " poglądy krytyczne 173—176.  
   " biblijność 176 — 183.  
   " teologia 179 — 183.  
   " dowolność 179—183.  
   " etyka 180, 181, 190—194.  
   " wstecznictwo 183.  
   " krytyka Anglji 184—189, 195 — 197.  
   " formuły społeczne 187—190.  
   "
- Arnold M.—jego popędy barbarzyńskie 189, 190.  
   " " anomalje 198.  
   " " socjologia 199 — 202.  
   " " błędy 202.  
   " " zasługi 203, 204.  
   " " osobistość 204.  
 Arnold dr. T. 161—165.  
   — jego fanatyzm 164.  
   " styl 167, 168.  
   " stosunek do nauki 171.  
   " wykład biblji 176—178.  
   " pogląd na narodowość 183, 184.  
   " pogląd na wojnę 194, 195.  
 Ateizm 32, 162.  
 Ateny 199, 200.  
 Austen Janina 7.  
**B**ain prof.—przytoczenia 86, 91, 95, 99, 105, 111, 118, 128, 130, 132, 240.  
 Bentham i J. S. Mill 83, 84, 88, 110, 129.  
 Bismark 68.  
 Błąd—jego wzorzec 145, 146.  
 Bradlaugh 24, 25, 109.  
 Browning 40.  
 Buckle 233, 249.  
 Burke 8, 110, 196, 197.  
 Burns—zdanie Carlyle'a 44.  
 Burroughs J.—przytoczenia 139.  
 Butler biskup 196, 197.  
 Byron 5, 10, 19, 20, 59, 173, 174.  
**C**abot—przytoczenia 141, 148, 149.  
 Carlile Ryszard 9.

- Carlyle Tomasz 5 — 75, 138, 140, 169, 182, 183, 214, 237.
- „ wpływ jego 6, 7.
- „ jego otoczenie pierwotne 7, 8.
- „ „ charakter i wpływ ojca 11-14.
- „ „ spadek fizyczny 13, 14.
- „ „ przekorność 13, 36.
- „ „ pociąg do literatury 14.
- „ „ portrety 15, 35.
- „ „ dzieciństwo 15, 16.
- „ „ umysł w młodości 16-18.
- „ radykalizm jego matki 17.
- „ jego nauka 16.
- „ „ stosunek do Goethego 19.
- „ „ transcendentizm 21, 22, 70.
- „ „ styl 21, 39, 40, 51.
- „ „ niekonsekwencje 22, 23, 33.
- „ „ deizm 24, 70.
- „ „ etyka 26, 69, 70.
- „ „ talent literacki 30, 31.
- „ „ przesady i polityka 31.
- „ „ bezczynność i jałwość 32, 34, 35.
- „ „ wpływ dobry 35-39.
- „ „ obłudza 37.
- „ „ nałóg kaznodziejstwa 41.
- „ „ najzarliwsze banalności 43.
- „ „ poglądy krytyczne 44-48.
- „ „ rola historyka 49-57.
- „ „ upadek 50, 53.
- „ „ zrozumiałość 57-62.
- „ „ rozwój 50, 63.
- „ „ cezaryzm 63-66.
- „ „ *Latter-Day Pamphlets* 66-71.
- „ wobec potomności 74, 75.
- „ jego zdanie o J. S. Millu 88, 89.
- „ zdanie o nim Milla 87, 91.
- „ jego postawa wobec religii istniejącej 105.
- „ „ poglądy na sztukę 234, 235.
- Carlyle pani 92.
- Chateaubriand 166.
- Clough A. H. 166.
- Cobden 124, 127.
- Colenso 197, 219.
- Coleridge S. T. C. 56, 83, 110, 146.
- Coleridge lord 165.
- Comte 240, 266, 267.
- Conway M. D. — przytoczenia 33, 68.
- Cooper Fenimore 136.
- Courtney W. L. — przytoczenia 85 — 87, 124.
- Cromwell i Carlyle 47.
- Cywilizacja — rozwój jej 269, 270.

- Darwin 240, 250.
- Deizm 100-102, 151-153, 233.
- „ w Anglii i Szkocji 16, 17, 141.
- Derby lord 175.
- Diderot — zdanie Carlyle'a 47, 48.
- Djabek — wiara w niego 164.
- Dług państwowy 219, 220.
- Dziedziczność 81.

- Edison 138.
- Edwards Jonathan 136.
- Edynburg w 1810 r. 16.
- Eliot Jerzy 73, 154, 246, 247.
- Ekonomja Smitha i Milla 117-123.
- „ Ruskina 221-225.
- Emerson 80, 136 — 160, 169, 170, 206, 238, 242.
- „ o Goethem 20.
- „ o Carlyle'u 42.
- „ — jego stanowisko w Ameryce 138.
- „ „ przodkowie i rodzina 139, 140.
- „ „ rozwój umysłowy 141.
- „ „ okres kapłański 142.
- „ „ teorjarozsądku 143-146.
- „ „ dar literacki 146.
- „ — zbawienność jego myśli 154.
- „ — jego wady poetyckie 149.
- „ „ niedbalstwo 149.
- „ „ niekonsekwencje 149.
- „ „ transcendentizm 151 — 153.
- „ „ dziwactwa 152, 153.
- „ — zdanie o nim Arnolda 153 — 155.
- „ — jego wartości podniecająca 155.
- „ „ zalety poetyckie 155, 156.
- „ „ krytyka Anglii 159.
- „ „ polityka 159, 160.

- Etyka i praktyka 192, 193.
- Ewangeliczność 164.
- Ewangelija czwarta 178.
- Eyre gubernator — jego sprawa 71, 90.

- Fichte i Carlyle 22, 70.
- „ „ Spencer 248.
- „ — jego Utopja 258.
- Francja — zdanie Arnolda 200, 201.
- Franklin 136.
- Francuska rewolucja i kultura angielska 7, 196.
- Francuska i angielska proza 167.
- Frothingham O. B. — przytoczenia 151.

Fronde J. A.—przytoczenia 14, 27—29, 48, 54.

„ —jego ocena krytyczna 71—73.

„ zdanie o nim Ruskina 72, 234.

Fryderyk II i Carlyle 49, 50, 69.

Garnett D.—przytoczenia 53.

George Henryk 258.

Gibbon—zdanie o nim Emersona 147.

Gienjusz 241.

Gladstone o Millu 131.

Głosowanie dorosłych 114—116.

Goethe o Carlyle'u 5, 19.

„ o Byronie 5.

„ —jego oryginalność 20, 21.

„ „ życie 46.

„ „ filozofja 144.

Gray—zdanie o nim Arnolda 173.

Grecka moralność 179, 181.

Hamley gien. o Carlyle'u 55, 56.

Harrison F. 172, 187, 190, 249.

Hawthorne 136, 158.

Holmes dr. O. 136.

Howells W. D. 137.

Hume Dawid—wpływ jego na Carlyle'a 16, 18.

„ —zdanie o nim Emersona 143, 147.

Huxley prof. 172, 252, 255, 257—259.

Indje—ich zagadnienia 108, 109.

Intuicja 144, 147, 148.

Irlandja i Mill 129.

Irving Edward i Carlyle 17.

Izrael—zdanie o nim Arnolda 179—182.

James Henryk starszy 34.

„ —przytoczenia 67, 68.

Jedność przyrody 151—153.

Jeffrey i Carlyle 14, 18, 40.

Jevons 101.

Johnson dr. 9, 47, 73.

Kanada—jej zagadnienia 125, 126.

Kara śmierci 127.

Katolicyzm 174.

Kingsley C. 71, 72.

Kobiece głosowanie 114—116.

Komunja chrześcijan 142, 143.

Kościół angielski 198.

*Laisser faire* nie nowożytnie 64.

Landor—zdanie o nim Carlyle'a 62.

Lange F. A. 251.

Legiendy o stworzeniu świata 176, 177.

Lecky W. E. H. 26.

Lewes G. H. 246, 247.

Liberalizm 122, 123, 154, 272—274.

Liczebność—złudzenie psychologiczne 64, 65.

„ —nanka o niej Arnolda 199.

Lockhart i Scott 73.

Longfellow 136, 155.

Lowell J. R. 137.

„ —przytoczenia 41, 45, 52, 54, 140, 141.

Ludnościowe zagadnienie 65, 66, 90, 119—123, 249, 256—259, 264—266, 275.

Macaulay i Carlyle 49, 50.

„ i Jakób Mill 111—114.

Magellan 240, 241.

Malthus 118, 122, 123.

Manners lord J. 34.

Martineau Henryka 6, 232, 233.

Masson prof.—przytoczenia 39.

Materjalizm 252.

Maurice F. D. 61, 86.

M'Culloch—jego ekonomja 123, 124.

Mędrek—określenie 22.

Mill Jakób 79—81, 83, 96—98, 106, 111—122, 141.

Mill J. S. 20, 78—134, 170, 238—240, 249.

„ —zdanie o nim Carlyle'a 60.

„ —jego cechy dziedziczne 79—82.

„ „ wykształcenie 82.

„ „ dar sprawiedliwości i współczucia 82.

„ „ krytyka Benthama 83, 88.

„ „ przygnębienie w młodości 85—87.

„ —wpływ nań Carlyle'a 191, 192.

„ —jego stałość demokratyczna 89, 90.

„ „ cześć dla żony 91—93.

„ „ podatność wzruszeniowa 94, 95.

„ „ dobroć 95.

„ „ wychowanie 95.

„ „ sumiennosc literacka 98.

„ „ teorie literackie 100—104.

„ „ przemilczenia 105, 106.

„ —zdanie o nim *Church Herald* 107.

„ —jego zdanie o sprawach indyjskich 108, 109.

Mill J. S.—jego polityka 109, 110  
 „ „ ekonomja 117—125.  
 „ „ neomaltuzjanizm 123.  
 „ „ etyka praktyczna 126, 127.  
 „ „ psychologia 129.  
 „ „ poczucie piękna 131.  
 „ „ dobry wpływ 130—133.  
 Mill pani 91—94.  
 Minto prof.—przytoczenia 16, 38, 130, 132.  
 Monarchja — zdanie o niej Carlyle'a 31, 32.  
 Morley Jan — przytoczenia 23, 47, 55, 123,  
 124, 198.

**N**apoleon III — zdanie o nim Carlyle'a  
 68.

Narodowy charakter 128, 129.  
 Natchnienie 143—146.  
 Naukowa metoda 170, 171.  
 Neomaltuzjanizm 259, 266.  
 Newman F. W. 176.  
 Newmanów rodzina 162.  
 Niemiecka literatura nowożytna 19.  
 Nierówność 258.  
 Nihilizm socjologiczny 258.  
 Norton prof.—przytoczenia 15, 25.

**O**dpowiedzialność moralna 193, 194.  
 Optymizm w ekonomji 122, 123.  
 Oszczędność — jej błąd 117 — 123, 221,  
 222.  
 Ośmiogodzinna praca—bill o niej 261.  
 Oswald—przytoczenia 7.

**P**aine Tomasz 9.  
 Pantyzm 22, 24, 25, 141, 152, 153.  
 Parker Teodor 152.  
 Pattison Marek—przytoczenia 96, 97.  
 Peel i Carlyle 33, 34.  
 Pieniądze 22.  
 Plato 80.  
 Poe Edgar 136, 137, 144, 147.  
 Poetyckie utwory—ich etyka 7.  
 Poezja 151, 156, 157.  
 Pojęcia wobec uczuć 265—267.  
 Polityczne zagadnienia 255—264, 271 —  
 276.  
 Polscy unitaryści 142.  
 Postępowanie ze zbrodniarzami 69—71.  
 Powieściowe utwory—ich etyka 181.  
 Prawa o ubogich 264, 265.  
 Prezbiterjanizm 140, 141.  
 Prorok—określenie 203, 204.  
 Protekcjonizm 124—126.  
 Protestantyzm 174.

Prusy—zdanie o nich Arnolda 175.  
 Przecząca krytyka 259.  
 Przemysłowa kwestja 65, 66, 117—123.  
 Purytanizm 139—141.

**R**acjonalizm 85.  
 Radykalizm 273, 274.  
 Renan 179.  
 Ricardo 122, 224, 225.  
 Richter i Carlyle 63.  
 Ritchie D. G.—przytoczenie 271.  
 Rosyjska literatura 20.  
 Rousseau 214, 258.  
 Rozwój—jego prawo 250, 251.  
 Rzymska moralność 179.  
 Ruskin 34, 64, 206—235, 238.  
 „ —zdanie o nim Jerzego Eliota 206.  
 „ —jego wątplenia 206, 229.  
 „ „ pochodzenie 207, 211.  
 „ „ charakterystyka 207, 208.  
 „ „ dojrzałość przedwczesna  
 208.  
 „ „ samokrytyka 209.  
 „ „ pochwała spostrzegawczo-  
 ści 211.  
 „ „ bigoterja młodzieńcza 212.  
 „ „ nawrócenie estetyczne 212.  
 „ „ teologia i biblijność 213,  
 233.  
 „ „ wpływ 213, 214, 225, 226.  
 „ „ talent literacki 226.  
 „ „ przenikliwość i niestałość  
 214, 215.  
 „ „ zdania o maszynach 215.  
 „ „ „ o kolejach żelaz-  
 nych 215, 216.  
 „ „ „ o systemie agrar-  
 nym 217, 218.  
 „ „ „ o długach państwo-  
 wych 219, 220.  
 „ „ „ o lichwie 220.  
 „ „ ekonomja 221—225.  
 „ „ żywość 226.  
 „ „ zalecenia 227, 228.  
 „ „ egoizm 229, 230.  
 „ „ zdanie o kobietach 230, 231.  
 „ „ sprzeczności 232.  
 „ „ niesprawiedliwości 232, 233.  
 „ „ wstecznictwo 233, 234.  
 „ „ zalety 235.  
 Rytm kosmiczny 251.

**S**ainte Benve i Arnold 167.  
 Sande Jerzy i Arnold 181.  
 Schopenhauer 21, 144, 253.

- Scott—zdanie o nim Carlyle'a 44, 51, 52.  
 " " " " Emersona 147.  
 Senancour 166.  
 Seneka—zdanie o nim Carlyle'a 35.  
 Shelley 10, 19, 92.  
 Smith Adam 10, 117.  
 Socjaliści 265.  
 Spencer Herbert 25, 186, **237—277**.  
 " —jego dbałość o siebie 240, 241.  
 " " pracowitość 241—244.  
 " " wpływ 243, 274—277.  
 " " początki życia i wykształcenia 244, 245.  
 " " kółko towarzyskie 246.  
 " " rozwój 248.  
 " " etyka społeczna 249, **261**, 262.  
 " " zdanie o szczerości 253, 254.  
 " " " o refor. sądów 256.  
 " " teoria gruntowa 256, 257.  
 " " stanowisko wobec kwestji ludności 256 — 258, 265, 275, 276.  
 " " fatalizm 260, 261, 268, 269, 274—276.  
 " " wsteczniectwo 262 — 264, 266.  
 " " niekonsekwencje 263, 267.  
 " " sofizmaty 269—273, 275.  
 " " doniosłość ostateczna 276, 277.  
 Spinoza 25.  
 Sprawiedliwość—jej pojęcie 130.  
 " " wymiar tani 255, 256.  
 Stany Zjednoczone —zdanie o nich Arnolda 199—202.  
 Stephen Leslie—przytoczenie 28.  
 Sterling Jan 37, 86.  
 Strauss 166.  
 Sumienie—zdanie Arnolda 180.  
 Swinburne—przytoczenie 165, 173.  
 Świeccy ludzie i Spencer 248.  
 Szekspir—życie jego 46.  
 Szkocja—jej religja 33.
- Taine o Carlyle'u 7.  
 " o sztuce angielskiej 41.  
 Tennyson i Carlyle 67, 68.  
 Thackeray 138, 167.  
 Thompson D. G. 137.  
 Thoreau 154, 158.  
 Toryzm 164.  
 Transcendent talizm 21, 22—25, 143, 144, 152, 153, 193, 194.  
 Tyndall prof. 172.
- Unitaryzm 141, 142.  
 Utylitaryzm 130, 131.
- Voltaire—zdanie o nim Carlyle'a 33, 36, 47, 48.  
 " " o nim Ruskina 232.
- Wagner o Beethovenie 15.  
 " —zdanie o nim Gurneya 145.  
 Ward Lester 137, 243, 275, 276.  
 Wiarogodność — zdanie o niej Carlyle'a 61, 62.  
 Whitman Walt 140, 150, 156, 157.  
 Wojna i Mill 127, 128.  
 Wolf—przytoczenia 172.  
 Wolna wola 252, 253.  
 Wolnohandlowy optymizm 121, 122, 124.  
 Wolnomysłność na lądzie stałym 179; 186.  
 Wordsworth 10, 19, 20, 86, 87, 98, 153, 154.  
 Wychowanie 96, 97, 265, 266.  
 Wyobrażenia i rozsądek 102, 103.  
 Wyznawanie Boga 25.
- Zachowawczość 271—274.



5586 / 2